

Almanach Łącki

*Rócznik pod patronatem
Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej
wydawnictwo historyczno-kulturalno-społeczne*

*Nr 17
Rok 2012*

Kolegium Redakcyjne

prof. Julian Dybiec - przewodniczący
prof. Barbara Wagner - z-ca przewodniczącego
prof. Bolesław Faron
ks. prałat Józef Trzópek
mgr Zbigniew Czepelak

Redakcja

Jadwiga Jastrzębska - sekretarz
Paweł Szczodrowski - opracowanie graficzne
Jan Dziedzina - kontakty ze szkołami
Andrzej Urbaniec - kontakty ze stowarzyszeniami (zastępca sekretarza)
Rozalia Kulasik - finanse
Ewelina Faron - korekta

Copyright by Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej
33-390 Łącko 512

Almanach Łącki - półrocznik wydawany społecznym wysiłkiem autorów
i redakcji.

Druk i papier finansowany ze środków:



Starostwa Sądeckiego



Urzędu Gminy w Łącku

prywatnych darczyńców i środków własnych TMZŁ

Egzemplarze archiwalne dostępne w: Bibliotece Narodowej w Warszawie, Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego, Miejskiej Bibliotece Publicznej im. J. Szujskiego w Nowym Sączu, Gminnej Bibliotece w Łącku (i jej filiach), Bibliotekach Szkół w Gminie Łącko, Towarzystwie Miłośników Ziemi Łąckiej, Miejsko-Gminnej Bibliotece w Starym Sączu, Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Krakowie, Bibliotece Uniwersytetu Wrocławskiego, Centralnej Bibliotece PTTK, Centralnej Bibliotece Górskiej oraz u autorów artykułów.

Projekt okładki: Paweł Szczodrowski
Skład: Wydawnictwo "Koliber"
Druk: Flexergis Sp. z o.o.
Nakład: 750 egzemplarzy

Redakcja Almanachu Łąckiego:
33-390 Łącko 512
tel. 502 520 123
e-mail: tmzl@elacko.pl

Drodzy Czytelnicy!

Wydając kolejny numer Almanachu Łąckiego, zawsze z niepokojem czekamy na opinię Czytelników, czy i tym razem sprawiliśmy radość, zaciekawienie i przyjemność czytania naszego wydawnictwa. Zawsze z pokorą przyjmujemy wszystkie opinie, albowiem są one przyczynkiem do ciągłego rozwoju, poszerzania horyzontów, publikowania różnorodnych tematów.

Przez te osiem lat, w ciągu których ukazało się 17 numerów Almanachu Łąckiego, zdobyliśmy uznanie sporej części Czytelników, którzy są z nami od 1 numeru; jest to dla nas bardzo cenne doświadczenie, postaramy się nie zawieść zaufania jakim jesteście obdarzani.

Wydawca Almanachu Łąckiego, Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej, obchodziło w tym roku 25-lecie działalności, znajdują więc Państwo w tym numerze nieco więcej materiału poświęconego Towarzystwu, ale staraliśmy się nie nadwyrężyć Państwa cierpliwości w tej materii. Prezes Związku Podhalan o/ Łącko, Tomasz Ćwikowski, wręczając z okazji jubileuszu, na ręce prezesa Jadwigi Jastrzębskiej, list gratulacyjny, zwrócił się do członków Towarzystwa słowami Władysława Orkana *„Ze wsią swoją rodzinną żyj- i daj jej, co najlepsze. Wróć braciom, coś wiedzą zdobył. Nie przecinaj korzeni łączących cię z rodzinną ziemią, choćbyś na koncu świata się znalazł... a przede wszystkim miej charakter!..”* To Przesłanie Orkanowskie niech będzie drogowskazem dla nas wszystkich, którzy wywodzą się z tej ziemi i tych, którzy ją umiłowali.

Mam nadzieję, że każdy znajdzie w tym numerze coś ciekawego dla siebie, i że lektura tego numeru będzie intelektualną przyjemnością i relaksem.

Jak zawsze jesteście otwarci na nowe, interesujące propozycje naszych Czytelników.

Jadwiga Jastrzębska – redaktor

Historia rodziny łąckich Chwalibogów – część VII

Ta część „historii” to szkic losów łąckich Chwalibogów, a także spokrewnionych rodzin, w tym dramatycznym dla Polski momencie jakim był wrzesień 1939 roku. Nastrój chwili wyłania się z fragmentów osobistych relacji poszczególnych osób uzupełnionych opisami szerszego tła na jakim miały one miejsce.

Opisy te są zdaniem autora potrzebne dla zrozumienia okoliczności w jakich przebiegały losy członków rodziny. Bez nich mogłyby one być niezrozumiałe dla osób nie znających dokładnie historii tego czasu.

Zanim jednak nadszedł wrzesień życie toczyło się swoim zwykłym torem... Wystarczy spojrzeć na kilka zdjęć z tamtych dni:



Łącko, letnie popołudnie, Panie w ogrodzie przed werandą (doktorowa, Wisia i Maryna). (fot. Chwalibóg)



We Lwowie Henryk i Zbyszek z żonami fotografują się u stóp pomnika. (fot. Chwalibóg)



Maryna, Wisia, Zbyszek oraz Antek i Macek Uhma w tatrzańskim krajobrazie. (fot. Chwalibóg)



Maniek i Jurek Pasiudowie (przyrodni bracia Wisi Wojciechowskiej – teraz już Chwalibogowej) w góralskich portkach, Mańka parzenice tylmanowskie a Jurka łączkie. (fot. B. Czech)



Antek, Zbyszek i Maciek na lwowskiej ulicy... (fot. Chwalibóg)

Mundur Zbyszka sygnalizuje jednak niespokojne czasy. Tak samo to zdjęcie grupy młodych junaków przysposobienia wojskowego gdzie na pierwszym planie z prawej (w pozycji leżącej) można rozpoznać Mariana Pasiuda – pierwszy od lewej siedzący to jego starszy brat Jurek. (fot. B. Czech)





A w lecie 1939 wygląd pary młodych małżonków (Zbyszek i Wisia) daje do zrozumienia, że rodzina wkrótce się powiększy... (fot. Chwalibóg)



Zbyszek Chwalibóg, wrzesień 1939 (fot. Chwalibóg)

<i>Pomorze –</i>	<i>„Jestem zdrow jak ryba”</i>
<i>Prusy –</i>	<i>„Czuję się fizycznie świetnie”</i>
<i>Poznańskie aż do Śląska –</i>	<i>„Samopoczucie moje wyborne”</i>
<i>Śląsk –</i>	<i>„Jestem w świetnej formie fizycznej”</i>
<i>Granica południowa –</i>	<i>„Wszystko u mnie jak najlepiej”</i>
<i>Granica węgierska –</i>	<i>„Byczo jest – zdrowo się czuję”</i>
<i>Stryj –</i>	<i>„Miałem dosyć przykry katar, więc kartkę tę zaraz wyrzucić”</i>

Ten szyfr przesłał Zbyszek Chwalibóg swojej żonie Wisi (Jadwiga z Wojciechowskich) we Lwowie w pierwszych dniach września 1939 roku na, zapisanej ołówkiem połowie kartki papieru listowego. Chodziło o możliwość wskazania regionu w jakim może się znaleźć w trakcie działań wojennych. Fakt wymienienia Prus i Pomorza świadczy o jego przekonaniu, że tam mógłby dotrzeć ze swoją jednostką Artylerii Motorowej w której był oficerem.

Podporucznik – oficer obserwacyjny dywizjonu, który w dniach 24 marca–30 czerwca brał udział w „cichej mobilizacji” w miejscu postoju pułku w Stryju, teraz jechał w kierunku Przemyśla.

Takie informacje na ten temat znajdujemy w opisie kampanii wrześniowej na terenach południowo-wschodniej Polski.

„15 sierpnia w m. Niezuchów, 4 km na południowy wschód od Stryja mobilizację rozpoczął II dywizjon 1 Pułku Artylerii Motorowej. W nocy z 4 na 5 września dywi-

zjon zakończył mobilizację i powrócił do garnizonu. Tam został przemianowany na 6 Dywizjon Artylerii Ciężkiej Motorowej, załadowany na transport kolejowy i skierowany przez Przemyśl do Sandomierza.” (źródło: Wikipedia).

List wysłany z pociągu jadącego na zachód w kierunku Przemyśla (4 lub 5 września):

Wichuniu, Moje Kochanie,

Korzystam z okazji uprzejmego kierownika pociągu i piszę do Ciebie w tym transporcie – tym razem mając pewność że list ten dojdzie Twoich rąk. Najmilsza znoś wszystko z wiarą, że będzie dobrze, że niedługo wrócimy zwycięsko z wojny. Ja obecnie jestem przy ciężkiej baterii jako dowódca plutonu. Jest to broń, jak i funkcja bardzo mało eksponowana – tak że nie musisz już myśleć że pracować będę w pierwszych liniach a w odległości 6-10 kilometrów od nieprzyjaciela. Są to po prostu tabory.

Wszystkie twoje polecenia wypełniam i bardzo na siebie uważam. Czuję się zdrowo. Nie oznacza to miejsca w myśl naszej umowy bo w tym liście mogę pisać wszystko otwarcie. Następną kartka już będzie z pola, względnie gdzieś z odwodów i to drugie prędej, bo nie prędko wejdziemy do akcji. Pieniądze chyba wyślę pocztą polową, choć nie wiem jeszcze jak ona funkcjonuje. To co masz wystarczy Ci jeszcze na ten miesiąc. Dostałem 380 zł więc pošlę 250. Jeśli to możliwe będzie wykup łańcuszek. Jeżeli jesteś w Zimnej Wodzie, to jednak nie wyjeżdżaj po to. Dowiedz się od wujka co możesz do mnie napisać i opisz mi swoje przeżycia ostatnich dni. Przeżywamy ciężkie chwile. Nic nie wiemy – piszę ogólnie. Co z Łąckiem i Twoimi w Sączu nic wiedzieć nie można. Skorzystam jeszcze i podam kilka umownych zdań które do listu dołączę.

Piszę to w Chyrowie, jedziemy w kierunku Przemyśla. Naprawdę trudno zdać sobie sprawę z wypadków ostatnich dni. W gruncie rzeczy ja nie wierzyłem, że wojna będzie. Będę patrzył na gwiazdę wielkiego wozu (tę zakreśloną) zjedną się na niej nasze myśli (górną gwiazdą tylnych kół). Przypomną się nam dawne chwile, gdy w czasie świąt Ty zostawałaś w Sączu, a ja nad Lubaniem gwiazdy szukałem...

Teraz modlę się i nadrabiam humorem i apetyt mam jak smok – choć koledzy go jakoś stracili. Kazik Walaszek został bo będzie w nowo organizowanym lekkim dyonie. Właściwie nie mam nikogo sympatycznego przy sobie. Dzisiaj mam służbę w transporcie więc nie śpię, pisać trudno, bo kolebie...

Czytając ten list widać próby uspokojenia młodej żony (która jest właśnie w 5 miesiącu ciąży), optymistyczną oceną spodziewanego rozwoju sytuacji, przemieszczenie ze zrozumiałym niepokojem.

W tym samym czasie z Łącka wyjeżdżają doktorowa Chwalibogowa z Maryną, uciekając przed Niemcami. Wiadomo, że pozostanie ich w domu byłoby równoznaczne z bezwzględną groźbą eksterminacji za prowadzoną działalność patriotyczną.

Latem przed wybuchem II wojny światowej do Łącka przyjeżdżali młodzi Niemcy, którzy mieli kontakt z uczącą się młodzieżą miejscową. Wstępowali też do Chwa-

libogówki na kwaśne mleko. Okazało się że były to działania szpiegowskie. Kiedy wybuchła wojna ci sami młodzi ludzie tylko w wojskowych niemieckich mundurach pytali gdzie są Chwalibogowie. Wiedzieli już że to wielcy patrioci i ludzie wykształceni. Wiedzieli też, że jeśli zniszczą kwiat polskiej inteligencji, z resztą będzie się łatwo rozprawić. Noc przed ich przyjazdem ktoś ostrzegł Panią Chwalibóg i w nocy wyjechała z Łącka. (Wspomnienia P. Zofii Myjak – 9 nr Almanachu)

Można sobie wyobrażać jak wyglądała ich podróż do Lwowa w warunkach wojennego września.

„We wrześniu 1939 r. Lwów, stolica regionu i ważny węzeł komunikacyjny, początkowo znajdował się na głębokich tyłach. Stacjonujące i zorganizowane tam jednostki oraz oddziały wojskowe były kierowane na front i w głąb kraju. W mieście zostało Dowództwo Okręgu Korpusu Nr VI, którym dowodził gen. bryg. Władysław Langner, ośrodki zapasowe i nieliczne oddziały nieliniowe. Już od pierwszego dnia wojny samoloty niemieckie bombardowały Lwów, a duży napływ uciekinierów stwarzał poważne problemy z zaopatrzeniem i wyżywieniem ludności.” (źródło: Wikipedia)

Wyrwana z notesu kartka z datą 6 wrzesień 1939:

Dojeżdżamy do Przemyśla. Czekając na wolny wjazd słyszeliśmy echa strzałów z Przemyśla do samolotu który przeleciał w pobliżu nas. Widać już że przestali być tak pewnymi siebie te szakale. Bateria cieszy się, że będzie mogła sobie postrzelać.

Teraz już kończę bo oddaję już list. Całuję twoje rączki i usta.

Zbyszek

„W nocy z 6 na 7 września dywizjon wyładowany został w rejonie Rudnika nad Sanem, a następnie skierowany do odwodu Armii „Lublin” w rejonie Urzędowa.” (źródło: Wikipedia)



General Langner dowódca obrony Lwowa
(Fot. Wik.)

Kolejna kartka 9 październik 1939:

Bądź dobrej myśli i nie martw się o mnie. W tyle gorzej niż w linii, bo lotnicy boją się naszych karabinów maszynowych. Niech Cię Božia ma w swojej opiece i nasze dziecko...

Pa Zbyszek

W czasie kiedy pociąg transportujący IPAM zmierza w kierunku Przemyśla gen. Langner powołuje Dowództwo Obrony Obszaru Lwów, na czele z gen. dyw. w stanie spoczynku Rudolfem Prichem.

Tego samego dnia wieczorem gen. Langner został wezwany przez ministra spraw

wojskowych, gen. Tadeusza Kasprzyckiego do Łucka. Nazajutrz na odprawie u ministra gen. Langer otrzymał polecenie utworzenia zapory na linii: Bełżec — Rawa Ruska — Magierów”. (źródło: Wikipedia).

A więc wojna błyskawicznie zbliża się do Lwowa. Dla rodziny łąckich Chwalibógów to czas bardzo szczególny, bo to nie tylko Wisia, żona Zbyszka, ale także Irena, małżonka Henryka, jest w 5 miesiącu ciąży.

Następny list:

Już wysłałem do Ciebie 4 kartki a od Ciebie nic nie otrzymałem. Wyobrażasz sobie mój niepokój odnośnie gotówki. Przekazuję Ci przez tego samego dobrego człowieka 150 zł, a resztę później, gdy posprawiam sobie coś jeszcze z ekwipunku. Ciepłą bieliznę, skarpetki itd.

Przyszło mi do głowy że jeśli obiecał pójść z listem to z pieniędzmi też może. W ogóle ludzie teraz tyle sobie nawzajem okazują serca i zrozumienia, że aż to człowieka wzrusza. Kiedyś w Stryju, gdy przyjechałem na ½ godziny ze wsi gdzie nasz dywizjon się organizował, dałem zegarek przygodnemu przechodniowi, który ochotnie zaniósł go do naprawy, skąd sobie go później odebrałem.

Wichuniu, pociąg przyspieszył i trudno pisać. Podam jeszcze umówione zdania:

Kazik = N.Śącz, Staszek = Łącko,

Całuje Twoje rączki = w naszych rękach,

Przesyła Ci ukłony = wzięty przez szwabów,

Kraków = Rolnek, Katowice = Maschowo, Będę to oczywiście przeplatał wtrąconymi zdaniem więc uważnie czytaj. Teraz jeszcze raz gorąco całuję, Wujkom wszystkim ucałowania,

Zbyszek

„W tym czasie przejazdem we Lwowie znalazł się gen. Kazimierz Sosnkowski i późno w nocy 10 września otrzymał polecenie Naczelnego Wodza, marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego, objęcia dowództwa nad południową grupą armii z zadaniem utrzymania linii Sanu i osłony Lwowa. Jak wspominał gen. Sosnkowski, na Dowództwo Obrony Kraju VI spadł obowiązek zmontowania obrony całego obszaru Małopolski na wschód od Wereszycy. Mimo wyczerpania zasobów, gen. Langner pomagał mu w formowaniu kwatery głównej, a także organizowaniu dowództwa etapów i oddziałów pomocniczych. Jednocześnie gen. Langner kontynuował normalne czynności mobilizacyjne.

13 września

W dalszym ciągu napływały do Lwowa kolejne posiłki w postaci dowództwa, II Dywizjonu (bez 6. baterii) haubic 155 mm i 3. baterii z 2 działami 105 mm z 6 Pułku Artylerii Ciężkiej (zajęły one pozycje w rejonie cytadeli i Cmentarza Łyczakowskiego, ale bez kontaktu ogniowego z wrogiem).” (źródło: Wikipedia)

Ta informacja oznacza że Zbyszek Chwalibóg podporucznik II dywizjonu znalazł się znowu we Lwowie po wycofaniu jednostki z rejonu Tomaszowa Lubelskiego, gdzie wspierał działania armii „Lublin”.

15 września

Tego dnia gen. W. Lagner postanowił wspomóc działania zgrupowań, które usiłowały przebić się do miasta. W tym celu obrońcy zaatakowali wzgórza pod Zboiskiem i w kierunku Hołoska Wielkiego. W obu przypadkach Niemcy w walce wręcz zostali zmuszeni do odwrotu, ale polskie ataki zostały ostatecznie powstrzymane przez niemiecką artylerię. W samym Lwowie próbowano bez powodzenia odzyskać Kortumową Górę.

17 września

Rano gen. W. Langner wydał rozkaz ataku na wzgórza zamarstynowskie i wzgórze 324, aby uzyskać bezpośrednią łączność z siłami 10. Brygady Kawalerii. Brały w nich udział trzy bataliony 35. Dywizji Piechoty Rezerwy wsparte artylerią, przy działaniach wspomagających grodzieńskiego 1. pp znad Pełtwi i oskrzydających dwóch szwadronów kawalerii.



Lotne oddziały polskiej kawalerii (Fot. Bridgeman, Art. Library)

Doprowadziło to do zajęcia po południu sanatorium w Hołosku Wielkim i wdarcia się na wzgórze 324. Jednakże w tym samym czasie 10. Brygada Kawalerii, która nacierała bez powodzenia na wzgórza pod Zboiskami, otrzymała rozkaz Naczelnego Dowództwa WP przejścia na południe za Dniestr, a następnie na Węgry. W nocy obrońcy wyparli Niemców z podlwowskich miejscowości Podborców, Podbereżeńców, Zniesienia, Laszki Murowane i Dublany.

Jednocześnie została przez niemiecką 2 Dywizję Pancerną rozbita Grupa „Żółkiew” płk. Stefana Iwanowskiego, osłaniająca Lwów od strony Krasnego.

W godzinach rannych Dowództwo Okręgu Korpusu we Lwowie otrzymało meldunek o przekroczeniu polskiej granicy przez wojska sowieckie i ich posuwaniu się

w głąb kraju. Tego dnia po południu gen. W. Langnerowi został przekazany rozkaz Naczelnego Dowództwa WP, aby walczyć tylko z Niemcami, a do oddziałów Armii Czerwonej otwierać ogień tylko w przypadkach koniecznej samoobrony. W kierunku miasta posuwała się 6 Armia Frontu Ukraińskiego pod dowództwem komkora Filipa Golikowi.

20 września

Sztab sowieckiej 6. Armii Frontu Ukraińskiego przygotowywał generalne uderzenie na Lwów, które miało się rozpocząć rano następnego dnia. Termin został jednak przesunięty o kilka godzin w celu ukończenia przygotowań. Główne siły 6. Armii, czyli 10., 24. i 38. Brygada Pancerna oraz 5. Dywizja Kawalerii i pułk strzelców z 96.



(Fot. Wikipedia)

Dywizji miały zaatakować polskie pozycje od wschodu i południowego wschodu. Z północnego wschodu i północy natarcie przygotowywała 14. Dywizja Kawalerii, zaś od południa i południowego wschodu – 3. Dywizja Kawalerii. Brygady pancerne opóźniły swoje przybycie pod miasto z powodu przeładowania kolumnami Armii Czerwonej szosy z Tarnopola do Lwowa. Natomiast działająca na południe od Lwowa 12. Armia komandarma Iwana W. Tiuleniewa otrzymała rozkaz takiego przegrupowania

własnych sił, aby uniemożliwić załodze Lwowa ewentualnego przebicia się w kierunku granicy z Węgrami.

Również strona niemiecka podjęła działania przygotowawcze do generalnego natarcia na miasto, które miało rozpocząć się trochę wcześniej niż atak sowiecki. Miały go przeprowadzić trzy dywizje XVIII Korpusu Armijnego gen. piech. Eugena Beyera, czyli 7. Dywizja Piechoty miała uderzyć z północy, 1. Dywizja Górską z południa i częściowo z zachodu, a 2. Dywizja Górską z południowego wschodu.

Niemcy wezwali polskich obrońców do kapitulacji do rana 21 września, a w przeciwnym razie zagrozili zniszczeniem Lwowa. Przedstawiciele Wehrmachtu i Armii Czerwonej kilkakrotnie spotykali się pod Lwowem, aby uzgodnić wspólne działanie przeciwko polskim obrońcom. Decyzje dotyczące przyszłości miasta zapadły jednak na o wiele wyższym szczeblu. Rano 20 września sztab niemieckiej Grupy Armii Południe dostał wiadomość z Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych Niemiec (OKH) z rozkazem zaprzestania oblężenia Lwowa i utrzymywania łączności z odpowiednim dowódcą sowieckim, aby zapobiec dalszym starciom pomiędzy obiema armiami.

Z kolei rozkaz 14. Armii informował o ustaleniu niemiecko-sowieckiej linii demarkacyjnej, biegnącej wzdłuż Pisy, Narwi i Sanu do Przemyśla, a dalej przez Chyrów do Przełęczy Użockiej. W tej sytuacji 14. Armia miała przerwać działania prowadzone na wschód od tej linii i rozpocząć przygotowania do wycofania się. W rezultacie wieczorem dowództwo XVIII Korpusu Armijnego nakazało zwinąć oblężenie Lwowa i rozpocząć w nocy odwrót w kierunku zachodnim. Dowódca 1. Dywizji Górskiej odwołał zaplanowane na następny dzień uderzenie na miasto i polecił przejść do obrony, zaś wkrótce po północy rozkazał przekazać zajmowane pozycje wojskom sowieckim, a jego dywizji marsz na Janów. Odwrót rozpoczęła też 2. Dywizji Górskiej. Działania te były maskowane ostrzałem artyleryjskim polskich pozycji we Lwowie.



Niemcy i Sowieci we wrześniu 1939 (Fot. Wikipedia)

21 września

Rano przedstawiciele Armii Czerwonej zaproponowali Polakom wznowienie rozmów. Odbyły się one w Winnikach z udziałem podpułkownika K. Ryzińskiego.

22 września

Rano polska delegacja w składzie: gen. W. Langner, płk B. Rakowski i kpt. Kazimierz Czyhiryn, jako tłumacz, spotkała się w Winnikach z przedstawicielami Armii Czerwonej. Sowieci polskie warunki przyjęli w całości i bez dyskusji. Został podpisany „Protokół ogłoszenia o przekazaniu miasta Lwowa Armii Czerwonej”, zgodnie z którym oficerowie mieli zagwarantowaną wolność osobistą i nietykalność własności oraz możliwość wyjazdu za granicę. Jednocześnie gen. W. Langner wydał „Rozkaz do wojska załogi Lwowa”, określający kolejność i sposób opuszczania miasta przez żołnierzy, „Rozkaz do żołnierzy” z podziękowaniem za obronę miasta i „Odezwę do mieszkańców”. Nie wszyscy wojskowi pogodzili się jednak z podjętą decyzją. Do gmachu Dowództwa Obrony Lwowa wdarła się uzbrojona w pistolety grupa oficerów i podoficerów, żądając kontynuowania walk. Wycofali się dopiero po przekonaniu ich przez ppłk. dypl. Antoniego Szymańskiego. Po ogłoszeniu informacji o poddaniu miasta Sowiecom wielu szeregowych żołnierzy było zaskoczonych, ale nie doszło do dalszych incydentów. Polacy wychodzili ze Lwowa w kolumnach, oddzielnie oficerowie, a oddzielnie pozostali wojskowi. Za granicami miasta ich eskortowanie przejęli żołnierze

rze sowieccy. Po dotarciu do Winnik polscy oficerowie nie zostali jednak zwolnieni, tylko, ze złamaniem podpisanych umów, wzięci do niewoli. Podobnie jak pozostali oficerowie trafili do obozów jenieckich, a następnie zostali zdradziecko rozstrzelani. Jedynie nielicznym oficerom udało się zbiec z niewoli, m.in. ppłk. K. Rzyzińskiemu i płk. M. Steiferowi. Zresztą większość oficerów wierzyła po prostu w dotrzymanie warunków umowy przez Sowietów.

Stronie sowieckiej bardzo zależało na szybkim zajęciu Lwowa. Wszak w oddziałach, które znalazły się pod Lwowem byli jeszcze dowódcy i żołnierze pamiętający rok 1920, kiedy to 1 Konna Armia Budionnego nie zdołała zdobyć tego polskiego miasta. Nie przywiązywali więc wagi do sformułowań protokołu, bo nie mieli zamiaru go realizować. Nie było to zresztą pierwsze wiarołomstwo Sowietów.



Polscy jeńcy prowadzeni przez żołnierzy armii sowieckiej, wrzesień 1939 r. W tej kolumnie był podporucznik Zbyszek Chwalibóg (Fot:Wikipedia)

22 września po południu rozpoczęła się sowiecka okupacja Lwowa. Wraz z oddziałami liniowymi wkroczyły służby i funkcjonariusze NKWD. Ich pastwą pierwsi padli oficerowie, którzy mieli opuścić miasto — starsi na samochodach, a młodszy w kolumnach. Na roгатce Łyczakowskiej otoczono ich kordonem i pieszo pognano do Tarnopola. Stamtąd zaś, po załadowaniu do wagonów bydłowych, wywieziono do Rosji, głównie do Starobielska. Dziś, po latach, wiemy, że zostali zamordowani przez NKWD w Charkowie wiosną 1940 r. i pogrzebani w pobliskim lesie.” (Wikipedia)

Podporucznik Zbigniew Chwalibóg – dowódca plutonu w II dywizjonie haubic 155 mm znalazł się w tej kolumnie oficerów gnanej do Tarnopola. Jego nazwisko pojawiłoby się na liście katyńskiej w 1941 roku. Jednak los sprawił inaczej. Kiedy konwój przechodził wzdłuż lasu, razem z drugim jeńcem, jak się okazało leśnikiem, skoczyli w bok. Udało się... Ucieczka przez las, potem zamiana oficerek i munduru na jakieś kalosze i cywilne ubranie i szczęśliwy powrót do żony.

„Żołnierze polscy — obrońcy Lwowa we wrześniu 1939 r. przez 10 dni walczyli z przeważającymi siłami wojsk niemieckich, a następnie również sowieckich.” (*Copyright 1991 Instytut Lwowski*)

Te fragmenty zapisu historii wrześniowej obrony Lwowa pozwalają zrozumieć w jakiej sytuacji znaleźli się wówczas poszczególni członkowie rodziny.

A więc Józefa Chwalibogowa z córką Marią uciekają przed Niemcami z Łącka do Lwowa.

Niewiele później (bo już po ustaleniu granicy sowiecko-niemieckiej) jej brat Stefan wraz z żoną, córką i narzeczoną syna Maćka, przekrada się przez zieloną granicę ze Lwowa do Krakowa. Jako znany działacz społeczny i wiceprezes Związku Kas Oszczędności w Polsce był narażony na aresztowanie przez NKWD.

Tymczasem w pierwszych dniach września teść Henryka Chwaliboga, Stefan Dażwański – dyrektor firmy naftowej Polmin wiezie samochodem z Warszawy na wschód kasę firmy, aby dostarczyć pieniądze polskiemu rządowi. Wiezie także Henryka, któremu nie udało się dotrzeć do swojej jednostki, jego żonę Irenę w piątym miesiącu ciąży i dwuletnią Agnieszkę (wcześniej wysłane przez Henryka z Krakowa do Warszawy). Na zatłoczonych uciekinierami drogach nie można jednak dogonić ewakuującego się rządu. Ostatecznie nie docierają do Łucka i „grzęzną” w Krzemieńcu wkrótce zajęty przez Sowieców. Tutaj też znacznie później bo 3 stycznia 1940 roku rodzą się bliźnięta Marysia i Wojtek. Stefan Dażwański zdoła przekupić właściwego komandira i ewakuować rodzinę przez granicę sowiecko-niemiecką do Warszawy.

Takie były losy cywilów, a co z żołnierzami? Zmobilizowany był nie tylko Zbyszek, ale także obydwaj synowie wuja Stefana Uhmy, Antoni i Maciek. Trzeba także wspomnieć o Adamie Chwalibogu, nowosądeckim kuzynie łąckiej rodziny. Jego wrześniowy epizod w ten sposób relacjonuje spokrewniony z nim Roman Hasslinger:



Antek Uhma w podchorążówce (Fot. Uhma)

„Oficer taborów konnych został powołany, do Dywizji Strzelców Górskich z siedzibą w Bielsku-Białej. Powierzono mu dowództwo jednego z taborów dywizyjnych.

Tabor składał się z wozów konnych ze ściśle zaplombowanym ładunkiem. Zgodnie z otrzymanym rozkazem tabor wycofywał się na wschód. Dotarł pod Stanisławów, gdzie 17 września został wzięty do niewoli przez Armię Czerwoną. Po zerwaniu plomb i otwarciu wozów okazało się, że były pełne nowych banknotów Narodowego Banku Polskiego. Pieniądze te po wkroczeniu Niemców do Polski utraciły wartość.

Załoga taboru i jej dowódca, mój wuj, Adam Chwalibóg dostali się do niewoli sowieckiej. Mój wuj, za radą żołnierzy, a szczególnie p. Piejki, sąsiada i ogrodnika, ukrył swój stopień oficerski i jako podoficer trafił z szeregowcami do niewoli. Ponieważ mieszkał w Nowym Sączu włączonym do Generalnej Guberni, trafił w ramach wymiany jeńców, do transportu, do pracy w Niemczech. Z transportu udało mu się uciec i wrócił szczęśliwie do domu.”

A kuzyni Zbyszka Antek i Maciek Uhmowie? O ich losach można się dowiedzieć z książki Czesława Pawła Uhmy „200 lat rodu Uhma w Polsce”, który cytuje wspomnienia Antka:

„O mobilizacji dowiedziałem się w banku (w Poznaniu) od kolegów i reakcja moja była natychmiastowa. Taksówka do mieszkania, mała walizka do ręki i na dworzec kolejowy. Pociąg do Lwowa odchodził o godzinie 14 i udało mi się do niego dostać, choć ruch na dworcu już był olbrzymi, a pociągi przepelnione. 31 sierpnia wysiadłem na tak dobrze mi znanym dworcu we Lwowie i pojechałem na ulicę Grodecką do koszar 5 Pułku Artylerii Lekkiej. Tu już panował wielki ruch. Na dziedzińcu stał w szyku marszowym jeden dywizjon naszego pułku, który też wkrótce wyruszył w drogę z częścią 19 pułku piechoty i brał potem udział w walkach z Niemcami, ulegając rozbiciu pod Kutnem. Kancelaria pułku miała pełne ręce roboty. Co chwila meldowali się przybywający oficerowie i podoficerowie rezerwy i otrzymywali skierowanie do poszczególnych baterii. Mnie skierowano do 6-tej baterii 5 PAL w charakterze podoficera zwiadowczego...

Rano 4 września rozpoczęły się przygotowania do wyjazdu. Za dworcem towarowym przygotowano nam wagony, do których w ciągu dnia ładowaliśmy sprzęt, konie i w końcu ludzi...

Pociąg niósł nas na spotkanie z nieprzyjacielem... Parę razy ogłaszany był alarm przeciwlotniczy a na dużej wysokości widać było przelatujące samoloty. Nasza obsługa km-ów próbowała swoich możliwości, otwierając ogień w stronę samolotów, ale było to przysłowiowe strzelanie „Panu Bogu w okno”...

O świcie przybyliśmy w okolice Siedlec. Tu spotkaliśmy się z pierwszym widokiem skutków nalotów nieprzyjacielskich. Stacja pełna pociągów z uciekinierami była kilkakrotnie bombardowana. Okazało się że dalsza podróż pociągiem jest niemożliwa. Tragycznym dla nas żołnierzy był widok bezbronnej ludności cywilnej uciekającej w popłochu w niewiadomym kierunku przed brutalnym wrogiem nie oszczędzającym nikogo.

Następnego dnia przyszły rozkazy aby się natychmiast wyładować. Nasza bateria wyładowała się szybko i zaraz stanęła w szyku marszowym na drodze prowadzącej w kierunku szosy warszawskiej...

Rano 9 września wjechaliśmy do Warszawy od strony Grochowa. W mieście widać było poważne skutki nalotów, ulice pokryte były lejami od bomb, w kilku punktach dyżące zgłiszczka domów, nad śródmieściem widoczne z dala chmury dymów...

Sytuacja bojowa w tym momencie była następująca: Niemcy podchodzili do Warszawy na razie tylko od jednej strony to jest od Mokotowa. Nasza obrona trzymała się nieźle, odparła kilka natarć nieprzyjaciela a nawet zdobyła dwa czołgi z których jeden stał przed Domem Akademickim...

Po 3 lub 4 dniach otrzymaliśmy całkiem nowe zadanie. Okazało się że Niemcy okrążają Warszawę i wobec tego trzeba zorganizować obronę od strony Pragi...

Chyba 16 września zaobserwowaliśmy wyjeżdżające z lasu niemieckie baterie. Przez lornetki widzieliśmy jak zaprzęgi zajeżdżają na stanowiska. Niemcy odprzodkują działa i ustawiają je. Po pewnym czasie spostrzeżliśmy błyski wystrzałów armatnich, a po kilku sekundach usłyszeliśmy gwizd przelatujących nad nami pocisków. Od tej pory komunikacja z miastem, także z dowództwem była utrudniona.

Oczywiście Niemcy nie poprzestali na działaniu artylerii, lecz zaczęli wysuwać własną piechotę ubezpieczając jej poczynania ogniem artylerii. Doskonale pamiętam jak po okopaniu się niemiecka piechota ruszyła do natarcia. Byłem wtedy na punkcie obserwacyjnym przy dowódcy baterii i dokładnie obserwowałem przebieg natarcia. Z niemieckich okopów zaczęły wtedy wyskakiwać drobne postacie żołnierzy i w krótkich skokach zbliżyły się ku naszym pozycjom. Wtedy padły komendy dla baterii i po kilkunastu sekundach obserwowaliśmy celność naszego ognia. Dobrze wstrzelana bateria biła w sam środek nadbiegających Niemców a skutki tego zaskoczenia nie dały na siebie czekać. Początkowo pojedyncze sylwetki pozostało tylko kilkanaście nieprzyjacielskich trupów...

Szczególnie ciężkie były ostatnie dni oblężenia z owym czarnym poniedziałkiem 25 września, kiedy to z naszych stanowisk widzieliśmy całe chmury samolotów pikujących na centrum miasta. Olbrzymie czarne kłęby dymów mówiły nam o rozmiarach nalotu o strasznych przeżyciach mieszkańców Warszawy. Już 26 września zauważyłem wśród naszych dowódców oznaki przygnębienia. 27 września otrzymaliśmy rozkaz przerwania ognia.

Teraz wszystko było już jasne ale wiadomość o kapitulacji zaskoczyła nas niezmiernie... Następnego dnia w godzinach rannych, już tylko ze swoim osobistym dobytkiem na plecach ruszyliśmy czwórkami przez Warszawę. Długa kolumna jeńców sformowała się i zaczęła się posuwać w kierunku Mokotowa. Dopiero na przedmieściach spotkaliśmy grupę Niemców, którzy stali wzdłuż szosy i przyglądali się z ciekawością..."

W obozie jeńców w Puławach Antek wkręcił się między żołnierzy aby łatwiej mu było uciec. Niemcy ogłosili, że ci, którzy mieszkają w okolicy mogą zostać zwolnieni z obozu.

„Udało się nam uzyskać przepustki na wyjście z obozu. Po opuszczeniu terenu rozdzieliliśmy się i każdy na swoją rękę udał się na swoją wędrowkę. Szedłem w kierunku Kozienc i Radomia. Po drodze udało mi się u chłopca zamienić mundur na stare łachy i tak przebrany, po trzech dniach wędrowki doszedłem do Skarżyska, gdzie mieszkała moja ówczesna narzeczona..."

Brat Antka, Maciek (absolwent medycyny z 1938 roku) ukończył 19 marca 1939 roku Szkołę Podchorążych w Centrum Wyszkolenia Sanitarnego w Warszawie z wynikiem bardzo dobrym i uzyskał stopień kaprała podchorążego rezerwy, po czym został skierowany do 20 pułku ułanów w Rzeszowie. Po odbyciu stażu w pułku mianowany został podporucznikiem a we wrześniu 1939 roku zmobilizowany. Przeżył kampanię z pułkiem – 20 pułk ułanów w składzie Kresowej Brygady Kawalerii, która w pierwszych dniach września pozostawała w odwodzie Armii „Łódź”. Następnego

dnia broniła linii rzeki Warty, walcząc pod Sieradzem. W tym czasie do Brygady dołączył 1 Pułk Kawalerii KOP, który wcześniej walczył nad Wartą. Brygada oskrzydłona przez nieprzyjaciela odeszła do rejonu Szadka, a następnie nad rzekę Ner i do rejonu Chlebowa.



Kawaleria wrzesień 1939... (Fot. Wikipedia)

„7 września Brygada zaczęła odchodzić znad Neru na pozycję pod Zgierzem do osłony 10. Dywizji Piechoty. Mając przed sobą Niemców, przedarła się śmiałym atakiem przez szosę Aleksandrów–Ozorków i wieczorem przeszła do lasów w rejonie Emilianowa. Następnie dołączyła do kolumn 10. Dywizji Piechoty, odchodzącej na Głowno. 8 września podczas odwrotu i ataków wroga jej pododdziały pogubiły się i Brygada poszła w rozsypkę.”(Wikipedia)

Wtedy Maciek stracił kontakt z pułkiem.

Ostatnią wiadomość o Maćku miała rodzina od Zofii Uhma, do której przyszedł 14 września w Warszawie poszukując pułku. Później przyłączył się do Armii Pomorze, której resztki po bitwie nad Bzurą przebiły się przez Puszcę Kampinoską w kierunku Łomianek.

„Bitwa pod Łomiankami miała miejsce w czasie polskiej wojny obronnej w rejonie wsi Łomianki koło Warszawy w dniu 22 września 1939 pomiędzy niedobitkami wojsk polskich z Armii Pomorze i Poznań pod dowództwem gen. Mikołaja Bołtucia (około 5 000 żołnierzy) a wojskami niemieckimi blokującymi oblężoną Warszawę. Była to bitwa kończąca bitwę nad Bzurą.

Wycofujące się po bitwie nad Bzurą oddziały polskie przebijały się przez Puszcę Kampinoską do Warszawy. 21 września nad polskimi siłami broniącymi magazynów



Wielkopolska Brygada Kawalerii galopująca przez Sochaczew. (Fot. Wikipedia)

amunicji w Palmirach dowództwo objął gen. Bołtuć wycofujący się znad Bzury. Miał do dyspozycji 68 i 69 pułk piechoty z 17 DP, I batalion z 14 pp i 5 dział, po stronie niemieckiej zaś 29 Dywizję Piechoty* (zmotoryzowana) wraz z elementami 1 i 2 Dywizji Lekkiej.

O zmierzchu gen. Bołtuć dał rozkaz natarcia w kierunku Warszawy przez Łomianki. W skład jego sił wchodziła tzw. grupa majora Juniewicza składająca się z żołnierzy z Wołyńskiej, Nowogródzkiej, Pomorskiej i Kresowej Brygady Kawalerii.

W nocy z 21 na 22 września oddział gen. Bołtucia odbił z rąk niemieckich Łomianki.



Generał Bołtuć i podporucznik Maciek Uhma, który zginął opatrując go. (Fot. Wikipedia i „200 lat rodu Uhma...”)

17 wrzesień – Adam Chwalibóg wzięty do niewoli przez sowietów pod Stanisławowem.

21 wrzesień – Maciek Uhma ginie pod Dąbrową Leśną koło Warszawy.

22 wrzesień – Zbyszek Chwalibóg opuszcza Lwów w kolumnie jeńców sowieckich.

26 wrzesień – Antek Uhma wychodzi z Warszawy w kolumnie jeńców niemieckich.

Maniek i Jurek Pasiudowie – junacy przysposobienia wojskowego (roczniki 1921 i 1922) także trafiają do niewoli.

A w Stanisławowie 14-letnia Kryśka Kosik, uczennica gimnazjum daje na ulicy w twarz młodemu Izraelicie, który wyraża radość „że jej Polska została pobita...” Zawiadomione przez niego NKWD natychmiast ją aresztuje. W tym samym czasie jej ojciec – nadleśniczy w Kosowie (Huculszczyzna) ginie rozstrzelany...

Zamieszczone zdjęcia pochodzą z archiwum rodzin Chwalibogów, Umów, Bogusławy Czech, z domu Pasiud, oraz z Wikipedii.



*Pesteczki z „psiarek”
Dawniej krainie ńedzy*

W sadzie dziadek już siwy
wstrząsa drzewa, a dziatki
zabierają do chatki
gruszki, jabłka i śliwy...

Lenartowicz

Wielu turystów, wczasowiczów odwiedza każdego roku uroczą Sądeczynę. Jadący lub wędrujący pieszo przybysz z dalekich stron kraju przepiękną doliną Dunajca, poczawszy od Gołkowic po Zabrzeż podziwia olbrzymie sady. Sady te, obejmujące kilkanaście wsi, tworzą właściwie olbrzymi sad – dumę i bogactwo miejscowej ludności – słynącą na całą Polskę z dorodnych owoców.

Niewielu jednak zachwycających się dziś wspaniałością tego sadu i smakowitością jego owoców wie, że jest to dzieło skromnego, cichego, pracowitego nauczyciela i kierownika szkoły w Łącku, Stanisława Wilkowicza.

A jak wyglądały tutaj sady przed Stanisławem Wilkowiczem? Czterdzieści, pięćdziesiąt lat temu? Tak. Sady tu były, ale pożałuj Boże, co to za sady. Jedynie węgierki dawały jaki taki dochód. Słynęły one ze swej wysokiej jakości i znane były w całym kraju,

ale było ich niewiele. Tysiące sadów dawały setki korcy. Dziś taką ilość śliw rodzi za ledwie kilka sadów. Drzewa węgierek rosły tylko koło domostw większymi lub mniejszymi kępami w wielkiej gęstwinie – krok jedno od drugiego. Nie do sadów, a do kęp lasów podobne. Rozmnażały się same, bez opylania na wiosnę, bez przycinania. Takie sobie, dzikie sady.

W czerwcu połowa owoców zamieniała się w podłużne białe parchatki (pasożyty), które chętnie zjadała głodna dzieciarnia. Pamiętam smak tych parchatek: cierpki i gorzki. Dziś po parchatkę tutaj żadne dziecko ręki nie wyciągnie, po pierwsze, że nie jest głodne, po drugie, że parchatki się nie „rodzą” skutek opylania drzew.

W gęstwinie korony śliwy pchały się ku górze, ku słońcu niby jodły w lesie. Wyrastały więc na wysokie drzewa.



Jan Rostocki, fot. ze zbiorów TMZŁ

Drewno śliwiny było poszukiwane i cenione, gdyż spalano je w odpowiedni sposób na węgiel dla kowali. Koksów w tych okolicach i tych czasach nie znano.

Owoc więc wydawały wierzchołki drzew, bo konary w takich gęstych sadach – ich nie wydawały.

Dorośla, wypielęgnowana dzisiaj węgierka rodzi tutaj lekko przeszło 100 kg owoców, podczas gdy jej prababka rodziła około 10 kg. W takim sadzie – lesie owoce dojrzewały późno. Często trzęsiono je, bo obierać nie sposób było na tej wysokości i w takiej gęstwinie i zbierano już w śniegu i jako przemarznięte po niskiej cenie odstawiano do Gorzelnii śliwowicy w Łącku.

Śliwy więc dawały tylko jaki taki dochód. Aby zaś sprzedać je po wyższej cenie, wywożono je w cementówkach furami do odległego o 120 km Krakowa.

W ogrodach, po miedzach, paryjach, koło dróg rosły jeszcze samotnie, dziko i półdziko różne bielki, kaczmarki, małgorzatki, poscyce, okrąglice, burki, ściewiaki, białówki, winniki, malinki i kto by je tam wszystkie wyliczył.

Nikt się o te dzikie grusze i jabłonie nie troszczył. Owoców z nich ani suszyć, ani wywozić do miasta się nie opłacało. Rodziły się na chwałę Bożą i ku radości dzieciom. Te idąc do szkoły dopełniały nimi przepasane przez szyję zgrzebne torby z książkami, a ogryzkami z nich zaśmiecały sale i podwórze szkolne.

Z olbrzymich grusz i jabłoni kapały wolno przez całą jesień aż do śniegu drobne, cierpkie, często duszące owoce, zwane tu psiorkami. Pilnie poszukiwały ich pod drzewami krowy, cielęta, owce, kozy i, jak się wyżej nadmienilo, dzieci, a ponieważ kultura rolna stała też nisko – owies rósł żabie po oczy, a jęczmień często trzeba było z korzeniami wrywać, bo za niski był do koszenia – toteż z całej okolicy, gdzie dzisiaj panoszy się dobrobyt, panowała opisywana przez Orkana i Wiktora nędza. Dawała się ona we znaki zwłaszcza dzieciom. „Ledwie biedne pacholę zacznie się ruszać po ziemi, bose, otulone workiem przed deszczem pędzą je rodzice z gęśmi i cielętami na pastwisko rano ze wschodem słońca i to nieraz w mroczne dni września i października”.

„Jak gangrenę społeczną tej górskiej okolicy zaznaczyć wypada zjawiający się w ostatnich czasach zanik miłości rodzicielskiej do dzieci”.

„Nauka szkolna, ich zdaniem, wcale niepotrzebna, a przymus szkolny – to kara niebios – pisał Stanisław Wilkowicz w książeczce, której karta tytułowa brzmi:

Z rodzinnych stron Mikołaja Zyndrama wodza z pod [!] Grunwaldu, Stary Sącz, Gołkowice Jazowsko, Maszkowice, Łącko, Czerniec i Zabrzeż.

Zysk czysty przeznaczony na dochód ubogiej diatwy szkolnej w Łącku.

1910. Nakładem rodaków. Skład w księgarni Feliksa Westa w Brodach.

Książeczka na pewno należy do unikatów. Autorem tej książeczki napisanej w 500-letnią rocznicę pogromu Krzyżaków pod Grunwaldem jest Stanisław Wilkowicz. Nazwiska swego na karcie tytułowej nie wiadomo z jakich powodów autor nie umieścił.

Tak pisał o dzieciach Stanisław Wilkowicz, a i mnie się zdaje, jak sobie przypominam, że może rzeczywiście rodzice dzieci nie kochali, a może dlatego, że ich mieli zbyt wiele. W licznych jeszcze w roku 1910 chałupach kurnych hodowało się tego drobiazgu wraz z bydłem, cielętami, owcami od 8. do 15. w jednej "chałpie".

Chleba się tam nie widziało miesiącami. A jeżeli już mama upiekli pod sparchatem dwa zakalce, to je zamykali na kłódkę w malowanej skrzyni lub sąsieku i wydzielali dzieciom mikroskopijne porcyjki. Raz do roku w święta Wielkiej Nocy poznawaliśmy smak gotowanych jajek święconych. Otrzymywało się, pamiętam od taty, w Wielką Niedzielę ćwiartkę a nawet połowę takiego jajka.

Paźdździe zgrzebnych koszul na spółkę ze wszami żarły nasze szyje i plecy. Wyprodukowane bowiem własnym przemysłem na miejscu wálki lnianego lub konopnego płótna mamy nasze sprzedawały na jarmarkach na sól, naftę, gorzałkę lub omastę.

Pamiętam, siedziało się nieraz nad książką. Zczytał się człowiek tak, że często nie zauważał, jak słońce zbliżyło się ku Czarnemu Lasowi. Z tej miłej kontemplacji nad losami bohatera budziły mnie często ojcowskie uderzenia pasem po grzbiecie i niedobre wykrzyki:

- Wypędzos ty, psiokrew, cempredzy bydló. Nie widzis, że słońko góry sie chyto.

- Na drugi roz spole ci te pierońskie książki pod sparchatem.

Dziś dzięki sadom założonym przez Stanisława Wilkowicza bezpowrotnie minęły czasy, kiedy wielu z nas otrzymało za naukę dwa bicia – przed południem od nauczyciela za to, że się lekcji nie odrobiło, po południu od ojca za to, że się lekcje odrabiało.

Stanisław Wilkowicz jako nauczyciel

Stanisława Wilkowicza kochaliśmy. Nie tylko dlatego, że w tych czasach, kiedy jednym z obowiązków każdego nauczyciela było bicie dzieci, nigdy żadnego z nas nie uderzył, ale że bronił nas przed rodzicami. Walił im przy każdej okazji słowa prawdy, karmił, wymyślał, zawstydział, gdy się nieludzko z nami obchodzili. Od niego tylko w tych czasach słyszeliśmy dobre słowa...

Odwiedzał on bowiem często szczyepy posadzone przez siebie w sadach Łącka i okolicznych wiosek i przy okazji wstawiał się za nami.

Bywało, gdy napotkał, którego ze swoich uczniów marznącego boso przy bydle, spędzał je z nim do zagrody i prawił jego rodzicom *pater noster*.

– Boga w sercu nie macie. Do kościoła chodzicie, a swojego „śmierdziocha” zamrozić przy bydle chcecie.

Dziwił nas strój Stanisława Wilkowicza. Nikt w tych okolicach tak się nie ubierał jak on, nawet inni nauczyciele, nawet doktor i organista. Stale chodził we fraczku, w koszuli ze sztywnym wysokim kołnierzem i mankietami wystającymi daleko poza rękawy fraczka, w czerwonych butach z cholewami. Moda się zmieniała, a on stale po

swojemu. Może tym staroświeckim strojem pragnął skłonić miejscowych gospodarzy, by nie zamieniali pięknych sukionek i gurman na cajgową tandetę.

Nieszczęsne mankiety zawadzały mu stale przy pracy w ogrodzie, wysuwały się zza rękawów fraczka i krępowały mu dłonie. Często więc musiał, zwłaszcza przy pokazie prawidłowego rycia łopata, przerywać robotę, podnosić ręce i wsuwać mankiety w tył zarękawów.

Chudą jego i jakby zasuszoną twarz ozdabiały staropolskie długie wąsy. Chodził trochę pochylony.

Stanisław Wilkowicz urodził się w Bochni w 1855 roku. Rodzinny jego dom otaczał niewielki ogród. W ogrodzie tym przebywał i pracował w wolnych chwilach od nauki. Spacerował między rzędami porzeczek i agrestu. Rosły już w tym ogrodzie nieliczne, co prawda, odmiany jabłoni, grusz i śliw. Obserwował ich rozrost, kwitnienie, przeglądał się pięknym, owocom. Wyszukiwał i studiował, już jako student seminarium nauczycielskiego w Bochni, nieliczne jeszcze wówczas broszury i książki o sadownictwie. Wiedzę o sadownictwie zdobywał jako samouk. Dziś Stanisław Wilkowicz wstąpiłby prawdopodobnie na Wydział Rolny, specjalizowałby się w sadownictwie. Dokonałby może wielkich odkryć, wyhodowałby może liczne odmiany owoców. Wówczas po ukończeniu seminarium nauczycielskiego w Bochni pracował jakiś czas jako nauczyciel we wsi Wiewiórka koło Tarnowa. W roku 1898 został mianowany dyrektorem 4. klasowej szkoły w Łącku, taki bowiem urzędowy tytuł nosili kierownicy szkół w Galicji za czasów austriackich.

Na tym stanowisku pozostał do roku 1928, w którym to roku przeszedł na emeryturę i po trzydziestu latach niezmordowanej pracy w tutejszych okolicach, które bardzo pokochał, musiał powrócić do rodzinnej Bochni. Zmarł w roku 1943 przeżywszy lat 88, spoczywa na cmentarzu w Bochni.

Jako więc już 73 letni starzec odchodził Stanisław Wilkowicz od swego wielkiego dzieła, swego ukochanego olbrzymiego sadu, bo choć nie był jego własnością, ale on był jego założycielem. Odchodził jako wielki dobrodziej tych okolic. Odchodził jako patriota i wielki pedagog.

Przez trzydzieści lat pracował tutaj Stanisław Wilkowicz nie tylko nad podniesieniem dobrobytu i kultury, ale i nad uświadomieniem narodowym ludu.

Oddajmy i w tej sprawie jemu pierwszy głos (cytowana książeczka):

„Powiat polityczny nowosądecki należy do pięciu powiatów Galicji najbardziej pod względem oświaty upośledzonych. Najlepszym dowodem tego jest fakt, że na 160 gmin polskich 60 nie posiada dotąd szkoły”.

„Najstarszą szkołą w tej parafii była szkółka w Łącku, zorganizowana jeszcze w roku 1577 przez p. Dorotę Bylicką, ksienię p.p. Klarysek w Starym Sączu”. „Nie można utrzymywać, by szkółka ta odpowiadała wysokim wymogom dzisiejszym, bo budynek szkolny służył zarazem jako szpital, tudzież jako mieszkanie organisty i działów kościelnych”. „Nauki udzielał organista przy pomocy księdza proboszcza”.

„Czwarty już wiek mija od owej chwili, w której położono tu podwalinę pod gmach oświaty ludowej. Gdybyśmy więc tylko o tem wspomnieli, sądziłby niejeden,

za następczyni tej ksieni, względnie ludzie miłujący oświatę, założą szkoły w dalszych wsiach i wytępią analfabetyzm, niestety, rzecz się miała inaczej, co smutno o nas świadczy”.

„Ostatnim takim nauczycielem, organistą, był tu śp. Franciszek Gruzicki, zmarły około roku 1870, a jego pomocnikiem, dotąd żyjący w Gołkowicach, Pan Kasper Biegański”.

W roku 1856 władze austriackie przeorganizowały szkołę w Łącku na Trivial Schule.

O szkole tej tak dalej pisze Stanisław Wilkowicz:

„Szkola dawniejsza owiana była duchem polskim, w tych zaś czasach stała się siedliskiem germanizacji, starano się przez nią wykorzenić uczucie polskości i odrębności narodowej u szerokich warstw ludu i zrobić z dzieci polskich przyszłych wrogów ojczyzny. Służyły do tego osławione *Sprachzeicheny*, była to tabliczka, rozdawana między dzieci z poleceniem udzielania jej drugiemu dziecku, gdy przemówi po polsku.

Kto taką tabliczkę przyniósł do szkoły, prócz plag otrzymał dużą tablicę żółtą do domu z czarnym orłem i z tą tablicą zawieszoną u szyi musiał wracać do domu, nagrawany przez gawieź uliczną i zdemoralizowanych systemem szkolnym kolegów. W ten sposób wszczepiano w duszę dziecka jad szpiegowstwa i denuncjacji i starano się zabić poczucie godności narodowej, ucząc, że miana Polaka i mowy ojczystej należy się wstydić i wystrzegać jak zbrodni.

Taka tablica, z czarnym orłem, była w szafie II klasy szkoły łąckiej jeszcze w roku 1871 r. i nie wiadomo, co się z nią stało, a szkoda, że zaginęła, bo mogła w muzeach szkolnych “zdobić”system austriackiego wychowania”.

Dzięki staraniom Stanisława Wilkowicza Towarzystwo Szkoły Ludowej założyło w Łącku dwie biblioteki, a w niewielkiej wiosce Maszkowicach jedną. Stanisław Wilkowicz z radością wspomina o działalności czytelnicy, tak nazywano wówczas biblioteki, w Maszkowicach. „Trzecią czytelnicy w Maszkowicach zawiaduje gospodarz Pasiut. Ma ona 244 dzieł w czterech działach, korzysta z niej 30 osób, ilość przeczytanych książek w roku dochodzi do 310”.

Pamiętajmy, że to czasy austriackie w Galicji i rok 1910.

Dalej Stanisław Wilkowicz zachęcał gospodarzy do prenumerowania przeróżnych gazetek ludowych, organizował odczyty wygłaszane przez członków TSL, przyczynił się do powstania Teatru amatorskiego w Łącku, teatr ten prowadził miejscowy poczmistrz.

Stanisław Wilkowicz niezmordowanie pracował nad tym, by jak najwięcej synów chłopskich szło do szkół. Jeżeli w klasie znalazło się zdolniejsze dziecko, wszelkimi sposobami nakłaniał rodziców, by je oddali do gimnazjum w Nowym Sączu.

Sam osobiście, bezinteresownie przygotowywał rok rocznie grupki chłopaków do egzaminu wstępnego do gimnazjum. Rok rocznie w czerwcu gościńcem wijącym się wzdłuż wstęgi Dunajca sunął ku Nowemu Sączowi zaprzężony w parę koni jeden lub dwa wozy. Na jednym widniała postać Stanisława Wilkowicza we fraczku,

w koszuli ze sztywnym wysokim kołnierzem i mankietami wystającymi daleko poza rękawy. Wiatr ruszał jego wąsami, a on sam dodawał odwagi przelęknionym jadącym w nieznaną młodą góralom.

Niejednemu z nich kręciły się łzy w oczach...
Niejednemu przypominały się słowa piosenki:

*Góralu czy ci nie żal,
odchodzić od stron ojczystych...*

Stanisław Wilkowicz nie zważał na żal i niepokój swoich najzdolniejszych wychowanków i z uporem wywoził ich z tego zakątka Zydrama w świat. Na takim wozie wyjeżdżał też w świat kiedyś ze Stanisławem Wilkowiczem pisząc te słowa.

Kiedy liczba chłopskich dzieci idących do gimnazjum się zmniejszała, narzekał: „Z przedstawionego stanu pojmiesz czytelniku, że z tego uroczego zakątka Zydrama wyszło wielu ludzi w świat, że dawniej lud kochał tu swe dzieci i kształcił je. Wśród ciężkich warunków dawał chłop nie jednego, ale wszystkich synów do szkół” [...].

Toteż lud nie znał, co pijaństwo, bo grosz musiał obracać na szkoły dla dzieci”.

„A ty polski chłopie nie czekaj, aż cię kto namówi dać syna do szkoły, daj go bez namowy, z własnej woli, dawaj wszystkich synów. Dziś wszędzie brak ludzi, w urzędach, w rzemiośle, przy żandarmerii, straży skarbowej, i itp., znajdzie twój syn lepsze utrzymanie się w Ameryce, przeto nie żałuj mu nauki [...]. Dziś wszystkie ludy zbroją się w oświatę, wy, drodzy rodacy, nie pozostaniecie w tyle”.

Ileż z tego prościutkiego, skromniutkiego wynurzenia bije patriotyzmu, tego szczerego, rzetelnego, nie na pokaz.

Jakże musiał kochać Stanisław Wilkowicz swych chłopców w zgrzebnych koszu-
lach!

Iluz uratował od nędzy!

Najzdolniejszych posłał do szkół, wielu z nich ukończyło studia wyższe. Wielu poprzestało na ukończeniu szkoły średniej i zajęło w owych czasach dobre posady. Wielu pchnął do rzemioła.

Nie mniejsze też wiano otrzymali uczniowie Stanisława Wilkowicza pozostający na miejscu.

Wianem tym – praktyczna znajomość sadownictwa i wszczępienie do niego zamiłowania przez Stanisława Wilkowicza.

Ponieważ każda tutaj rodzina wyhodowywała po kilka lub kilkanaścioro młodych ludzi, rozdrobnienie szło naprzód w szalonym tempie. Dwudziestomorgowe zagrody szybko zamieniały się na karłowate i jedno- dwu- i trzymorgowe gospodarstwa. Właścicielami tych szczupłych gospodarstw stawali się uczniowie ze szkoły Wilkowicza. i gdyby nie wiano ich Dyrektora i nauczyciela dziś klepałoby straszną biedę.

Dziś na dwumorgowych skrawkach górzyściej ziemi mieszkają w jasnych izdebkach pięknie zbudowanych domów-will i opływają w większy dobrobyt niż ich dziadowie i ojcowie niegdyś na dwudziestu morgach.

Zawdzięczają zaś to pestkom, które niegdyś jako dzieci nosili w pudełeczkach od zapalek Stanisławowi Wilkowiczowi.

Zacząło się od pesteczek

Kiedy uczęszczałem do szkoły w Łącku za dyrektorstwa Stanisława Wilkowicza oprócz codziennych normalnych zajęć lekcyjnych, z których stawiane były stopnie na świadectwie, obowiązywał nas jeszcze jeden przedmiot szkolny w miesiącach wrześniu, październiku i listopadzie. „Pesteczki”. Dodatkowy ten przedmiot wprowadził do szkoły w Łącku w roku 1898 nowy Dyrektor Stanisław Wilkowicz.

Dotąd pożeraliśmy mnóstwo półdziko rodzących się drobnych gruszek i jabłek, zaśmiecaliśmy nimi sale, korytarze i podwórze szkolne, nie zwracając wcale uwagi na małe, szare, czasem różowe lub czarne ziarenka w odrzucanych ogryzkach. Owoce te, zwane powszechnie w tutejszych okolicach psiorkami, przynosiliśmy w zgrzebnych torbach na książki. Dziewczęta zaś w wiklinowych koszyczkach. Było to nasze drugie śniadanie. Chleb na drugie śniadanie przynosili tylko nasi koledzy od Królickiego, Pasiuta czy Sopaty – tych bogaczy.

W pierwszych dniach urzędowania nowego Dyrektora zjawily się na korytarzach oraz na podwórku szkolnym wiklinowe kosze ale jakieś inne od tych, którymi zadaje się bydłu siewkę, do których jesienią kopie się ziemniaki lub zbiera pod drzewami półdzikich grusz i jabłoni psiorki do dojenia krów.

Zwłaszcza dzieci z Zagorzyna i Kiczni wielce dziwowały się tym koszom.

Dziwowanie to jednak długo nie trwało, bo oto nowy Dyrektor polecił surowo wszelkie ogryzki z owoców rzucać do tych koszów.

Ale dzikusy z Obidzy znów dziwowały się.

– Po co łon te łogryzki zbiyro?

W trzeci dzień znów nowy Dyrektor wydał nowe polecenie.

Każde dziecko przyniesie jutro puste pudełko po zapalkach.

Teraz dziwowały się nie tylko dzikusy z Kiczni i Obidzy, ale nawet dzieci z Łącka i Maszkowic.

Ze zdobyciem tych pudełek niejedno dziecko miało wiele kłopotu. Zapalki bowiem w tych czasach zaliczały się do skarbów. Pilnie strzeżone były przez rodziców. Pudełeczko bowiem kosztowało półtora jajka.

Ale na drugi dzień wszystkie dzieci przyniosły pudełka. Z początku bowiem bały się nowego Dyrektora, zwłaszcza ten z pierwszej i drugiej klasy, szczególnie zaś bały się jego dziwnej kapoty z ogonem.

Starsi jednak od razu się kapnęli, że to klawy chłop ten Dyrektor. Na jednej nawet z lekcji Dyrektora Bartek od Słagi szturchnął swego sąsiada Jaśka od Kornasia i szeptał mu do

ucha.

– Wiys, ale łon cheba ten kabot diabłu ukrod.

– A ten kołniyrz moze mu krzątanie zadusic.

– Wąsika mu tys styrcą, jak nie boskiemu stworzeniu.
– A locego łon, nie wiys, mo takie wielgie rekowy u kosule, zapięte nie guzikami
ino cemsi innem.

– No ale buty to juz mo dobre – cyrwone.

Pogwarka jednak Jaśka z Bartkiem nie długo trwała, przerwało ją skarcenie Dyrektora.

A wy smarkacze, a wy śmierdziuchy myślicie, że przy bydle jesteście.

Tego dnia dzieci otrzymały polecenie od nowego Dyrektora wybierać z ogryzków pesteczki, składać je w pudełkach od zapalek i przynosić do szkoły.

I odtąd przez trzydzieści lat rok rocznie w miesiącach jesiennych dzieci przynosiły dla Stanisława Wilkowicza pudełeczka od zapalek napełnione szarymi ziarenkami gruszek i jabłek.

I odtąd przez trzydzieści lat zbierał Stanisław Wilkowicz do jednej skrzynki pesteczki gruszek, do drugiej pesteczki jabłek.

Skrzynki te układał rzędem w piwnicy w piasku. Gdzie czekały przez zimę na wysiew w ogrodzie szkolnym lub były pakowane i wysyłane do innych szkółek, naturalnie nie szkolnych, bo takich nie było w kraju.

Koło szkoły, tak jak koło innych domostw, rósł morgowy las śliwek. Jesienią roku 1898 nowy Dyrektor wykarczował własnoręcznie 1/4 tego lasu. Karczowisko naturalnie zaorał.

Wiecie – mówili przechodzący koło szkoły gazdowie, mógł wykorcyc te stare, ale nie tak za porządkiem.

– Przecie łowska na tem kawałeczku sioł nie bedzie, bo skoła ma pole.

– Nie wyicie, na co dzieci te pestki przez całą jesień zbiyrały.

– Adysi jakąsi skółkę zakładać

– Przesie mo skołę – to mu sie jesse skółki zachciwa.

Zimą tegoż roku szkolnego zjawiał się nowy Dyrektor na zastępstwie w klasie czwartej (nauka w tej klasie trwała trzy lata). Na lekcjach zastępczych prawil dzieciom o sianiu zboża, o chowaniu świń, o czystości w domach, śmiał się z zabobonów, wymyślał na wiarę w „cary”, ale najwięcej mówił o jakichś morelach i brzoskwi niach, rypstonach, złotych i szarych renetach, wymieniał różne gatunki rengłod, pokazywał na obrazach wspaniałe gruszki, kolorowe jabłka, śliwy, winogrona, orzechy.

Kiedy na którejś z lekcji polecił przynieść chłopcom naostrzone cyganki, starsi z nich podrzywali.

– Co, na miskorzów nos będzie ucyl.

Ale na zapowiedzianą lekcję chłopcy zamiast prosiąt znajdowali w klasie kilka- nście świeżo ściętych konarów brzeziny. Na nich uczyli się przyszli sadownicy szcze- pienia dziczków.

Na wiosnę następnego roku koło szkoły na wyrobisku po lesie śliw zawrzała pra- ca. W każdy pogodny dzień można było widzieć na polku zmieniające się gromadki

chłopców z łopatami, motykami, zaś gromadki dziewcząt z motyczkami, a wśród nich stale krzątającą się we fraczku pochyloną nieco sylwetkę dyrektora.

A kiedy grządki były już gotowe, w któryś słoneczny kwietniowy dzień zjawiły się na polku skrzynki z pesteczkami, a z nich padły w przyszkolną ziemię z rąk Stanisława Wilkowicza i wątlých rąk chłopców ubranych w zgrzebne koszule pierwsze skromne ziarenka psiorek...

Błogosławione ziarenka...

Drobne ziarenka...

Pierwszy zasiew pod olbrzymie sady.

Minęło dziesięć lat, był rok 1909. W Łąckim ogrodzie szkolnym na miejscu dawnego półdzikiego lasu śliwek – zjawisko wiedzy i kultury sadowniczej, coś w rodzaju laboratorium.

Stoją już rzędy, w odpowiednich odstępach posadzone jabłoni, grusz, śliw, orzechów, moreli, brzoskwini.

Już ubiegłej jesieni podziwiała dzieci na nich przepiękne, różnokolorowe jabłka, wspaniałe grusze i olbrzymie różowe i żółte śliwy, o jakich w tej okolicy nikomu się jeszcze nie śniło – pierwszy plon przynoszonych przez nie pesteczek oraz plon pracy i zamilowania sadowniczego Stanisława Wilkowicza.

Dzieci już umiały odróżnić drzewko boskopu od złotej renety, różanki od koksy pomarańczowej po sylwetce, po korze, po konarach i gałęziach. Orientowały się doskonale, która odmiana jabłoni zakwita najwcześniej, a która najpóźniej. Nawet te z drugiej klasy wiedziały, że kwitnąca czereśnia czy śliwa jest cała biała, a kwiaty jabłoni niewinnie różowią się w ochronie zielonych listków.

Jako nagroda za pesteczki w grudniu, styczniu i lutym zjawiała się w klasach w dużych wiklinowych koszach wyniesione z piwnicy szkolnej przez Stanisława Wilkowicza wspaniałe, pachnące jabłka. Po dwa trzy dla jednej osoby. Toż to był raj. W styczniu świeże jabłka.

Stopni wprawdzie dyrektor z sadownictwa na świadectwach nie wystawiał, ale wiadomości z tego przedmiotu stale egzekwował i sprawdzał. A oto przykład przyjemnego, ale trudnego egzaminu z sadownictwa.

Odróżnianie gatunków jabłek po ich smaku. Dyrektor siedzi przed dziesięcioma koszyczkami. W koszyczkach tych ćwiartki obranych ze skórki jabłek. Podani egzaminowi uczniowie przechodzą od koszyczka do koszyczka, biorą po ćwiartce jabłka, zjadają i po namyśle odpowiadają: Malinka, Oliwka, Boskop, Żółta Reneta, itd. Dyrektor zapisuje odpowiedzi. Wynik zazwyczaj jak z każdego innego przedmiotu, 2 – bardzo dobry, 8 – dobry, 2 – niedostateczny, reszta dostateczny.

Zjeść dwa i pół jabłka to nie sztuka a raczej przyjemność – ale rozpoznanie dziesięciu gatunków jabłek nie przychodziło znów tak łatwo.

Piękna to była pracownia – ten ogród Stanisława Wilkowicza. Połowa to zagony i zagonki dziczków i szczepów. To pierwsza może w tych czasach na ziemiach polskich szkółka drzewek owocowych przy szkole powszechnej. Wszędzie ład i porządek.

W całym sadzie ogrodzie nie rośnie ani jeden niepotrzebny krzak. Koło ścieżek rządy agrestu, malin i porzeczek.

Dziś podobne ogrody nas nie dziwią, mamy ich setki w tutejszych stronach a liczne tysiące w całym kraju. W czasach jednak Wilkowicza podobne ogrody, sady należały do bardzo nielicznych.

Na uroczystość któregoś roku szkolnego po rozdaniu świadectw w szkolnych klasach młodzież zebrała się w sadzie-ogrodzie przy szkole w Łącku.

Przemówienia dyrektora Stanisława Wilkowicza słuchały dzieci i wielka rodzina drzew owocowych. Słuchały orzechy włoskie, śliwki węgierki, śliwki bośniackie, ren-głody, przeróżne bery i berki, jabłonie, złote renety, rypstony, koksy pomarańczowe, brzoskwinie, morele i winogrona.

Ostatnie zdania przemówienia brzmiały:

„... Na pamiątkę ukończenia szkoły w Łącku wszyscy uczniowie opuszczający zakład otrzymują po osiem drzewek, zaś Jakub Pulit, Jan Rostoś i Wojciech Duda jako dzielni młodzi sadownicy po 16. Za chwilę dokonam dekoracji 160 szczepów tabliczkami z waszymi nazwiskami. Zjawicie się po nie w jesieni, w porze rozsadzenia. Wyrosły one z waszych pesteczek. Niech zajmują miejsca swoich półdzikich rodziców. Niech się pięknie rozrastają i bogato rodzą. Niech niosą wam dobrobyt, by już wkrótce dzieci nie przychodziły do tej szkoły głodne, bose, w zgrzebnych koszulach”.

Pusto już było w szkolnym sadzie, a Kuba, Jasiek i Wojtek długo jeszcze chodzili między zagonkami jabłoni, grusz, moreli i orzechów. Za pilne zbieranie pestek stali się właścicielami małych sadów.

Tak mocno prosiła była uczennica Zośka Faronówna swojego wychowawcę Stanisława Wilkowicza na wesele, że choć po weselach nie chodził, w tym wypadku nie miał siły odmówić swojej wychowance.

Przejechało już huczne wesele z Kościoła w Łącku do Zagorzyna. Najpierw jechał orszak drużbów w podegrodzkich strojach na wspaniałych koniach, następnie przemknęło przez Łącko 50 fur weselników. Grzywy koni furkotały tęczą wstążek kolorowych. W zgrabnych wasążkach wiklinowych zawodzili na przemian drużbowie i drużki. Bo choć bieda wszędzie skwierczała, weseliska odprawiano hucznie.

Dzieci rozchodzące się ze szkoły w Łącku dziwiły się, skąd na podwórzu szkolnym weselnie ustrojony wóz, a koło jego dyszła para niespokojnych koni, a na siedzisku strojny furman drużba.

Idący zaś z klasy do mieszkania dyrektor zobaczywszy weselny zaprzęg przypomniał sobie zaprosiny Zośki Faronówny, poruszył trochę nerwowo wąsami i porosił drużbę, by z pół godziny jeszcze poczekał. Następnie zatrzymał ruszających już z podwórka szkolnego do swoich chałup 5. śmierzduchów i udał się z nimi najpierw do szopy po motyki, łopaty, a potem do szkółki drzewek. Tam sprawnie wyjęli z ziemi 6 szczepów: dwa orzechy włoskie, dwie jabłonie i dwie grusze, następnie wspólnie związali je wiklinowymi pręciami, raz koło korony korzeni, drugi raz koło korony konarków i wpakowali na weselny wasążek.

Nie podobało się to trochę druźbie, bo jakże to, gość weselny z jakimiś rogalami na wesele pojedzie. Ale nic nie rzekł, bo choć był dorosłym parobczakiem, to na widok dawnego dyrektora czuł się jakoś głupio i nieswojo, jak dawny śmierdziuch a nie dzisiejszy druźba.

Nie lada mieli widowisko ludzie widząc parę rzeško pędzących koni z Łącka w stronę Zegorzyna. W wasążku na pierwszym siedzisku dzierzył lejce i bat dzielny druźba, a na tylnym sam dyrektor szkoły z Łącka, trzymający przy sobie, by w wasążku konarki się nie połamały, wiązkę szczepów, jak niektórym się zdawało, tak czule, jak czule obejmuje druźba najpiękniejszą z drużek.

Przywiązana do konarka orzecha wstążka – wiedział przecież Stanisław Wilkowicz, że na wesele wszystko powinno być ustrojone – z napisem:

„Zosi Faronównie – Jakubowi Turkowi – moim uczniom – w dzień ich ślubu – Stanisław Wilkowicz” – trzepotała na jesiennym wietrze.

Gdy zaprzęg z dyrektorem zajechał na miejsce, wszyscy weselnicy wywalili się z chałupy, a przede wszystkim muzyka i druźbowie, by godnie przywitać przybywającego gościa.

Dyrektor z wiązką szczepów rzeško wyskoczył z wasążka i jak obyczaj każe – a znał się i kochał tutejsze obyczaje – stanął przed orkiestrą i druźbami, by poddać się obrzędowi obegrania. Jakoż zabrzęczały potrząśnięte laski druźbackie łańcuszkami mosiężnych blaszek i kóleczek, a na cały Zagorzyn rozległ się śpiew druźbów:

*Słonecko zachodzi
Miesiąceek wschodzi
Panu staroście Wilkowiczowi
Dyrektorowi szkoły z Łącka
Zagrać się godzi
On się nie zuboży
Choć 10 koron
do basów włoży.*

I w tej chwili orkiestra zaniosła się skocznym powitalnym zagranieniem.

Teraz należało przywitać starościnę, ale na jej miejscu obok dyrektora stała trzymana przez niego wiązka szczepów po weselnemu przystrojona.

Najstarszy druźba nie stracił rezonu. Weselne przywitanie tych dziwnych gości jakoś się samo ułożyło:

*Słonecko zachodzi
Miesiąceek wschodzi
a tym jabłoneckom
wychowanicom dyrektora
zagrać się godzi.
One do basów
pewnie nic nie włożą*

*ale niech w przyszłości
w ogrodzie Pana Młodego
złote jabłka rodzą.*

A orkiestra zaniosła się znów skocznym zagranieniem. Dzisiaj Jakub Pulit [Turek] jako już stary dziadek pokazuje swoim wnukom w jednym z rzędów wielkiego sadu najstarsze jego drzewa: dwie grusze, dwa orzechy i dwie jabłonie – podarunek ślubny swojego nauczyciela i przyśpiewuje:

*W sadzie dziadek już siwy
wstrząsa drzewa a dziatki
zabierają do chatki
gruszki, jabłka i śliwy.*

Szczep opuszczający szkółkę w Łącku, by wyrósć na dzielnego Obywatela sadu potrzebował dalszej pielęgnacji i opieki. Podobnie jak koleje życia wychowanków dziecięcej szkoły, tak koleje życia wychowanków szkółki drzewek żywo interesowały ich wychowawcę Stanisława Wilkowicza. Te ostatnie samotnie całymi rodzinami a nawet rodami, w dużych sadach, nowoczesnie zaprowadzonych rozrastały się nie tylko w sąsiadujących bliżej i dalej z Łąckiem wsiach, ale wędrowały w dalekie okolice, w świat.

Zniknęły już dawno dzikie sady. Wykarczowano sady-lasy śliwek węgierek. Poległy dawno olbrzymie półdzikie grusze i jabłonie. Na ich miejscu powstały młodziutki sady, takie jak ten pierwszy, przy szkole w Łącku Stanisława Wilkowicza.

Sam zaś Wilkowicz w każdą niedzielę, święto czy dzień wolny od nauki na wiosnę, w lecie czy jesieni opuszczał w swym fraczku i swych czerwonych butach Łącko i wędrował z wioski do wioski, od Zagorzyna do Kiczni, od Czarnego Potoka do Wolicy, od sadu do sadu, od gazdy do gazdy, od Rostosia do Dudy, od Pulita do Miśtaka i pouczał, zachęcał, radził udzielał odpowiedzi, ganił, chwalił, wskazywał najodpowiedniejsze miejsce pod sady. Cieszył się, gdy jego byli uczniowie mieli dobrze zaprowadzone młode sady i własne szkółki. Niedbaluchów, swoich b. uczniów, choćby te niedbaluchy i nosiły wąsy olbrzymie jak jego, gdy mieli zaniedbane sady i gdy nie starali się o ich dalszy rozrost, częstował bez pardonu dawnym mianem smarkacza i śmierdziucha łącznie.

Toteż pięknie rosły młode sady pod jego mądrym okiem w całej okolicy. Wiadomo, że oko pańskie konia tuczy. W roku 1910 wizja wielkiego sadu Stanisława Wilkowicza dzięki opisanej do tej chwili jego pracy z dziatwą szkolna przybierała już realne kształty.

W roku 1898, kiedy Stanisław Wilkowicz przybył do Łącka, była tylko wizją i marzeniem.

Kiedy jednak stwierdził po przybyciu w te okolice, że miejscowość ta prosi się aż o sady, że zamknięte od wiatrów liczne kotliny i doliny zaczynające się u stóp wysokich gór pogórza posiadają i odpowiedni klimat, najcieplejszy w kraju, że na połu-

dniowych zboczach wzgórz i gór występuje najsilniejsze nasłonecznienie w Polsce, i kiedy zbadał, że zwłaszcza gleba się nadaje na sady, kiedy widział, jak bujnie sama się zasadza, rośnie i rodzi śliwinę, jak dzikie grusze i jabłonie wyrastają w olbrzymy, a obserwując powszechną nędzę, zamarzył o dobrobycie w tych stronach, zamarzył o wielkim sadzie.

A ponieważ miał do dyspozycji wiedzę i zamiłowanie sadownicze, młodzież szkolną i móg sadu – lasu przy szkole, przystąpił do pracy.

Dzisiaj już piszący te zdania i wielu moich kolegów ze szkoły Stanisława Wilkowicza dumni winniśmy być z tego, że kiedyś razem z nim kładliśmy podwaliny pod ten piękny, olbrzymi sad, który nie w przenośni, ale naprawdę rodzi „złote jabłka”.

Marzenia Stanisława Wilkowicza się spełniły, okolica opływa w dobrobyt, dzieci nie przychodzą już do szkoły w Łącku i innych wsiach ani boso, ani głodne, ani w zgrzebnych koszulach.

Dziś kraina owocami i miodem płynąca

I dziś Łącko, Niemiecka Wieś, Jazowsko, Maszkowice, Szczereż, Olszana, Wolica, Jadamwola, Jastrzębie, Czarny Potok, Kicznia, Zagorzyn, Czerniec, Zabrzeż i wiele innych sąsiadujących z tym trzonem wsi, a więc zachodnia połowa powiatu sądeckiego i wschodnia powiatu limanowskiego – to jeden wielki sad pokrywający się na wiosnę bielą kwiecica, a jesienią uginający się pod nadmiarem owoców. Sad ten dziś budzi powszechny podziw. Dla przykładu choćby przytoczmy zachwyty nad tym sadem Jana Wiktora w jego książce Pieniny i ziemia sądecka”:

„Dzisiaj łącką dolinę można by nazwać rajem owocowym. Pola pszenne zasadzone drzewami. Zabudowania utopione w ich konarach. Konary najprzedniejszych gatunków jabłoni podparte żerdziami, bo nie mogą udźwignąć nadmiaru owoców. Winograd wspina się po ścianach lub deskach, wygrzewając w słońcu swe grona. Grusze jakby żółte, wielkie krople skapują z konarów, roztrzaskując się na trawie. Śliwy obwieszane są kiściami jak dorodna dziewczyna błękitnymi koralami. W jesieni dymią suszarnie. Smakowite śliwy, sam sok i smakowitość, słynęły daleko od dawien dawna, toteż wędrowały na tratwach do Gdańska, a stamtąd w północne kraje.

Łącko i okolica zawdzięcza swe sady pracy i wysiłkom cichego, ale niezmordowanego pracownika na niwie społecznej, Stanisława Wilkowicza, kierownika miejscowej szkoły. On to uczył dziatwę sadownictwa, wszczepiał wśród ludności zamiłowanie, i po całej okolicy rozsyłał najlepsze odmiany drzew owocowych, które są bogactwem wszystkich wiosek leżących nad Dunajcem”.

I znów dziś trzeba uzupełniać opisy tego olbrzymiego sadu. Rozrasta się z każdym rokiem. Zbliża się swym zasięgiem ku Staremu i Nowemu Sączowi, ku Limanowej, zapuszcza się doliną Dunajca aż ku Szczawnicy. Na zboczach gór i pagórków sady pną się ku lasom i łączą się z nimi. Wszędzie drzewa owocowe; po paryjach, miedzach, wąwozach.

W przeciągu kilkunastu lat krajobraz okolicy zmienia się zupełnie, szczególnie uroczym przedstawi się z końcem kwietnia i w pierwszych dniach maja. W tym bowiem czasie bielą się jeszcze śniegiem w dali Tatry i wyższe szczyty Beskidów Sądeckich i bieli się ale kwieciami śliw, gruszy i czereśni, a różowi kwieciami jabłoni zachodnią część sądeckiego i wschodnią limanowskiego.

Wtedy to ludność tutejsza radość swą manifestuje w urządzanym od kilku lat święcie jabłoni.

Kwitnące drzewa zdają się grać brzęczeniem pszczoł. Sadownictwo bowiem pociąga za sobą rozwój pszczelarstwa. Nie znajdziesz prawie w tym olbrzymim sadzie domostwa, przy którym nie stałyby trzy, cztery pnie. A wiele pasiek przekracza 40 uli.

W sadzie tym wznoszą się coraz gęściej domy, wille kryte blachą i dachówką.

Kraina miodem i owocami słynąca. W czasie urodzaju, móg dorodnego sadu śliwkowego, może przynieść ich właścicielowi około 100.000 zł. Toteż tutaj każdy skrawek ziemi przedstawia olbrzymią wartość.

Przy jesiennej młócce zamiast obracanego kołmi kieratu przy każdej stodole warczy motor. W niedzielę po drogach terkoczą różne „JAWY”, uczą się na nich jazdy nawet 50 letni gazdowie.

Od połowy maja, kiedy dojrzewają wczesne czereśnie, trwa zbiór różnorodnych owoców, aż do zimy. Odmian bowiem i gatunków owocowych drzew jest niezliczona ilość.

Zwłaszcza jesienią wre praca w tym olbrzymim sadzie, kiedy drzewa dyszą nadmiarem owoców.

Jesienią bez przerwy z dalekich stron Polski zajeżdżają bardzo licznie puste auta. Tu szybko napełniają się świeżym, dorodnym owocem i rozwożą go po kraju. Zwłaszcza wiele aut kieruje się ku węglodajnemu Śląskowi.

Nic w tym sadzie się nie marnuje. Spady przerabiają Wytwórnice Win w Nowym Targu, w Nowym Sączu, a zwłaszcza w Tymbarku na smakowity i znany ze swej wysokiej jakości „Jabłecznik”.

Przy zbiorze owoców, przy ich sprzedaży, przy rozwoju w przetwórnicy owocowych znajdują pracę i dobry zarobek tysiące ludzi.

Oto dzieło skromnego Stanisława Wilkowicza i dziatwy szkolnej, która pod jego kierunkiem zbierała kiedyś pesteczki jako pierwszy zasiew pod ten olbrzymi sad.

Jak wszyscy stwierdzają, Stanisław Wilkowicz był człowiekiem cichym, skromnym, pracowitym i obowiązkowym. Jako kierownik wiele wymagał od kolegów nauczycieli, wiele wymagał od uczniów, ale najwięcej od siebie.

Stanisław Wilkowicz pięknie rzeźbił i malował, znał się na stolarce. Miał własny warsztat stolarski, przy którym zaprawiali się w rzemiosło stolarskie chętni uczniowie.

Wykonywane i rzeźbione przez niego góralskie laski i ramki do obrazów miały wielu odbiorców. Znał się na szewstwie i krawiectwie. Kiedy córka jego Helena wychodziła za mąż, własnoręcznie wykonał jej do ślubu staropolski kontusz, czapkę, rogatywkę i buty z cholewkami.

Opowiadają, że gdy dowiedział się w nocy, że Dunajec wylewa, z narażeniem życia ruszył na ratunek obozowi harcerskiemu, nie zdającemu sobie sprawy z grożącego mu niebezpieczeństwa. Harcerzy ulokował we własnym mieszkaniu i karmił, aż niebezpieczeństwo minęło. Od roku 1922 do 1928 był radnym miejscowej gminy, przez cały czas swego urzędowania w Łącku prowadził piękną kronikę szkolną. Poszczególne rozdziały kroniki zdołał inicjałami w formie krzewów, kwiatów i drzew. I tu nawet krzewiło się wielkie rozmiłowanie jego w przyrodzie, a zwłaszcza w świecie roślin. Kronika ta zawiera plany drzewek i sadu szkolnego. Obecnie powędrowała z archiwum szkolnego do archiwum w Krakowie. Przed opuszczeniem Łącka za swą pracę pedagogiczną i społeczną został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi.

Łącko i okolice ukochał jakby swe rodzinne strony. Dumny był z przeszłości historycznej tej pięknej ziemi, czemu świadectwo dał w cytowanej już książeczce:

„Hej rodacy z pod Giewontu, Beskidu i Pienin, oto zbliża się wielkie narodowe święto, 500. rocznica pogromu Krzyżactwa pod Grunwaldem. Oto Polska cała święci ten uroczysty dzień orężnego tryumfu, niechże nie braknie i was braci z pod zboczy granitowych gór.

Od wieku gnębił nas i ciemiężył przemożny Niemiec, kradł zagon po zagonie, nastąpił na gardło słowiańskich plemion, wydarł naszym kniaziom i królom szmat najcudowniejszej, nadwiślańskiej i nadodrzańskiej ziemi. A potem zagrabił nasze królestwo w niewolę, zhańbił nas i skrzywdził, a dziś wydziera nam, jak przed wiekami, resztę ziemi, każe jak wędrownym cyganom mieszkać na wozach, pragnie wykraść z dusz najdroższy skarb narodu, piastowskie słowo i rodzinną mowę!”

„Wszak to wśród waszych szarych chat szukała ochrony św. Kinga i król Jan Kazimierz, wszak i synowie Giewontu, Beskidu i Pienin ginęli na polach Grochowa i błoniach Warszawy, wszak to Chochołowscy chłopci wzniesli sztandar wolności na Podhalu, wszak oni to szli i ginęli śmiercią w 63. roku.

Cześć pamięci zmarłych!

Z tryumfem narodu niech złączy się i okrzyk z rodzinnych stron wielkiego woźdza z pod [!] Grunwaldu, Zyndrama z Maszkowic, niechże i rodzinna ziemia bohatera weźmie udział w prawdziwym tryumfie.

Wszak w bitwie tej brali udział pradziadowie nasi, wszak z naszych stron pochodził Mikołaj Zyndram, kasztelan krakowski, pan możny i dzielny, który w tym epokowym boju dowodził wojskami polskimi, jako jeden z najdzielniejszych przyczynił się wybitnie do pogromu Krzyżactwa w tej chlubnej walce”.

Staraniem Wilkowicza w roku 1910 na wzgórzu, na którym ongiś stał zamek Zyndrama, osadzono kamień pamiątkowy z napisem:

„1410 – 1910 Zyndramowi – ziomkowie”

Może w tym wielkim sadzie w cieniu, z której jabłoni, pod której życie dziecko tutejsze w zgrzebnej koszulinie, kierowane przez nauczyciela Stanisława Wilkowicza, rzucało w ziemię pestkę, stanie pomnik.

Nim się to stanie, niech imię jego z zapomnienia ratuje ta skromna książeczka.

Posłowie

W roku 1957 Franciszek Pulit podczas pobytu Marii Kownackiej w Czarnym Potoku przeprowadził z pisarką rozmowę („Dziennik Polski” 1957, nr 199, s. 3 Wyd. AB), w której zadał jej pytanie, czy z zainteresowania okolicami Łącka wyniknie nowa książka. Autorka *Plastusiowego pamiętnika* odpowiada:

„Zdradzę tajemnicę, że pracuję wraz z prof. Janem Rostockim nad monografią książki o Stanisławie Wilkowiczu, dyrektorze szkoły ludowej w Łącku w latach 1898–1922, założycielu miejscowych sadów”. Otóż książki o łąckim społeczniku nigdy nie napisała. W czasie moich kontaktów z Kownacką otrzymałem od niej teczkę z materiałami na ten temat wraz z sugestią, bym jako rodak zadanie to wykonał. Po latach napisałem szkic *Zanim w Łącku zakwitły jabłonie* (zob. *Powrót do korzeni*. 2000 i *Powrót do korzeni*. Nowy. 2010). We wspomnianej tezcze znalazły się m. in. dwa teksty Jana Rostockiego *Złote jabłka ojca Wirgiliusza* (druk „Almanach Łącki” (2009, nr 10) oraz publikowane tutaj *Pesteczki z „psiorek”*.

W zamyśle autora był to zapewne projekt książki o Wilkowiczu, o której wspomina Maria Kownacka w cytowanym wywiadzie. Jest to bardzo nieczytelny materiał (23 stronice) pisany na starej, przedwojennej maszynie. Stąd niejednokrotnie bardzo trudny do odczytania. Zdeponowałem go w archiwum Zespołu Szkolno-Przedszkolnego w Czarnym Potoku u dyr. Haliny Setlak, kopię zaś przekazałem Gimnazjum w Łącku. Trudności w odtworzeniu tekstu Rostockiego potęguje stosowana przezeń gwara, którą dość często wprowadza do swojej narracji.

Jan Rostocki powołuje się w swojej relacji na książkę *Z rodzinnych stron Mikołaja Zyndrama wodza z pod [!] Grunwaldu* (1910) w przekonaniu, że jej autorem jest Stanisław Wilkowicz. Publikacja ta została staraniem *Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej* ponownie wydana w 2007 roku. Komitet Redakcyjny „Almanachu Łąckiego”, a właściwie Jadwiga Jastrzębska wyjaśnia na wstępie: „Autorem tej książeczki prawdopodobnie był Antoni Kurzeja (1864 – 1914), syn Michała z Zabrzeży, ponieważ, jak wynika z jego biografii, Antoni mieszkał w Brodach, w których też mieściła się drukarnia Feliksa Westa, która tę książeczkę wydała”. Kwestię tę szeroko omawia Julian Dybiec w dziale *Sprostowania* („Almanach Łącki” 2008, nr 9) pt. *Wyjaśnienie w sprawie autorstwa książki „Z rodzinnych stron Mikołaja Zyndrama wodza z pod [!] Grunwaldu”*.

Na jakiej podstawie uczeń Wilkowicza sądził, że jego nauczyciel napisał to dzieło, trudno dociec. Rostocki cytuje rzecz dość dowolnie. Nie zaznacza dwukropkami przerw między poszczególnymi fragmentami. Skonfrontowałem je z materiałem wydanym przez TMZŁ. Tu i ówdzie dostosowując ortografię do obowiązujących dzisiaj zasad. Czyniłem to tylko wtedy, gdy nie naruszały one indywidualnych cech języka autora. To samo odnosi się do wypowiedzi Jana Rostockiego. Tu również ograniczyłem się wyłącznie do poprawek interpunkcyjnych, ewidentnych błędów maszynowych, pozostawiając tekst z całą jego chropowatością.

Aczkolwiek w *Pesteczkach z „psiorek”* (autor proponuje także inne tytuły: *Złote jabłka ojca Wirgiliusza* i *Jabłka niosące dobrobyt*) powtarzają się niektóre treści z tek-

stu drukowanego w „Almanachu Łąckim” w 2009 roku, to mimo to sądzę, iż warto go tutaj przytoczyć w całości. Może on – w moim przekonaniu – służyć jako materiał do pracy wychowawczej, do kształcenia regionalnego, do pogłębiania znajomości historii swoich „małych ojczyzn”, co w dobie globalizacji, powszechnej unifikacji m. in. za pośrednictwem mediów, w czasie naszej przynależności do Unii Europejskiej nie jest bez znaczenia. Materiał ten może też posłużyć historykowi jako indywidualne, osobiste świadectwo tamtych czasów.

Bolesław Faron
Czarny Potok – Kraków, w lipcu 2012 roku



*Spod Gorców w świat centusiów i makaroniarzy
(Pod Gorcami)*

1. Na starcie

W pierwszej chwili propozycje szkolnego kolegi prof. Juliana Dybca napisania wspomnień dla Almanachu Łąckiego potraktowałem dość sceptycznie. Uważam bowiem, że losy moje podobne są do losów wielu moich łąckich rówieśników, a niektórzy z nich swoje doświadczenia zdążyli już na łamach Almanachu opisać. Kiedy jednak ponownie przeczytałem opublikowane teksty, zdałem sobie sprawę, że chociaż przeszliśmy podobną drogę, wiele sytuacji wspominamy i oceniamy zupełnie inaczej. Mam nadzieję, że umieszczone poniżej wspomnienia uzupełnią obraz najnowszych dziejów ludzi wywodzących się z łąckiej kotliny. Z góry wypada uprzedzić Czytelnika iż nie należałem do ludzi którzy „tworzyli historię”. Byłem i jestem raczej uważnym obserwatorem, często krytycznym, starającym się zrozumieć racje różnych stron, co w dzisiejszych czasach ostrej polaryzacji przekonań, często uznawane jest za słabość lub brak poglądów. Proszę też o pobłażliwość. Pan Bóg darem poczucia dostojności obdarzył mnie skąpo, poczuciem humoru nieco lepiej, stąd też nieraz zwracam bardziej uwagę na aspekty humorystyczne, niewątpliwie ze szkodą dla właściwej oceny ważności wydarzeń w których miałem okazje uczestniczyć. Spoglądając wstecz widzę, że swoją drogę życiową udało mi się przebyć w dużej mierze dzięki korzystnym zbiegom okoliczności, okazjom które stwarzały czasy (sic!), zdolności koncentracji na pracy naukowej nawet wówczas gdy nie było widać bezpośrednich rezultatów czy korzyści, a przede wszystkim niezwykłej ilości życzliwych ludzi. Okres powojenny stworzył młodzieży łąckiej szerokie możliwości kształcenia się na różnych poziomach, możliwość zdobywania różnych zawodów, szeroko otworzył rynek pracy. Przeciwnie niż chyba większość publicznie wypowiadających się dzisiaj rodaków uważam, że łaskawy los zezwolił nam żyć w okresie nie tylko ciekawym, ale pod wieloma względami prostym chociaż siermiężnym. Terror nazistowski i stalinowski dokuczył dotkliwie starszemu pokoleniu. Kiedy my wchodziliśmy w nasze młodzieńcze życie, reżim komunistyczny w Polsce już wyraźnie zelżał. Nie wolno było przeciw panującemu ustrojowi publicznie działać, istniały jednak warunki aby prywatnie myśleć. To bardzo dużo. Wystarczy wspomnieć zniewalanie umysłu w komunistycznej Rosji a zwłaszcza w komunistycznych Chinach. Z drugiej strony nie zżerał nas brak ideałów i konsumpcyjna demoralizacja Zachodu. Wiadomo było co jest słuszne (racja polska czyli nasza), kto zły (oni komuniści), kto mówi prawdę (kościół), stąd łatwość życiowych wyborów, mniej powodów do stresów. Chociaż materialnie czasy były trudne, więcej było życzliwości ludzkiej, mniej gonitwy, mniej pazerności. Po prostu było łatwiej.

Ale do rzeczy. Urodziłem się 7 lutego 1940 roku w Czerńcu. Jako urzędowy dzień urodzin wpisano mi 10 lutego. Czy był to wynik zawieruchy wojennej, rozstrzygnięcia czy też stopnia trzeźwości wpisującego, rozstrzygnąć dziś nie sposób. Na życzenie mamy przewielebny ksiądz proboszcz Józef Put wpisał mi imiona Józef Wenencjusz. To drugie imię reproduktowane przez urzędników w różnych wersjach (Wenety, Walenty, Wenancyjusz, Wenancjusz, Wenancjusz, Wenencyjusz, Wenencjusz) urozmaicało mi życie, zmuszając do zmagania się z aparatem biurokratycznym z okazji kolejnych wydarzeń typu ślub, awanse w pracy, a nawet przy staraniach o emeryturę (apel do rodziców – używajcie tylko imion tradycyjnych i to powszechnie znanych!!!). Pierwsze utrwalone w przekazie rodzinnym wydarzenie dotyczące mojej osoby mówi o prawie już jednorocznym bobasie, który próby ssania matczynej piersi przerywał to proszącym, to gniewnym „a dojże”. Mama straciła pokarm, a krowy przestały się doić. Asystujący tej scenie Dziadek, ojciec Mamy, którego krowy były bardziej szczodre, postanowił mnie zabrać do swojego domu położonego w Woli Kosnowej. Czy podróż odbyłem zawinięty w chustkę, czy też zgodnie z góralską tradycją w rękawie kozucha Dziadka – była to przecież zima – przekaz rodzinny nie podaje.

Miejsce w którym leżało gospodarstwo Dziadka nosiło wdzięczną nazwę Kuklina (od poprzedniego właściciela), a zlokalizowane było w malowniczym lasku u stóp Modyni, w punkcie granicznym między Wolą Kosnową, Wolą Piskuliną oraz Zbludzą, z rozległym widokiem na panoramę Gorców. Obecnie jest nawet połączenie autobusowe Łącko – Kuklina. U Dziadka pozostałem do chwili rozpoczęcia nauki, czyli do siódmego roku życia.

2. Dzieciństwo na Woli.

Okolice Woli, a w szczególności Kuklina, były w tym czasie dość trudno dostępne, co w czasie wojny było niewątpliwie plusem. Przypomnijmy, że podstawowy szlak komunikacyjny w kotlinie Łąckiej wiódł wówczas wzdłuż Dunajca, od Nowego Sącza przez Jazowsko, Zabrzeż i Tylmanową do Krościenka. Była to droga utwardzona, o dość wyboistej nawierzchni, którą systematycznie łatano tłuczonym kamieniem. Co kilkaset metrów były stosy kamieni, a ich tłuczeniem zajmowali się Cyganie. Kamienie tłukło się ręcznie młotkami. Cyganie początkowo mieszkali na Oblazach, pomiędzy Czerńcem a Zabrzeżą (w okresie późniejszym przenieśli się w okolice Maszkowic – Jazowska, co przypuszczalnie związane było z potrzebami prac drogowych). Drogą opiekował się dróżnik, który też za drobną opłatą pozwalał mieszkańcom wypasać krowy w przydrożnych rowach (każdy zielony skrawek ziemi był wykorzystywany do wypasu). Również droga bita prowadziła z Zabrzeży przez Kamienicę do Szczawy oraz z Kamienicy do Zbludzy. Od Szczawy do Lubomierza jak również ze Zbludzy na Zalesie były drogi leśne, dostępne tylko dla furmanek. Droga bita łączyła też Łącko z Zagorzynem. Droga ta corocznie była niszczone przez nieuregulowany potok Czarnej Wody, wzdłuż którego rozciąga się zabudowa Za-

gorzyna. Po przekroczeniu Zagorzyna droga rozgałęziała się na trzy odnogi. Prawa prowadziła na Wołę Kosnową, lewa na Wołę Piskuliną. Dzisiaj obie pokryte są asfaltem. Trakt główny, idący na wprost, prowadził poniżej wzgórza Górka, poprzez Długą Łąkę i Kuklinę do kapliczki w Zbludzy (obecnie odcinek Kuklina – Zbludza również został pokryty asfaltem). W okresie deszczowym trakt ten był niedostępny ze względu na podmokłe tereny wzdłuż Długiej Łąki oraz Smugi. Corocznie w ramach *daromnicy* (szarwarku) próbowano utwardzać nawierzchnię, ta jednak przy pierwszych dłuższych opadach spokojnie tonęła. Aktualnie droga ta zupełnie zarosła. Jeśli moje informacje są prawdziwe, tędy w przyszłości przebiegać ma droga powiatowa Łącko – Limanowa. Właśnie na tym trakcie zobaczyłem pierwszy w życiu samochód. Miałem wówczas sześć lat i z okazji tej podniosłem ponoć histeryczny wrzask, krzyząc: „*jedzie, jedzie a dyszla ni mo*”. Był to wyraz zdumienia że pojazd porusza się pomimo iż nic go nie ciągnie.

Dom Dziadka był wydłużonym prostokątem, podzielonym na część mieszkalną oraz gospodarczą. Część mieszkalna zbudowana była z grubych bali, część gospodarcza z kamienia. Obie części rozdzielała sień. Po wejściu do sieni drzwi w lewo prowadziły do kuchni, skąd było wejście do izby. Zarówno kuchnia jak izba były przestronne, utrzymane schludnie i przytulne. W kuchni było jedno okno, w izbie dwa. W oknach zwykle kwitły pelargonie lub mirty. Sień i część mieszkalna miały poziom podwyższony, zaś pomieszczenia gospodarcze poziom gruntu. W drzwiach pomiędzy kuchnią a sienią był wysoki próg, który letnią porą służył za wygodną ławę. Szpary między balami uszczelnione (obtykane) były mchem. Kuchnia i izba wewnątrz były otynkowane i wybielone. Podłoga zrobiona była z desek. Niemal połowę dużej kuchni zajmowało olbrzymie palenisko z piecem kuchennym pokrytym blachą z otworami na żeliwne garnki, z budowanym kociołkiem do grzania wody, *szabaśnikiem*, piecem chlebowym, dorodnym przypieckiem oraz znaczną przestrzenią za *przypiekiem*. Zwykle suszono tam grzyby, zioła (lipa, dziurawiec, centuria), wysychały naciągnięte na prawidła skóry z ubitego na obiad królika, upolowanego lisa, kuny, borsuka lub tchórza. W szczególności leżał tam w blaszanym pudełku cukier do którego często lubiłem zaglądać (cukier taki ma specjalny zapach). Z sieni drzwi w prawo prowadziły do pomieszczenia dla bydła – *obory*. Zwykle stały tam trzy krowy, byczek i cielę. Ostatnie pomieszczenie – *stajnia*, przeznaczone było dla kobyły i żrebaka. Wejście do stajni było bezpośrednio z *pola*. Na końcu sieni było przejście do *chlewa*, czyli pomieszczenia dla świń. Układ taki pozwalał na dogłębne oglądanie bydła i świń bez wychodzenia na zewnątrz, umożliwiał też poruszanie się boso również zimą. Wodę czerpało się ze studni z pięknym żurawiem. Przed częścią mieszkalną rozciągał się ogródek, przed pomieszczeniami gospodarczymi gnojowisko. Za nimi był spichlerz. Dalsze zabudowania to rozległa stodoła, przyległa do niej wozownia, szopa oraz pomieszczenie dla owiec. Za spichlerzem mieściła się zrobiona z desek ozdobna wygódka. Mieszkańcy często woleli jednak chodzić „za stodołę” lub „w krzaki”. To ostatnie było na tyle przydatne, że powstawał w ten sposób dodatkowy pas ochronny zamaskowanego w gęstwinie krzaków szałas. Sza-

łas ten wykorzystywany był do pędzenia żytniówki lub śliwowicy. Sprzęt potrzebny do pędzenia przechowywany był w sprytniej skrytce w drewnitni, do której wejście przykryte drzazgami znajdowało się pod pniem służącym do rąbania drewna. (Produkcja bimbru była surowo karana!). W ogrodzie zlokalizowana była suszarnia na owoce – *suśnia*. Wszystkie zabudowania skonstruowane były z drewnianych bali.

W rodzinie prócz Dziadka był jeszcze wuj Antoni, wuj Franek i ciocia Zofia, wszyscy dorośli. Wuj Franek, służący w chwili wybuchu wojny na granicy wschodniej w formacji ułanów, dostał się do niewoli rosyjskiej. Po zaleczeniu ran udało mu



Legitymacja wojskowa

się wraz z dwoma oficerami uciec z prowizorycznego szpitala. Z głębi Ukrainy przedzierali się lasami, a była to już pora zimowa. Do domu rodzinnego dotarł, ale odniesione rany, oraz przeziębienie w czasie ucieczki, przyczyniły się później do powstania choroby płuc na którą niedługo po wojnie zmarł. Pamiętam dość dobrze ostatnie etapy choroby oraz pogrzeb.

Koledzy nieśli go na ramionach siedem kilometrów z Woli do Łącka, marsze żałobne grała orkiestra z Zalesia, za trumną podążał pieszo liczny kondukt żałobny. Takie pożegnanie ułana, żołnierza wolnej Polski, było widoczną miarą patriotyzmu wsi polskiej zniewalanej ponownie przez, tym razem komunistyczny reżim.

Przyjęta rola kronikarza czasów mojego dzieciństwa zobowiązuje do poświęcenia znacznego akapitu wspomnianemu wyżej Dziadkowi z Kukliny, noszącemu nazwisko Antoni Cedzidło, a znanemu raczej jako Kuklina (1880–1967). Była to postać niezwykła, należąca niewątpliwie do poprzedniej epoki, niemniej Jego dominujący wpływ na dzieje mojej rodziny (również moje) obserwuję jeszcze dzisiaj i to u potomków, którzy nigdy nie mieli okazji spotkać się z Nim bezpośrednio, odszedł bowiem już blisko pół wieku temu. Był mężczyzną wzrostu średniego, szczupłym, z wypłowiałymi włosami i wąsami. Poruszał się sprawnie, dużo wędrował pieszo, chociaż odkąd pamiętam używał laski. W kieszonce obowiązkowo nosił piersiówkę ze śliwowicą, alkohol spożywał jednak w bardzo niewielkich ilościach. Miał też swój styl ubierania się. W okresie letnim Jego standardowym strojem była lniana koszula oraz *plócionki* (spodnie z lnu), w dni powszednie z lnu zgrzebnego, w dni świąteczne z lnu białego. Oczywiście płótno tkane było z nici które przędło się w domu podczas długich zimowych wieczorów, z lnu który był uprawiany i obrabia-



Dziadek w armii austriackiej

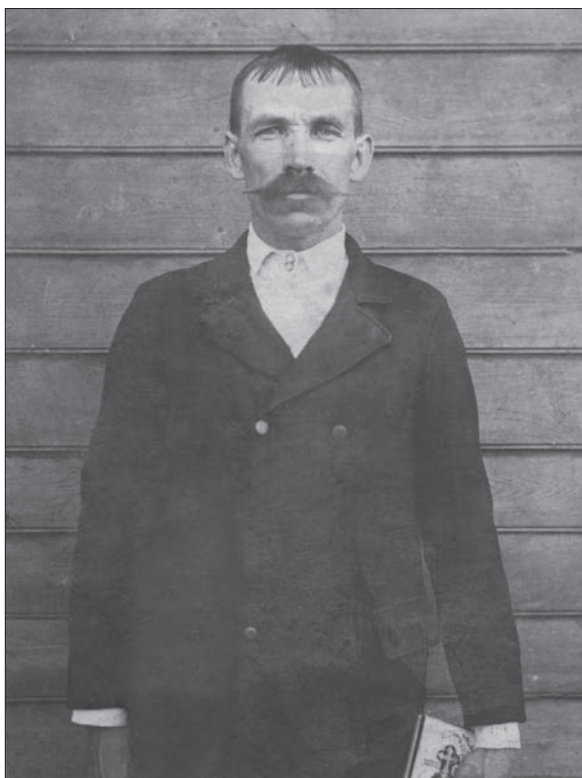
wej oraz pobytu w niewoli nie lubił wspominać. W niewoli przeżył okres dotkliwego głodu, zaś w czasie służby wojskowej zdarzyło mu się uczestniczyć w krwawych starciach. W efekcie odniesionych ran został uznany za inwalidę wojennego. Z tej racji pobierał rentę również przez cały okres okupacji. Została ona dopiero wstrzymana po wojnie, w ramach nowego porządku. W wojsku przyuczono Go do zawodu felczera. Nabył też znacznej sprawności w usuwaniu zębów. Sądzę, że formalnie nie posiadał żadnego dokumentu poświadczającego nabyte umiejętności, poza austriackim stopniem wojskowym Zugsfuhrer (plutonowy). Jako pamiątkę służby wojskowej przywiózł dwa narzędzia dentystyczne: szczypce oraz rodzaj lewarka którym można było ząb skręcać. Fama o Jego umiejętnościach dentystycznych rozniosła się szeroko, pacjenci przybywali bowiem nieraz z daleka. Zabieg przebiegał następująco. Delikwenta sadzano na krześle na środku kuchni. Z popielnika wyciągano popiół, któ-

ny również w domu¹. Płótno utkane na krosnach u znajomego tkacza *Knopa*, było następnie *bielone*, co polegało na wielokrotnym polewaniu wodą i suszeniu na słońcu². Z tak przygotowanego płótna szyto również koszule męskie, prześcieradła, zapaski. W okresie zimowym Dziadek nosił tradycyjne haftowane spodnie góralskie z sukna, zaś górną część garderoby w dni chłodniejsze stanowił skórzany serdak, a zimową porą kożuszek. Skóry na kożuszek i serdak pochodziły z własnej hodowli, a wyprawiane (*garbowane*) były domowym sposobem. Jedynym elementem garderoby należącym do współczesnych mu czasów był zakupiony *kobot* (czyli marynarka). Jak na swoje czasy i miejsce był „człowiekiem światowym”. Jako żołnierz armii austriackiej znalazł się w obozie jenieckim we Włoszech. Czasów służby wojsko-

¹ Wyrwany z ziemi len był rozciągany na łące aby się *wyblychował*. Następnie był *ratychowany* (czyszczony z nasion). Później suszony w suśni i wiązany w małe snopeczki. Wysuszone snopeczki czyszczono z paździerz na *cierlicy* (rodzaj drewnianych nożyc), a otrzymane włókna czesano na desce z wbitymi gwoździami. Oczyszczone włókna nawijało się w kądziel i w długie zimowe wieczory przędło z nich na kołowrotkach nici.

² Uprawiano również konopie. Służyły do wyrobu *powrozów* i *postronków* (sznury używane w gospodarstwie, pierwsze np. do wiązania krów, drugie do uprzęży końskiej).

ry wysypywano na podłogę obok tak zaimprovizowanego fotela dentystycznego. Jeden z domowników (zwykle ciocia Zofia) ścisnęła mocno głowę pacjenta w okolicy skroni a Dziadek sprawnie *targał* (wyrwał) bolący ząb. Krew i ząb lądowały w popiele, a pozbawiony bólu delikwent wyruszał w powrotną drogę. Zabiegi te odbywały się gratis. Dziadek był przy tym stanowczy. Jeśli stwierdzał, że ząb nie nadaje się do usunięcia w ramach jego umiejętności, odsyłał nieszczęśliwego pacjenta do zawodowego dentysty i nie pomagały ani prośby ani płacz. Oprócz rwania zębów i dorywczego leczenia zwierząt (często wykonywał np. niehumanitarny w dzisiejszym pojęciu zabieg *miśkowania*). Zajmował się też handlem. Co prawda nie pamiętam



Dziadek

aby kiedykolwiek przyprowadził zakupioną krowę czy konia do domu, ale żaden sąsiad nie dokonał aktu kupna lub sprzedaży bez jego udziału. Rzadko opuszczał jarmark w Łącku, Słopnicach czy Tymbarku. W przeddzień wspomnianych jarmarków na Kuklinie nocowali znajomi kupcy, którzy na imprezy te podążali piechotą. Oryginalny był też sposób nocowania. Po kolacji na podłodze w kuchni rozkładano *łocipkę* słomy, na nią narzucano lniane prześcieradło i brać kupiecka spała pokotem przykryta derką. Rano słomę wynoszono na podściółkę do obory, kupcy spożywali śniadanie i ruszali na jarmark, zwykle już w towarzystwie Dziadka. Wielokrotnie tak spałem, kiedy już jako student, czy młody pracownik naukowy, wędrując po Gorcach czy Beskidach, zahaczałem o rodzinę na Kuklinie. Nie pamiętam natomiast Dziadka pracującego na roli lub w zagrodzie. Najwyżej wczesnym rankiem kładł pierwszy pokost, po czym spokojnie odkładał kosę, a sąsiedzi kończyli dzieło. Oczywiście nie miał zwyczaju informowania sąsiadów iż prace taką należy wykonać. Za swój obowiązek uważał natomiast stałe odwiedzanie wielu zaprzyjaźnionych domów, w szczególności rodzin przyjaciół którzy już odeszli. Niekiedy zabierał mnie ze sobą. Spośród odwiedzanych rodzin pamiętam jego rodzinny dom *Grządk* na Woli, Cudalików na *Wyrchach*, Kawecką i Cepielików pod Modynią, spokrewnionych Kuligów na Zalesiu, Gromalów na Woli Kosnowej, wdowę po znanym pośle Wincentym

Myjaku w Zagorzynie, Cedzidlów w Łącku (vis a vis kościoła), Łubików (poprawnie Majewskich) na Woli Piskulinej.

Należy podkreślić iż w rodzinie nic nie mogło się dziać bez akceptacji Dziadka. Jego wola była bezwzględnie szanowana, chociaż nigdy nie widziałem Go zdener-



Dziadek z wizytą w Czerncu

wowanego, ani nie słyszałem Jego podniesionego głosu. Znam tylko dwa przypadki nieposłuszeństwa. Syn Antoni ożenił się z dziewczyną, której Dziadek nie zaakceptował (moja ulubiona ciocia Marysia). Wujek zgodnie z zapowiedzią został pozbawiony ojcowizny (wydziedziczony) i chociaż Dziadek wywianował go przyzwoicie, musiał budować się, a pozostałe rodzeństwo utrzymywało z nim ograniczony kontakt. Byłem chyba jedynym z rodziny który systematycznie go odwiedzał. Drugi akt nieposłuszeństwa niefortunnie należał do mnie. Przystępstwo było nieporównywalnie mniejsze (nie zrezygnowałem ze studiów – o tym będzie dalej), a kara też proporcjonalnie mniejsza, po prostu uznany zostałem za nieposłuszną owcę, która wyruszyła w zepsuty świat. O ile mój pobyt w Krościenku był akceptowany, dom nie ponosił zresztą żadnych związanych z tym kosztów, moje studia w Krakowie nie budziły zapału w kręgu rodzinnym. Być może zawiniłem sam nie informując nikogo o zamiarze studiów, a być może przeważał pogląd iż bardziej byłbym przydatny do pracy w domu. Nie zdarzyło się aby któryś krewny (oprócz wspomnianej już wizyty Dziadka) odwiedził mnie w czasie studiów czy w początkach kariery zawodowej. Natomiast kiedy odwiedzałem rodzinne strony, co jakiś czas ktoś z rodziny próbował sprowadzić mnie na dobrą drogę, sugerując opuszczenie zepsutego świata i powrót w rodzinne pielesze. Sam Dziadek sądził iż ratunkiem dla mnie mogło być małżeństwo ze zdrową ideologicznie mieszkanką tamtejszych stron. Próby te choć nie przyniosły pozytywnych rezultatów, dostarczyły mi wielu rozrywkowych sytuacji. Opinia Dziadka przetrwała do chwili obecnej. W kontaktach z gałęzią rodziny pozostającej pod wpływem Dziadka odczuwałem zawsze nutę żalu, pretensji, a nawet odcień poczucia doznanej krzywdy. Parę miesię-

cy temu bratanica, która skończyła studia w Rzymie i tam pracuje, snując wspomnienia, wygłosiła pogląd iż zająłem miejsce jej ojca. Fakt, że był to jedyny brat który nie wykazywał zacięcia do nauki i raczej demonstrował wolę pozostania na ojcowiznie, był nieistotny, wobec innej wizji Dziadka odnośnie naszej przyszłości. Widocznie jako najmłodszy powinienem być *pniem*, czyli pozostać w domu. Natomiast bratanek, który ukończył studia techniczne w Warszawie, a jest przy tym oficerem policji, po moim przejściu na emeryturę zadał pytanie: „jak wujek czuje się na emeryturze?” Po chwili refleksji dorzucił, pewnie normalnie, przecież wujek nigdy nie pracował. Żadne z nich nie było świadome, iż jest to opinia ich pradziadka, która przetrwała mimo minionych lat. Tamto pokolenie zapamiętało mnie wędrującego po górach z plecakiem na ramieniu, swobodnego, niepracującego niebieskiego ptaka, który wpadał z godzinną wizytą, i ponownie znikał na zboczu góry. Taką opinię bezkrytycznie odziedziczyli. Mnie te komentarze rozbawiły. Świadczą o sile przekazu, doskonale oddają dawne stosunki i zwyczaje rodzinne, są miarą naszych często podświadomych uwarunkowań środowiska, z którego się wywodzimy. Obecne natomiast przy rozmowie moje dzieci, wychowane już w innych warunkach, odebrały je z nutą oburzenia. Niestety, braku aprobaty dziadka dla mojego wyboru studiów, oraz kariery zawodowej, nie wyjaśniłem za Jego życia. Pozostaje mi tylko domyślać się, iż Dziadek jako odpowiedzialny nestor rodu miał podejrzenie (chyba słuszne), że zbyt świecko wykształcony osobnik może nie podporządkować się w stopniu wystarczającym tradycjom rodziny. Studia które mógłby przypuszczalnie zaakceptować to: seminarium (kierunek wybrany przez brata), medycyna lub prawo, czyli zawody szanowane, co równoważyło utratę posłusznego członka rodziny. Matematyka nie warta była ryzyka.

Dziadek starannie dbał o zabezpieczenie przyszłości swoich dzieci. Oczywiście podstawą był właściwy związek małżeński. Zajmował się więc wyszukiwaniem przyszłych zięciów, często bez bezpośredniego udziału zainteresowanych. Oto kilka faktów dotyczących tej działalności. W celu omówienia warunków intercyzy ślubnej udał się do domu kandydata na zięcia. Przy okazji zabrał córkę aby młodzi mogli się poznać. Niestety do zapoznania nie doszło, bowiem zawstydzony kandydat, na przyszłego pana młodego, schował się w pobliskich krzakach. Ślub odbył się jednak w przewidzianym terminie. Z następną córką poszło już lepiej, może dlatego iż to pan młody przybył do domu panny młodej. Dziewczyna zajęta była myciem naczyń. Podeszedł do niej i nieśmiało zapytał: „*A chciałabyś ty mnie?*”. W odpowiedzi usłyszał: „*Jakbyś ty mną nie pogardził, to co ja bym miała tobą gardzić?*”. Tak rozpoczął i zakończył się okres zapoznania. Kiedy ks. Put przy okazji zamążpójścia kolejnej córki próbował mu przetłumaczyć, iż kandydatka być może jeszcze zbyt młoda, zmitygował go praktycznym stwierdzeniem: „*Wtedy cielickę dają jak się jej napierają*”. Na usprawiedliwienie Dziadka należy dodać że dzieci miał dużo, był wdowcem i chciał im zapewnić przyszłość. Należy zaznaczyć, że nie tylko wszystkie wspomniane małżeństwa były udane, ale również ich dzieci byli udanymi obywatelami łączkiej społeczności. Chociaż los część z nich rozrzucił po różnych zakątkach świata, wy-

niesione z rodzinnego domu wartości pozwoliły im uczciwie przetrwać różne koleje życia. Może najbardziej burzliwe, choć również udane, było małżeństwo z miłości wspomnianego wyżej zbuntowanego wujka. Można stąd wnosić, że kombinowane przez rodzinę małżeństwa nie są najgorszym rozwiązaniem. Istnieją też w czasach dzisiejszych. Parę lat temu byłem uczestnikiem uroczystości weselnych w Indiach, gdzie ponoć rzeczywiście młodzi widzieli się po raz pierwszy na swoim ślubie. Warto podkreślić, iż pan młody (mój znajomy) jest pracownikiem poważnej instytucji naukowej. Z wiadomości które do mnie docierają również to małżeństwo trwa i wygląda na udane. Co więcej, z rozmów z kolegami z Indian Statistical Mathematical Institut w Kalkucie, gdzie spędziłem ponad miesiąc czasu, dowiedziałem się iż przypadków małżeństw skojarzonych przez rodzinę było tam więcej, przy czym nie wszyscy mieli okazję poznać się przed ślubem. Tu wypada wyjaśnić, iż śladem wujka, swoją życiową partnerkę wybrałem (czy raczej zostałem wybrany) bez udziału rodziny.

Wróćmy jednak do dzieciństwa. Ponieważ w pobliżu gospodarstwa Dziadka nie było innego domu, do siódmego roku życia nie miałem żadnego kontaktu z rówieśnikami. Ponoć od najmłodszych lat nie wymagałem opieki, sam organizowałem sobie zajęcia i zabawy. Fakt ten niewątpliwie wpłynął na moją osobowość i wrodzoną samodzielność. Temu chyba zawdzięczam też to, iż nawet dłuższe pobyty w odległych zakątkach świata i to o zupełnie innych kulturach (Nigeria, Indie, Japonia, Chiny, Taiwan, RPA, Meksyk)



Z towarzyszem zabaw

znosiłem bez problemów, wręcz były one dla mnie i interesujące i przyjemne. Łatwo też zadomowiłem się na ponad dwadzieścia pięć lat we Włoszech. Wracając do Woli, w okresie letnim uwielbiałem włóczyć się po polach i podglądać naturę. A ta była bogata. Łąki i miedze mieniły się kolorami kwiatów. Nierzadko z trawy udawało się wypłoszyć bażanta czy stadko kuropatw, wypatrzeć stojącego sępkiem w koniczynie zająca, podglądać lisa przemykającego w stronę jam w pobliskim potoku, a przed zaśnięciem na miedzy, oglądać szybującego jastrzębia. Wieczorem w domu o spotkaniach z wilkami, rysiem czy dzikami snuli opowiadania starsi. Niektóre z tych historii pamiętam do chwili obecnej. Przy zagrodzie, oprócz kur, indyków, gęsi i kaczek,

kręciły się barany i krowy, wierzgał żrebak, a po trawnikach hasały stadka *trusi* (czyli królików). Jesienią co dorodniejsze egzemplarze królików miast w garnku lądowały w stajni lub oborze, aby wiosną znów znaleźć się na wolności i wydać następne pokolenia. Dobytek ten należało chronić przed lisami, kunami, tchórzami. Do tego służył cały zestaw oklepców, pułapek i wnyków.



Wśród kolegów

Sprzętem tym opiekował się wujek. Oczywiście z pełnym zapałem zostałem jego pomocnikiem, a bakcył kłusownictwa towarzyszył mi jeszcze przez wiele lat. Nie od razy z tego zamiłowania wyleczył mnie nawet fakt, iż za kłusownictwo wujek wyłądował w więzieniu.

W stylu ubierania się panowała zasada minimum. Każdy posiadał podstawowy ubiór roboczy i strój kościelny. Kobiety i młodzież letnią porą najczęściej chodzili boso. Mężczyźni na ogół nosili obuwie, gumki w dni robocze, trzewiki w dni świąteczne. Pamiętam iż do kościoła szliśmy boso przez Paryż do Zbludzkiego Potoka (Wola należała do parafii Łącko, ale na niedzielną mszę chodziliśmy do bliższego kościoła w Kamienicy). Tam myliśmy nogi, ubierali obuwie i bohaterstwo trwali w nim aż do chwili osiągnięcia w drodze powrotnej tegoż samego potoku. Tu z ulgą zrzucaliśmy obuwie i zwykle ponownie zakładaliśmy je za tydzień w tym samym miejscu. Nawet do lasu za grzybami chodziłem boso. Dzisiaj trudno w to uwierzyć. Boso nie możemy wyjść właściwie nigdzie, i to głównie nie z powodu naszych wydelikacowanych stóp, ale wszechobecnego zanieczyszczenia terenu.

Sposób odżywiania był niezwykle prosty. Posiłki spożywaliśmy z jednej blaszanej misy drewnianymi łyżkami (w domu rodzinnym odkąd pamiętam używano talerzy). Pomimo treningu w dzieciństwie, ilekroć w latach późniejszych znalazłem się przy stole na którym serwowano posiłki w jednym naczyniu, niezależnie czy była to łyżka, pałeczki czy wprost ręce, zawsze z połykaniem miewałem problemy. Na śniadanie często podawano *kasę* (w okolicy Starego Sącza zwaną *bryją*) lub *sapkę*. Kasę przygotowywało się wrzucając *mąkę* (mąkę) pytlową lub razową na wrzącą wodę, intensywnie mieszając przy tym *filrakiem* (czubek oczyszczonej z kory jodły). Spożywało się ją z mlekiem gotowanym, lub na zimno z mlekiem kwaśnym. Sapkę przygotowywało się podobnie, była jednak zdecydowanie gęstsza, a spożywało się ją polewając sosem z topionego masła i śmietany, z bryndzą lub topionej słoniny ze

skwarkami. Jeśli nie było w domu mąki, mieliło się ziarno w żarnach. Zarówno na Woli, jak i w rodzinnym domu, żarna skonstruowane i wykonane były przez mojego Ojca. Często robiono też zacierkę. Były to drobne kluseczki z mąki i wody, gotowane na wodzie a podawane z gorącym mlekiem lub bryndzą. Robiono też kluski z tartych surowych ziemniaków. Również te podawano z gorącym mlekiem lub topionym masłem z dodatkiem bryndzy. Można je też było spożywać z topioną słoniną ze skwarkami. Typowe dania w porze obiadowej to: *gniecone zimnioki tomascone spyrką* (czyli tłuczone ziemniaki okraszone topioną słoniną) z garnuszkiem kwaśnego mleka, żur z ziemniakami, gotowana kapusta z grochem, ziemniakami lub fasolą, rosół z ziemniakami, kapuśniak, ziemniaki z warem (gotowana woda zaprawiona liściem bobkowym, ziołami lub bryndzą), kluski ziemniaczane, pęczak gotowany ze śliwkami suszonymi, makaron z serem, kluski lane na mleku, pierogi z serem. W porze letniej przyrządzano też: knedle ze śliwkami, pierogi z jabłkami, zupę jarzynową. Mięso spożywano prawie wyłącznie gotowane. Przykładowy obiad w dzień świąteczny to: rosół z ziemniakami, rzadziej z makaronem oraz jako drugie danie mięso gotowane serwowane bez dodatków. Latem, kiedy na wolności brać królicza dorastała szybko, było to głównie mięso królicze. Niekiedy królika przyrządzano na kwaśno ze śmietaną, a spożywano z chlebem. Interesującym jest fakt, że chociaż jedzenie przygotowywała Ciocia, mięso – jako głowa rodziny – rozdzielał Dziadek. Jeśli był królik, moim standardowym przydziałem była głowa oraz przednia noga. Mężczyźni, Dziadek i wujek, otrzymywali po nodze tylnej. Wyznam, że z mięs wciąż najbardziej lubię mięso królicze – smak wyniesiony z dzieciństwa oraz jagnięcinę – wynik długoletniego pobytu w Abruzji. Stałym punktem menu były jajka, gotowane lub w postaci jajecznicy oraz sery. Oprócz klasycznego sera ogrzewanego (kwaśnego), dużym uznaniem cieszył się ser klagany. Do zrobienia sera klaganego niezbędny był klag. Ten robiono następująco. Po uboju cielęcia które żywiło się jeszcze wyłącznie *siaq* (świeże mleko matki), do zawartości żołądka dodawano znaczną ilość soli i wieszano za przypiekiem. Zawartość wysychała i powstawała biało-żółta substancja. To właśnie klag. Można go było przechowywać długi okres czasu. Grudkę takiej substancji wrzucało się do mleka słodkiego, a następnie podgrzewało³. Dalszy etap obróbki wyglądał jak przy zwykłym serze podgrzewanym. Przypomnijmy, że do produkcji sera zwykłego używa się mleko kwaśne. Ser klagany można było przechowywać kilka dni. Z czasem powstawały w nim dziurki, a dojrzewając smakowo zyskiwał. Z tak dojrzalego sera ucinało się kromki, posypywało solą i zjadało sam lub z chlebem. Dzisiaj na targach, szczególnie w Zakopanym, sprzedawczynie oferują różne gatunki sera klaganego zwanego bunsem. Wyrabia się go zastępując klag proszkiem dostępnym w handlu, którego składu nie znam. Nie ma on jednak tego smaku jak ten robiony na prawdziwym klagu. Podstawowe tłuszcze które używano w kuchni to: masło, słonina, smalec i sadło, przy czym sadło używano wyłącznie do *maszczenia* (kraszenia) kapusty. Olej był właściwie niezna-

³ Warto odnotować, że podobną technikę wyrabiania sera stosowali pasterze włoscy oraz greccy, (pasterze greccy do mleka owczego używali klagu z jagnięcia, a do mleka krowiego klagu z cielęcia).

ny. Ważną rolę w kuchni odgrywała bryndza. Zauważmy od razu iż z produktem mlecznym, który dzisiaj możemy zakupić pod nazwą bryndza, przysmak ten nie ma nic wspólnego⁴. Bryndzę robiło się z dojrzałego sera owczego. Ser taki ugniatało się w rękach z solą i wkładało do drewnianej beczki, następnie przykrywało drewnianym denkiem i obciążało kamieniem. Tak przygotowany produkt dojrzewał na strychu lub w śpichlerzu. Używano go jako dodatek smakowy do różnych potraw. Rozważania kulinarne zakończę osobistym wspomnieniem. Jeśli domownicy wyjeżdżali, a ja zostawałem sam z ciotką lub wujkiem, naszą pierwszą czynnością było przygotowanie *podchlybki*. W przypadku ciotki był to *grzybek* (rodzaj omletu), który spożywaliśmy z cukrem. W przypadku wujka olbrzymia porcja jajecznicy na słoninie, z konsumpcją której mieliśmy zawsze spore problemy i mało pomagało natarczywe nawoływanie wujka: „*jydz chłopie jydz, cobyś duży był*”. Zwykle konieczna była pomoc domownika z rodziny kundli.

Zgodnie z wiejskim zwyczajem od wczesnych lat byłem wdrażany do prac domowych. Kiedy pasterz (Jaś Cubalik) potrzebny był do innego zajęcia, spadał na mnie obowiązek pilnowania krów. Krowy powiązane były sznurem, dwie po jednej stronie, dwie po drugiej. Niwelowało to na ogół różnicę poglądu odnośnie kierunku w którym jest lepsza trawa. Czasem jednak dochodziło do nieporozumienia, a zgodne *siępnięcie* (czyli *szarpnięcie*) rozciągało mnie na pastwisku. Stąd też obowiązku tego szczerze nie znosiłem. Co więcej, ugór na którym pilnowałem krowy był w pobliżu domu *Pitków* (właściwie Rusnarczyków). Mieszkająca w nim gromadka dzieci starała się krowy, a przy okazji i mnie, przegonić kamieniami. Poczucie obowiązku nakazywało krów bronić. Ponieważ nigdy nie udało nam się zbliżyć na odległość mniejszą od rzutu, okazji do zawarcia znajomości czy przyjaźni nie było. Miałem jednak dla tej gromadki pewnego rodzaju uczucie sympatii, a raczej współczucia. Każdego sobotniego popołudnia ich ojciec w ramach rodzicielskich obowiązków lał solidnie pasem kolejno wszystkie swoje pociechy. Wiedzieć za co, było obowiązkiem dzieci, a owo zrozumienie okazywali głośnym płaczem. Znacznie milej wspominam prace na konto wujka. Kiedy uruchamiał gorzelnie, należało pilnować aby ogień był właściwy (niezbyt mocny), a napełniony procentowym płynem garnuszek co jakiś czas zlać do stojącej obok konewki. To była w moim pojęciu robota właściwa dla mężczyzny. Opowiadano (sam nie pamiętam), iż przy tej okazji wykazałem się przytomnością. Zdarzyło się, że obława milicyjna pojawiła się w zagrodzie kiedy gorzelnia była w ruchu. Wygasilem ponoć bezdymnie ogień i cicho powróciłem do domu. Milicjanci zjedli ugotowane przez ciotkę jajka, wypili domową herbatę z lipy i odjechali z przekonaniem iż gospodarze to uczciwi wieśniacy.

Pamiętam natomiast dość dobrze inne zdarzenie, miałem wówczas już prawdopodobnie powyżej sześciu lat. Odwiedził nas mój najstarszy brat Antoni. Razem poszliśmy na grzyby w Górkę. W pewnym momencie ożyły krzaki, a brat został otoczony przez uzbrojony oddział milicji lub wojska. Okazało się później, iż była to

⁴ Produkt najbardziej zbliżony do bryndzy z mojego dzieciństwa odkryłem ostatnio w małej rodzinnej przetwórni mleka w Torriimparte w Abruzji.

oblawa na działającego jeszcze w podziemiu Machałę⁵. Nawiasem mówiąc, jego siostra była żoną mojego ojca chrzestnego Jana Farona, który w tym czasie prowadził w Łącku masarnię. Ponieważ brat nie miał dokumentów, czujnie prowadzono go pod łufą erkaemu do domu Dziadka, gdzie pozostawił dokumenty. Mimo młodego wieku byłem świadomy, iż w domu było przyjęcie zakrapiane zakazanym samogonem. Udało mi się okrężną drogą przybiec wcześniej, aby zawiadomić domowników. Butelka i kieliszki wylądowały pod łóżkiem. Kontrolując dom milicja uszkodziła drzwi do izby, o co Dziadek zrobił awanturę. Myślę, że w ten sposób kamuflował zapachy samogonu. Skończyło się tradycyjną herbatą z lipy. Wymyślając milicji, Dziadek nawiązywał do swoich frontowych przygód. Była to jedyna okazja, kiedy słyszałem Go mówiącego na temat swojej wojennej przeszłości.

Wspomnień z okresu wojny mam niewiele. Niemcy w okolice Woli zapuszczali się rzadko. Partyzanci, chociaż bywali częściej, na kwatery wybierali domy położone w leśnych ostępach. W pamięci utkwiła mi następująca scena. Stałem w oknie podglądając zimową aurę. Nagle całkiem blisko domu śnieg drgnął, niespodziewanie wyłonili się z niego ludzie, a otoczenie domu zaludniło się uzbrojonymi postaciami. Dalszą historię znam z opowiadania. Była to poszukująca partyzantów niemiecka grupa narciarska umundurowana w białe kombinezony. W zagrodzie Dziadka zatrzymali się na odpoczynek. Widząc umorusanego dzieciaka, zde gustowany oficer podobno wstawił mnie do miednicy z zimną wodą. Znając mój raczej mało wstrze miężliwy język, domownicy zamarli. Wystraszony szczęśliwie nie zareagowałem. Strach domowników miał też poważniejszy powód. Parę dni wcześniej zabito prosiaka i jałówkę. Mięso i kaszankę zabrali partyzanci, salceson i kiełbasy były jeszcze schowane w stodole. Żołnierze, którzy znaleźli te wyroby, szczęśliwie zatracili już niemiecką solidność i zarekwirowali je bez powiadamiania dowództwa. To uratowało nam życie.

Na koniec wypada się pochwalić. Otóż moja pracowitość została na Woli za uważona i doceniona. Kiedy byłem już w Krakowie, przy okazji kolejnych wizyt, mąż cioci Zosi uparcie próbował mnie przekonać do powrotu następującą argumentacją: „*Po co się ty bidocku tak po świecie męcys. Zostań tu i bedomy se razem gospodarzyć*”. Ponieważ miał poważne problemy zdrowotne, pomoc taka byłaby usprawiedliwiona.

3. Szkoła podstawowa

I tak przyszedł czas szkoły podstawowej, czyli wrzesień 1947. Postanowiono abym wrócił do Czerńca, skąd do szkoły było bliżej. Decyzji tej uparcie nie chciałem zaakceptować. Bronilem się wytrwałym płaczem, próbą głodówki i prawie tygodniową gorączką. Przebywającej na letnisku w naszym domu pani Pachniewskiej z Łodzi, która próbowała przemówić mi do rozsądku, podobno warknąłem: „*pani*

⁵ Parę miesięcy później został pojmany. Za likwidację milicjantów otrzymał wyrok śmierci. Ojciec jego uzyskał od Bieruta zmianę kary. Kiedy dotarł ze stosownymi dokumentami do więzienia wyrok był już wykonany.

piykno ale głupio”. Asymilacja w szkole była równie trudna. Nie byłem przyzwyczajony do współżycia z rówieśnikami. Mówiłem wyłącznie gwara, która różniła się od języka używanego przez młodzież z bardziej cywilizowanego Łącka. Co więcej, mocno sepleniłem i miałem zwyczaj ustawicznego powtarzania *słowieku wiys*. Nic więc dziwnego że termin



Dom rodzinny w Czerńcu

Słowiek, obok rodzinnego przezwiska *Scuja*, początkowo zastępowały mi nazwisko, przy zrozumiałym też braku aprobaty piszącego. *Słowiekiem* zresztą nazywał mnie już na Woli wujek. Stosunki z kolegami początkowo również układały się mało ciekawie. Pamiętam, że po wyjściu ze szkoły musiałem starannie kluczyć aby nie napotkać czekających na mnie niechętnych rówieśników. Na szczęście we wrogim mi froncie nastąpiły wyłomy. Często informacji którędy iść aby uniknąć niepożądanego spotkania, udzielał mi kolega z klasy Gienek Mrówka. Do akcji włączył się też starszy o dwa lata Józek Pawłowski, syn sąsiadów, który dla mojej ochrony zadawał sobie nawet trud przychodzenia po mnie do szkoły. Ponadto w miejsce zbiorowych bójek organizował indywidualne pojedynki. Z pewną żenadą wyznaje iż przy wyborze adwersarza często kierowałem się nie stopniem animozji lecz fizycznymi możliwościami przeciwnika. Z biegiem czasu stosunki te jakoś ułożyły się. Co więcej, koledzy z Czerńca pogodzili się też z faktem, że nie włączyłem się do „organizacji wojskowych”, ich podstawowej zabawy. Stanowiska dowódcze były już obsadzone, rola rekruta nie bawiła mnie. Brałem natomiast udział w grach zespołowych, w szczególności kopanie szmacianki (później prawdziwej piłki zdobytej przez wspomnianego Józka Pawłowskiego) zajmowało nam większość wolnego czasu. Naszym boiskiem sportowym najczęściej był ogród państwa Zboźniów (dzisiaj przebiega tamtędy droga Nowy Sącz – Szczawnica).

Nie wiele lepiej było na linii uczeń – nauczyciele. Panie nauczycielki zgodnym chórem wyrażały wątpliwość, czy rzeczywiście jestem synem mojej Mamy. Ponoć moi starsi trzej bracia byli nieporównywalnie spokojniejsi. Chociaż z klasy do klasy przechodziłem bez problemów, nie sądzę aby annały szkolne wymieniały mnie jako przykład cnót uczniowskich. Co prawda zdarzało mi się dostawać za dobre wyniki nagrody książkowe, częściej jednak miewałem nagany i obniżane oceny, zwłaszcza ze sprawowania, a lista zarzutów na wywiadówkach bywała długa. Część z nich przypisywano mi bez mojej – przynajmniej świadomej – winy. W jakimś stopniu był to brak edukacji spowodowany między innymi ograniczonym kontaktem

z rówieśnikami. Na przykład na lekcji języka polskiego pani rzuciła hasło: zagadki. Szczęśliwy iż mogę się wykazać, powtórzyłem zagadkę którą słyszałem dzień wcześniej u sąsiadów zajętych cięciem sieczki. Co to jest: *Pościel trzescy, baba wrzescy, chłop nie pyto ino pcho*. Miała to być sieczkarnia, a zakres mojej ograniczonej wiedzy z zakresu seksuologii nie pozwalał mi zauważyć nic zdroźnego. Oczywiście pani wychowawczyni wpadła w szal, osobiście wybrała się do rodziców, w domu dostałem solidne lanie, szkoła miała kolejną okazję obniżyć mi ocenę ze sprawowania, tylko ja wciąż nie wiedziałem dlaczego. W sumie jednak szkołę wspominam dobrze i wiele jej zawdzięczam. Kiedy właściwie całe półrocze klasy piątej lub szóstej (nie pamiętam dokładnie) spędziłem w łóżku, pani Pasiud (później po mężu Biernacka), wychowawczyni naszej klasy, odwiedzała mnie systematycznie, wskazując kolejne partie materiału do przerobienia i właściwie bez specjalnych sprawdzianów zostałem promowany do następnej klasy i to z dobrymi ocenami. W ramach wielkoduszności, a może zadowolenia iż odchodzę, po zakończeniu szkoły podstawowej wystawiono mi świadectwo w całej mojej dotychczasowej uczniowskiej karierze najlepsze, wyłącznie piątki, nawet ze sprawowania. Równie dobre świadectwo uzyskał w klasie Julian Dybiec, ale był to uczeń i zdolny, i poprawny. Co jednak najważniejsze, szkoła w dużej mierze pomogła mi w dalszej edukacji. Wychowawca klasy, pan Tadeusz Zygałdo (jeszcze raz wyrażam moją głęboką wdzięczność!!!) dostępnymi mu kanałami wysłał stosowną prośbę i w efekcie przez cały okres nauki w liceum, internat miałem opłacany przez Dom Dziecka z Kowańca w Nowym Targu. (Jeśli moja wiedza jest prawdziwa, podobnej pomocy młodzieży łąckiej udzielał też Dom Dziecka w Nowym Sączu). Obowiązek poprawnego opisu mojej drogi życiowej wymaga wyraźnego podkreślenia, że dzieło tworzenia ze mnie matematyka rozpoczął pan Zygałdo, ucząc solidnych podstaw matematyki elementarnej. Z przeprowadzonej przeze mnie analizy badań statystycznych prowadzonych na niektórych wydziałach technicznych we Włoszech wynika, że łatwość opanowywania matematyki mają studenci których początków tego przedmiotu uczył dobry dydaktyk. Nieudolność nauczyciela na dalszych etapach nauki można nadrobić łatwiej. To pokrywa się też z moimi bezpośrednimi obserwacjami. Niewątpliwie pan Zygałdo był pierwszym z serii mistrzów w zakresie matematyki, których miałem szczęście spotkać w trakcie mojej edukacji.

Aby zrozumieć widoczny brak opieki i kontroli rodziców nad piszącym, trzeba wyjaśnić sytuację rodzinną. Ojciec, którego parę lat wcześniej lekarze wypisali ze szpitala aby spokojnie zmarł w domu (okres wojny, brak lekarstw), kiedy wszyscy zasnęli, umęczony gorączką zwiłkł się ze śmiertelnego łóża, doczołgał do sieni gdzie stała beczka z kiszoną kapustą i zaspokoił pragnienie. Kwas przeżarł wrzody, dostał krwotoku wewnętrznego i to uratowało mu życie. Miał jednak ciągłe problemy ze zdrowiem. Leczenie kosztowało. Mimo tego rodzice zdobyli się na wysiłek wysłania dwóch synów, Antoniego i Jana, do szkół w Tarnowie i w Nowym Sączu. Najstarszy brat (Antoni) po zdaniu matury zachorował na zapalenie stawów. Ponieważ uderzona wcześniej noga mocno mu dokuczała, w szpitalu unieruchomiono



W rodzinnym gronie (w mundurku harcerskim)

mu nogę gipsem i odesłano do domu. Dalsze błędne leczenie, a raczej jego brak, doprowadziło do gangreny i śmierci. Kolejny brat (Stanisław) zaziębił się podczas powodziowej akcji straży przeciwpożarowej. Ostrożny lekarz nie dał mu zwolnienia z pracy, w konsekwencji dorobił się zapalenie płuc i gruźlicy. Na szczęście pojawiła się streptomycyna. Na polskim rynku nie była jeszcze dostępna, aby ją kupić od ludzi którzy dostawali ją w paczkach ze Stanów Zjednoczonych, wyprzedano wszystko co było możliwe. Brat wyzdrowiał, ale dom był finansowo całkowicie zrujnowany. Rzecz naturalna, iż w tej sytuacji nikt nie miał ani czasu, ani siły, aby zajmować się rozbrykanym podrostkiem.

Życie nie znosi pustki, puszczony samopas szybko stworzyłem sobie własny świat. Niedaleko rodzinnego domu było stare koryto Dunajca oraz leżące na jego trasie stawy: Bania Czerniecka i Bania Łącka. Teren zawarty pomiędzy starym korytem Dunajca a Dunajcem zwany Łęgami, pokryty był laskiem, krzakami i polanami. W okresie szkoły podstawowej oraz liceum tu właściwie toczyło się moje życie. (Nie bez znaczenia był fakt, iż koledzy z Czerńca okolice tę raczej omijali. Tereny ich działalności ciągnęły się w kierunku Dąbrowy, czyli w stronę przeciwną). Niestety, ta też część mojej „małej ojczyzny” srogo zapłaciła za postęp. W ramach regulacji zniknęło stare koryto Dunajca, zniknęły banie, ich miejsce zajęły bujne chaszczce i śmietnik gminy. Zryte Łęgi są dzisiaj niedostępne. Mętna woda Dunajca nie zachęca do kąpeli, a omszone kamienie odstraszą skutecznie przed wejściem do rzeki nawet tych najodważniejszych. Śmietniki, czy zakłady zanieczyszczające środowisko są ceną rozwoju. Wątpliwości jest jednak dużo. Czy np. tereny nad Dunajcem nie powinny gościć centrum parkowo – wypoczynkowego? W czasach gdy pasłem tam krowy, na terenie tym rozbijali obozy harcerze (przyjaźnie które wówczas zawarłem z krakowskimi harcerzami przetrwały do dnia dzisiejszego). Nad Dunajcem

kręciło się sporo letników. Władze urzeczone możliwością rozwoju ekonomicznego i płynących stąd korzyści, zbyt chyba łatwo pozwalają na niszczenie naturalnych walorów środowiska czy też śladów kultury (wystarczy wspomnieć aktualną sprawę kapliczki w Czerńcu). W okresie poprzednim rządziła ideologia, obecnie rządzi pieniądz, marzy się aby nadszedł czas gdy rządzić będzie rozsądek i odpowiedzialność. Brak perspektywicznego planu zabudowy niestety dość często rzuca się w oczy, np. zagospodarowanie terenu między Czerńcem a Łąckiem, kiedyś zwanego *Ścieżkami*. Chaotyczna zabudowa, wąziutkie dojazdy, brak ulic. Na środku drogi, która winna być główną ulicą umożliwiającą spokojne połączenie z centrum Łącka, wyrósł budynek (okolice gdzie dawniej była łąka Kapturkiewicza). To co winno być piękną dzielnicą willową przypomina raczej labirynt średniowiecznych zakątków, nie ma jednak historycznego uzasadnienia. Nie może pocieszyć fakt iż przypadków nieodpowiedzialnych decyzji również w makroskali jest wokół wiele, np. zabudowa terenów powodziowych (Opole, Wrocław), czy terenów nie nadających się do zabudowy z powodów sejsmicznych (LAquila, Włochy). Taki brak odpowiedzialności jest zawsze kosztowny, a błędy popełniane dzisiaj jutro zweryfikuje życie. Mam duże wątpliwości czy nasi następcy będą obecnych włodarzy oceniać tak pozytywnie jak my, gdy mówimy na przykład o twórcach łąckiego sadownictwa.

Powróćmy jednak do czasu gdy teren Łęgów był jeszcze nietknięty „cywilizacją”. Kamienie Dunajca były czyste, woda przezroczysta, starym korytem płynęła rzeczka, którą co odważniejsi uznawali za zdatną do picia, natomiast bardziej wybredni mogli zaspokoić pragnienie w czystym źródelku, które dawało początek strumykowi wpadającemu do Bani Łąckiej (obecnie teren śmietnika). Łęgi pokryte były laskiem w którym rosły poziomki i brusznice, pod sosnami rozciągały się kolonie maślaków, na zbutwiałych pniach wyrastały kępy opieńiek, w gęstwinie wikliny kryły się splezione na polach zające, piżmaki ryły swoje korytarze w brzegach stawów, a po baniach czujne dzikie kaczki wiodły stadka swoich maleństw. To był mój teren zabaw, podglądania natury, połowów ryb oraz kłusowniczych łowów. Tu były też pastwiska, gdzie pasłem krowy. Obowiązek ten spadł na mnie dość szybko, a do dymisji z funkcji pasterza jak też pomocnika rolnego podałem się dopiero na trzecim roku studiów, kiedy brat założył własną rodzinę, ja zaś na trwałe osiadłem poza domem.

Zajmijmy się teraz obowiązkami i przyjemnościami dzieciństwa. Wraz z pojawieniem się wiosny należało naszą płynącą starym korytem Dunajca rzeczkę uporządkować i uregulować po zimowych wylewach, doprowadzić do stanu przy którym mogliśmy urządzać spływy i rozgrywać batalie floty, konstruowanej zimową porą. Głównymi partnerami w tych zabawach byli bracia Józek i Jędrzek Pałowscy. Razem też planowaliśmy wybudowanie prawdziwej łodzi żaglowej. Kończyło się na znacznie mniej ambitnym zbiciu tratwy z materiałów, które w czasie powodzi dostarczał Dunajec. Tratwa nie tylko pozbawiona była żagla, ale nierzadko, gdy drewno było zbyt spróchniałe, tonęła. Jeśli wiadomość o tym docierała do mamy od przyjaciół, dostawałem w domu kolejne lanie za narażanie dziatwy sąsiadów. Wszyscy jakoś – tym razem zgodnie z prawdą – wierzyli iż byłem głównym pomysłodawcą.

To jednak nie gasiło naszych marzeń, natychmiast przystępowaliśmy do gromadzenia materiału na kolejną próbę konstrukcji wymarzonej pływającej jednostki.

W ramach działalności rybacko-kłusowniczej (tą zajmowałem się już bez pomocników) należało natomiast w miejscach gdzie rzeczka wpływała i wypływała ze stawów odrestaurować przepływy tak, aby pasowały wymiarami do wieszki. Wieszka (więcierz z wikliny) był to owalny pojemnik zrobiony z prętów wiklinowych rozpiętych na elipsowatych obręczach z korzeni jałowca oraz wikliny. Na szerszym końcu pojemnika pręty były zgięte, skierowane do wewnątrz i obcięte, tworząc otwór przez które ryby łatwo mogły wślizgnąć się, natomiast w wypłynięciu przeszkadzały im obcięte pręty. Drugi koniec był zawiązywany sznurkiem. Nasza wieszka (produkt sztuki wikliniarskiej ojca) miała kształt dorodnej nieco spłaszczonej ryby. Wieczorną porą – kiedy ryby ze stawu wypływały na żer do strumyka – ostrożnie aby ich nie spłoszyć, w tak przygotowaną zaskoczkę zarzucało się wieszkę. Płoszone teraz w strumyku ryby uciekając do stawu wpadały do zastawionej pułapki. Po wyciągnięciu wieszki z wody i rozwiązaniu sznurka, zdobycz można było łatwo wysypać. W łowach na zaskoczkę znaczne bogatsze połowy miewali moi starsi bracia, a zwłaszcza Ojciec. Koryto starego Dunajca było wówczas jeszcze jego odnogą, ryb było więcej. Ponoć im nie zdarzało się, aby wieczorny połów wynosił poniżej kilograma ryb. Mnie rzadko zdarzało się aby było powyżej. Za moich czasów płynął tam tylko potok przepływający przez Czerniec, woda Dunajca pojawiała się tylko przy wyższych stanach. Niewątpliwie biłem ich natomiast zapalczywością. Łowiłem ryby również w porach chłódów. Bywało, że wchodząc do lodowatej wody zanurzonych nóg nie czułem. W efekcie dorobiłem się reumatyzmu, który na szczęście wyleczyłem całkowicie metodami naturalnymi, głównie systematycznie spożywaną żurawiną⁶.

Do łowienia ryb w Dunajcu zbliżoną techniką służył więciorek (czyli więcierz). Nasze więciorki (również produkt Taty) miały kształt beczkowatego walca o spłaszczonych ścianach, a uplecione były z drutu. Oba ich końce zakończone były otworami o konstrukcji podobnej jak w przypadku wieszki. Ryby które wpłynęły do środka, nie były w stanie wypłynąć. Zdobycz wyciągało się przez otwieraną klapę w górnej części więciorka. Więciorek pozostawiało się w Dunajcu na całą noc, w przejściach specjalnie w tym celu wybudowanych kamiennych wałów, w miejscach gdzie rzeka rozciągała się niezbyt głęboko i równomiernie. Konstrukcja miała kształt szerokokątnej litery „V”, wznosiła się nieco poniżej poziomu wody, aby nie wzbudzać podejrzeń. Miejsce na więciorek znajdowało się pośrodku zapory. Połowami takimi wytrwale zajmował się Ojciec zanim rozpoczęły się jego problemy zdrowotne. Ryby od Taty kupowali Żydzi. Aby zapewnić sobie owoce nocnego połowu, bardziej spragnieni amatorzy rybiego dania pojawiali się ponoć w domu kiedy było jeszcze ciemno, domownicy spali, a Tata brodził po Dunajcu wyciąga-

⁶ Surową żurawinę miksuje się, miesza z cukrem w relacji kilogram cukru na litr żurawiny i wkłada do słoików. Tak otrzymaną miksturę można rozpuszczać w wodzie i pić rano. Rozpuszcza skryształizowane w stawach substancje. Niestety pomaga tylko przy pewnych schorzeniach reumatycznych.

jąc zastawione wieczorem węciorki. Akcja zaopatrzenia w ryby była pewno jednym z powodów przyjacielskich stosunków Taty z łąką kolonią żydowską. Ryb w Dunajcu było wówczas znacznie więcej, a były to między innymi: łososie, sumy, jelce, świnki, brzany, miętusy, okonie, pstrągi, lipienie. Ilość ryb oraz różnorodność gatunków radykalnie zmniejszyła się po roku 1942, kiedy zakończona budowa zapory w Rożnowie, uniemożliwiła między innymi coroczne wędrówki łososi w tradycyjne miejsca tarła. Historie połowów Taty znam wyłącznie z opowiadania, dotyczy bowiem lat przedwojennych, kiedy jeszcze nie było mnie na świecie.

O ile łowy z wieszką na *zaskoczkę* uprawiałem przez cały okres pobytu w domu rodzinnym, łowy z węciorkiem zakończyły się dość niefortunnie. Aby wyciągnąć węciorek, nad Dunajcem należało pojawić się wraz ze świtem. Któregoś dnia zasnęłam, konkurencji udało się wypatrzyć moje pułapki i węciorki wraz z ewentualną zdobyczą zniknęły. Ponieważ węciorki podobnie jak wieszki należały do dzieł sztuki mojego Ojca, ostatniego węciorka który mi pozostał nie chciałem ryzykować i dalszych połowów zaniechałem. Nigdy natomiast nie nabrałem zamiłowania do wędkarstwa, chociaż był to sposób w naszym gronie popularny. Wędkę robiliśmy sami. Żyłka, korki i haczyki dostępne były w handlu, leszczyzna na wędziska rosła na stokach Cebulówki. Zamiłowanymi wędkarzami z mojego otoczenia zostali Gienek Mrówka i Jaś Stanisław (niestety obaj już nie żyją). Lubilem natomiast łowienie „na rękę”. Można było w ten sposób na stawach z przybrzeżnych szuwarów lub traw wyciągać kielbie, a spod kamieni na Dunajcu gatunki bardziej szlachetne, np. lipienie czy brzany. Miałem w tym pewną wprawę. Pamiętam zdumienie i niedowierzanie moich towarzyszy na biwaku w Bieszczadach, gdy po usłyszeniu życzenia koleżanki: „oj zjadłoby się rybkę”, udałem się do pobliskiego Sanu i po chwili wróciłem z wiązką ryb (w użyciu był nieco barbarzyński zwyczaj noszenia ryb na wiklinowej witce). Niestety, tutaj też zanotowałem poważną wpadkę. Parę lat później, obietnicą obżarstwa świeżymi rybami, namówiłem mojego promotora pracy doktorskiej do wyjazdu z namiotem nad San. Na miejscu, mimo usilnych prób, nie wyciągnąłem ani jednej sztuki. Parę miesięcy wcześniej wpuszczono do Sanu chemikalia i ryby wyginęły. Na szczęście zdarzenie to nie wpłynęło na końcowy wynik mojej obrony i doktorem matematyki zostałem.

Bardziej sportowy charakter miało łowienie na „*ciaparę*”. Potrzebni byli przynajmniej trzech kolaboranci. Dwaj z niewielką siecią przymocowaną do dwóch drążków podchodzili cichutko od strony wody do miejsc przy brzegu (szuwały, gałęzie, wikliny) gdzie można było spodziewać się ryb. Pozostali, kiedy sieć była już ustawiona, płoszyli ryby. Kiedy uciekając uderzały one w sieć, należało je wraz z siecią sprawnie wydostać z wody. Nie zawsze to się udawało, zabawa jednak była zawsze. Niekiedy na Bani Łąckiej pojawiał się z prawdziwą siecią rybacką pan Linder z Niemieckiej Wsi. To już było rybactwo zawodowe, a my pomagaliśmy jako nagonka.

Dla kompletu opisu naszych technik połowu należy również wspomnieć łowienie *na sznur*. Do kawałka sznurka doczepione były na żyłce haczyki. Na haczyki zakładano jako przynętę mniejsze rybki. W naszym przypadku były to *ślize lub gące*.

Te łowiło się wcześniej przy użyciu widelca. Sznur z przymocowany na końcach kamieniami zanurzało się w Dunajcu gdzie prąd był raczej silny i pozostawiało na noc. Choć metoda była dość skuteczna, dostarczała ryb większych, aspekty okrucieństwa szybko mnie do niej zraziły.

Kiedy chłody nie pozwalały już na połowy ryb, pozostało oczekiwanie na śnieg, a po jego opadach staranne badanie śladów. Po zidentyfikowaniu miejsc gdzie zajęcze ścieżki przedzierały się przez płoty, między krzakami czy poprzez szkółki śliwek, zakładałem przygotowane wcześniej oka z drutu, starannie dla zabicia ludzkiego zapachu natarte szyszko-jagodami jałowca. Aktywność ta była już wyraźnie niedozwolona, a pan Humel, myśliwy legalny, starał się nie tylko zastawione wnyki zniszczyć ale i upolować kłusownika. Obaj rezultaty mieliśmy na szczęście marne, lepsze wyniki uzyskiwaliśmy i to po obu stronach, w dziedzinie rybołówstwa (vede więciorki).

Z zabawnym rozrzewnieniem wspominam próby łowienia dzikich kaczek na oka. Oka robiłem z włosienia, z końskiego ogona. Sztukę robienia takich wnyków podpatrzyłem u Dziadka, który czasami tak łowił dzikie ptactwo. Godzinami podpatrywałem pływające kaczki, aby w wiklinach zwisających nad stawem wypatrzeć stosowne miejsce. Mimo paroletnich prób, nie znalazła się kaczka tak naiwna aby wetknąć łebek w oko. Z latami umiłowanie przyrody przewyciężyły moje krwiożercze zapędy łowieckie i chociaż od paru lat jako honorowy gość uczestniczę czasami w polowaniach urządzanych przez krakowskie koło myśliwskie Ryś, mój udział ogranicza się do spaceru po lesie, udziału w zakrapianym przyjęciu oraz odebrania przyznanej mi części upolowanej zdobyczy.

Wydarzeń związanych z nauką w szkole w pamięci pozostało mi niewiele. Więcej pamiętam z przerw, kiedy to wypadaliśmy z terenu szkoły, aby goniąc po zaułkach starego Łącka wyładować nadmiar energii. Nierzadko próbowałem dogonić Julka (dzisiaj szanowanego profesora najstarszej polskiej uczelni), aby wyrównać drobne porachunki. Niestety, na ogół bywał sprytniejszy. Wypadki te były tak absorbujące, że często spóźnialiśmy się na następną lekcję, zmuszając nauczycieli do rozdzielania kolejnych kar. Istniała jeszcze wówczas kara cielesna, uderzenie linijką w rękę. Kiedyś rozbawiony zareagowałem śmiechem. Na ponawiane mocniejsze uderzenia reagowałem mocniejszym śmiechem. Zakończyło się atakiem hysterii pani wychowawczyni i kolejnym wezwaniem moich rodziców. W krótszych przerwach pisałem kolegom wypracowania z języka polskiego. W tym czasie moje zainteresowania szły głównie w kierunku języka polskiego. W tajemnicy pisałem powieść *Chłopcy z nad Rozległego*. Któregoś dnia wpadła ona w ręce mojego brata Jana. Ten w dobrej wierze udzielił mi porad. Kiedy zorientowałem się że moja tajemnica została ujawniona, udałem się do Łęgów i niedokończone dzieło zakończyło swój żywot w ognisku, a lzy wstydu i goryczy nie były w stanie go ugasić. Pamiętam natomiast radość kiedy *Świat Młodych* opublikował moje pierwsze opowiadanie (byłem w klasie siódmej). Współpraca z czasopismem zakończyła się jednak podobnie. W szkole średniej koledzy znaleźli moje wiersze i w ramach kawału wysłali do redakcji. Kiedy z listu

redakcji domyśliłem się co mogło się stać, definitywnie zerwałem z nią kontakt. Było to pierwsze z szeregu zdarzeń które kierunek moich zainteresowań z polonistyki przeniósł na matematykę. Dzięki nim, zamiast miernym polonistą, zostałem w miarę przyzwoitym matematykiem, a zawód ten wykonywany z dużą przyjemnością, umożliwił mi również realizację młodzieńczych marzeń zwiedzania świata.

Zimowe popołudnia, kiedy mróz nie pozwalał szaleć na sankach, spędzałem na wielokrotnym wertowaniu luzem latających już kartek *Robinsona Crusoe*, książki mojego dzieciństwa. Wciąż przerysowywałem zamieszczone w nim ryciny, marząc o zwiedzaniu odległych krajów, spacerach wśród palm i podglądaniu egzotycznej przyrody. Wiedze o świecie uzupełniałem przeglądając kronikę wiadomości w *Rykerzu Niepokalanej*, którego Mama, będąc wiernym prenumeratorem, zgromadziła pełną skrzynię. Tak zrodziło się u mnie pragnienie poznania innych krajów i kultur.

Dość wcześnie pojawił się też u mnie nałóg czytania. Czytałem właściwie wszystko co było dostępne. W okresie licealnym podczas wakacji prowadziłem punkt biblioteczny. Oczywiście przydział pięćdziesięciu tomów z macierzystej biblioteki w Łącku dobierałem pod kątem moich zainteresowań. Bibliotekę prowadziła przeziębiona pani Arendarczyk. Zwykle w czasie wakacji musiałem wymienić książki, bowiem wszystkie zdążyłem przeczytać.

W okresie szkoły podstawowej spotkałem się pierwszy raz z problemem matematycznym. Sąsiad, pan Antoni Faron *spod kapliczki*, właściciel kawałka lasu o kształcie nieforemnego czworokąta, pomierzył jego boki i zlecił mi obliczenie powierzchni. Z zapalem zabrałem się do powierzonego zadania. Stosownych wiadomości z planimetrii jeszcze nie posiadałem, ale doszedłem do wniosku że dane te nie wystarczają do obliczenia żądanej powierzchni (zgodnie z prawdą). Aby uzasadnić moją tezę zbudowałem nawet model z patyków. Pana Antoniego nie przekonałem. Kiedy następny kontrahent wskazaną powierzchnie „policzył”, próbę moich protestów pan Antoni skwitował stwierdzeniem „*cytać to łon i cyto, ale do licenia to głowy ni mo*”. Ponieważ pan Antoni w rodzinie naszej był bardzo szanowany, mimo iż szkoła do moich postępów w matematyce zastrzeżeń nigdy nie miała, opinia o moim braku uzdolnień matematycznych u części rodziny przetrwała do czasów gdy byłem już w tym zakresie pracownikiem naukowym.

Czas najwyższy poświęcić parę słów mojemu Ojcu. Ponieważ Jego działalność stolarska i rzeźbiarska opisana była w artykule pana Jacka Kwita „*Jan Myjak stolarz i rzeźbiarz ludowy*” w numerze V Almanachu Łąckiego, tu ograniczę się do aspektów które w tym artykule nie były poruszane. Ojciec był niezwykle utalentowanym samoukiem, przy tym człowiekiem spokojnym, skromnym, religijnym, bardzo pracowitym, z dużym poczuciem humoru, pełnym życzliwości do ludzi. Oprócz tradycyjnych prac stolarskich (drzwi, okna, schody, drewniane ganki), stolarki artystycznej (ołtarze, boazerie kościelne), robił kunsztowne meble (kredensy, szafy, stoły, krzesła, ławy, skrzynie) łącząc dla zwiększenia efektu różne gatunki drewna. Unikał przy tym używania gwoździ, nawiązując do dawnych tradycji. Kiedy szczęśliwie zdobyte

dwa krzesła wykonania Taty zaniósłem do renowacji w Krakowie, te właśnie aspekty podkreślał właściciel zakładu, napominając abym zadbał o wszystko co jeszcze pozostało. Niestety, w czasie budowy przez brata nowego domu, większość starych mebli uległa zniszczeniu. Ponadto Tata wykonywał wszelkiego typu prace wymagające nieraz wyjątkowych zdolności technicznych. W zależności od potrzeby był szewcem, ślusarzem, tokarzem, kowalem, zegarmistrzem, mechanikiem. Zajmował się wyplataniem koszyków, naprawą obuwia, lutowaniem, pracami szklarskimi, naprawą zegarów, naprawą maszyn do szycia i innych urządzeń domowych które były wówczas w użyciu. Robił żarna, kołowrotki, młynki. Jeśli stan zdrowia mu pozwalał, cały dzień spędzał w swojej pracowni, nazywanej stolarnią. Wieczorem, w ramach rozrywki – póki sen go nie zmorzył – rzeźbił w lipowym drewnie. Podstawowym narzędziem, które używał do rzeźbienia był *kozik*, czyli zrobiony przez Niego nożyk, o drewnianym trzonku. Ostrze do kozików wykonywał zwykle ze starej kosy. Poza podstawowymi pracami jak sianie, sianokosy i żniwa, do prac na gospodarstwie nie był angażowany. Jego światem był warsztat. Tutaj, w idealnym porządku zgromadzony był bogaty zestaw narzędzi i urządzeń, niemal wszystkie zrobione przez Niego, przy czym wiele było prawdziwymi dziełami sztuki. Naczelne miejsce zajmował warsztat stolarski, obok tokarnia, brusy (urządzenia służące do ostrzenia i obróbki metalu) oraz warsztat szewski. Warsztaty, tokarnia i brusy były jego konstrukcji. Szafy wypełnione były różnego typu *heblami* (strugami). Część służyła do tradycyjnego *heblowania* (strugania) desek, część do artystycznej obróbki drewna. Nie tylko części drewniane, ale również ostrza strugów były wykonane przez Ojca. Części metalowe po wykonaniu poddawane były procesowi hartowania, czyli rozgrzewane do czerwoności a następnie zanurzane w zimnej wodzie. Równie bogaty był rozwieszony na ścianie zestaw piłek, których też znaczna część służyła do artystycznego wycinania w drewnie. Warsztat szewski wyposażony był w szeroki asortyment drewnianych kopyt (prawideł), oczywiście wykonanych przez Ojca. Kiedy w handlu nie było igieł do maszyn, zajął się ich produkcją. Robił je ze szprych rowerowych. Sądząc po licznych klientach musiały dobrze sprawdzać się w praktyce. Podobnie, kiedy pojawiły się trudności z zaopatrzeniem w kołki, skonstruował urządzenie do ich produkcji. (Kołki robione z drewna dębowego używano zamiast gwoździ przy zelowaniu butów). Pakował je w pudełka po papierosach, a wracający z jarmarku mieszkańcy okolicznych wsi wstępowali po drodze do Ojca, aby zamienić paczkę sportów na paczkę kołków. Niestety Tata palił bardzo dużo. Lubił prace artystyczne, ale chyba pełnie szczęścia osiągał, kiedy klient przynosił nieznaną mu urządzenie i trzeba było zrozumieć jak ono działa, dorobić brakującą część, nierzadko metalową, a następnie urządzenie to uruchomić. Zaszywał się wówczas w swojej pracowni i nic nie było Go w stanie stamtąd wywabić. Kiedy po paru dniach urządzenie działało, a zadowolony klient pytał, „*Jonie, a co wam mom dać?*”, słysząc odpowiedź Taty „*a co ta chcecie*”, bywało iż opuszczał warsztat z naprawionym urządzeniem oraz pobojnym „*Bóg zapłać*”. Tacie wystarczyło rozwiązanie łamigłówki. Mama, na której głowie było wykarmienie rodziny, słysząc tę szczodłą zapłatę dorzucała ze swej stro-

ny „no to jutro na łobiod bydzies miał Bóg zapłać”. Zaangażowanie w swoją pracę, brak zmysłu materialnego, brak poczucia wartości i potrzeby pieniądza powodował, że w rozwiązywaniu kwestii rodzinnych właściwie nie brał udziału. Żył w świecie swojego warsztatu. Trudności dnia codziennego całkowicie spadały na Mamę, a wszelkie decyzje rodzinne podejmowane były na bazie opinii Dziadka z Woli.

4. Życie i zwyczaje w dawnym Łącku

Trudna sytuacja materialna była udziałem nie tylko mojej rodziny. Pamiętam, iż wysyłało mnie z kilkoma jajkami, które sprzedawałem w sklepiku pani Smajkiewicz, w zamian zaś przynosiłem w zależności od potrzeby: zapałki, sól, cukier, naftę. Takich klientów było więcej, nie wszyscy byli dotknięci serią chorób czy nieszczęśliwych zdarzeń. Warstwa ludności ubogiej była dosyć szeroka. Tu warto przypomnieć ówczesną strukturę społeczeństwa okolic Łącka. Trafną wzmiankę na ten temat można znaleźć w numerze 14 Almanachu Łąckiego na stronie 113, autorstwa prof. Juliana Dybca. Cytuje: „*Łącko do lat pięćdziesiątych XX w. było miejscem, w którym sąsiadowało z sobą kilka światów. Świat gazdów, bogatych gospodarzy zamkniętych w swojej grupie, świat właścicieli drobnych gospodarstw, nie posiadających konia, podstawowego środka pracy na roli i wreszcie świat komorników, wyrobników mających jedynie domek i pracujących głównie u bogatych*”. Wydaje się iż warto ten opis oraz rodzaj zależności między tymi grupami nieco rozwinąć. Wykorzystam przykład Czerńca, który stosunkowo najlepiej pamiętam. Do grupy gospodarzy zamożnych należały rodziny: Ćwikowskich, Sopotów, Franczyków, Kłagów, Pasiu-



Gościńiec przed domem, widoczna stajnia i spichlerz Zbożniów

dów, Majchrzaków. Niewątpliwie w gronie tym przewodziły rodziny Ćwikowskich i Sopatów, które prócz zamożności miały szereg wykształconych przedstawicieli (np. znany mecenas Ćwikowski) jak również znanych działaczy społecznych (warto zobaczyć artykuł J. Dybca „Z Ziemi Łąckiej w świat” Almanach Łącki nr 12 z 2010 r.). Następną grupę stanowili gospodarze mniej zamożni, posiadający konia. Koń nie tylko umożliwiał uprawę roli, ale stwarzał możliwość transportu, np. przywóz opału, dowóz ziarna do młyna i tym podobne. Po prostu dawał niezależność. W przypadku prac cięższych właściciele ci sprzęgali swoje konie aby podołać potrzebie. Zasadniczy podział przebiegał pomiędzy właścicielami chociażby jednego konia, a tymi którzy mieli dom, kawałek ziemi, jedną lub dwie krowy, nie mieli jednak konia. Pamiętam, iż za dniówkę pracy konia należało odrobić 6 dni. Niektórzy obrabiali pola wykorzystując siłę pociągową krów. Rzutowało to na wydajność mleka, stąd pewna niechęć do takiego rozwiązania. Warto przypomnieć, że mleko i jego przeroby stanowiły istotny element wyżywienia rodziny. Stąd popularny termin *krowa żywicielka*. Następną linią podziału odgraniczała warstwę najniższą, wyrobników, czyli tych którzy mieli jedynie ubogą chatę, a pracowali u bogatszych gospodarzy. Od swojego gospodarza dostawali *na odrobek* zagon ziemi pod ziemniaki. W zamian zobowiązani byli do wykonywania różnych prac. Nie umiem odpowiedzieć jak wyglądały rozliczenia w roboczo-dniówkach. Na bazie faktów które pamiętam, sądzę że raczej precyzyjnych rozliczeń nie prowadzono. Dla wyrobników (przynajmniej tych których pamiętam) praca u swojego gospodarza była nie tylko obowiązkiem, ale niemal zaszczytem. Nigdy nie mogłem zrozumieć ich zmartwienia, kiedy zdarzały się przypadki, iż nie wezwano ich do pracy. Należy podkreślić iż nie chodziło o wynagrodzenie, bowiem umowa była roczna, a poszczególne dniówki na całosciowe rozliczenie chyba nie miały wpływu (precyzyjnej księgowości nie prowadzono). Natomiast za okazijną pracę u innych gospodarzy, na przykład w Łącku, byli wynagradzani. O ile warstwa najbogatszych *gazdów* stanowiła grupę zamkniętą, współzycie pomiędzy pozostałymi grupami było bardziej zażyłe.

W naszym sąsiedztwie mieszkało rodzeństwo Maria i Antoni (popularnie zwany *Jontuś Małpecka*) Błaszczycowic, których status był typowo komorniczy. Mieszkali *nad kapliczką* w zaadaptowanym pomieszczeniu gospodarczym, które pozostało ze spalonej w czasie działań wojennych zabudowy. Zagon ziemi dostawali od państwa Ćwikowskich, w naszej piwnicy trzymali ziemniaki, a zboże – podobnie jak my – na naszym strychu. Byli też u nas codziennymi gośćmi, pomagali w pracach polowych jak i domowych, np. zbiory, sianokosy, wykopki, młócenie zboża, przygotowanie drzewa na opał. Nie pamiętam aby prowadzono z nimi rozliczenia finansowe. Kiedy doiły się nasze krowy, a ich koza nie miała mleka, dostawali mleko, częściej ser, czasami miarkę mąki. Byli właściwie domownikami, u nas spędzali długie zimowe wieczory. Czy decydowały o tym nasze ciepłe piece, chęć oszczędzania nafty potrzebnej do oświetlenia, względy towarzyskie, czy ubogość ich domku – nie umiem powiedzieć.

Wyrobnicy zazwyczaj nie mieli własnej krowy, często natomiast hodowali kozy. Koza była mniej wymagająca, można ją było popaść w krzakach lub nakarmić trawą

zebraną na miedzach gospodarzy u których pracowano. Na przykład wspomniane rodzeństwo Błaszczyków miało zawsze kozę.

Mentalności ówczesnych *gazdów łackich* dobrze oddaje następujący fakt. Po wojnie w Łącku działało gimnazjum. Gmina pod kierunkiem wójta Franczyka nie poparła istnienia tej szkoły, w efekcie została zlikwidowana. Otworzone zostały natomiast szkoły średnie w Macinkowicach oraz w Starym Sączu. Ponoć kluczowa chociaż nieoficjalna była następująca argumentacja: jak młodzież pokończy szkoły, kto będzie uprawiał naszą ziemię.

Było dla mnie rzeczą niezwykle zaskakującą iż na Woli, leżącej od Łącka zaledwie w odległości siedmiu kilometrów, tak wyraźnego zróżnicowania społeczeństwa nie było. Być może decydował o tym brak dróg, utrudniony dostęp, uboższe gleby. Nie bez znaczenia był pewno brak warstwy zdecydowanie zamożniejszej. Trudniejsze warunki życia zmuszały do współżycia ze wszystkimi sąsiadami, bez względu na stan ich zamożności. Przyzwyczajony do mniej ostrego podziału na Woli, kastowej sytuacji w mej rodzinnej wsi nie tylko nie zaakceptowałem, ale w całej dalszej mojej działalności unikałem przynależności do izolujących się warstw jak i „grup trzymających władzę”. Zawsze zresztą chodziłem własnymi drogami. Już w domu rodzinnym mówiono o mnie z pewną dezaprobatą „*podoł się na sie jak prosię*”.

Cechą charakterystyczną nie tylko Łącka, ale całego Podhala, która w wyniku przemian powojennych zaniknęła niemal całkowicie, było awanturnictwo. Bijatyki nie tylko należały do folkloru tych stron, stanowiły niemal element kultury, a na pewno rozrywki. Walczyły ze sobą poróżnione grupy, przysiółki, wsie. Okazji było wiele: wesela, zabawy ludowe, uroczystości kościelne typu rekolekcje. Pamiętam, że



Czernieccy kawalerzy (Antoni Faron, Szlęk, autor) Uwodzą Annette Esvan. Rok 1963

po naukach misyjnych grupy młodzieży ciągnęły na obrzeża Łącka, aby tam próbować swoich sił. W moich czasach większych batalii nie odnotowałem, zwykle kończyło się na drobnych przepychankach. Pamiętam też starszą gaźdżinę która podczas wizyty w naszym domu opowiadała zdegustowana: „*ji, co to za wesele, nawet się nie pobili*”. Kiedy już mieszkałem w Krakowie, w czasie pobytu w Łącku mój przyjaciel Adam Klag zaproponował mi kawalerski wypad na zabawę do Zagorzyna. Widząc moje zdumienie, szybko dodał, nie bój się, to nie te czasy, nie ma bójek, jesteśmy teraz wszyscy kolegami. Zmiana tego niezbyt chwalebego zwyczaju nastąpiła gwałtownie. Podejrzewam, iż było to związane z masowym exodusem mojego pokolenia do szkół i pracy poza rodzinną miejscowością (z dwóch siódmych klas mojego rocznika w domu pozostało zaledwie parę osób, z mojej klasy chyba tylko Staszek Pyrdoł). Bez wstydu wyznam, iż z tego zbojeckiego zwyczaju długo ciągnąłem profity. Otóż studiujący fizykę na UJ kolega Tomasz Kęska z Woli przypomniał sobie, że w młodości wraz z kolegami solidnie mnie sprął, kiedy na ich terenie pojawiłem się samotnie furmanką. W celu ugaszenia wyrzutów sumienia zaprosił mnie do cenionej w studenckim gronie winiarni „pod 6-tką” na ulicy Sławkowskiej. Wielokrotnie mu ten bandycki wyczyn wypominałem, co kończyło się kolejną wizytą w tymże lokalu. Fakt, iż owo lanie dostał inny mój ziomek, w degustacji wina zupełnie mi nie przeszkadzał.

Rytm życia mieszkańcom łąckiej kotliny w dużej mierze narzucał kalendarz kościelny. Święta i związane z nim tradycje przeżywane były bardzo poważnie. Wspomnę tylko niektóre z nich. W wigilie Bożego Narodzenia od świtu odczuwało się atmosferę świątecznego podniecenia. Przed porannymi myciem należało do wody wrzucić metalowe pieniążki, aby w nadchodzącym roku kieszeń była zawsze pełna. Z niepokojem (zwłaszcza gdy rodzina posiadała panny na wydaniu) oczekiwano czy pierwszy gość to będzie dorodny młodzieniec. Obowiązywał ścisły post, bardziej zagorzali nie spożywali przed kolacją żadnych posiłków. Sprzątano starannie pomieszczenia, kobiety przygotowywały wigilijną kolację, a zapach wypieków drażnił zgłodniałe podniebienia. Przed wieczorem młodzież ubierała świeżo przyniesione z lasu drzewko. Na stół przykryty białym obrusem wysypywano miarkę owsa, na nim kładziono dorodny bochen chleba. Pod stołem gospodarz układał wiązkę siana, aby Boże Dzieciątko miało gdzie spocząć. Na stole przygotowywano o jedno nakrycie więcej niż liczba domowników, dla przypadkowego gościa. Wygłodniałe od rana dzieci pilnie wyglądały kiedy na niebie pojawi się pierwsza gwiazda, znak iż można zasiąść do biesiadnego stołu. Kolację rozpoczynało się wspólną modlitwą i składaniem opłatkowych życzeń. Składała się ona z szeregu dań wśród których obowiązkowo były: żur z ziemniakami, barszcz czerwony z jaśkiem, kapusta z grochem, kluski z makiem, kompot z suszu. Tego dnia nie spożywano mięsa, ponadto wszystkie potrawy przygotowane były bez tłuszczów zwierzęcych. Po kolacji rozkładano *placki* (czyli świąteczne ciasta) i rozpoczynały się śpiewy kolęd. Przychodzili też sąsiedzi z opłatkowymi życzeniami. Często dołączali oni do chóru śpiewających. Dzieciarnia baraszkowała wykorzystując leżące pod stołem siano. Zabawa trwała

zwykle do momentu wyruszenia na Pasterkę. Przed pójściem do kościoła, owies ze stołu młodzież ładowała do kieszeni. Służył do obrzucania znajomych, zwłaszcza wybranych panienek. Owies ten służył też do obrzucania sąsiadów następnego dnia, kiedy szło się *na podłazy*, czyli składanie życzeń. Wygłaszano przy tym formułki w rodzaju: „*Na szczęście, na zdrowie, na to Boże Narodzenie co by wom sie darzyło wselkie stworzenie, w łoborze, w komorze, co doj Ponie Boze. Co by w każdym kątku było po dzieciątku a na piecu dwoje*”.

W okresie Bożego Narodzenia w okolicy Łącka popularne były jasełka z turoniem oraz przedstawienia z szopką. Wykonawstwo turoni jak też szopek było specjalnością mojego Ojca⁷. Niestety, osobiście w przedstawieniach z turoniem nie uczestniczyłem. Natomiast przez parę lat chodziłem z szopką. Była to rozrywka jak również sposób zarobienia paru groszy. W specjalnie zorganizowanej grupie zabieraliśmy szopkę wraz z dwoma kuferkami giergolaków i ruszaliśmy wieczorem na obchód wybranej wioski. Zwykle wcześniej zamawiała nas tam rodzina posiadająca dzieci. Podchodziliśmy pod okna, śpiewaliśmy kolędę, gospodarze otwierali drzwi, ustawiało się szopkę i następowało przedstawienie. Chociaż przedstawienie było dla dzieci, dorośli nie odmawiali swojego udziału. Następnie, już bez wcześniejszego zaproszenia, za to z gronem ciekawskich, odwiedzaliśmy domy wskazanych sąsiadów. Rzadko zdarzało się aby nas nie wpuszczano, chociaż często gospodarze jak i ich dziatwa byli już pogrążeni w śnie.

Szopka posiadała trzy wieże, których pierwowzorem były wieże mariackie. W bocznych wieżach był warsztat ślusarski-kowalski, zespół drwali oraz straż pożarna. W środkowej tańczące wesele. Na zakończenie spektaklu, za pomocą korby uruchamiało się wszystkie figurki. Mechanizmy były niezwykle pomysłowe. Rzemieślnicy wykonywali swoje prace, kowal kuł żelazo, drwale cięli drzewo, strażacy poruszali pompę która oblewała widzów wodą, uczestnicy wesela tańczyli, przy czym obracała się cała sala balowa jak i poszczególne pary. W dolnej części środkowej wieży była stajenka, w której oprócz Dzieciątka, Mari i Józefa była również krowa i wół. Akcja rozgrywała się w tej stajence. Najpierw występował pasterz z monologiem: „*Kozy moje kozy, bydełko kochane nie chodciez tam gdzie są psy i wilki po lesie zbłąkone, ale się trzymojcie stadelka swojego, cobyście nie wyginely syćkie, co do jednego*”. Na scenę wchodzi drugi pasterz, któremu pierwszy zadaje pytanie: „*A ty Kuba gdzieś tak długo bawił. Ani mnie ani sobie nic ześ gądnego nie sprawił. Wilk nom rozsiepoł jagnicę, a ty ło nicym nie wiys*”. Następnie już recytują razem: „*O jakaż tu piykno polana, a tam śniegi po kolana. Połóżmy się spać, tu nam dobrze bydzie*”. Układają się do snu. Słychać chrapanie a na jego tle głos Anioła „*Gloria, gloria in exselsis deo*”, który oznajmia narodzenie Jezusa. Obudzeni pasterze składają pokłon Jezusowi. Występują kolejne postacie reprezentujące życie w dawnym Łącku. Wśród nich wiedźma robiąca w *masńnicy* masło, dziad z workiem zbierający pieniądze i opowiadający barwne historie. Jeśli nasze informacje pozwalały, staraliśmy się

⁷ Turonie wykonane przez Tatę znajdują się w niektórych muzeach polskich oraz niemieckich. Podobno zawędrowały też do USA. Szopka znajdująca się w Krakowie uległa zniszczeniu.

wkręcić tekst związany z odwiedzanym domem. Rzemieślnicy reklamowali swoją pracę. Garncarz wołał: „*garnki drutuje*”, konkurent: „*miski lutuje*”; przekrzykiwał ich kominiarz: „*kominy wymiatam*”. Strojny Herod wygłaszał pochwałę samego siebie: „*Oto jestem świata król, tysiąc rzek, tysiąc gór, tam moje imię włada, a gdy ja idę cały lud przede mną pada*”. Monolog ten przerywa śmierć: „*Ty Herodzie okrutniku, chciałeś zabić Syna Bożego, teraz cię pozbędę życia twój*”. Herod prośbami i groźbami próbuje ją przekonać. W końcu ofiarowuje jej purpurę królewską, na co śmierć odpowiada: „*Jam w purpurze nie chodziła i chodzić nie będę, królewskie łby scinałam i ścinać je będę*”. Przy pomocy kosi ścina mu głowę, ze słowami: „*A za twoje wszystkie zbytki, idź do piekła boś ty brzydki*”. Głowa spada, a czerwone frendzle wzudzały strach dzieci. Historia toczy się dalej. Górale występują urozmaicając swoje tańce przyśpiewkami w rodzaju: „*Ej jo se górolicek, ej w małym kapelusku, ej syćko umiem robić, ej ale pomaluśku*” lub „*Malutkie dziwce mom, malutkie mi trzeba, coś mi po drabinie, nie póde do nieba*”, zaś Krakowiak bronił się tekstem: „*Krakowiaczek ci jo, w Krakowie siem rodził, sześć latek mi było, gdym za pługiem chodził*”. Problemy ze społecznością Żydowską znalazły odzwierciedlenie w następującej scenie: Żyd obciążony słoiczkami i flaseczkami, pokrzykuje: „*Z olejkami, z kropelkami do szopy przybawaj, do szopy przybawaj*”. Jego współtowarzysz dorzuca: „*Legum, legum molitana co zarobim to dla pana, trefne olejki*”. Z kolei na scenie pojawia się parobek z cepami, który oburzony handlowymi wyczynami sprzedawców w chwili tak ważnego wydarzenia religijnego mówi: „*Żydzie, Żydzie jo ciebie naucę, jo ciebie naucę, jak cię z przodu, jak cię z tyłu tym kijem wymłóć*”. Obkładając cepami Żydów zmusza ich do oddania pokłonu Dziecięciu. Można domyślać się, że źródłem tej scenki był fakt iż przed wojną handel łącki w dużej mierze spoczywał w rękach żydowskich. Zwykle najwięcej uciechy było, kiedy niedźwiedź prowadzony na łańcuchu przez Cygana zaczyna szaleć i w pewnym momencie obsikuje publiczność. Nie trzeba dodawać, że sikawkę kierowaliśmy zwykle na upatrzoną panienkę.

Zupełnie inny charakter miały Święta Wielkanocne. Rozpoczęły go nuki misyjne. Pobożny lud ściągwał masowo z okolicznych wiosek. Młodzież miast książeczek do nabożeństwa często zabierała wyposażenie które mogło się przydać w ewentualnych bójkach. O ile okres wielkiego postu nie był już tak rygorystycznie traktowany jak w czasach poprzednich pokoleń, w Wielki Piątek oraz w Wielką Sobotę dalej obowiązywał surowy regulamin. Oprócz przestrzegania ścisłego postu, nie wolno było śmiać się ani żartować, a dzieciom nie pozwalano nawet bawić się (przynajmniej w naszej rodzinie). W dniach tych parokrotnie w ciągu dnia ustawieni w kolumnę, urządzaliśmy przemarsz od granicy z Zabrzeżą, do granicy z Łąckiem, a następnie poprzez wieś w kierunku Byniowej, Paproci oraz Jeżowej, tłukąc *kłapaczkami*⁸ w rytmie: raz-dwa, raz-dwa, trzy-cztery-pięć, trzy-cztery-pięć. W przemarszu uczestniczyli tylko chłopcy. Drewniany głos kłapaczek doskonale harmonizował z obowiązującą żałobą. Wieczorem w Wielką Sobotę, po poświęceniu przy koście-

⁸ Kłapaczka (kołatka) był to osadzony na trzonku kawałek deski do którego na osi przymocowane były dwa drewniane młoteczki. Większość kłapaczek które używaliśmy wykonana była przez mojego Ojca.

le ognia, zapalało się umocowane na drucie huby, starannie wcześniej wysuszone, z którymi należało wrócić do domu i okadzić wszystkie pomieszczenia. Aby można było donieść ogień np. do Zagorzyna, Kiczni czy Zarzeczca (wsie te należały wówczas do parafii Łąckiej), huby musiały być rzeczywiście dorodne (Aktualnie ze względu na bezpieczeństwo pożarowe noszenie ognia zostało całkowicie zabronione). Warto też wspomnieć, że koszyki ze *święcenią* często zawierały oprócz pokaznej ilości jaj, chrzanu, soli, całe zvitki kiełbasy, dorodny bochen chleba, solidną osełkę masła. Były ciężkie, ale przecież musiało być bogato. Wielka Niedziela przeznaczona była na wypoczynek. W wielu rodzinach (np. w mojej) tego dnia nie wolno było sprzątać, ścielić łóżek, odwiedzać sąsiadów. Z domu wychodziło się tylko do kościoła. Wesoły natomiast był poniedziałek – ale to już powszechnie znany *śmigus-dyndus*, jego opis możemy więc pominąć.

Łącko systematycznie nawiedzały powodzie. Ta klęska natury dla nas dzieci stanowiła wielką przygodę. Pierwszy powodziowy ewenement pojawiał się wraz z wiosną, kiedy ruszały lody. Pilnie obserwowaliśmy Dunajec od Zabrzeży do Jazowska, aby nie przegapić miejsc w których powstawały zatory. Zmaganie się rzeki z lodem tworzyło interesujące widoki. Trzaskał łamiący się lód, podnosił się poziom wody, siła rzeki wypychała odłamy lodu w górę. Kiedyś woda porwała mnie wraz z krą. Na szczęście skończyło się na wielkim strachu i kąpieli w zimnej wodzie. Dla okolicy większych zagrożeń przy tej okazji nie było. Powodzie niosące szkody zdarzały się latem. Zwykle poprzedzał je trzydniowy rześisty deszcz. Dunajec wlewał szeroko. Łęgi zamieniały się w koryto rzeki. Strażacy za każdym razem rozpoczynali akcję od ściągnięcia z Łęgów rodziny Mrówków. Zwykle po zakończonej akcji pan Mrówka ze starszym synem Gienkiem potajemnie wracali do domu, aby z bliska podziwiać żywioł wodny, pilnować domu, łowić ryby i dary rzeki. Pewnego razu zdarzyło się iż stan wody przekroczył spodziewany poziom i aby ratować się spędzili siedem godzin na stojącej w pobliżu domu sośnie. Również niektórzy mieszkańcy wioski korzystali z nadarżającej się okazji. Za pomocą ośki (żerdzi z przymocowanym na końcu hakiem) wyciągali z rwącego nurtu drewniane bale i deski. W nowopowstałych zatokach umocowanymi na żerdzi sieciami łowiono chroniące się tam ryby (w takich połowach uczestniczyłem osobiście). Zaledwie rzeka zaczynała opadać, co więksi ryzykanci dostawali się natychmiast na teren Łęgów, aby w krzakach szukać dóbr przyniesionych przez rzekę. (Na przykład mąka w worku nadawała się do użytku. Pod powierzchnią worka powstawała cienka wilgotna warstwa, pozostała zawartość była sucha, mogła służyć jako pasza). Przez cały dzień, a niekiedy i noc we wsi śpiewały piły i grały cyrkularki. Nowi posiadacze drewna starali się pociąć zdobycz, zanim nadciągną pracownicy państwowych tartaków oraz leśni strażnicy próbujący odzyskać porwane przez rzekę drewno. Powódź dostarczała też naszej paczce materiał na budowę tratw. Z tamtych wydarzeń w pamięci pozostały mi spienione nurty rzeki z płynącymi drewnianymi balami, nocny głos pił oraz wątpliwość, czy to co większość społeczności aprobejuje, jest rzeczywiście moralnie usprawiedliwione.

Praca na roli była w tych czasach ciężka, a było co robić przez cały rok. Ze względu na górski teren oraz małe pola, maszyn, które na nizinach były już w powszechnym użyciu, tutaj jeszcze nie wprowadzono. Siłę pociągową stanowił koń. Orka, sianie, sadzenie odbywało się przy pomocy rąk i siły konia. Biedniejsi *okopywali* ziemniaki ręcznie używając motyk, posiadający konia raczej ziemniaki *oborywali*. Z okresu dzieciństwa pamiętam, że koszenie odbywało się wyłącznie za pomocą kos. Owies i jęczmień koszone na pokos. Żyto i pszenicę *podkaszano*. Kosiarz układał tak pokos, aby opierał się o stojący łań zboża, *podbierająca* przy pomocy sierpa kobieta zbierała ścięte zboże, a następnie układała je w snopki. Żyto i pszenicę wiązano używając w tym celu koszone zboże. Powiązane snopki składano w tak zwane dziesiątki, które przykrywano chochołem. Owies i jęczmień wiązano wcześniej przygotowanymi powróżkami z żytniej słomy lub z gałązek brzozy. Zboża te przeschnięte już na pokosie, składano w większe kopy. Koniczynę i siano układano na ostrewkach⁹. Zwykle Słońce prażyło niemilosiernie, zboże – zwłaszcza żyto – drapało ręce, pot spływał strumieniami. Któregoś roku mama była chora i całe żniwa obrobiliśmy z bratem. On kosił, ja podbierałem. Odczułem wówczas na własnej skórze, iż praca wiejskich kobiet, była rzeczywiście ciężka. Ponieważ nie stosowano oprysków, często zboża porośnięte były trawą. Podbierające kobiety wytrzepywały trawę, a po zakończonej pracy zawijały ją w lniane płachty i nieraz z odległych pól dźwigały na plecach, aby nakarmić pozostawione w domu bydło. Trawa była cenionym dobrem. Widok tych zmęczonych kobiet dźwigających trawę w płachtach poraża mnie jeszcze dzisiaj.

Trudno powstrzymać się od porównania ze scenkami rodzajowymi dzisiejszej rzeczywistości. Odwiedzam znajomego gospodarza w jednej z bardziej górzystych wiosek gminy Łącko. Do leżącej na uboczu chaty docieram poprzez morze trawy. W miejscu gdzie dawniej rozciągały się łąny zbóż gniją pokosy zsieczonego siana (problem unijnych dotacji). Dzień roboczy, godzina jedenasta. Rodzinę zastaje przed włączonym telewizorem. W programie film przyrodniczy. Dorosła część rodziny urozmaica oglądanie płynem ze stojącej butelki. Co słychać? Kiepsko, roboty nie ma, a na roli nic się nie opłaca. A krów ile teraz macie? (Pamiętam iż dawniej w oborze stało sztuk siedem). Żadnej, kto by tego *dozierał*. Nie opłaca się. Przed domem leniwie skubie trawę parę owiec. Widząc mój wzrok gospodarz dorzuca, chodzą same, ale wełny nikt nie chce, skóry nie sprzedasz. Ciężkie czasy. Pytam ile jeszcze gospodarstw w wiosce ma krowy. Cztery na pewno, dyskusja czy dwa następne jeszcze mają. I znów nie opłaca się. Od paru lat corocznie przemierzam samochodem Austrię, Republikę Czech, Włochy, wszędzie na łąkach pasą się krowy. Im się opłaca. Ponieważ intrygował mnie sposób życia w tej nowej rzeczywistości, za parę dni ponowiłem wizytę. Dzień świąteczny, odwiedziny rodziny. Przyjezdne dzieci proszą: Babciu, dałaby nam babcia takiego serka jak zawsze robi. Zakłopotana babcia prosi syna aby sfatygowanym samochodem pojechał, do sąsiedniej wioski

⁹ Ostrewki sporządzano z niewielkich świerków, pozostawiając przy pniu kawałki gałęzi. Kołem robiło się w ziemi dziurę, a w niej umocowywano ostrewkę. Koniczynę oraz siano układano na ostrewce. Haki z gałęzi służyły do podtrzymywania zbioru.

gdzie jeszcze jedna z gospodyni ser wyrabia. Wyjechałem bez uzyskania odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. Po drodze do Krakowa wpadam na daczę kolegi. Przyjaciel zajęty kopaniem rowu. „Stary, widzę że dbamy o zdrowie, ruch, czynne wakacje”. Odpowiedź: „Gdzie tam, muszę rury zakopać, a robotnika dzisiaj na wsi nie znajdziesz”. W drodze do Krakowa uporczywie nurtują mnie pytania: Kiedy umrą starsi, których renta często stanowi bazę utrzymania rodziny, państwo przestanie dokładać do KRUS, a chińscy przedsiębiorcy – nowi właściciele rynku gospodarczego – unikać będą zatrudniania tubylców, co zrobią młodzi, czy będą od nowa uczyć się uprawiania ziemi? Gdzie wyjadą, gdy miejsca pracy w Europie będą już zajęte przez Azjatów?

Kiedy zebrane zboże wyschło, należało je zwieść. Ładowano je na *drabiniaste* wozy i powoli zwożono z pól często wyboistymi i stromymi drogami. Wóz podskakiwał na dziurach i nierzadko, pomimo że widełkami podpierany był z zagrożonej strony, przewracał się. Wówczas należało go częściowo rozładować, postawić, załadować ponownie. Przy zwózce siana i koniczyny ładunek z góry przyciskany był *pawężem* (żerdzią). Kiedy wyjechało się na równą drogę pomagający woźnicy pomocnicy w nagrodę mogli wydrapać się na wóz. To były ich chwile przyjemności.

Znacznie mniej męcząca była praca przy wykopkach. W polu stawała się liczna grupa sąsiadów. Brakowało zwykle gospodarzy, obowiązkiem których było przygotowanie posiłków. Przy pomocy konia i pług wyorywano ziemniaczane rzędy. Pracowało się albo parami (jedna osoba rozgrzebywała wyoraną skibę motyką, druga zbierała ziemniaki), albo samodzielnie (jedna osoba wykonywała obie czynności). W czasie pracy zabawiano się rozmowami. Podczas *wykopków* można było zapoznać się z wszystkimi plotkami dotyczącymi mieszkańców wioski, jak też poznać historie z przeszłości. Zespół kopiących był zwykle dobrany tak, aby wykopki danego gospodarza ukończyć w jednym dniu (chodziło o wykorzystanie konia). Następnego dnia przechodzono do sąsiada, często w tym samym składzie, zmieniała się jedynie ekipa odpowiedzialna za posiłki. Nie zmieniało się natomiast menu. Każdego dnia na drugie śniadanie oraz *juzynę* (podwieczorek) był kołacz¹⁰, a na obiad knedle ze śliwkami. Ziemniaki zwożono do piwnicy, a jeśli tam nie wystarczało miejsca chowano je w tzw. *kopcach*¹¹. Zbiór buraków oraz *karpieli* (brukwi) na ogół, poszczególni gospodarze wykonywali już we własnym zakresie.

Młocka to osobny rozdział, a rewolucja tej pracy odbyła się na moich oczach. W początkach mojego dzieciństwa w wielu gospodarstwach (np. u Dziadka na Woli) zboża młócono wyłącznie cepami. Odgłos uderzeń cepów towarzyszył nam przez parę zimowych tygodni. Następnie pojawiły się młockarnie. Maszynę tę poruszał kierat ciągnięty przez konie. Zboże należało potem młynkować. Z biegiem czasu kierat został zastąpiony motorem, a stara prymitywna młockarnia maszyną większą,

¹⁰ Kołacz to chleb pokryty masą z sera rozrobionego z gotowanymi ziemniakami, przy czym ilość ziemniaków w zależności od gospodyni mogła być niewielka, mogła stanowić przytłaczającą większość, a w skrajnych przypadkach stanowić niemal całość. W serniku było mniej ciasta, a masę stanowił ser.

¹¹ W specjalnie przygotowany dół w ziemi wsypywano ziemniaki i przykrywano je świerkowymi gałęziami i ziemią.

wykonującą czynności bardziej złożone, samodzielnie czyszczącą ziarno. Obecnie coraz częściej pojawiają się kombajny. Aby młócić cepami rozwiązane snopki zboża układano na klepisku, kłosami do środka. Jeśli młócono w dwójkę, lub w trójkę, młócający stali zwykle twarzami do siebie i uderzali kolejno w to samo miejsce, stopniowo przesuując się. Rytm uderzeń kierował pracą zespołu. Jeśli młócających było więcej, układali się w pary. Cepami młóciłem zarówno w zespole dwuosobowym (z bratem), jak również w zespole trzyosobowym (z bratem i *Jontusiem Małpecką*). Młócka taka nie łamała słomy. Omłóconą słomę wiązano w *kąty* (duże snopki). Używano ją na poszycie dachów, do wyrobu powróseł, wypełniania sienników, cięto na sieczkę. Również wówczas gdy młockę robiliśmy używając młockarni, zwykle część żyta młóciliśmy cepami, aby uzyskać potrzebne w gospodarstwie kąty. W mojej pamięci młócka cepami pozostała pracą przyjemną i nie męczącą.

5. Krościenko – szkoła średnia

Nauka w szkole podstawowej dobiegła końca. Dom rodzinny dewastowany kolejnymi nieszczęściami, nie bardzo miał siły myśleć o mojej przyszłości. Ja byłem zdecydowany kontynuować naukę, aby zdobyć niezależny zawód. Kiedy w szkole pojawił się przedstawiciel Liceum Ogólnokształcącego w Krościenku agitując do podjęcia nauki w tej szkole, dla mnie zaistniała konkretna możliwość. Młodzież łącka zwyczajowo nauki pobierała w Nowym lub Starym Sączu. Liceum w Krościenku miało wówczas problemy z naborem uczniów, stąd akcja. Aby udać się do Krościenka na egzamin (raczej rozmowę wstępną), musiałem zdobyć pieniądze na dojazd. W tym celu pozbierałem jajka z gniazd w stodole. Stodoła była nasza, kury sąsiada (informuje legalnego spadkobiercę Ks. Profesora Majchrzaka, iż ewentualne przestępstwo uległo przedawnieniu, szans na odszkodowanie nie ma). Egzamin był w poniedziałek, ja pojechałem w niedzielę. Budynek szkoły był zamknięty. W internacie gdzie mieszkała część pedagogicznego grona, poinformowano mnie, iż na egzamin należy zgłosić się następnego dnia. Minę musiałem mieć niewyraźną, bo litościwa pani która udzielała informacji, zaproponowała mi nocleg. Oczywiście zawstydzony uciekłem. Pozostałą część dnia błąkałem się po Krościenku. Pieniądzy na ponowną podróż nie miałem, wyliczona kwota wystarczała wyłącznie na bilet powrotny. Kiedy zrobiło się ciemno poszedłem z boczem Marsołka w stronę wiejskich chat. Nauczony zwyczajem Woli poprosiłem zaspane go wieśniaka o nocleg. Ten, po uzyskaniu potwierdzenia iż idę na jarmark, odesłał mnie do stodoły (Kto dzisiaj nocą wpuściłby obcego do swojego domostwa!). Zagrzebałem się w słomę, a wczesnym rankiem uciekłem, wyglądu kupca przecież nie miałem. Nieumyty, nieuczesany i głodny zjawiłem się na rozmowę egzaminacyjną. Opisuje to dokładnie, aby po latach wyrazić podziw dla komisji egzaminacyjnej, która niezrażona niezbyt chyba schludnym wyglądem, a być może i pozostałymi po nocy żdźbłami słomy w czuprynie, wpisała mnie odważnie na listę uczniów.

Oprócz mnie w Krościenku wyładowali też Antoni Faron z Pożóg, Tadeusz Adamczyk z Zabrzeży oraz Czesław Mikołajczyk z Kamienicy. Na krótko znaleźli się też tutaj Eugeniusz Mrówka z Czerńca oraz Faron z Zabrzeży. Wszyscy zostaliśmy zakwaterowani w internacie, gdzie należało dostarczyć własny siennik (Iniany worek wypchany słomą) i pościel. Pamiętam, iż w naszym 6-ścio osobowym pokoju wszystkie łóżka były zaścielone pierzynami i każdego ranka samodzielnie je słałiśmy. Wymagane wyposażenie dla mnie, oraz Tadzia Adamczyka, zabrał na swoją furmankę wraz z kandydatami na uczniów, tato Antoniego Farona. Podróż ta utkwiła mi w pamięci. Słońce grzało mocno, a my wygodnie rozciągnięci na siennikach podziwialiśmy meandry Dunajca, przepełnieni ciekawością nowego życia.

Liceum Ogólnokształcące w Krościenku w tym czasie borykało się z trudnościami kadrowymi jak też naborem uczniów. Z moich czasów liczba uczniów wszystkich czterech klas oscylowała wokół osiemdziesiątki. Kadra nauczycielska podlegała ciągłym fluktuacjom. Z niektórych przedmiotów każdego roku mieliśmy innego wykładowcę. Część profesorów dopiero zdobywała kwalifikacje, część łądowała tu pewno karnie¹². Byli wśród nich wyznawcy istniejącej rzeczywistości, zwolennicy poprzedniego systemu, jak też świeżo upieczeni entuzjaści swoich przedmiotów. Była to mieszanka piorunująca, a w ciągle ideologiczne konflikty byliśmy nieuchronnie wciągani. Z perspektywy czasu i doświadczenia życiowego uważam jednak, iż poza nieistotnymi wyjątkami, był to wspaniały zespół, który miał znaczny wpływ na nasze dalsze postępowanie. Wspomnę tylko niektórych z naszych nauczycieli.

Prof. Kołodziejczyk, dyrektor szkoły, z przekonania komunista, podczas wojny z bolszewikami jako ochotnik wstąpił do legionów Piłsudzkiego (sic!). Po wojnie, relegowany z partii podobno za wierność ideom, został zesłany do peryferyjnego liceum w Krościenku. Komunista, ale przede wszystkim patriota, Polak, oddany swojej placówce. Aby bronić dobro publiczne, uzbroił nas w kije od szczotek i jak przystało na legionistę, poprowadził do ataku na miejscowych chuliganów, którzy przez wybite szyby próbowali wtargnąć do internatu żeńskiego. Cześć koleżanek obroniliśmy, ale tak wywołany konflikt trwał lata. Z internatu wychodziliśmy w grupach. Pomimo ostrożności kiedyś nieprzytomnego zaniesiono mnie do chirurga. Nie byłem jedynym poszkodowanym, a zagrożenie dotyczyło też nauczycieli. Kiedy późnym popołudniem wychodziliśmy z internatu na religie, dyr. Kołodziejczyk, starannie sprawdzał czy do grupy dołączyli wszyscy zdeklarowani katolicy. Większa grupa stwarzała mniejsze zagrożenie, w efekcie jednak zagorzały ateista, pilnował abyśmy religii nie opuszczali. Nasze bezpieczeństwo było ważniejsze niż ideowe spory. Różnice światopoglądowe nie miały zupełnie wpływu na nasze stosunki. Kiedy w późniejszym okresie, zdarzyło mi się być zaproszonym na uroczystości w moim Liceum, Prof. Kołodziejczyk gościł i nocował mnie w swoim domu.

¹² W tych czasach z kadrą nauczycielską bywały przeróżne historie. Brat mój przerwał naukę w liceum i podjął pracę jako nauczyciel w Kamienicy. Dyrekcja szkoły zmusiła go do nauczania języka rosyjskiego. Nie uchronił go fakt, iż jego znajomość rosyjskiego, zdobyta podczas zajęć w nieukończonyj jeszcze szkole średniej, wykraczała niewiele poza znajomość alfabetu. Pamiętam że na kartce wypisywał słówka, które wkuwał na pamięć. Tak przygotowany szedł na lekcje.

Prof. Gębala, brutalnie przesłuchiwany w czasie wojny przez Gestapo, nie wydał nikogo. Przeżył, ale mocno poszkodowany. W środowisku Krościenka cieszył się głębokim poważaniem. Jako nauczyciel był wymagający. Ucząc nas biologii, organizował dodatkowe zajęcia poświęcone zakazanej wówczas „imperialistycznej genetyce”. Po wyłożeniu programowego materiału dotyczącego osiągnięć radzieckich uczonych Łysenki czy Miczurina, robił przerwę i przekazywał dla naszej wiadomości swoją, na ten temat opinie (bzdury). Jak wspomniałem w zespole byli komuniści z przekonania. Niewątpliwie fakty te znali, nie słyszałem jednak aby prof. Gębala miał kłopoty z powodu tak prowadzonych zajęć.

Prof. Łaciak, będąc klerykiem wsiadał na rower aby odwiedzić koleżankę. Kiedyś z kół uszło powietrze i do seminarium nie zdążył wrócić, w efekcie koleżanka została Jego żoną, a on ukończył na UJ-cie historię. Wieczorem, kiedy w klasie maturalnej mieszkaliśmy w prowadzonym przez niego internacie szkoły zawodowej, wpadał do naszego pokoju i godzinami snuł opowiadania o swoich studenckich czasach, początkach piwnicy pod Baranami, figlach które w świetle jego opowiadań wydawały się być podstawowym obowiązkiem studenta, a zwłaszcza o wyczynach swojego kolegi Piotra Skrzyneckiego (późniejszej ikony Krakowa). Były to wspaniałe historie, które budziły w nas chęć studiowania w Krakowie. Nigdy też nie zapomniał przynieść nowej literatury z historii, oraz sprawdzić czy dokładnie przeczytaliśmy poprzednią. Prowokował dyskusje, a jego interpretacja historycznych faktów z reguły nie pokrywała się z obowiązującą linią ideologiczną. Czasami wieczorną porą zaglądał do naszego pokoju z informacją, iż musi wyjść na miasto. Natychmiast dwóch z nas podrywało się na spacer. Nigdy nie było mowy iż jest to obstawa. (Awantury z miastem zakończyły się definitywnie rok później, gdy za czyny, nie związane ze szkołą, przywódcy lokalnej chuliganerii *Kita* i *Dwadzieściaosiem* dostali dość wysokie wyroki).

W pierwszej i drugiej klasie fizyki i matematyki uczyła nas pani Noworolnik. Maturę zdała zaocznie i również zaocznie kontynuowała studia. Była osobą rozsądną i niewątpliwie kandydatem na świetnego nauczyciela tych przedmiotów, chociaż w tym czasie jej przygotowanie merytoryczne było jeszcze wyraźnie niewystarczające (samodzielnie studiowała kierunek ścisły!!). Niestety już w pierwszej klasie naraziłem się jej całkiem niepotrzebnie i głupio. Otóż pewnego dnia bezskutecznie próbowała rozwiązać przykład z fizyki. Znudzony pożyczyłem podręcznik od kolegi (podręczniki miała tylko część uczniów, do której zwykle nie należałem) i zorientowałem się iż teoria związana z lekcją, została niewłaściwie zinterpretowana. Zmieniłem ustawienie problemu i przykład wyszedł. Zdarzenie pewno zakończyłoby się dobrze, gdyby nie fakt, iż nieco oszołomiona Pani próbowała dociec, dlaczego znałem teorie, której jeszcze na lekcji nie było. Moje (często zresztą przez otoczenie nie akceptowane) poczucie humoru podsunęło mi następujące wyjaśnienie: poprzedniego dnia przypadkowo spotkana Cyganka wywróżyła mi, iż dzisiaj wykładowcy nie będą przygotowani do zajęć. Zdobyłem więc podręczniki i cała noc poświęciłem na studiowanie lekcji. I oto trud został wynagrodzony. Przemęczona Pani dostała

ataku płaczu, ja zaś zarobiłem pierwszą trójkę ze sprawowania. Gorzej, gdyż całkiem niepotrzebnie tak obniżona ocena wprost przykleiła się do mnie. Na szczęście, chociaż w ciągu roku wyprawiała różne wolty, na koniec przyjmowała zwykle przyzwolitą postać i do następnej klasy przechodziłem bez przeszkód.

W klasie dziesiątej matematyki uczył nas niezwykle oryginalny. Podejrzewam, że wiedzę miał raczej głęboką, ale antytalent do tłumaczenia nieporównywalnie większy. Dość wspomnieć, że w ciągu roku nikomu z nas nie udało się zrozumieć ani jednej jego matematycznej wypowiedzi, a nie byłem jedynym w klasie, który do matematyki miał pewne predyspozycje.

Matematyk z prawdziwego zdarzenia pojawił się u nas dopiero w klasie jedenastej. Był to mgr Eugeniusz Satoła, świeżo upieczony absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na szczęście nie przstraszył Go stan naszej wiedzy, a realizowany przez siebie program dostosował do naszego poziomu. Oczywiście w ciągu jednego roku nie odrobiliśmy zaległości lat poprzednich, ale przynajmniej część z nas zaczęła przedmiot rozumieć. On też namówił mnie do podjęcia studiów matematycznych prostą argumentacją: *Zbyt wiele to ty nie umiesz, ale oni¹³ są rozsądni, mogą cię przyjąć, a jak się dostaniesz, radę sobie dasz. Na inne kierunki konkurencja duża i należałoby umieć więcej.* Prof. Satoła, człowiek o poglądach zdecydowanie lewicowych, niedługo później odszedł do pracy w aparacie partyjnym. Parokrotnie odwiedzałem go, gdy pełnił funkcje sekretarza partii w Nowym Targu. Ja zarzucałem mu, iż mając talent dydaktyczny, porzucił szkołę dla pracy w administracji, pracy, którą każdy potrafi wykonywać. On wypominał mi, iż byłem zaślepionym klerykałem, z którym rozsądnie rozmawiać się nie dało. Humorystycznie dorzucał, że właśnie ja swoim zakutym łbem i uporem zniechęciłem go do pracy dydaktycznej. Wyznam, że naszych wcześniejszych dyskusji ideologicznych zupełnie nie pamiętam. Pamiętam natomiast że poza programem wyjaśnił mi parę matematycznych kwestii, jak również dostarczył nieco zadań. Zbiory zadań były wówczas trudno dostępne. Mimo deklarowanych różnicy poglądów mieliśmy do siebie, chyba wzajemnie, uczucie sympatii i szacunku. Przyznam też, iż niekiedy wymagało to z Jego strony znacznej wyrozumiałości. Kiedyś spotkałem go w przedsionku łąckiego kościoła, gdzie jako konkurent do ręki Elzy Popiołkówny, w jej rodzinnym gronie udał się na mszę. Znając jego poglądy usłużnie podałem mu w przedsionku kościoła wodę święconą. Następnego dnia, już w Krościenku, skomentował to z klasą: *no to miałeś okazję się wykazać.* Z czasem bezpośredni kontakt uległ osłabieniu, jednak poprzez wspólnych znajomych, systematycznie póki żył, przekazywaliśmy sobie wiadomości i pozdrowienia.

W kalejdoskopie zmieniającego się grona profesorskiego były dwa punkty stałe. *Babuszka*, samotna rosyjska arystokratka, która usiłując uczyć nas języka rosyjskiego i francuskiego pragnęła osiągnąć wiek emerytalny. Niestety, nasza ideologiczna niechęć i lekceważący stosunek do rosyjskiego przeniósł się również na francuski, w efekcie z obu języków nie nauczyliśmy się niczego (oba te języki opanowałem do-

¹³ Oczywiście miał na myśli matematyków na Uniwersytecie Jagiellońskim.

piero po studiach). Niezwykle dobrodusznym, nie potrafiła nas zmobilizować do pracy. Przeciwnie był prof. Rogowski (zwany przez nas Kostek), genialny polonista, niezrealizowany autor powieści psychologicznych (początkowo nastawiony do mnie przychylnie udostępnił mi fragmenty rękopisów), głęboki mistyk. Jego mistyka polegała głównie na obowiązku obrony społeczeństwa przed jednostkami szkodliwymi. Ostatecznie w naszej klasie jako jednostki szkodliwe zostali rozpoznani: Staszek Hamerski z Grywałdu, Czesiek Mikołajczyk z Kamienicy, Andrzej Kołodziejczyk (syn dyrektora szkoły) oraz piszący. Bodajże w klasie dziesiątej przygotowano mi skargę na prof. Rogowskiego, którą miałem złożyć do kuratorium. Odmówiłem podpisania uważając, że powinni podpisać również koledzy traktowani podobnie. Stawiało to w trudnej sytuacji dyrektora szkoły, bowiem jednym z prześladowanych był jego syn. W sumie akcja nie została podjęta. Dla mnie prof. Rogowski w ostatecznym rozliczeniu okazał się korzystny, definitywnie bowiem wyleczył mnie z zainteresowania polonistyką. Dość wspomnieć, że z oceny bardzo dobry w pierwszej klasie, na półroczne klasy maturalnej spadłem na ocenę niedostateczną, pomimo iż temu przedmiotowi poświęcałem najwięcej czasu. Staszek i Czesiek oblali maturę, Andrzeja i mnie wybroniono. Andrzej był dobrym humanistą, ponadto ojciec był dyrektorem szkoły, ja stałem raczej dobrze z wszystkich pozostałych przedmiotów. Całkiem oryginalny przebieg miał mój egzamin maturalny z polskiego. Na pierwsze pytanie w moim odczuciu odpowiedziałem dobrze, Kostek jednak wpisał mi ocenę niedostateczną. Drugie pytanie dotyczyło całokształtu twórczości Sienkiewicza, którą znałem raczej dobrze. Kiedy dotarliśmy do noweli „Janko Muzykant”, otrzymałem serię szczegółowych pytań, typu: jak mama kochała Janka (może go tam i kochała po swojemu, ale była dość często i zwykle nazywała odmieńcem). Broniłem się dość długo, w końcu padłem, nie umiałem nazwać zielska w których chował się Janek (łopuchy). Zdenerwowany moją płynną odpowiedzią Kostek wpadł w trans i zaczął mi wymyślać: jak z tak marnym przygotowaniem mogłem przystąpić do egzaminu. W tym momencie pozostali członkowie komisji demonstracyjnie opuścili salę. Po ich wyjściu przerwałem odpowiedź i spokojnie zaproponowałem aby zakończyć tę komedię. Urok polegał na tym, iż na ostatnie pytanie z wylosowanego kompletu zupełnie nie umiałem odpowiedzieć. Był to strzał w dziesiątkę, opuszczając samowolnie salę kątem oka zauważyłem, iż za drugie i trzecie pytanie zreflektowany Kostek wpisał mi trójki, co oznaczało iż maturę zdałem. Ciekawe były losy oblanych kolegów. Matury zdali w innych szkołach i wyładowali w aparacie partyjnym. Czesiek przez pewien okres był nawet w Komitecie Wojewódzkim w Krakowie osobą bardzo wpływową (prowadził sprawy personalne). Ponieważ wcześniej obaj byli zdecydowanie prokościelni, a Kostek również reprezentował szkolną frakcję kościelną, ciekawe byłoby zrozumieć, na ile pechowo oblana matura miała wpływ na ich dalsze wybory. Być może im również Kostek „wyprostował” drogi życia, a losy ich mogłyby się potoczyć zupełnie inaczej, gdybym przygotowaną mi skargę podpisał.

Przez cały okres szkoły średniej byłem uczniem w miarę dobrym, chociaż ciemne momenty nie rzadko przeważały nad jasnymi. Miałem też parę momentów chwa-

ły i w ramach ograniczonej skromności jedno z nich przypomnę. W liceum o palmę pierwszeństwa w matematyce walczył w owym czasie uczeń Pietrzak z klasy jedenastej, z dwoma kolegami z klasy dziesiątej. Nadarzyła się okazja aby konkurencje walczącej trójki rozstrzygnąć. Koło matematyków AGH przebywające w przerwie semestralnej w Krościenku, postanowiło w naszym liceum urządzić matematyczny konkurs. Faworyt, kolega Pietrzak, zajął miejsce drugie z 47 punktami (na 100 możliwych). Miejsce pierwsze z 97 punktami zajął nieznany dotąd w tej konkurencji, uczeń klasy dziewiątej, piszący właśnie te wspomnienia. Od tego momentu zaczęto dopatrywać się u mnie pewnych dyspozycji do matematyki. Ja sam miałem jeszcze długo wątpliwości, które ostatecznie usunął wspomniany prof. Satoła. Bardziej dowcipni, a może lepiej poinformowani, wynik konkursu tłumaczyli co prawda interwencją Ducha Świętego, zniechęcony bowiem kolega Pietrzak zamiast na matematyce, wylądował w seminarium.

W okresie nauki do domu wpadaliśmy rzadko, nie częściej niż raz na dwa miesiące. Dojazd do Krościenka był bowiem dość utrudniony. Dwa razy dziennie kursował rozklekotany autobus, często jednak bywał przepełniony i chętni na pasażerów pozostawali na przystanku. Był to chyba jeden z powodów dla których pranie bielizny robiliśmy we własnym zakresie. Ponieważ na prasowanie nie zawsze mieliśmy ochotę, musieliśmy w dzisiejszym pojęciu wyglądać ciekawie. Pościel natomiast prano nam w domu. Czasem po zakończonych lekcjach w sobotę, z Krościenka do Łącka wędrowaliśmy pieszo. Wędrówki te wspominam jako wydarzenia niezwykle przyjemne. Bawiliśmy się przez całą drogę, wymyślając różne psikusy. Z powrotem, zważywszy na wyladowany wiktuałami bagaż, trzeba było wracać autobusem. Niestety, ten kursował nieregularnie, bywał przepełniony i nierzadko musieliśmy następnego dnia ponawiać próbę zdobycia miejsca, zwykle stojącego. Czekając na autobus dla ogrzania się w chłodne dni rozpalaliśmy na przystanku ognisko (rzecz dzisiaj niewyobrażalna).

Przez pierwsze dwa lata mieszkalem w internacie, który mieścił się w odizolowanym budynku przy polnej drodze prowadzącej od ulicy Zdrojowej, do źródeł wód mineralnych. Budynek nie był zelektryfikowany. Lekcje odrabialiśmy przy lampach naftowych. Byłem w klasie IX, gdy świeżo przybyły dyrektor Kołodziejczyk, zorganizował delegację młodzieży do redaktora Życia Literackiego, tow. Machejka, należącego do ówczesnej elity politycznej. Dzięki jego poparciu do budynku został doprowadzony prąd. Były to czasy kiedy interwencja partyjna była potrzebna nawet przy załatwianiu tak podstawowych spraw.

Zimą pokoje ogrzewaliśmy piecami węglowymi. Palenie w nich należało do naszych obowiązków. Którejś nocy obudziłem się z ogromnym bólem głowy. Ponieważ ponadto było mi niedobrze, aby wymiotować otwarłem pobliskie okno. Osłabiony nie miałem siły go zamknąć. To pewnie uratowało nam życie. Kiedy rano nieprzytomnych zabrano nas do szpitala, po czadzie nie było śladu. Nasze twierdzenie, że ulegliśmy zaccadzeniu nie znalazło posłuchu. W czasie rewizji w jednej szafy znaleziono butelkę po winie. W tym czasie za picie alkoholu relegowano ze szko-

ły. W pewnym momencie uświadomiłem sobie, iż była to butelka po winie którą Andrzej Kołodziejczyk, syn nowego dyrektora szkoły, przyniósł aby wkupić się do naszej grupy. Zadeklarowałem więc, że była to butelka po soku z dzikiej róży, który przywiozłem z domu i widocznie końcówka sfermentowała. Na szczęście Andrzej butelkę rozpoznał i prawdę wyznał ojcu, który starannie pilnował aby nie ukarano mnie zbyt srogo. Ponieważ w zac zadanie nikt nie wierzył, trzymano nas w szpitalu na ścisłej diecie ponad tydzień. Koleżanki ze Szczawnicy zadbały o nielegalne zaopatrzenie i był to okres nieumiarkowanego obżarstwa. Prowadzący nas lekarze, mimo starannych codziennych badań, nie mogli zrozumieć ani rodzaju zatrucia, ani naszego szybkiego powrotu do zdrowia, ani doskonałych humorów. Oryginalny był też finał tego zdarzenia. Już jako asystent odwiedzając Krościenko spotkałem w restauracji prof. Kazia Zborowskiego. Wspominając stare czasy wychyliliśmy parę lampek. W pewnym momencie mój towarzysz zadał mi sakramentalne pytanie: Co wyście wówczas pili, że tak potwornie wam zaszkodziło. Kiedy zgodnie z prawdą powiedziałem, iż po prostu zaczadziliśmy się, obrażony tak upartym brakiem zaufania opuścił lokal i było to nasze ostatnie spotkanie.

Warto wspomnieć, iż na początku, wyżywienie na stołówce internatu było fatalne. Wbrew zakazom z posmarowanych kromek chleba ściągaliśmy zjełczałe masło, pozostawiając jedynie buraczaną marmoladę. Często trudno było również zjeść słodkie przemarznięte ziemniaki. Zabieraliśmy wtedy kotlety aby zjeść je później z chlebem, co również było zabronione. Chleb potajemnie podrzucały nam pracujące w kuchni panie. Obrzydzeniem napawały trafiające się w kaszy robaki. Z każdym jednak rokiem jakość wyżywienia ulegała poprawie, aby w ostatnich latach osiągnąć właściwie zadawalający poziom.

Byliśmy grupą uczniów bardzo żywotną, z niekończącą się gamą pomysłów na psoty. Zrozpaczona wychowawczyni w internacie doszła do wniosku, że sytuacja ulegnie poprawie jeśli pozbędzie się mnie z internatu. W klasie dziesiątej zostałem więc przeniesiony do internatu szkoły zawodowej. Prowadzący ten internat, wspomniany wyżej prof. Łaciak, problem rozwiązał prosto. Przydzielił mi małą klitkę wraz z osobnym kluczem oraz prośbą, abym kontakty z jego podopiecznymi ograniczał do minimum. Szybko zdobyłem jednak jego zaufanie i właściwie zostałem nieformalnym pomocnikiem. Uzyskaną swobodę poruszania się dowolną porą, wykorzystywałem na nocne wypadki w pobliskie góry, między innymi niezapomniane wejścia na Trzy Korony oraz Sokolicę przy świetle księżycy, czy też prawie całonocny wypad na Lubań. Jeszcze dzisiaj księżycowa noc wyciąga mnie z domu. Ze względu na specyficzne stosunki z tubylcami wyjście na miasto było wykluczone. Ponieważ sytuacja w internacie nie uległa poprawie, w następnym roku dołączyli do mnie pozostali koledzy z klasy: Tadeusz Adamczyk, Antoni Faron i Czesiek Mikołajczyk. Z prof. Łaciakiem również koledzy znaleźli wspólny język i ten okres pobytu w Krościenku wspominam jako niezwykle sympatyczny.

Klasą byliśmy nieliczną ale bardzo zwartą, zgodnie współpracującą w różnych sytuacjach. Właściwie niemal wszyscy pochodziliśmy z rodzin mających ograniczo-

ne możliwości finansowe. Wielu z nas nosiło ubrania pokryte łatami. Sam kiedyś, aby załatać dziury na kolanach pociąłem czapkę, co zakończyło się ropnym zapaleniem uszu (zima była wówczas mroźna). Nie czuliśmy jednak z tego powodu kompleksu. Co więcej, Krościenko było szkołą przyjmującą uczniów z tak zwanym wilczym biletem, czyli uczniów którzy w macierzystych szkołach mieli problemy. Przez naszą klasę przewinęli się między innymi Krzysiu Korosadowicz z Zakopanego, Andrzej Wilczek (członek kadry pływackiej) oraz Jasiu Simler z Krakowa. Pomimo iż byli to chłopcy światowi, zamożni, o charakterach nieprzeciętnych, ze znacznie większym od nas wyrobieniem życiowym i wiedzy ogólnej, błyskawicznie dopasowywali się do naszej atmosfery, akceptując nasze zwyczaje. My również traktowaliśmy ich z sympatią, wnosili bowiem powiew wielkiego świata. Kiedy okres kwarantanny mijał i mogli powrócić do swoich miast, odchodzili od nas z widocznym żalem.

Pod wpływem starszego brata, oraz przedwojennych podręczników skautingu, wychowywałem się w kulcie harcerstwa. Osobiste doświadczenia miałem jednak mniej fascynujące. Z działalności harcerskiej w szkole podstawowej pamiętam niewiele, była po prostu mało interesująca, pozostały mi tylko zdjęcia w harcerskim mundurku. Będąc w liceum zrobiłem kurs instruktorski w Nowym Targu. Koszta wyjazdów pokrywała szkoła, która wytypowała mnie oficjalnie w nagrodę za dobre wyniki (prawdopodobniej by mieć chwile spokoju). Były to wspaniałe wypady, podchody na stokach Turbacza, wieczorowe harcerskie gawędy przy ognisku, na którym w kociołku bulgotała herbata doprawiona uzbieranymi wcześniej ziołami oraz gałązką jodły. Instruktorzy byli harcerzami przedwojennymi i reprezentowali harcerstwo moich wyobrażeń. Niewątpliwie uroku dodawało towarzystwo Eli Kurasad, koleżanki z klasy, która uczestniczyła w kursie wraz ze mną. Po przyjeździe do Krakowa zostałem mianowany przybocznym w Liceum Sobieskiego. Zetknięcie jednak z młodzieżą miejską i zajęcia świetlicowe wyraźnie mnie nudziły, dlatego też z działalności tej szybko zrezygnowałem. Utrzymuję natomiast do chwili obecnej kontakty towarzyskie z byłymi harcerzami krakowskimi, których poznałem jeszcze będąc uczniem szkoły podstawowej. Zapał do harcerstwa próbowałem przekazać mojemu synowi. Kiedy jednak przyjrzałem się zajęciom jego skautingowej grupy w L'Aquila,, przypomniały mi się doświadczenia krakowskie i spokojnie zaakceptowałem rezygnację syna z tej działalności.

Nie udało mi się również zrealizować innego marzenia – latania na szybowcach. Aby dostać się na kurs szybowcowy należało przejść badania w ośrodku lotniczym w Radomiu. Pojechaliśmy tam z Jasiem Walickim, również kolegą z klasy. Była to moja pierwsza daleka podróż. Na kurs zostałem zakwalifikowany i miałem go odbyć nieodpłatnie w Nowym Targu. Ponieważ jednak byłem niepełnoletni, potrzebna była zgoda rodziców. W tym celu przyjechałem do domu rodzinnego. Kiedy jednak przyjrzałem się sytuacji, choremu Ojcu i zapracowanej Mamie, stosownych druków nawet nie wyciągnąłem. Ktoś przecież musiał pomóc w letnich pracach. Ponadto okres wakacji dostarczał możliwości zarobienia trochę pieniędzy (zrywanie czereśni, śliw, jabłek), które musiały mi wystarczyć na następny rok szkolny. Jak

wspomniałem poprzednio, pobyt w internacie miałem opłacony przez Dom Dziecka, musiałem jednak zdobyć kieszonkowe, na zeszyty, wypad do kina czy możliwość opłacenia przejazdu do rodzinnego domu. Należy dodać, że brak pieniędzy okazał się dla mnie zbawienny, być może dzięki temu uniknąłem alkoholizmu. Otóż w klasie jedenastej niektórzy z moich kolegów zaczęli zaglądać do kieliszka. Ponieważ należałem do ludzi towarzyskich, chętnie widziano mnie jako kompana. Ambicja nie pozwalała mi pić na ich rachunek. Wymyśliłem więc powiastkę, iż złożyłem ślubowanie niespożywania alkoholu. Aby być wiarygodnym, trzymałem się tej wersji konsekwentnie. Problem picia trunków rozwiązałem, zrodziła się jednak plotka że wybieram się do seminarium. Konsekwencje tego były różne, najboleśniejszą dla mnie była ta, iż niewielkie już zainteresowanie koleżanek moją osobą zmalało jeszcze bardziej.

W klasie jedenastej prof. Łaciak zorganizował wycieczkę do Krakowa. Była to moja pierwsza wizyta w tym królewskim mieście. W zespole obiektów odwiedzanych był również Uniwersytet Jagielloński. Gmachy uniwersytetu zrobiły na mnie ogromne wrażenie, a schodząc schodami dostojnego Collegium Novum przyrzekłem sobie iż tutaj będę studiował. Szczęśliwie marzenie to udało mi się zrealizować, tutaj też uzyskałem kolejne stopnie, czyli doktorat, habilitację oraz profesurę.



***W przyjaźni z ludźmi na Warmii, Mazurach, nad Dunajcem i Popradem
Maria Kownacka w przyrodzie i krajoznawstwie***

Pierwsze – już dziś zapomniane, jak wiele innych – o masowym nakładzie czasopismo popularne o tematyce turystyczno-krajoznawczej „Turysta w Polsce” ukazało się na początku 1935 roku. Turystyce wyznaczano 77 lat temu rolę dźwigni dla gospodarki naszego kraju. W siedem lat po drugiej wojnie światowej, z datą 22 lipca 1952 r. ukazał się miesięcznik „Turysta”. Więc łatwo można policzyć, że od tego wydarzenia minęło 60 lat. Tego samego dnia uchwalono nową Konstytucję, ustanowiona została, należąca coraz bardziej do historii, Polska Rzeczpospolita Ludowa. Dla uczczenia tych wydarzeń politycznych odbywały się 2 – 20-dniowe... spływy kajakowe.

Miesięcznik „Turysta” – był tzw. organem prasowym powstałego w 1950 roku Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, a wydawany był od lipca-sierpnia 1952 – do kwietnia 1961 roku przez ówczesny concern prasowy Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa”. Pismo – zgodnie z kanonem polskiego krajoznawstwa „poznaj swój kraj” – miało przyczynić się nie tylko do pełniejszego poznania kraju odbudowywanego po niszczycielskiej wojnie. Miało też przyczynić się do demokratyzacji turystyki, która miała wychowywać i być prawdziwie masowa, dostępna dla każdego bez względu na wiek i zasobność. Zaliczona już wtedy do wybitnych pisarek opowiadań dla dzieci, utworów dla dziecięcych teatrzyków kukiełkowych, wierszy i opowiadań wychowawczych, Maria Kownacka (1894 – 1982), także zapalona turystka zachęcała do poznawania różnorodności przyrodniczej kraju i apelowała do wędrujących po kraju o poszanowanie przyrody.

Autorka literatury dziecięcej zaczęła zamieszczać swoje teksty na łamach „Turysty” niejako w konsekwencji jej członkostwa w tej masowej organizacji, które datuje się od 8 października 1953 roku (nr legitymacji 43890). Publikowanie na tych łamach było okazją do wspomagania działań PTTK, głównie w rozwijaniu turystyki przyrodniczej i krajoznawstwa. A swą bogatą wiedzę na temat krajoznawstwa, turystyki, potrzeby ochrony i poznawania przyrody gromadziła w atrakcyjnych okolicach naszego kraju, od Pienin i Beskidów po Żuławy, Warmię i Mazury. Osobny rozdział tworzą związki Marii Kownackiej z Łąckiem i sąsiednią Zabrzeżą. Obrazki „z natury” kreśliła niemal każdego dnia w czasie wędrowek turystycznych i pobytów urlopowych, stale z notatnikiem, aparatem fotograficznym i lornetką¹.

Jej teksty mimo upływu czasu, choć coraz bardziej zapomniane, to warto przypomnieć ich wymowę, bo ciągle służą tym samym celom. Przypomniane dalej publika-

¹ Tym artykułem chcę przypomnieć dorobek Marii Kownackiej, nieznaną szerzej twórczość o tematyce krajoznawczej i przyrodniczej, a przede wszystkim bardzo mało znane jej publikacje sprzed ponad 60 lat. Znalazł się tu także osobliwy bo jak najbardziej okolicznościowy „wiersz turystyczny”. Nawiązuję do mojej obszernej biograficznej publikacji poświęconej wybitnej pisarce z okazji 30 rocznicy jej śmierci, zamieszczonej w „Almanachu Łąckim” nr 16 / 2012

cje Marii Kownackiej, wpisane są w kroniki rozwoju turystyki na Sądecczyźnie. Przed wielu laty zachęcały do wędrówek poznawczych po kraju, wspomagały wychowanie, nauczanie, uczyły szacunku zarówno dla ludzi jak przyrody. Szczególna ich rola przypada kształtowaniu przyjacielskiego odnoszenia się do „braci mniejszych w naturze”, do poznawania i czynnej ochrony polskiej przyrody. Ideałem Marii Kownackiej przez całe długie życie wypełnione twórczością dla najmłodszych, zmierzało do nauczania w przyrodzie, o przyrodzie i dla przyrody. Podczas wycieczki było to wychowanie przez zabawę, obserwowanie różnorodności i poznawanie bogatej natury, pozostawienie odwiedzanych miejsc w takim stanie, aby swą różnorodnością i pięknem służyły innym. Były to „żelazne” zasady uznawane przez pisarkę i wypełniały jej twórczość jako zachęty i wzory do naśladowania. „Przede wszystkim nie szkodzić” – ta starożytna zasada jest stale ważna nie tylko w odniesieniu do przyrody. Nasze ciągle bardzo bogate otoczenie naturalne nie może być egoistycznie używane jako dobro czy choćby pojedynczy przedmiot jednorazowego użytku. Szkodząc przyrodzie w istocie szkodzimy sami sobie.

To przesłanie z twórczości Marii Kownackiej sprzed lat jest ciągle na czasie, jest stale ważne, tak jak dla milionów jej czytelników było często odkryciem i zachętą do naśladowania wzorów zapisanych w działaniach jej literackich bohaterów. Pisarka od dziecka żyła w przyrodzie, podziwiała ją, zachwycała się jej osobliwościami, najczęściej ptakami, barwnymi i szarymi, niezwykłymi i pospolitymi. Urodziła się 11 września 1894 roku w majątku Słup opodal Kutna, w rodzinnym dworze Ludwika z Lesznowskich i Jana Kownackiego. Była czwartym z kolei dzieckiem w tej rodzinie, miała starszego brata Stanisława, siostry Janinę i Zofię. Dom rodzinny otaczały pola uprawne, łąki, mały park ze stawem, przydomowy ogród warzywny i kwiatowy. Jak w wielu wiejskich domach były psy, koty i wiele innych zwierząt. To wszystko od najmłodszych lat sprzyjało przyszłej samorodnej pisarce w poznawaniu bujnej przyrody.

Miała ogromne upodobanie do wędrówek krajoznawczych, do poznawania różnorodności polskiej przyrody po to, aby wszystko, co było dla niej ciekawe, ważne, nowe, przekazywać w swojej twórczości dzieciom i dorosłym. Wiedzę o przyrodzie zbierała podczas licznych górskich wędrówek w Karkonoszach, Beskidach Wyspowym i Sądeckim², w Gorcach, Pieninach i Tatrach. To było tworzywo jej publikacji w formie felietonów czy opowieści o charakterze wychowawczym, z „morałem na rzecz poszanowania przyrody”, do czego upoważniała ją rozległa samodzielnie zdobyta wiedza obserwatora natury. Najbardziej znane utwory Marii Kownackiej to historia poznane-go podczas pobytu w Ryrtrze losu jelonka, czyli *Rogaś z doliny roztoki*, a także *Kajtkowe przygody*, opowiadanie o oswojonym bocianie w gospodarstwie wiejskim w Krzyw-dzie na Podlasiu, gdzie autorka spędziła cztery lata podczas okupacji (1940 – 1944).

² Serdeczne, wieloletnie i twórcze związanie Marii Kownackiej z Sądecczyzną przedstawił prof. Bolesław Faron (historyk literatury XX wieku, członek Kolegium Redakcyjnego naszego półrocznika) w opracowaniu „*Maria Kownacka nad Dunajcem i Popradem*”, podczas Ogólnopolskiej Sesji Naukowej pt. *Sądecczyzna w literaturze polskiej, w dawnej historiografii i mediach*, która odbyła się podczas obchodów 720-lecia Nowego Sącza w dniach 18 i 19 czerwca 2012 r. w sądeckim Miasteczku Galicyjskim.

Pomagała tam w gospodarstwie siostry Jadwigi. Opowiadania o jelonku i bocianie poznały setki tysięcy młodych czytelników.

Dzieje koziołka uratowanego z beskidzkiego lasu na stokach Radziejowej, poznała Maria Kownacka podczas jednego z wielu pobytów w Rytrze z opowiadania leśnika Konstantego Kowalskiego. Wiele innych wątków krajoznawczych poznała dzięki znajomości z ryterskimi nauczycielkami – Stefanią Laskowską i Marią Czechówną. Spotkania z przyrodą zapisywała w małych notatnikach wycieczkowych. Zachowało się kilkanaście notesów wypełnionych spostrzeżeniami z wędrówek, zapisanych drobnym pismem autorki. Opisowała i fotografowała domy, zwierzęta i bogatą przyrodę, w okolicach wielu znanych miejscowości – Zakopanego, Krynicy, Szczawnicy, Krościenka, Piwnicznej, Rytra, Łącka.

W czasie licznych w latach 1952 – 1960 wędrówek po gorczańskich polach, lasach, nad Dunajcem i Kamienicą, po ścieżkach i bezdrożach w Beskidzie Sądeckim nad Popradem, z podziwem zapisła np. 8 lipca 1959 roku ulotne (dosłownie) obserwowanie żółtopiórej wilgi. Innym razem opisane potem w „Turyście” spotkanie z gromadą salamander plamistych gdzieś koło Krynicy. Innym razem podziwiała błyskawiczny lot zimorodka nad bystrym nurtem gorczańskiej Kamienicy i zręczność goniących owady żółtych i siwych pliszek na rzečním kamieńcu. Jej teksty „przyrodnicze” znalazły się w najpierwszych numerach tego czasopisma, tj. 2 (7), 4 (9) i 9 (14) z 1953 roku, a także wyrażały podziw dla różnorodnej przyrody w setkach innych publikacji, w artykułach dla czasopism dziecięcych, wierszach, audycjach radiowych.

W tych publikacjach Maria Kownacka wyrażała się krytycznie o niskiej kulturze turystów, ubolewała i wytykała niewiedzę przyrodniczą, a teksty okraszała obficie pouczeniami o treści i wymowie wychowawczej i edukacyjnej. Felietony w tonacji pogadanek czy opowieści z „morałem na rzecz przyrody” znalazły się na łamach „Turysty” w drugim roku ukazywania się pisma, a więc wszystkie jeszcze w czasie poprzedzającym członkostwo pisarki w PTTK - wydawcy tego czasopisma. Wspomniane teksty odnoszą się wprost do sytuacji „w terenie” i wynikają wprost z jej doświadczeń turystycznych, krajoznawczych, wiedzy i troski o przyrodę, z troski o jej ochronę i zachowanie dla przyszłości. Na łamach „Turysty” jest wiele tekstów autorów zaliczanych do wybitnych twórców³.

Od lutego do września 1953 roku w „Turyście” ukazały się **trzy felietony** w których autorka zarażona turystyką, krajoznawstwem i przyrodoznawstwem zwracała uwagę na konieczność ochrony roślin i zwierząt podczas wycieczek pieszych i narciarskich. Za każdym razem w różnych rejonach Polski autorka przemierzała szlaki turystyczne i bezdroża, które dawały wiele wrażeń poznawczych z okolic wielu znanych i nieznanymi miejscowości. A zawsze przy takich okazjach potrafiła zachwycać

³ Na łamach „Turysty” publikowali współcześnie Marii Kownackiej pisarze i poeci, jak np. Gustaw Morcinek, Jalu Kurek, Władysław Broniewski, Jarosław Iwaszkiewicz, Józef Kapeniak, Jan Alfred Szczepański, Tadeusz Staich, Stanisław Pagaczewski, Wilhelm Szewczyk, Eugeniusz Paukszta, Jan Koprowski, wybitni naukowcy – jak Aleksander Gierys, artyści fotograficy przyrody i krajobrazu polskiego – Włodzimierz Puchalski i Edward Hartwig. Pismo od stycznia 1958 do kwietnia 1961 roku ukazywało się jako dwutygodnik, a jego kontynuatorem był „ilustrowany magazyn turystyczny – imt Światowid” (od maja 1961 do sierpnia 1989 roku).

się widokiem ptaków w locie i spoczynku, ich zachowań czy różnorodnością upierzenia, bogactwem przyrody w lasach i obfitością kwiecistych łąk, osobliwymi zjawiskami naturalnymi.

Pierwszy felieton, zatytułowany *Temat zawsze aktualny...* przedstawia powszechne w swoim czasie (ale czy dzisiaj całkiem nieznane?) przypadki niszczenia przyrody chronionej. W tym przypadku (odrażające zdarzenia niszczenia przyrody miało miejsce na szlaku wycieczki do Jagniątkowa 9 września 1952 roku), autorka upominała się, aby w okolicach Szklarskiej Poręby nie zrywać „dla przyjemności”, jakże krótkotrwałej, kwiatów (i to z korzeniami!) gencjany, czyli chronionej goryczki. Niestety, ładne, ale jednak „zielsko” uznawane przez przyrodniczych analfabetów, którym przydarzyło się zauważyć przy szlaku turystycznym chronioną roślinę o atrakcyjnym wyglądzie.

Drugi felieton opiewa radosne dni na ośnieżonych narciarskich stokach, ale bez zwracania najmniejszej uwagi na „koszenie” ostrymi kantami nart wystające spod śniegu pędy kosodrzewiny czy jodły. Niestety, sprawny narciarz nie zwraca uwagi na powodowane zniszczenia szaty roślinnej, wymagającej kosztownych upraw w szkółkach i prac zalesieniowych w trudnym terenie. Przy okazji autorka ułożyła hasła propagujące poszanowanie przyrody: *Narciarz to byle jaki – co niszczy młodniaki, Chcesz być w narciarstwie asem, nie niszczy młodniaków, opiekuj się lasem, Temu tylko pług, a socha, kto tę ziemię naszą kocha* (powołuje się na poezję Marii Konopnickiej, którą zapewne chciała w swej twórczości naśladować), a tekst kończy zawołaniem: *Temu tylko narty – kto jest tego warty!*... Zaś szlaki i stoki narciarskie powinny być oznakowane tablicami *Uwaga – kultura leśna, Nie depcz! Nie zjeżdżaj na nartach. Twoja własna kultura – tej kultury warta*. Jak wiemy obecnie kultura narciarstwa wyposażonego w setki wyciągów, a stoki i polany narciarskie „uprawiane” w każdym sezonie przez ratraki i kilkaset tysięcy narciarzy, nie osiągnęła ciągu minionej ponad połowy stulecia zdecydowanie wyższego poziomu i poszanowania przyrody górskiej.

Trzeci felieton dydaktyczny *Oj, „mysza... , mysza”*...to żartobliwy tekst o znikomej znajomości drobnych przedstawicieli przyrody spotykanej na szlakach turystycznych. Autorka opisuje zdumienie młodych wycieczkowiczów na widok „myszy”, czyli sorka, miniaturowego owadożernego gryzonia. Ale także objaśniała zaciekawionym, ale i wyrozumiałą dla niewiedzy młodych nauczycielek, gdy zadawały pytanie *co to za ptaki?* A to były po prostu wrzaskliwe sójki, znane często nie z barwnego upierzenia, tylko z tego, że *wybierają się za morze*. I jeszcze jeden przykład z tego samego felietonu, gdy wyjaśniła, że nie każdy padalec czy zaskroniec to jadowita żmija, która trzeba zaraz zabić. Autorka wytyka niewiedzę i poucza: *Znam młodych poetów, humanistów z wykształcenia, którzy w dziedzinie przyrody są zupełnymi analfabetami...Nie przeszkadza mu to oczywiście uprawiając z zamiłowaniem turystykę. Ale turysta nie obznajmiony zupełnie z przyrodą jest jak człowiek niemuzyczny, uczęszczający na koncerty...*

Następne publikacje w tym samym miesięczniku w pięciu numerach w 1956 roku tworzą **cykl pięciu relacji** o tematyce przyrodniczej z terenu z nadtytułem „*Podparzenia*”. Wyróżnione były w piśmie rysunkiem lornetki w winiecie tytułowej. Kolejne

teksty na tych łamach są oznaczone datami pobytów urlopowych autorki w Krynicy, Rytrze, Szczawnicy, w okresie od kwietnia do listopada 1956 roku. Liczne dni i tygodnie, poczynając od 1955 roku, spędziła w Rytrze, koło Starego Sącza, i od 1956 roku w Zabrzeży koło Łącka, po nawiązaniu serdecznej znajomości i przyjaźni z nauczycielskim małżeństwem Anny i Jana Bucyków, pracujących niezwykle twórczo w szkole podstawowej w Zabrzeży. Wiele razy, w ciągu 6 lat, przebywała nawet po kilka tygodni i miesięcy w Rabce, odwiedzała też oprócz wspomnianych uzdrowisk także, Krościenko nad Dunajcem, zachodniobeskidzką Milówkę, podtatrzańskie Zakopane. Za każdym razem organizowała sobie i znajomym wiele okazji do obserwowania osobliwości przyrodniczych, zjawisk czy okazów zauważonych podczas bardzo częstych, niemalże codziennych wycieczek po okolicy.

Pierwszy tekst *Spotkanie z olbrzymem* (nr 4 / 1956) powstał w kwietniu, w czasie pobytu pisarki w Domu Pracy Twórczej Związku Literatów Polskich w Oborach opodal Warszawy, gdzie tropiła z lornetką i aparatem fotograficznym dorodną ropuchę. Jak zwykle w takich sytuacjach – ten znany z mało sympatycznego wyglądu, jeden z kilku naszych rzadkich i chronionych płazów – bronił się przed zagrożeniem odstrasżającym nadymaniem i uniesieniem całego ciała na krzywych kończynach. A potem okaz ... „*przytulony do ceglanoego muru tkwił szary jak gruda ziem, kostropaty od brodawek – olbrzym ropuszego rodu, przekonany że nastraszył – szybko zniknął w kępach wilgotnej trawy.*

Drugi w tym cyklu *Miniaturowy gryf* (nr 5 / 1956) powstał w Krynicy w maju 1956 roku po spotkaniu w deszczowy dzień na ścieżce najpierw jednej, a po chwili całej „rodziny” salamandry plamistej, dorosłych i młodych barwnych płazów, ledwo co po narodzinach. *Rozejrzałam się uważnie. Z zielonego zbocza, opadającego ku kipiącemu wezbraną wodą strumieniowi, wypęły masowo salamandry – po prostu cała inwazja. Naliczyłam ich aż siedemnaście niemowląt wielkości paluszka dziecka, które wyglądały jak broszki z laki – do siedemnastocentymetrowych olbrzymów salamandrzego rodu.*

Kolejne teksty w cyklu „*Podpatrzenia*” są owocem obserwacji przyrody w czasie wycieczki przez górskie polany w czerwcu koło Krynicy (nr 6 / 1956) Składa się z trzech części: *Pierworodni* – o opuszczających gniazdo miniaturowych ptakach kopciuszkach, *Spotkanie ze żmiją* – ale to było już martwe zwierzę, zapewne ofiara jakiegoś drapieżnika, zaś trzecia to *Ptaszek i dmuchawiec* – czyli szczegółowy opis jak *ptaszek mniejszy i smuklejszy od wróbla, o podobnym szaro-brązowym upierzeniu*, czyli makolągwa podziwiana przez pisarkę, przysiadła na łodydze kopolastego dojrzałego kwiatu mniszka lekarskiego, potocznie zwanego dmuchawcem, i błyskawicznie objadła wszystkie nasiona.

Dwa następne teksty tego cyklu (nr 9 / 1956) to plon obserwacji przyrody w porze jesiennej. Obydwa są opisem przygotowujących się do odlotu do ciepłych krajów bocianów białych, kołujących, lotem szybowcowym, nad górzystym otoczeniem doliny Popradu (17 sierpnia *Pożegnalny lot*), oraz także obserwowane w Rytrze (*Przed odlotem z 30 sierpnia oraz 1 września*), przygotowania do dalekiej wędrówki chmary małych, zwinnych jaskółek dymówek. Ponadto autorka widziała jeszcze *Nad ruinami*

ryterskiego zamku ciągnęły na południe jakieś duże ptaki – bezładną gromadą. A jakby dla uzupełnienia jesiennego obrazu beskidzkiej przyrody zauważyła: ...w dzikiej róży mignął mi kolorową pstrokacizną – szczygieł. Ten się do nikąd nie spieszy obce mu są męki przedodlotowej gorączki.

Ostatni tekst w cyklu „Podpatrzenia” na łamach „Turysty” w 1956 r. to trzyczęściowy obrazek, swoisty tryptyk listopadowej przyrody (nr 12 / 1956), nakreślony przez Marię Kownacką w Szczawnicy. Bohaterkami pierwszej części są Sroki znad Grajca, widziane przez autorkę po wycieczce do wąwozu Homole. ...płoszyły wrony- niby to uciekając przed nimi, w gruncie atakując o wiele od nich sprawniejsze w locie. To znowu obsiadały rządyczkiem płot... Przyjrzałam im się dokładnie przez lornetkę. To naprawdę śliczny ptak. Z daleka wyglądają jak wytworne w linii krzyżyki, z bliska mienia się szafirem i zielenią.

Druga część tryptyku ma tytuł *Konopny jarmark*, a ściślej biorąc, to jest opis jesiennego przydomowego ogrodu obserwowanego przez pisarkę z werandy domu. Nienazwane ptaki wyluskują dojrzałe pełne smakowitego tłuszczu nasiona konopi, podobnie zachowują się sikory ubogie – szary kłębuszek z czarną główką. I jeszcze szczygły, z przeslicznym żółtym lampasem przez skrzydła, ale żerowanie przychodzi im z dużym trudem, nie dorównują bowiem w akrobatyce sikorom. Ciekawe było patrzeć na ten konopny jarmark. Część trzecia opisuje *Pokrzewki na śliwie*... które zwinnie polatują, bardzo ruchliwe *Wpadną, naprzeskakują z gałęzi na gałąź, naterlikają, nafiirtaja się*...

Pięć małych reportaży przyrodniczych pisma z 1956 roku ma też wyraźne akcenty wychowawcze – autorka poucza czytelników, choć w ich treści nie ma wyraźnych upomnień czy opowieści krytykujących postawy ludzi na szlakach turystycznych i zjawiska szkodliwe dla przyrody. Wyróżnia je właśnie opisowa tonacja, czy może raczej wyraźna zachęta do obserwowania przyrody i zmieniających się w ciągu roku jej przejawów, dostępnych bez specjalnego wysiłku nawet mało spostrzegawczym obserwatorom. Ot, zwyczajne obserwacje tego, co się dzieje wokoło, gdy idziemy szlakiem turystycznym czy choćby podczas niewymuszonego spaceru w parku, czy oglądania co się dzieje w ogrodzie opodal domu. Tak postępowała od wielu lat, choćby zagospodarowując grządki z kwiatami i sprzyjając drobnym ptakom przez rozwieszenie budek lęgowych z dziećmi w Zabrzeży i na działce autorki z domkiem letniskowym w podwarszawskich Łomiankach.

Wiadomo, że w Warszawie w 1954 roku Maria Kownacka swoje zamiłowania do obserwowania i zachęcanie do poznawania i ochrony ptaków bez względu na ich znacznie w otaczającej nas przyrodzie, realizowała m.in. podczas wycieczek do podmiejskiej Puszczy Kampinoskiej i w sierpniu 1954 roku była współorganizatorem Święta Ptaka wespół z PTTK i Ligą Ochrony Przyrody. Była aktywnym członkiem obydwu organizacji, które spotykały się „na gruncie” ochrony przyrody. Wspierała ich działalność w swoich publikacjach. Druga z wspomnianych organizacji uznała jej zasługi w popularyzacji ochrony przyrody przez wyróżnienie nadaniem tytułu i odznaki Członka Honorowego. Współdziałanie z tymi organizacjami uznała za swo-

isty obowiązek pisarki i popularyzatora wiedzy o przyrodzie, a jako autorka publikacji w popularnych czasopismach, domagała się jej ochrony i krytykowała niewiedzę w tej dziedzinie.

Wśród publikacji Marii Kownackiej jest także dość osobliwy w jej dorobku twórczym wiersz poświęcony Mikołajowi Kopernikowi pod tytułem *Marsz kopernikowski*. Znajdujemy go w 4 (14) numerze „Turysty” w września 1953 roku. Co było podjętą do napisania tego utworu? Wytlumaczeń jest kilka. Wypadła wówczas 480 rocznica urodzin wielkiego astronoma, ekonomisty, lekarza, kanonika kapituły warmińskiej, oraz 410 rocznica opublikowania jego epokowego dzieła *De revolutionibus orbium coelestium*, i upływało również 410 lat od jego śmierci w 1543 roku. Dla uczczenia tych rocznic, ogłoszono Rok Kopernikowski, wydano serie znaczków pocztowych dla przypomnienia związku wielkiego Polaka z Ziemią Zachodnimi i Północnymi. Wtedy obowiązywała nazwa Ziemia Odzyskana, PTTK w celu ich popularyzacji było organizatorem I Ogólnopolskiego Rajdu Pieszego po Warmii i Mazurach, który odbył się pod hasłem „Szlakiem Kopernika”.

W dniach 13 – 16 sierpnia 1953 roku turyści z różnych stron Polski zjechali na Warmię i Mazury by wziąć udział w I Ogólnopolskim Turystycznym Rajdzie Pieszym PTTK z zakończeniem w Olsztynie. Uczestnicy wędrowali siedmioma trasami od 80 do 85 kilometrów. Była to pierwsza masowa impreza o zasięgu ogólnopolskim zorganizowana przez Komisję Turystyki Pieszej Zarządu Głównego PTTK. Imprezę zainicjowaną i firmowaną przez KTP ZG PTTK bezpośrednio w terenie organizowała grupa działaczy z Okręgowej Komisji Turystyki Pieszej w Olsztynie i Komisji Turystyki Pieszej Zarządu Głównego PTTK. W następnych latach rajdy turystyczne były popularne aż do przesytu i często były zaprzeczeniem zdrowego i wypoczynku napełnionego treściami krajoznawczymi. Bardzo często służyły celom propagandowym i obchodzonym w takiej formie rocznicom wielu wydarzeń.

Impreza Kopernikowska była szeroko reklamowana także w popularnym wtedy miesięczniku „Turysta”. W trakcie rajdu po przejściu dziennych odcinków tras organizowano dla turystów różnego rodzaju występy artystyczne, odczyty, spotkania, prace „społecznie użyteczne” przy żniwach. Na jednym z biwaków odbyło się przy wieczornym ognisku spotkanie z pisarką Marią Kownacką odpoczywającą w tych stronach, dokładnie we wsi Krutyń nad piękną „sztandarową” rzeką mazurską – Krutynią.

Obecnie jej nurt to 102 kilometrowa, jedna z najpopularniejszych tras turystyki kajakowej w Polsce i Europie, zaczyna się w Sorkwicach i kończy w miejscowości Ruciane-Nida. Ze względu na unikatowe walory urozmaiconego nurty rzeki i jej bogate otoczenie, jest to zarazem krajobrazowo-florystyczno-faunistyczny rezerwat przyrody „Krutynia Dolna”, na terenie Mazurskiego Parku Krajobrazowego. Na pamiątkę ze spotkania autorka napisała wiersz dedykując go uczestnikom I Ogólnopolskiego Rajdu Pieszego. Utwór ten publikowany był w miesięczniku „Turysta” nr 9 (14) we wrześniu 1953 roku.

Maria Kownacka

MARSZ KOPERNIKOWSKI
Uczestnikom Rajdu Pieszego

Niechaj żyje myśl geniusza
Co nam z posad ziemię rusza
Świat się kręci, niech się święci
Kopernika Rok,
Raz-dwa z kijem i plecakiem
Marsz Kopernikowskim Szlakiem !
Kopernika cześć przenika
Każdy marszu krok.

Każdy za pas nogi bierze
Przez Mazurskie Pojezierze
W naszym Rajdzie, każdy znajdzie
Ziem mazurskich czar
Słońce coś mu bieg wyznaczył
Niechże nam przyświecać raczy !
Drogą leśną – razem z pieśnią
Przez mazurski jar!

Gdy cię pieką, zdejmij buty
Marsz Ruciane, Pupy, Krutyń
A w Krutyni każdy czyni
Gwałt na Rajdu cześć !
Marsz od Rucian aż po Pasym
Orzeł lata szlakiem naszym
A kormoran nad jeziora
Niesie o nas wieść !

Lustra jezior, słońce z nieba
Nogi zbierać: Pasym, Klebark
W całym świecie święcą przecież
Kopernika Rok,
On na kuli ziemskiej słynie
Cześć oddamy mu w Olsztynie !
Kopernika cześć przenika
Każdy marszu krok.

W wierszu zaznaczony jest wyraziście entuzjazm, wyraźnie żartobliwa tonacja tekstu, trudy wędrowki, i wyróżniają się liczne akcenty krajoznawcze i przyrodnicze, typowe dla okolic na trasach rajdu. Publikacji tego utworu towarzyszyły na łamach „Turysty” fotoreportaże z imprezy, mapka tras, stosowne artykuły biograficzne i krajoznawcze poświęcone krainie wielkiego uczonego, zabytkom. Wypada wspomnieć, że wymieniona w wierszu miejscowość Pupy to dawne Lalki, czyli po niemiecku Puppen. Niefortunne przetłumaczenie tej nazwy w 1946 roku było wiele lat tematem anegdot, co władze uznały za ośmieszające. W 1960 roku zmieniono na Spychowo, co ma związek z postacią literacką sienkiewiczowskiego Juranda ze Spychowa. Położona jest w historycznej krainie Mazur, obecnie w województwie warmińsko-mazurskim, koło Szczytna (29 km) i Świętajna (13 km), w gminie Świętajno.

Stosunkowo duża wieś Spychowo, a właściwie dawniej Spychów, ma rodowód sięgający XV wieku. Są tu m.in.: ośrodek zdrowia, poczta, szkoła, apteka a także budynek nadleśnictwa Spychowo. Jest ważnym lokalnym ośrodkiem turystycznym, nad Jeziorem Spychowskim i otoczona olbrzymim kompleksem lasów Puszczy Piskiej. Pierwotna nazwa pochodziła od staropruskiego *pupele*, co oznaczało bób lub groch.



Niedawno, 27 lutego 2012 roku, minęła 30 rocznica śmierci Marii Ludwiki Kownackiej. W historii naszej literatury zapisała się jako jedna z najwybitniejszych w XX wieku autorek utworów dla najmłodszych, licznych tekstów utworów dla dziecięcych teatrzyków kukielkowych, wierszy dydaktycznych i opiewających przyrodę, licznych opowiadań o tematyce przyrodniczej. Publikowała je od początku swej pracy pisarskiej w 1919 roku w czasopiśmie dla najmłodszych – „Płomyku” i „Płomyczku”.

Dla Marii Kownackiej przyroda poznawana codziennie od dzieciństwa była w latach następnych nie tylko przedmiotem obserwacji i podziwu dla jej bogactwa. Była tworzywem jej twórczości i – jak oceniają to zgodnie czytelnicy i znawcy jej dorobku pisarskiego – środkiem oddziaływania wychowawczego. Jej osoba należy do wybitnych polskich pedagogów XX wieku. W poświęconych pisarce opracowaniach biograficznych i analizach bogatej twórczości autorzy podkreślają, że przyrodę i zjawiska naturalne pokazywała dzieciom jako źródło wiedzy o świecie, które jest niewyczerpane i trzeba je chronić stale i każdą jego formę. Zbiory opowiadań „*Głos przyrody*” i „*Razem ze słonkiem*” są tak samo ważne dla rozwoju umysłowości dziecka jak „*Rogaś z doliny Roztoki*” czy „*Kajtkowe przygody*”. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że właśnie przyroda Sądecczyzny, Beskidu Sądeckiego, Gorców, Pienin, także Tatr, Mazur i Podlasia, były dla Marii Kownackiej głównym nurtem twórczości. Świadczy o tym także cytowany okolicznościowy wiersz

Te postacie stały się bardzo bliskie dzieciom, wywoływały uśmiech i łzy wzruszenia. Maria Kownacka tworzyła w innych warunkach i czasach, ale zaliczana jest do wybitnych twórców jak Maria Konopnicka, Bolesław Prus, Adolf Dygasiński. Stworzyła liczne postacie jako wzorce dla rozwoju dziecięcej wyobraźni o świecie, osobowości zdolne do właściwego pojmowania przyrody, roślin, zwierząt i ludzi. Była zawsze wierna zasadzie polskich krajoznawców, że *tylko dobrze poznane wszystko, co mamy w swoim otoczeniu, można pokochać i zrozumieć*. Przyroda beskidzka czy gorceńska była w twórczości Marii Kownackiej kluczem otwierającym dziecięce oczy i wyobraźnię, tak samo jak roślina, owad, ptak, ssak, każdy z „braci mniejszych” ma ciekawą, godną poznania naturę. Bez poznania nie jest możliwe ogarniecie w pełni, a choćby tylko części tego, co nazywamy krajem rodzinnym, swojszczyzną, małą, a zwłaszcza tą dużą Ojczyzną.

Łącki lekarz – Franciszek Dudek



Urodził się 26 kwietnia 1930 r. w Jurgowie, w rodzinie funkcjonariusza policji państwowej. Po ukończeniu szkoły podstawowej w Jurgowie, rozpoczął naukę w gimnazjum i liceum nowotarskim. Wybrał kierunek przyrodniczy. W tym samym czasie do tego samego gimnazjum uczęszczał Józef Tischner, przyszły ksiądz i profesor. Uczył się nauk humanistycznych. Ich matki pochodziły z Jurgowa i były koleżankami, chłopcy znali się i przyjaźnili, jakiś czas mieszkali razem. Po maturze ich drogi życiowe rozeszły się. Franciszek rozpoczął studia w Akademii Medycznej w Rokitnicy, koło Zabrze, którą ukończył w latach pięćdziesiątych.

Pracę zawodową rozpoczął w szpitalu w Myślenicach, następnie 6 lat pracował w szpitalu w Rabce. Przez

rok był kierownikiem Przychodni Obwodowej w Nowym Targu i po roku przeniósł się do pracy w Ośrodku Zdrowia w Paszynie koło Nowego Sącza.

Ponieważ żona, lekarz pediatra, nie mogła być tam zaangażowana, przeniósł się do Łącka, kiedy zaistniała taka możliwość, w 1970 roku.

Jako kierownik Ośrodka Zdrowia, poszerzył zakres usług lekar-



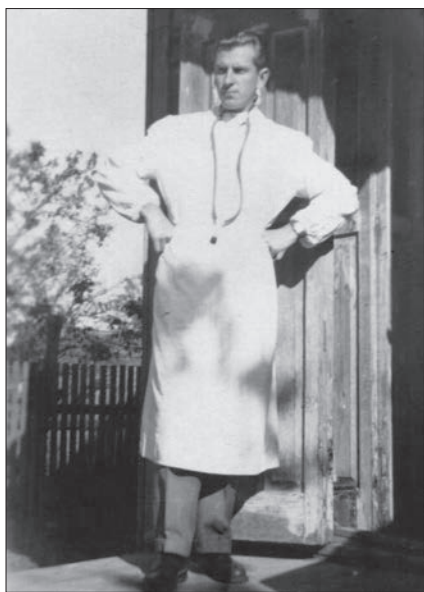
Z rodzicami



Z Józefem Tischnerem

skich – zatrudnił pediatrę, ginekologa i internistę. Zorganizował pracownię analityczną oraz usługi rehabilitacyjne. Uzyskał też samochód do dyspozycji Ośrodka na wizyty domowe, i usługi pielęgniarские.

Równocześnie był przez 4 lata powiatowym inspektorem orzecznictwa lekarskiego w sprawie zwolnień L4. Kontrolę przeprowadzał co tydzień. W czasie pracy w Łącku zdo-

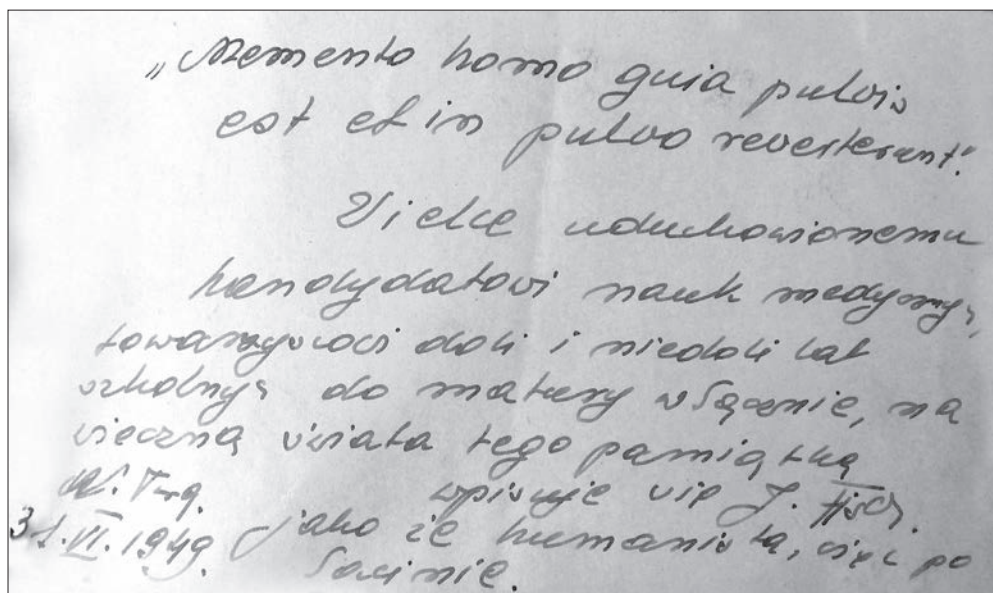


Jako młody lekarz

był specjalizację drugiego stopnia z medycyny ogólnej. Współpracował też z władzami gminnymi przy budowie nowego ośrodka zdrowia przy ul. Zyndrama. Na emeryturę przeszedł w siedemdziesiątym roku życia. Pracy w Łącku poświęcił 31 lat.

Za swą pracę otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi, Brązowy i Srebrny Krzyż PCK; odznaki: Wzorowy Pracownik Służby Zdrowia, Zasłużony dla Ziemi Krakowskiej, złoty medal: Zasłużony dla Pożarnictwa, Zasłużony dla Rozwoju Łącka i dyplom uznania z UG Łącko.

Dedykacja Józefa Tischnera, wpisana do pamiętnika Franciszka Dudka po maturze w 1949 r.:



Opracowano na podstawie materiałów dostarczonych przez dr. Franciszka Dudka



Stanisław Wojnarowski urodził się 3.08.1922 r. w Szczereżu, w wielodzietnej rodzinie. Rodzina ta składała się z 12 osób, w tym 10 dzieci. Wszyscy musieli się utrzymać z tego co wyrosło na 1 hektarowym gospodarstwie, i z tego co dorobił ojciec u bogatszych rolników.

Gdy Stanisław miał 7 lat, zmarł jego ojciec, cały ciężar wychowania i utrzymania dzieci spoczął na matce. Było to jednak ponad jej siły. Starsze dzieci, Stanisław także musiały iść na służbę.

Do szkoły miał daleko, a po nauce musiał paść krowy u innych gospodarzy. Po ukończeniu 6 klas szkoły podstawowej, poszedł na służbę do obcych ludzi. Musiał pracować w lesie przy wycinaniu drzew, sypiał

w oborze z bydłem.

W czasie wojny 1939 r. trafił do pracy u bauera w Sudetach. Niemiec był ogrodnikiem i prowadził szkółkę drzew owocowych i róż. Nauczył się szczepienia i oczkowania drzew i krzewów.

Po wojnie wrócił do Szczereża, ale kiedy dowiedział się, o możliwości pracy na Ziemiach Odzyskanych, pojechał do Kamiennej Góry i osiedlił się w Witkendorfie. Pracował jako tłumacz pomagając osadnikom polskim przy przejmowaniu gospodarstw ponemieckich.

Po kilku latach, wrócił w strony rodzinne i od razu zatrudnił się jako ogrodnik miejski w Nowym Sączu, został skierowany do Świdra, gdzie, po szkoleniu uzyskał dyplom ogrodnika. Pracując w Nowym Sączu zorganizował gospodarstwo ogrodnicze na Wólkach. Obsadzał kwiatami i drzewami wiele ulic i placów miasta. Burmistrz Starego Sącza widząc efekty jego pracy zaproponował mu stworzenie szkółki krzewów ozdobnych w Starym Sączu.

Nad Popradem powstała wielka szklarnia i rozpoczęło się ukwiecanie miasta. Tu powstały pierwsze projekty wielkich koszy, obsadzanych kwiatami.

Stąd też wzory różnych koszy rozeszły się po całej Polsce, m. in. w Ciechocinku, Podkowie Leśnej, w Warszawie pod hotelem Forum, w Zawierciu, w Szczawnicy w Nowym Sączu przy kościołach: św. Kazimierza, św. Małgorzaty, Jezuitów i wielu innych.

Po 15 latach przeniósł się do Nowego Sącza, by pracować dla zakładu elektrod węglowych, na obszarze 80 ha zieleni. Po 16 latach przeszedł na emeryturę i zajął się mini ogrodnictwem. Hoduje cytrusy, borówki amerykańskie, figi, truskawki – wszystko w doniczkach.

W Łącku żyje jego krewny Tadeusz Wojnarowski, b. gminny komendant OSP.



Fragment Arbeitskarte Stanisława Wojnarowskiego



Beti córka bauera, u którego pracował w szkółce



Jan Gromala na robotach ze Stanisławem Wojnarowskim



Stanisław Wojnarowski z żoną Marią



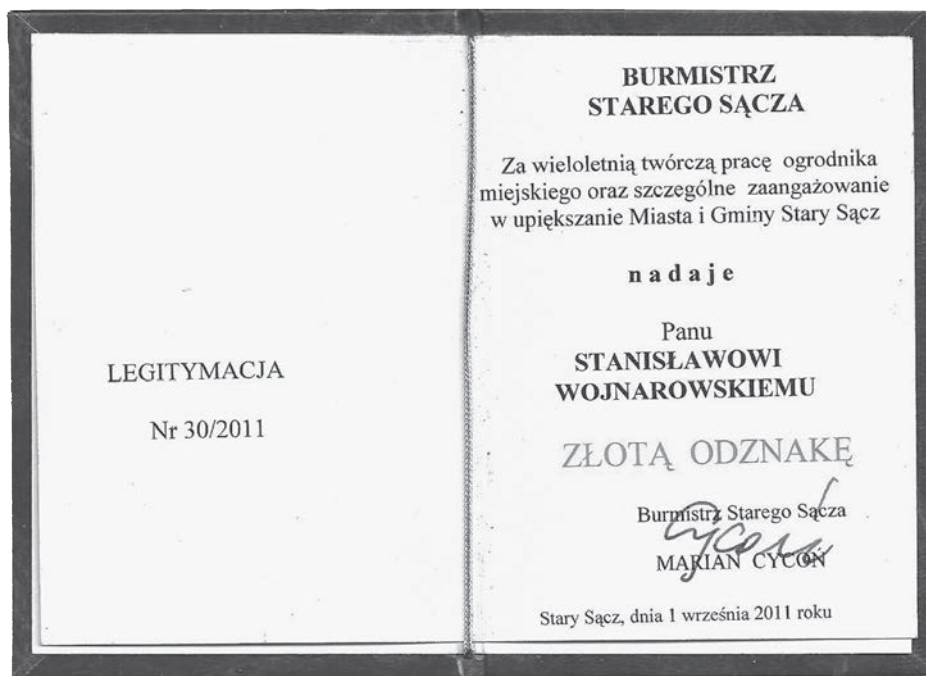
Stanisław Wojnarowski z pierścieniakiem, 1965 r.



Instalacja z kwiatów Stanisława Wojnarowskiego



Instalacja z kwiatów Stanisława Wojnarowskiego



Legitymacja Stanisława Wojnarowskiego



Stanisław Wojnarowski z wyhodowanym drzewkiem pomarańczy

W mroku poranka zaspane oczy nie dostrzegały jeszcze konia z wozem, chociaż słycać już było stukot kopyt na kocich łbach rynku. Rzeński chłód wrześnieowego dnia szybko jednak przepędzał sen, otwierał powieki i stawał na nogi.

Stukot stawał się coraz głośniejszy i z szarości nagle wychylił się koński łeb, a zaraz za nim parujące ciało zwierzęcia i ciągnięty przezeń wóz. Woźnica zatrzymał pojazd przed drewnianym domem, zapalił fajkę, pykał i czekał. Z domu po chwili wyszły trzy postacie, taszcząc ze sobą kosze, kuferki i tobołki. Woźnica nie zszedł z zydła, żeby im pomóc zapakować się na wóz, mimo, że grupa osób składała się z dwóch kobiet i jednego dojrzałego mężczyzny. Przyglądał się im za to w milczeniu, jak w rozcgardiaszu i z wysiłkiem ładowali te kosze pełne jedzenia i kufry z tajemniczą zawartością. Byli mu obojętni, tak jak i on był im zupełnie obojętny. Łączył ich tylko wynajęty wóz i prychający koń.

Kiedy trójka pasażerów zasiadła na ławkach i okryła nogi kocami, mężczyzna dał znak woźnicy, aby ruszał. Ten, nie wypuszczając fajki z ust, pociągnął za lejce i koń, czując większy ciężar, ruszył powoli po bruku, wprost ku wschodzącemu słońcu. W ten wrześnieowy poranek Nebel wyruszył do Nowego Sącza, a właściwie do żydowskiego *Zanca*, do cadyka, aby prosić o błogosławieństwo małżeństwa dla swojej najstarszej córki, Chany. Wydanie jej za mąż było teraz głównym celem jego życia (syn ożenił się niedawno z bogatą panną, więc o niego mógł już być spokojny).

Dzień wstawał piękny; czyste i rozjaśniające się niebo dodawało otuchy. Nebel mruzczał pod nosem modlitwy, jego żona raz po raz zagadywała córkę, która zaś nieobecny wzrokiem błędziła po mijanych krajobrazach.

- Córeczko najmiłsza, ty niedługo będziesz już stała pod chupą, oj ja to wiem. Nasz cadyk, niech Pan błogosławi każdy jego krok i każdą jego myśl, na pewno znajdzie ci męża. Tatele go wyprosi, wybląga dla ciebie, wymodli, twój tateł, dobry i pobożny! – Poprawiła koc, wyciągnęła zawiniętą chustę, a z niej bułki. – Nu jedz, już dość smutków i łez. Pan na wysokościach ma dla ciebie kogoś specjalnego, skoro kazał nam tyle czekać, tyle zmartwień przeżyć.

Chana tylko kiwała głową; jej jasna twarz jaśniała na tle czarnych loków, słała matce delikatny uśmiech, trochę wysilony, ale uśmiech. Oczy jej, ciemne i zamglone, utkwiała w połyskującej wstędze Dunajca. Rzeka płynęła, płynął czas, mijały dni i lata. Jej dwadzieścia cztery lata to było już za dużo, wszyscy młodzi w okolicy już się połączyli w pary, a ona została sama. Nie myślała jednak zupełnie o tym, nie rozpamiętywała tego minionego czasu, gdy ojciec jej szukał dobrego kandydata, a żaden nie był na tyle pobożny i uczony aby stać się jej mężem. Chana nie myślała o miłości, o rodzinie, nigdy nie zabiegała o to. Marzyła tylko o jednym – aby wyjechać z miasteczka, uciec do świata, który był opisywany w książkach pożyczanych z biblioteki lub w czasopismach, które docierały do jej rąk.

Nic się jednak takiego nie miało wydarzyć. Nie przed jej ślubem, rodzeniem i wychowywaniem dzieci. Jeszcze sporo lat musiało upłynąć zanim marzenie Chany się – jakże okrutnie, o ironio losu – spełniło. Ale o tym przy innej okazji. Teraz trwał moment, gdy wstawało słońce zza gór, wokół była rodzina, a gorączka młodości, na którą jedni cierpią mniej, inni więcej, i tak przejdzie Chanie w prozie życia. Zresztą, jak tu się sprzeciwić ojcu, tatefe drogiemu, który serce by wydarł sobie z piersi, by tylko dzieciom jakoś to życie uprościć, albo mamele, która tyle nocy nie przespała zamartwiając się o te swoje pociechy, tyle łez rozpaczy wylała nad ciężką dolą wchodzących w dorosłość dzieci. A to, że pewnie w tym i sporo przesady było, to nic nie zmienia. Dzieci to skarby, rodzina to największy dar otrzymany od Boga.

*

Po kilku godzinach wjeżdżają do miasta. Ruch jak w dzień targowy, a to zwykły poniedziałek. Miasto żyje, rozwija się, rozrasta, coraz więcej ludzi chce dobrze zjeść, ubrać się, mieszkać czysto i wygodnie. Zjeżdżają się kupcy, kwitnie handel, jest dużo pracy dla tych, którzy chcą zarobić. W żydowskiej dzielnicy ruch podwójny. Mężczyźni w czarnych chałatach krzątają się, sprzecząją się, pędzą dokądś lub skądś lub po prostu dumają nad losem świata. A do tego zapracowane kobiety i wrzeszczące dzieci. Pełnia życia. Na drzewach zieleń już przybiera jesienne barwy, ale na ulicach i w domach życie gotuje się jak w licowym ukropie.

Na dworze cadyka gwar i tłok trudny do opisanie. Przybysze z okolicznych wsi i miasteczek czekają na swoją kolej razem z tymi, którzy przebyli daleką drogę z odległych miast. Nebelowie z Łącka zsiadają z wozu, znajdują miejsce na ławce pod drzewem i czekają. Ojciec wyciąga książkę, mamele szybko znajduje towarzystwo do rozmowy i raz po raz zachwyca się, słysząc o cudownych zdarzeniach świadczących o niezwykłej mocy cadyka. Chana w tym czasie z zainteresowaniem rozgląda się po podwórzu. Tyle nieznanymi twarzami, tyle różnych historii przyniesionych na spracowanych plecach lub w zasobnych sakwach. Tyle żydowskich smutków i radości. Tyle nadziei, wbrew wszelkim przeciwnościom losu. Widzi całe rodziny, takie jak jej, ale też samotnych przybyszów, zaczytanych, zamyślonych, którzy wędrują do cadyka z pytaniem, z prośbą o radę, o rozwiązanie sporu. Cadyk, potomek wielkiego Chaima Halberstama, znany jest ze swej mądrości i otwartego serca.

Mijają godziny. Dziewczyna wpada w dziwny stan, ni to zamyślenia, ni to rozmarzenia. To miejsce, ten nie tak przecież daleki Zanc, napenia ją poczuciem siły, wiary w przyszłość, dziwnym pragnieniem, aby stać się częścią tego nieznanego świata. Znów marzy, by wyzwolić się z szarości dnia codziennego, aby poczuć zapach nowych miejsc, zapach, jak jej się wydawało, wolności. Z głębokiej zadumy wyrывa ją nagle głos młodzieńca, który podszedł do jej ojca i zawiadomił, że nadeszła ich kolej wizyty u cadyka.

Przeszli przez zatłoczone podwórze i ciemny korytarz, który poprowadził ich do rozległego pokoju. Był to salon, który służył cadykowi za biuro przyjęć, i który był najbardziej niezwykłym miejscem, jakie Chana widziała w życiu. Półmrok, szafy zawalone

księgami, książkami, arkuszami papieru, świsteczkami. Po kątach rozstawione zostały ławy i stoliki, przy których siedzieli młodzi uczniowie i wyznawcy cadyka, zadumani lub zasłuchani, zaczytani lub spisujący jego słowa. Mimo, że dzień jeszcze był w pełni, na stołach paliły się świece. Cadyk wskazał im miejsce. Długo wpatrywał się w nowo przybyłych w milczeniu. Po kilku minutach rzekł

- Jeszcze dziś twoja mamele, niech wszelka dobroć na nią spłynie, będzie ci szyć ślubną suknię. A tateł zaśpiewa wesołą pieśń, bo mu lekko na sercu będzie, gdy ciężar długo noszony z niego spadnie. Tu oto siedzi Dawid Glassner, syn wielce pobożnego i uczonego ojca. – Tu wskazał na jednego młodzieńców siedzących obok przy ławie zawalonej papierami, piórami i kałamarzem. – Ja was pobłogosławię, a wy szykujcie chupę.

Chana nie śmiała popatrzeć na chłopca. On też nie podniósł głowy znad papieru. Stała tak miejscu, gdy tymczasem rodzice jej rzucili się w stronę cadyka, jęli całować go po rękach i złożyli odpowiednią sumę na utrzymanie jesziwy. Jego pomocnikom przekazali dary, które przywieźli ze sobą. Następnie zostali przedstawieni rodzicom Dawida, odbyły się pierwsze narady, uzgodnienia. Nikt nie śmiał nawet pomyśleć, aby decyzję cadyka zlekceważyć czy poddać w wątpliwość. Jego słowa były święte, a to co pobłogosławił, miało dać ludziom radość.

I tak Chana wkrótce wyszła za mąż. Piękny był ślub i huczne było wesele. Miała dwadzieścia kilka lat i jeszcze kilka szczęśliwych lat życia przed sobą. Pierwszy szabas z mężem, pierwsze święta i narodziny pierwszego dziecka. Troski i radości życia w cieniu nadchodzącej burzy.

Od redakcji:

„U Cadyka” to trzecia część tryptyku Magdaleny Pulawskiej o łąckich żydach.

I część „Szabasowy wieczór”, ukazała się w numerze 12” Almanachu Łąckiego, str. 129-130,

II część „Pod chupą” w numerze 14 Almanachu Łąckiego, str. 93-95.

Kościół katolicki, społeczeństwo i wyzycze

„W dziejach Kościoła rozmach misyjny był zawsze oznaką żywotności [...] wiara umacnia się, gdy jest przekazywana”

„O wartości misjonarza decyduje przede wszystkim to kim on jest, a potem dopiero to, co on mówi lub czyni”

(Jan Paweł II, encyklika *Redemptoris missio*, numer 2 i 23)

Kazachstan bliski jest naszym sercom. Polski franciszkanin Benedykt z Wrocławia uczestniczył w papieskiej delegacji do chana Mongołów w latach 1245–1247. Zesłano tam wielu Polaków, zarówno w okresie caratu jak i w czasach stalinowskich. Tysiące z nich spoczęły na kazachskiej ziemi, z dala od Ojczyzny. **Podróżowali bydłecymi wagonami w nieludzkich warunkach po „nieludzkiej ziemi”**. Zmarłych wyrzucano z wagonów i nikt ich nie grzebał. Związek Sowiecki w szale budowy „nowego społeczeństwa przyszłości” pogardzał życiem konkretnych ludzi. Lenin nazywał robactwem ludzi, którzy ośmielili się myśleć inaczej niż on! Ciała wyrzucane z pociągów rozszarpywały dzikie zwierzęta. Nieludzka ziemia na której życie człowieka nie miało żadnej wartości... Od czasu ostatnich deportacji minęło już ponad 70 lat. Nastąpiły nowe pokolenia. Aktualnie tamtejsza Polonia liczy około 50 tysięcy osób.

Jan Paweł II w encyklice *Redemptoris missio* (nr 37) podkreśla, iż **główny wysiłek misyjny Kościoła katolickiego w XXI wieku skoncentruje się na Azji**, w której na ponad 3 miliardy ludzi tylko ponad 100 milionów wyznaje religię katolicką. **Kościół katolicki w Azji Środkowej ma długą tradycję**, bo już w 334 roku w Mierwie (Turkmenistan) funkcjonowała katedra biskupia. Wyznawcy islamu w VIII wieku zniszczyli jednak w znacznej mierze rozwijające się tam chrześcijaństwo. Dopiero w XIX wieku carscy zesłańcy zanieśli na stepy Kazachstanu na powrót światło Ewangelii. Kościół katolicki zaczął znowu rozwijać się. Niestety po rewolucji bolszewickiej z 1917 roku zniszczono wszystkie parafie, a duchownych i co aktywniejszych parafian poddano represjom. Nastąpiły czasy terroru, donosicielstwa i nieustannie podsycanej „walki klas”. Wojujący ateizm miał zastąpić religię. Szerzyły się jednak zabobony, bo marksistowska ideologia nie dawała odpowiedzi na egzystencjalne pytania. Wspólną modlitwę karano więzieniem. Po upadku Związku Sowieckiego w 1990 roku nastąpiło religijne odrodzenie. Obecnie Kościół katolicki w Kazachstanie liczy 6 biskupów, kilkudziesięciu kapłanów, dziesiątki siostr zakonnych, kilkadziesiąt parafii i około 180 tysięcy wiernych. Niektóre parafie obejmują swoim zasięgiem ogromne obszary. Ob-

szar parafii w Dżambule (Taraz) równy jest obszarowi Polski. Liczy ona 500 katolików. W 1995 roku w Manili papież wypowiedział znamienne słowa: „W pierwszym tysiącleciu postawiono krzyż w Europie, w drugim tysiącleciu w Ameryce i Afryce, a w trzecim tysiącleciu trzeba mieć nadzieję, że wiara rozkwitnie w Azji”. **Postanowiłem wnieść swój mały wkład w misje katolickie na największym kontynencie świata.**

Cztery razy spędziłem lato na pracy misyjnej w Kazachstanie. Podróżowałem tam w latach: 2005, 2006, 2008 i 2009, zostawiając w Kazachstanie część mojego serca. Do Azji Środkowej udawałem się za zgodą moich władz zakonnych i na zaproszenie arcybiskupa Tomasza Pety oraz biskupa Janusza Kalety. Obsługiwałem powierzone mi parafie i głosiłem rekolekcje dla sióstr zakonnych. Równocześnie bacznie obserwowałem życie codzienne w tym azjatyckim kraju, gdyż chciałem moimi uwagami podzielić się z wiernymi w Polsce.

Ten olbrzymi kraj jest dziewięć razy większy od Polski, gdyż jego obszar wynosi 2 717 300 kilometrów kwadratowych, a długość jego granic dochodzi do 12 187 kilometrów. Odległość z północy na południe kraju wynosi około 1800 kilometrów, a z zachodu na wschód około 2800 kilometrów. Kazachstan graniczy z Rosją, Uzbekistanem, z Chinami, Kirgistanem, i Turkmenistanem. Wysokość najwyższej góry Khan Tengri osiąga 7010 metrów nad poziom morza. Znaczna część kraju pokrywa ją monotonne stepy, które jedynie na wiosnę pokrywają się wspaniałymi dywanami z kwiatów. Na zachodzie kraju znajduje się Morze Kaspijskie, w środku pustkowia, a na południu majestatyczne góry Tien Szan. Północ kraju pokrywają wspaniałe lasy, które ustępują miejsca ogromnym polacom pszenicy, na których pracują nowoczesne kombajny. Jeszcze bardziej na południe znajduje się kraina jezior z najpiękniejszym jeziorem Barawoje. Najpiękniejszy widok na miasto zobaczymy w Ałmaty na południu i w Kokczetaw, które leży nad jeziorem, u stóp malowniczych wzgórz. Dawna stolica Ałmaty (Ałma Ata) liczy ponad 1,2 miliona mieszkańców, przemysłowa Karaganda ponad 600 tysięcy, a obecna stolica Astana ponad 300 tysięcy.

Polacy na ogół znają opowieści naszych zesłańców o biedzie w Kazachstanie. Dla Związku Sowieckiego tereny te stanowiły kolonię. Obecnie kraj szybko rozwija się, gdyż posiada ogromne złoża ropy naftowej i gazu. W centrum kraju wybudowano nowoczesną stolicę Astanę. Językiem urzędowym jest język kazachski, jednakże w kościołach liturgię sprawuje się w języku rosyjskim, gdyż jest to język powszechnie znany. Zamieszkuje go tylko 15 milionów ludzi. Połowę z nich stanowią rdzenni Kazachowie, a połowę potomkowie Polaków, Niemców, Rosjan i innych narodowości. W sumie mieszka tam około 130 narodowości. Kazachowie są muzułmanami, natomiast Kościół katolicki swoją troską duszpasterską obejmuje pozostałe narodowości.

1. Astana. Lato 2005 roku. Warszawa. Wieczorem wsiadam do pociągu, który jedzie do stolicy Kazachstanu Astany. Wypowiadając słowo „Astana” należy ostatnią literkę „a” zaakcentować i dłużej wymawiać. Otwiera się zupełnie nowy rozdział

w moim życiu. Jako mały chłopiec godzinami ślęczałem nad atlasem geograficznym, znałem na pamięć nazwy stolic wszystkich państw świata i marzyłem o dalekich podróżach. Kto powie, że nie spełniają się przynajmniej niektóre ludzkie marzenia? Przed podróżą wielu znajomych stawiało mi pytanie: „nie boisz się?” Odpowiadałem wtedy z uśmiechem, że jadę do ludzi i niczego nie obawiam się. Ponieważ sprawność fizyczna odgrywa dużą rolę w takich podróżach, zawsze wcześniej intensywnie uprawiam gimnastykę. Hantle idą w ruch! Przedemną perspektywą podróży trwającej 96 godzin. W tym czasie pociąg przemierzy 5 tysięcy kilometrów. Ściągam z ręki zegarek. Przez 4 doby nie będzie mi potrzebny. Ludzie zachodu żyją w pośpiechu nerwowo spoglądając co jakiś czas na zegarek. Ja opuszczam jednak zachód i udaję się na wschód, gdzie nikt się nie spieszy. Będę żył zgodnie z rytmem dnia i nocy. Moje wyposażenie, to 3 litry soku pomidorowego, cherbata, cukier, trochę sucharów, garnuszek i łyżeczka. Nie będzie problemów z trawieniem! W każdej chwili można w wagonie nalać sobie wrzątku do garnuszka (*kipiatok*), aby napić się czegoś ciepłego. Na peronach kolejno mijanych stacji kolejowych żywności będzie pod dostatkiem, ale lepiej nie ryzykować, bo nie zawsze jest ona świeża. Trzeba zorganizować sobie czas: noc do spania, a w ciągu dnia modlitwa, rozmowa z pasażerami i obserwacja zmieniającego się krajobrazu. Trzeba mieć również ze sobą tak ciekawą książkę, aby żałować, że upływa czas podróży. Wtedy nie będzie się dłużyło!

Pociąg wolno przetacza się przez Wisłę. Zaczynam rozmyślać nad minionym czasem. Świetne zajęcie! Powracam myślą do rodzinnego Łącka. Wieś, którą znałem z lat chłopięcych bezpowrotnie przeminęła! Nawet najdrobniejsze wydarzenia ludzie odnosili wtedy do Boga. Z wielką wrażliwością obserwowali zmiany w przyrodzie. Nie byli tak wykształceni jak obecnie, ale byli za to bogaci mądrością. Zнали wiele przysłów i znali ludzi w promieniu kilkunastu kilometrów. Wiosną sadzono ziemniaki, później je oborywano, aby uformować rzędy. Później następował okres sianokosów. Trawę trzeba było skosić, wysuszyć i poskładać w kopy, a następnie zwieźć po kamienistych drogach. Czasami wóz się przewracał na takiej drodze i trzeba było wśród zdenerwowania rolników jeszcze raz go naładować. Mniejsze dzieci zajmowały się pasieniem krów. Szczególnie ciężka była praca przy żniwach. Za kosiarzem szła podbieraczka, która schylając się co chwila podbierała ścięte zboże. Snopki trzeba było związać i układać w kopki po siedem sztuk (owiec) lub po dziesięć (żyto i pszenica). Zboże zwożono na wozie drabiniastym, a następnie młócono cepami, później przy pomocy maszyn, a wreszcie przy pomocy kombajnów już na polu. Po żniwach zbierano drugi raz siano, następnie obierano jabłka i śliwy, kopano ziemniaki. Orało się ziemię, pokładano, siano zboże i bronowano. Późną jesienią zwożono buraki cukrowe, szatkowano kapustę i deptano ją w dużej, drewnianej beczce z dodatkiem jabłek i marchewki. Źródło witamin! Miała wystarczyć dla rodziny na całą zimę. Wiele prac wykonywano wspólnie. Kobiety razem prały odzież nad rzeką na kamieniu lub na falistej blasze, razem też skubały gęsi. W zimie na saniach wywożono obornik w pole, który rozrzucano na wiosnę sadząc na takim polu ziemniaki. Cykl rocznej pracy zamykał się. Była to ciężka, ale zarazem świetna szkoła życia i charakteru. Może

niekiedy współczesna młodzież nie ma okazji do pracy i troski o dobro wspólne rodziny, stąd mnożą się bezwzględne żądania pod adresem rodziców.

W latach 60. nie było jeszcze radia i telewizji, ani też energii elektrycznej. Wieczorem zapalano więc lampę naftową, aby wspólnie spożyć kolację z jednej miski, a w późniejszym czasie z własnego talerza. Na kolację jadło się często kaszę lub ziemniaki z mlekiem, na śniadanie chleb z masłem, na obiad zupę i ziemniaki z mlekiem. Mięso z zabitej kury podawano zazwyczaj tylko w niedziele. Rzadko widywało się osoby otyłe, nikt nie przejmował się cukrzycą czy też cholesterolem. Przy lampie naftowej snuły się opowieści o znajomych ludziach i ich losach. Weterani wspominali swoją służbę wojskową i walkę na frontach. Kiedy brakowało tematu, to zaczynało się opowiadać o duchach, które miały ukazywać się żywym. Tutaj ludzka fantazja miała szczególne pole do popisu. Na początku lat 60. rozbiły światło w wiejskich domach. Było to tak wielkie przeżycie dla ludzi, że odwiedzali domy innych, aby spoglądać na świecące żarówki. Ludzie umierali wśród najbliższych, a nie w samotności szpitalnej sali, otoczeni rurami i przewodami. Wieczorem przy zmarłym gromadzili się mieszkańcy wioski, aby odmawiać w jego intencji różaniec. Kto żył Ewangelią jedynie powierzchownie, ten czasami złorzeczył na zmarłego, który miał mu wyrządzić jakąś krzywdę.

W sobotę wieczorem kapela wychodziła pod las, aby bezinteresownie (!) muzyką i śpiewem umilać życie mieszkańcom wioski. Orszak weselny jechał z kościoła na ozdobnych wozach, zwanych wasągami. Z daleka słychać było śpiew i muzykę. Na weselu można było przy grającej kapeli porozmawiać z gośćmi. Obecnie głośna muzyka elektroniczna zagłusza wszystkich i po obiedzie trzeba szybko opuszczać przyjęcie weselne. Dziewczyny uczyły tańca swoich narzeczonych. Przyjemnie było popatrzeć na tańczących. Obecnie panuje zupełna dowolność. Żałosny jest widok podskakujących ludzi bez składu i ładu. Taniec przerodził się w jakąś bliżej nieokreśloną gimnastykę. Czego jednak nie robi się w imię „postępu”? W sobotę pracowita dłoń matki wyrabiała ciasto, formowała bochenki czyniąc nad nimi znak krzyża, a następnie na łopacie wsuwała do pieca około 10 bochenków chleba, który wystarczał na cały tydzień. Obecnie pod wieczór sprzedaje się „czerstwy chleb”. Wcześniej dzieci cięły drzewo jodłowe na długie klocki, aby rozpalić piec chlebowy. Nie było tak wielu gatunków wędlin jak obecnie, ale żadna z nich nie dorówna smakowi świeżo uwędzonej kiełbasy własnego wyrobu. Do wędzenia używano jałowca, który nadawał wędlinie odpowiedniego smaku. Kwitło rzemiosło, a na jarmarkach można było kupić koła do wozu, końską uprzęż, przetaki do zboża, grabie, koszyki i wiele innych wyrobów. W wielu wioskach stały kuźnie, bo trzeba było podkuć konie, zaostrzyć lemiesz czy też motykę lub siekiere. Współcześnie na jarmarkach króluje tandetna odzież.

Życie na gospodarstwie w latach 60. i 70. XX wieku było o wiele trudniejsze niż obecnie. Ludzie jednak byli bardziej radosni. Nie siedzieli samotnie przed telewizorem, lecz odwiedzali się. Mój ojciec znał każdego człowieka po imieniu i nazwisku w promieniu wielu kilometrów i zawsze z zainteresowaniem dowiadywał się o kolejach losu poszczególnych ludzi. Zawsze z dumą wspominał swoją służbę wojskową

i ranę w wojnie obronnej 1939 roku. Służba wojskowa była wtedy zaszczytem! W czasie wojny zawoził furmanką partyzantów do ich baz. Po wojnie przez kilkadziesiąt lat nosił swój pas żołnierski – dowód niezwyklej solidności przedwojennych rymarzy.

Podróżuję wagonem sypialnym. Na terenach byłego Związku Sowieckiego kursują pociągi podmiejskie (*elektriczka*) i pociągi sypialne. Innych nie ma. Odległości są ogromne, stąd też ludzie określają je przy pomocy ilości dni spędzonych w pociągu. Na peronach mijanych stacji kolejowych wszędzie ten sam widok: handel ubraniami, zabawkami i żywnością. Niektórzy sprzedawcy przechadzają się po wnętrzach wa-



Podróż pociągiem do Kazachstanu (96 godzin)

gonów zachęcając podróżnych do kupna towarów. Sporo czasu spędzam na rozmowie ze studentką Zosią Guzowską. Jej rodzice wysłali do Polski na studia dwie swoje córki: Janę i Zosię. Chcą aby ułożyły sobie życie w Polsce. Kilka razy odwiedzę ich dom rodzinny w Ałmaty. Tak powstają wieloletnie przyjaźnie.

Rankiem następnego dnia pociąg zatrzymuje się w Mińsku. Z głośników rozlega się

muzyka. Starym zwyczajem na powitanie pociągu międzynarodowego gra orkiestra. Dalsza trasa prowadzi przez Smoleńsk, Riazań, Tambow i Saratow. W Saratowie pociąg oczekuje 8 godzin na wagony z Ukrainy. W ciągu całej podróży postoje zajmą szesnaście godzin. Pociąg wjeżdża do Kazachstanu, wyjeżdża z niego do Rosji i znowu wjeżdża do Kazachstanu. Za każdym razem odbywa się kontrola graniczna. Widać piękne krajobrazy ze wzgórzami. Kazachska oficer straży granicznej pyta mnie po angielsku o to w jakich językach rozmawiam. Dla żartu odpowiadam jej po włosku. Zmieszała się. Śmieję się. W czasie kilkudniowej podróży pociągiem trzeba być przygotowanym na kryzys. W pewnym momencie masz dość jazdy blaszanym pudłem, chciałbyś opuścić wagon i iść przed siebie. Trzeba wtedy usiąść spokojnie i rozpocząć dialog ze sobą samym: nie myśl o podróży, kiedyś pociąg dojedzie do celu, zajmij się czymkolwiek, tylko nie myśl o podróży!

Wieczorem po prawie 96 godzinach jazdy docieram do celu. W oddali widać już światła Astany. Zostało jeszcze pół godziny. Zapinam zegarek na rękę. Błąd! Przechodzę się wzdłuż korytarza i odliczam 2 minuty. Zostało 28 minut. Znowu przechodzę się po korytarzu. Zostało jeszcze 26 minut. Dopiero teraz czas wlecze się niemiłosiernie. Atmosfera w czasie podróży była radosna. Między pasażerami powstawały więzi pozornej przyjaźni. Wystarczyło jednak dotrzeć do celu, aby każdy udał się w swoją stronę nie oglądając się na innych. Na nowoczesnej stacji kolejowej w Astanie czeka na mnie już ksiądz Piotr Pytlowany z diecezji przemyskiej. Pracuje jako pro-

boszcz w katedrze. Młodzież go lubi, bo jest z nimi na modlitwie i w czasie rozrywki. Ofiaruje im swój czas. Następnego dnia ksiądz Aleksander obwozi mnie po stolicy. Urodził się w Kazachstanie w rodzinie niemieckiej. W 1832 roku powstało tu miasto Akmoła, nazwane później Celinogradem, a wreszcie Astaną. W 1998 roku tu przeniesiono stolicę a Ałmaty (dawna Ałma Ata). W ten sposób spełniło się marzenie prezydenta Nursułtana Nazarbajewa. Nowa Astana powstała zgodnie z japońskim projektem. Dużo tu parków, fontann, zieleni, dywanów z kwiatów i wolnej przestrzeni. Przy projektowaniu parków brali udział również Polacy. Przez miasto przepływa nie-



Astana. Dom bogatych Kazachów

wielka rzeka Ishim. Spiętrzono ją i w ten sposób „szeroka” rzeka oblewa półkolem miasto. Ze względu na trudny teren budowlany kafary pracowały tu dzień i noc przez kilka lat. Bloki budowano na słupach osadzonych w ziemi. Ogromny pałac z niebieską kopułą, to pałac prezydenta, a w ogromnej szklanej piramidzie mieści się centrum dialogu międzyreligijnego. W centrum Astany wznosi się wieża „Bajterek” ze złocistym jajkiem na szczycie. Jajko nawiązuje do kazachskich opowieści i legend na temat

życia. Mieści się w nim oszklony taras widokowy i restauracje. Na tarasie umieszczono odcisniętą dłoń prezydenta i błogosławieństwo od przedstawicieli różnych religii. Wypisano je na osobnych tabliczkach.

Wielkie znaczenie dla kazachskiego kościoła miała 96 pielgrzymka papieża Jana Pawła II, która odbyła się w dniach od 22 do 25 września 2001 roku. Przybył do nich człowiek w podeszłym wieku. Minęły dopiero 2 tygodnie po zamachu w Nowym Jorku. Ceremonia powitalna na lotnisku. Z rąk papieża wypadają kartki przemówienia. Dostojnicy są zakłopotani. Podchodzi prezydent Nazarbajew, schyla się i podaje kartki papieżowi. Mszę świętą Jan Paweł II sprawuje na placu w pobliżu katedry. Ołtarz umieszczono w otwartej jurcie, którą władze kościelne zachowały na pamiątkę. Papież mówi do duchowieństwa



Astana, wieża Bajterek

znamienne słowa: „Kościół katolicki [...] wzrasta na krwi męczenników, którzy oddali życie za wiarę [...] Bóg słyszał krzyk tych męczenników, których krew omywała dusze”. Zbliży się czas pożegnania. Prezydent prowadzi papieża pod rękę aż do drzwi samolotu. Po powrocie do Watykanu Jan Paweł II wyznał, iż żaden z prezydentów go tak nie uszanował. Żaden nie przyjął go tak gościnnie i tak serdecznie.

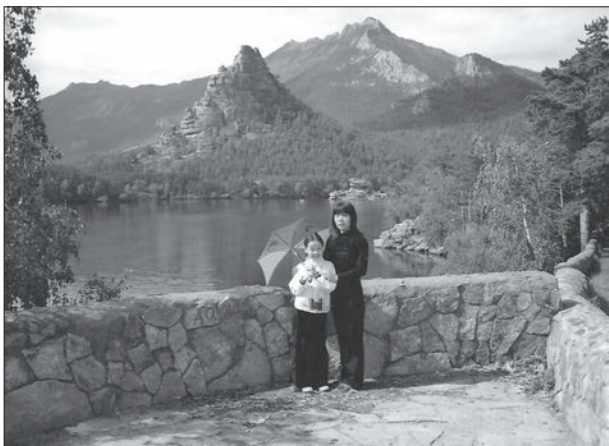
Spotykam się po raz pierwszy z arcybiskupem Tomaszem Petą. Patrzymy ciekawie na siebie, bo do tej pory znaliśmy się jedynie z korespondencji. Pochodzi z Włocławka. Odbył służbę wojskową – jak wielu polskich kleryków – w specjalnej jednostce dla kleryków w Bartoszycach. Również bł. Jerzy Popiełuszko tam przebywał. Po latach odwiedził koszary i podał rękę oficerowi, który go najbardziej prześladował. W tym momencie wydawało się, że piorun w niego trzasnął, bo uczono go marksistowskiej nienawiści do ludzi, a tu spotkał się z nieznanym sobie światem przebaczenia i miłości! Arcybiskup pragnął pracować na misjach w Argentynie, ale Prymas Glemp wiedział, że większe potrzeby są w Kazachstanie. Był rok 1990. Ksiądz Peta słyszał „wołające głosy Polaków o kapłana”. Przez kilka lat pracował jako duszpasterz w Oziornem (*Oziornoje*), gdzie zbudowano sanktuarium maryjne. Gdy jezuita odchodził z Astany, przybył na ich miejsce. Sakrę biskupią otrzymał w Rzymie, a następnie został mianowany metropolitą archidiecezji Astana. Kapłani przyjeżdżają i po kilku lub kilkunastu latach wracają do Polski. Biskup jest fundamentem lokalnego Kościoła, dlatego też arcybiskup przyjął obywatelstwo Kazachstanu. W miejscu katedry niegdyś znajdowało się wysypisko śmieci. Do 1958 roku Kościół działał tu w podziemiu, a wierni schodzili się potajemnie na nabożeństwa. Docierali do nich księża: Drzepecki, Bukowiński, Kuczyński, Kaszuba i Zaricki. Pod koniec lat 50. uzyskano pozwolenie na zakup domu z przeznaczeniem na kaplicę. W 1979 roku władze zarejestrowały miejscową wspólnotę katolików. W kaplicy na peryferiach miasta umieszczono obraz Matki Bożej Nieustającej Pomocy, który wierni przechowywali przez długie lata, narażając się na represje. W 1988 roku rozpoczął tu pracę jezuita Otto Messmer. Po kilkunastu latach został zamordowany wraz z drugim jezuitą w Moskwie. Mam okazję poznać w Astanie tego uroczego człowieka, którego rodzina pogrzebała w Niemczech. Przypominają się tu słowa chrześcijańskiego myśliciela Tertuliana: „Krew męczenników jest nasieniem chrześcijan”. Dnia 18 maja 1995 roku Administrator Apostolski Kazachstanu – biskup Jan Paweł Lenga pobłogosławił plac pod budowę katedry. Cztery lata później kardynał Meissner konsekrował nową świątynię. Dnia 14 kwietnia 2002 roku rozpoczęła się w niej wieczysta adoracja. Raz w miesiącu grupa wiernych z danej parafii przybywa na adorację. Czasami jadą pociągiem 600 lub 800 kilometrów. W ten sposób utrzymują kontakt z sercem archidiecezji.

Przez kilka dni arcybiskup i proboszcz katedry przyglądają mi się uważnie i słuchają w jaki sposób recytuję Mszę świętą po rosyjsku. Następnie zostawiają mnie samego w katedrze. Udają się na spotkanie z papieżem Benedyktem XVI w Kolonii. Wrzucono mnie na głęboką wodę i muszę pływać. Uwielbiam tego typu wyzwania! Codziennie sprawuję Mszę świętą rano i wieczorem. Codziennie spowiadam i głoszę kazania na wieczornej Eucharystii. Wyjaśniam wiernym słowa modlitwy „Ojczy nasz”

i „Credo”. Tekst kazania układałam w pokoju, a siostra Katia, która pracuje w kurii tłumaczy go na język rosyjski. Okazuje się, że można w pociągu godzinami rozmawiać po rosyjsku, ale kiedy ma się przygotować kazanie, to rosyjski staje się trudnym językiem. Mam w tej materii spore doświadczenie, bo z pomocą miejscowej ludności przygotowywałam już kazania w języku włoskim, hiszpańskim, francuskim, niemieckim i angielskim. W niedziele sprawuję także Eucharystię w języku angielskim, gdyż przychodzą do katedry obcokrajowcy.

Na korytarzach kurii można zobaczyć wiele zdjęć. Niektóre przedstawiają prześladowanych kapłanów. Spędzili wiele lat w łagrach za to, że modlili się z ludźmi i sprawowali Msze święte dla nich. Wierni podróżowali po kilkaset kilometrów, aby wyspowiadać się. Wspomnijmy nazwiska tych kapłanów: Aleksander Chira, Tomasz Gumbergier, Alojzy Kaszuba, Lorenz Gavol, Aleksander Bień, Władysław Bukowiński, Bronisław Drzepecki, bł. Aleksy Zaricki. Obecnie można swobodnie pracować. Czasami jednak kapłani czują nostalgię za domem rodzinnym. Ukraina według nich w porównaniu z Kazachstanem, to „przedszkole”: kiedy zatęsknisz za mamą, to możesz do niej z Ukrainy pojechać. Kazachstan jest zbyt daleko. Czasami misjonarze doświadczają przemocy. Księdzu Tadeuszowi dwaj młodzieńcy podcięli gardło, żeby zrabować trochę pieniędzy. Z trudem uratowano mu życie w szpitalu. Młodzieńcy upili się. Aresztowano ich. Kapłan powrócił do Polski i do tej pory starannie zamyka plebanię. Strach pozostał!

Przez jadalnię w kurii przewija się wiele osób. Latem wydaje się tutaj około dwóch tysięcy posiłków. Dla katolików rozproszonych w tym ogromnym kraju kuria stanowi punkt odniesienia. Obok katedry znajduje się nowoczesny „Pałac sportu” (*Dwariac sporta*). Wyposażony jest w pływalnię, siłownię i stadion. W szatni pracuje muzulmanka Nuri. Marzy o tym, aby latać samolotami w roli stewardesy. Nie dziwię się jej. Trzeba czymś urozmaicić monotonną pracę szatniarki. Wychowali ją przybrani rodzice. W wieku 20 lat zatęskniła za „wielką miłością”. Została po niej dziesięcioletnia Dianka i wspomnienie po kochanku, który wyjechał do Rosji. Patrząc na Diankę i zadając sobie pytanie: jak można porzucić taką miłą i mądrą dziewczynkę? Biorę ją z matką do wesołego miasteczka. Wchodzi do „pokoju śmiechu”, gdzie w krzywym zwierciadle można oglądać swoje zniekształcone odbicie. Głośno śmieje się, ale po wyjściu tłumaczy mi, że chciała nam zrobić przyjemność. Mała spryciara! Można zorganizować małej dwa dni wakacji? Można. W towarzystwie jej matki jedziemy po-



Jeziro Barawoje

ciągami do Szczucińska, gdzie znajduje się dom rekolekcyjny „Fides et ratio”. Po drodze policjanci sprawdzają mój paszport, bo „człowiek zachodu” od razu rzuca się im w oczy. W pobliżu Szczucińska znajduje się najpiękniejsze jezioro w Kazachstanie – Barawoje (*Baraboj, Burabaj*). Wokół niego znajdują się malownicze wzgórza i skały. Odbywamy długi spacer. Wieczorem słyszę podziękowanie dziewczynki:

„To był niezapomniany dzień” (*Eta był niezabywajemyj dzień*).

Organistka w katedrze ma wspaniały głos. Ktoś przypadkowo znalazł ją na bazarze, gdzie sprzedawała kwiaty. Gra na elektrycznych organach, a wtóruje jej młoda dziewczyna na skrzypcach. Z arcybiskupem jadę do Szortand, gdzie siostra Joanna obchodzi jubileusz 25. lecia pracy misyjnej. Przez dwadzieścia lat pracowała w Afryce w państwie Kamerun. Istnieje tam zwyczaj, iż po urodzeniu się bliźnięt ginie ich matka lub ojciec. Po śmierci krewnego, ktoś z jego rodziny szuka ofiary, aby ją zabić.



Astana, meczet



Nad jeziorem Barawoje

Pewnego dnia siostra miała pełnić rolę ofiary, ale jakiś mężczyzna w ostatniej chwili ją odciągnął. Innym razem doznała kontuzji nogi, gdy jechała na motorze. Z tego powodu powróciła do Polski, ale później wyjechała do Kazachstanu.

Biały meczet ze złotymi kopułami w centrum Astany, to dar rządu Kataru. Złoto na kopułę mieli ofiarować Rosjanie. Kobiety muszą pozostać przy wejściu, a mężczyźni muszą zdjąć buty i mogą w samych skarpetkach wejść do wnętrza. Pewnego dnia do kurii przyjeżdża na obiad nuncjusz – arcybiskup Józef Wesołowski. Wcześniej reprezentował Watykan w RPA, Kostaryce, Boliwii, Szwajcarii, Skandynawii, Indiach, Japonii i Mikronezji. Na studia dyplomatyczne wysłał go kardynał Karol Wojtyła. Poszczególni ordynariusze wybierają spośród swoich księży

tych najbardziej zdolnych do pracy w watykańskiej dyplomacji, która słynie w świecie z fachowości. Nuncjusz pełni rolę ambasadora. Nie jest to świecki dyplomata, któ-

ry reprezentuje państwo doczesne. W imieniu Ojca Świętego opiekuje się wiernymi w Kazachstanie, Tadżykistanie, Uzbekistanie i Kirgistanie. Niełatwa jest praca nuncjusza w krajach misyjnych. Czasami trudno jest wymienić pieniądze na paliwo i swoje potrzeby, czasami trzeba uzbrojonej bandzie płacić pieniądze za przejazd samochodem, a czasami trzeba zadowolić się kawałkiem chleba. Niekiedy urzędnicy państwowi starają się nawrócić go na islam, a innym razem podkreślają piękno koncertów w katedrze, tak jak gdyby to one były najważniejsze. Czasami urzędnicy państwowi są bardzo słabo wykształceni. O ich ignorancji najlepiej świadczy poniższy dialog urzędnika z nuncjuszem:

- Kogo reprezentujecie?
- Watykan.
- Cooo?
- Rzym (po rosyjsku: *Rim*).
- Aaaa, Krym! (po rosyjsku: *Krim*), no dobrze, dobrze.

Dyplomaci w różnych państwach przychodzą na spotkania z żonami lub konkubinami. Nuncjusz musi być człowiekiem o odpowiedniej formacji duchowej, aby nie czuł się obco i samotnie w tym towarzystwie. Zaszczytne i ofiarne prace nuncjuszy stanowią część życia Kościoła katolickiego. Po południu odwiedzam kurtuazyjnie nuncjaturę. Skrzętnie korzystam z zaproszenia, bo następnej okazji może już nie być! Na piętrze nuncjatury znajdują się biura, pokoje gościnne i salon z portretem księdza Władysława Bukowińskiego. W salonie na parterze umieszczono dwa białe fotele: na jednym siedział Jan Paweł II w czasie swojej wizyty, a na drugim prezydent Nazarabajew. Kazachski kierowca nuncjusza odwozi nas do kurii. Dyplomatyczny samochód wyposażony jest w czerwone tablice. Policjant w bramie nuncjatury uśmiecha się do nas i otwiera szlaban. Droga wolna.

Pewnego dnia odwiedzam z księdzem Piotrem chorego księdza Waclawa. W latach młodości był kuratorem szkolnym. W pewnym momencie dojrzała w nim decyzja, aby wstąpić do seminarium duchownego w Rydze. Sowieckie władze nie mogły zrozumieć, dlaczego ten światły człowiek chce służyć „zabobonowi”. Tak określali religię. Na zgodę władz czekał czterdzieści lat! Prześladowano go z powodu pocztówki, którą otrzymał z Jasnej Góry. Ktoś napisał na niej: „U nas dobrze, a u was pewnie bieda?” Pewnego dnia biskup Jan Paweł Lengga powiedział: „Trzeba go wyświęcić na kapłana, aby mógł sprawować przynajmniej



Kazachstan. Stolica Astana. Wizyta u nuncjusza Józefa Wesołowskiego

jedną Mszę świętą w swoim życiu”. Jest kapłanem od 10 lat, a teraz ciężko zachorował. Piotr spowiada go, a następnie mruga na mnie znacząco: ksiądz Wacław dzisiaj cierpi i musimy zrezygnować z wizyty towarzyskiej.

Wschód nieustannie zaskakuje i zdumiewa. Przechodzę przez most koło katedry. Grupa kobiet wyposażona w wiadra i szmaty czyści poręczę mostu, bo tędy przejeżdża prezydent do swojej podmiejskiej rezydencji. Przecieram oczy i zatrzymuję się. Pewnego dnia przychodzi na rozmowę strapiony mężczyzna z żoną. Jego syn i córka popełnili samobójstwo. Został sam z żoną. Dał synowi wszystko: wychowanie i samochód. W zamian za to taka niewdzięczność! Pyta o ich dalszy los, kto jednak może odpowiedzieć na to pytanie? Zamawia Mszę świętą w intencji Julii i Witalija. Obiecuję im modlitwę w intencji ich dzieci. Na koniec słowa otuchy:

– Może będziecie mogli adoptować jakąś sierotę? Może będziecie mogli pomagać jakiejś biednej rodzinie? Jesteście jeszcze młodzi, nie załamujcie się! Tylko dobrocią i miłością możemy pokonywać zło tego świata!

Siostra Katia długo z nimi rozmawia. Jest tutejsza.

Na śniadaniu obecna jest siostra Anna Kozakowa. Nosi biały habit wspólnoty ośmiu błogosławieństw. Mieszka w mieście Kokczetaw i jest jedną z dwóch sióstr zakonnycy z Turkmenistanu. Jest z tego powodu bardzo dumna. Cieniutkim głosem opowiada o ojcu, który był oficerem armii czerwonej. Nie mógł pogodzić się z wyborem córki. Anna najpierw przyłączyła się do prawosławnych, następnie do protestantów, a w końcu odnalazła się w Kościele katolickim, gdzie żyje błogosławieństwami ewangelicznymi. Prosi o modlitwę za swoją siostrę, aby ta mogła mieć drugie dziecko. Ile takich prośb było w ciągu moich 25. lat kapłaństwa! Nie pamiętam już setek twarzy proszących o modlitwę osób, ale codziennie odmawiam dziesiątek różańca w ich intencji. Prośby te uważam za jeden z piękniejszych rysów kapłaństwa.

Innym razem na śniadanie przychodzą cztery siostry misjonarki miłości świętej Matki Teresy z Kalkuty. Przełożona Merina, która wcześniej pracowała w Etiopii i w krajach Azji Środkowej obchodzi dzisiaj swoje imieniny. Pochodzi z Indii. Siostra Delfina również stamtąd pochodzi. Najbardziej otwarta z nich – Ramola, pochodzi z Bangladeszu. Czwarta siostra pochodzi z Korei, ale nie zapisałem jej imienia w moim *Dzienniku podróży*. Zbyt skomplikowane! *Dzienników* zbierało się już 15 tomów i jest z czego czerpać do kolejnych artykułów w „Almanachu Łąckim”. Siostry docierają do najbiedniejszych ludzi, którzy należą do „czwartego świata”. „Pierwszy świat” tworzą społeczeństwa bogatych państw zachodu, „drugi świat” społeczeństwa byłych państw socjalistycznych, a „trzeci” biedne kraje afrykańskie, azjatyckie i południowoamerykańskie. Biedacy z „czwartego świata” prawie niczego nie posiadają. Śpią pod mostami, żywią się niekiedy odpadkami żywności na wysypiskach śmieci. Po śmierci grzebani są w bezimiennych mogiłach. Czasami pojawi się u nich myśl: będę stanowił kłopot dla władz miasta! Ci ludzie mają być wyrzutem sumienia dla współczesnego świata! Pewnego dnia siostry udają się na wysypisko śmieci w Astanie. Dostrzegają tam ludzi szukających resztek pożywienia. Następnego dnia przywożą termosy z zupą i stos kanapek. Jeden z mężczyzn rozplakał się:

– Siostrzo, takiego pożywienia nie widziałem od miesiący.

Ludzie z okolicznych domów zaczęli protestować przeciw działalności sióstr. Lepiej żyć w jałowym spokoju! Policjant kazał im się nieco przesunąć.

Grekokatolicki kapłan Rostislav Roman Malyarchuk zaprasza mnie i księdza Piotra na budowę swojej świątyni w pobliżu katedry. W jej fundamenty wbito wiele żelbetonowych słupów, które opierają się o skałę. Powyżej niej znajduje się bowiem warstwa zastygłego błota. Robotnicy obchodzą swoje święto. Kierownik budowy Anatolij zabił barana. Przed gośćmi stawiają czaszkę. Każdy z nas ma zjeść ugotowane oko barana. Jak to zrobić, żeby nie obrazić odmową? Tego typu pytania stawiają sobie misjonarze w Afryce, którym podaje się do jedzenia mrówki, węże lub krew krowy zmieszana z mlekiem. Szybko połykam oko i po problemie! Ryż gotowany w kociołku nad ogniskiem z baraniną i jarzynami jest wyśmienity. Jest to płow, który jest narodowym daniem Uzbeków. Kucharz przyjechał tutaj do pracy na budowie z Uzbekistanu.

W katedrze rozmawiam półgłosem z panią Korzeniowską. Otrzymała status osoby pokrzywdzonej. W czasach stalinowskich była prześladowana jedynie za to, że jest Polką i katoliczką. To wystarczyło, aby człowieka zesłać w głąb Azji! W duszpasterstwie zdarzają się niekiedy zabawne sytuacje. Wieczorem przychodzi do zakrystii elegancko ubrana kobieta. Rozmawiamy:

– Czy poświęcilibyście nasze mieszkanie?

– Oczywiście. Czy możemy umówić się na jutro, po wieczornej Eucharystii?

– Dobrze. Przyjedziemy po księdza.

Podjeżdża czarna limuzyna. Jedziemy do centrum miasta. W nowoczesnych apartamentach mieszkają dwie spokrewnione rodziny. Nie włączają się w moje modlitwy, co rodzi moje zdziwienie:

– Często chodzicie do kościoła?

– Nie chodzimy, bo jesteśmy muzułmanami.

– To dlaczego zaprosiliście mnie do siebie?

– Wcześniej poświęcił nasze mieszkania imam, ale uważamy, że wiara katolicka jest silniejsza od naszej i dlatego chcieliśmy, aby pomodlił się u nas także duchowny katolicki.

Zatrzymuję się na poczęstunek u tych sympatycznych ludzi, którzy noszą egzotyczne imiona: Nazar, Galija, Tomiris, Azamat, Ajgerim i Ajdana. Może spodoba się jakiemuś czytelnikowi? Otrzymuję dużą butelkę kumysu. Jest to napój alkoholowy z kobyłego lub wielbłądzego mleka. Dwaj robotnicy pracujący w kurii chętnie go przyjmują, podkreślając jego właściwości „zdrowotne”.

W katedrze rozpoczyna się synod diecezjalny. Żegniam się z arcybiskupem, który zaprasza mnie do siebie za rok. Jadę do Pietropawłowska, aby wygłosić rekolekcje dla sióstr redemptorystek. Opiekują się kościołem, który zbudowano na początku XX wieku. Odremontowano go po zniszczeniach w okresie „władzy ludowej”. Przed świątynią znajduje się krzyż i 4 tablice w języku polskim, rosyjskim, kazachskim i niemieckim: „Swe miecze przekują na lemieszce, a swoje włócznie na sierpy, naród przeciw narodowi nie podniesie miecza, nie będą się więcej zaprawiać do wojny”



Moskwa – Plac Czerwony

(Iz 24 b). Umieszczono tu także inny wymowny napis: „Umęczonym cześć, żyjącym ku zadumie, przyszłym ku przestrodze”. Na krzyżu znajduje się napis: *Pamięci ofiar totalitarnego reżimu* (Pamięci ofiar totalitarnego reżimu). Siostry noszą habity w kolorze buraczkowym, stąd jakiś dowcipny kapłan nazwał je „siostrami buraczkowymi”. Redemptoryści pracują we własnym kościele i obsługują świątynię sióstr. W czasie obiadu mówię do młodego ojca Benedykta:

– Mam kilka godzin wolnego czasu. Czy jest tu coś ciekawego do zobaczenia? Benedykt zadumał się. Co można pokazać przybyszowi w przemysłowym mieście, w którym niegdyś produkowano rakiety SS-20, które były postrachem zachodnich państw? Po chwili odparł:

– Pokażę księdzu wspaniały las brzoźowy.

Jedziemy za miasto. Takich grubych, śnieżnobiałych brzoź nigdy nie widziałem. Tworzą spory las. Tu przebiega południowa granica syberyjskiej tajgi. W lasach leżą zagubione wioski. Na dachach biednych domów widać sporo anten satelitarnych. Niekiedy występują tu zjawiska czarów i opętań. Żegnam się z siostrami: Marią, Grażyną i Danutą, która gra na organach. Dziękują za przyjazd i wygłoszone nauki. O godzinie 19.30 odjeżdża mój pociąg do Moskwy. Czeka mnie 46 godzin podróży. W tym czasie pociąg przejedzie odległość 3 tysięcy kilometrów. Na granicy sympatyczny policjant kazachski z czerwonym otokiem na czapce przeglądając mój paszport wykrzykuje radośnie: „Polska, Kraków!” Uświadamiam sobie, że jego znajomość polskiego ogranicza się do tych dwóch słów. Urozmaicam więc sobie podróż żartem:

– O ty pierniku, a gdzie nauczyłeś się tak pięknie mówić po polsku?

Śmieje się i kłania się na pożegnanie, bo oczywiście nie rozumie tego, co powiedziałem. Rosyjski pogranicznik z dwugłowym orłem na czapce, który patrzy równocześnie na wschód i zachód przypomina mi, że tranzytem mogę podróżować po terytorium Rosji



Moskwa – na Placu Czerwonym

tylko 10 dni. Przez Czelabińsk, Ufę, Samarę i Riazanь docieram do Moskwy. Około 200 kilometrów przed Moskwą policja znowu starannie sprawdza paszporty podróżnych.



Autor przy cerkiewce obok Placu Czerwonego (Moskwa)

W Moskwie śpię u salezjanów, a w katedrze wygłaszam szereg kazań. Nawiedzam odbudowaną prawosławną świątynię Chrystusa Zbawiciela. Zbudowano ją po zwycięstwie Rosjan nad Napoleonem w 1812 roku. Stalin kazał wysadzić ją w powietrze. W tym miejscu planowano budowę wieżowca z monumentalnym pomnikiem Lenina na szczycie. Budowla ciągle zapadała się i zrezygnowano z niej... Odbudowano ją za rządów prezydenta Jelcyna. Był to rosyjski polityk o ludzkiej twarzy. Pod murami Kremla malownicza zmiana warty. Przed Daniłowskim monasterem stoi na warcie kozak. Tu mieści się centrum rosyjskiej cerkwi. Moskwa to potężne miasto. Znajduje się w niej 5 portów lotniczych, 5 stacji autobusowych oraz 9 stacji kolejowych. Każda z nich obsługuje ruch na innym kierunku największego państwa świata. Działają tu także 2 porty rzeczne.

Kreml wywiera wrażenie potęgą swoich murów. Mają one 2,8 kilometra długości i od 8 do 11 metrów wysokości. Baszta Borowicka, przez którą samochody wjeżdżają

na Kreml została zbudowana w 1490 roku. Jej wysokość wynosi 54 metry. Kremlowskie muzea są bardzo bogate. Umieszczono w nich krzyże, ikony, relikwiarze, złote oprawy na księgi liturgiczne, kadzielnice, kielichy, carskie korony i berła, zbroje, broń, orderzy, złote jajka z niespodziankami w środku, karety i końskie uprzęże i siodła wysadzane drogimi kamieniami, wspaniałe szaty liturgiczne i koronacyjne. Tron



Moskwa. Mury Kremla

car Iwana IV został wykonany z kości słoniowej. Spaceruję brzegiem rzeki Moskwa. W Andriejewskim monasterze o godz. 17 słucham wspaniałego koncertu dzwonów i dzwoneczków. Doński Monaster został założony w 1591 roku. Mieścił ikonę Matki Bożej Dońskiej. Tu spędził swoje ostatnie lata patriarcha Tichon. Przed śmiercią

w 1925 roku wypowiedział prorocze słowa: „Noc będzie ciemna, długa... długa...” Tutaj w największej tajemnicy przyjęła chrzest córka Stalina Swietłana Aliłujewa. Ruchomymi schodami metra przemieszczają się miliony ludzi. Metro to właściwie całe podziemne miasto. Słynnego malarza ikon Andrieja Rublowa pogrzebano w Spaso-Andronikowskim monasterze, który ozdabiał swoimi malowidłami. Odbywa się nabożeństwo. Duchowni łyżeczkami podają wiernym Krew Pańską. Po jej przyjęciu całują duchownego w pierścień. Rolę pateny pełni kwadratowe, czerwone płótno.

2. Karaganda. Przemysłowe miasto Karaganda liczy ponad 600 tysięcy mieszkańców. Jest bardzo rozrzucone. Mam okazję być w nim kilka razy. W sierpniu 2005 roku podróżuję tam z arcybiskupem, jego siostrą Anną i jej mężem Markiem. Za Astaną przy drodze widać rezydencję prezydenta: długi mur, kamery i wieże dla straży. Kiedy prezydent jedzie do swojej posiadłości policja wschodnim zwyczajem wstrzymuje ruch innych samochodów. Karaganda i jej okolice w czasach stalinowskich tworzyły największy obóz koncentracyjny (łagier) świata, coś, co na zawsze okryło hańbą system sowiecki! Miejscowi ludzie mówią: „Wbij łopatę w ziemię, a pocieknie z niej krew



Karaganda, katedra katolicka

umęczonych tutaj zesłańców i jeńców wojennych z całego świata”. Zespół łagrów (karłag) funkcjonował tu w latach 1930–1960. Stalin był bardzo perfidny. Zwabił tu tysiące ludzi pod pretekstem dobrej płatnej pracy w przemyśle. Dla wielu była to podróż tylko w jedną stronę. W odległości 15 kilometrów od Karagandy znajduje się „Spassk” – największy międzynarodowy cmentarz. Nad ogromnym obszarem ogrodzonego stepu góruje ogromny krzyż. Prze wejściu na cmentarz umieszczono pomniki dwudziestu narodowości z napisami, które zawierają przejmujące skargi do Nieba. Zatrzymuję się nad polskim napisem: „Polakom–ofiaram terroru stalinowskiego, którzy marząc o życiu w wolności–tu spoczęli w Panu na wieki–Związek Polaków w Kazachstanie. Rzeczpospolita Polska. 1996 r.” Tu należy tylko modlić się.

Miasto stanowi zlepek wielu dzielnic. Każda z nich, to dawny łagier. Marianie prowadzą tu parafię. Proboszcz Krzysztof Erdzik jest bardzo gościnnie. Wcześniej pomagał budować kościół w Chmielnickim na Ukrainie, a następnie pracował razem z obecnym arcybiskupem Lengą w Tainszy. Wikary Jarosław pochodzi z białostockiego. Gwarą opowiada scenkę z jego stron. Przychodzi klient do sklepu:

- A sledz (śledzie) u was jest?
- Jest.
- To posadźcie (zwaźcie) dwa na wadze.

I jak tu się nie śmiać? Głoszę konferencje u marianów w ramach „odnowienia miesięcznego”. U karmelitanek głoszę cykl konferencji duchowych na temat „formacji ludzkiej osoby konekrowanej”. Ważny temat! Najpierw jesteście ludźmi, a następnie kapłanami lub siostrami zakonnymi. Jaki człowiek taki kapłan lub siostra. Siostra Eugenia prosiła w Gnieźnie Jana Pawła II o błogosławieństwo na wyjazd do Kazachstanu. Pieniądze na podróż zarobiły tkaniem sztandaru. Dobrzy ludzie pomogli im kupić przeszkole. Tak powstał pierwszy karmel w Kazachstanie. Oglądamy nową katedrę w budowie. Wzorowana jest na gotyckich katedrach Europy. Będzie to najpiękniejsza katolicka świątynia w Azji Środkowej. Katedra połączona jest górnym przejściem z gmachem kurii. Dach posiada różne odcienie, a wieże wieńczą ogromne szpice z metalu. W seminarium duchownym studiuje 20 kleryków. Ksiądz Ławrientij z Bawarii przyjmuje nas bardzo gościnnie. Pełni funkcję wychowawcy kleryków. W pobliskim mieście Timirtau znajduje się klasztor siostr misjonarek miłości. Wspólnota składa się z 6 siostr. Rwandyjka utraciła w czasie pamiętnej rzezi część swojej rodziny. Włoszce wspomynam o pięknie jej rodzinnej wyspy Sardynii. Słyszę tylko westchnienie.

Innym razem jadę do Karagandy pociągiem. Głoszę konferencje w karmelu i prowadzę skupienie miesięczne u marianów. Bierze w nim udział również arcybiskup Jan Paweł Lenga. Na pożegnanie proszę go o błogosławieństwo. 4 września 2008 roku po raz kolejny docieram do Karagandy. Tym razem busem. Widać zachodzące zmiany.



Karaganda budynek seminarium duchownego

Połowę odległości przebywamy po czteropasmowej drodze. Miasto podzielone jest na mikrorejony. Mnie interesuje mikrorejon (dzielnica) o nazwie Majkuduk. Docieram do seminarium duchownego. Funkcję rektora pełni Hiszpan Jose Luis (obecnie biskup Ałmaty). Prefektem jest szwajcarski benedyktyn-ojciec Roland. Spotykam księdza doktora Jana Nowaka z Krakowa, który zajmuje się procesem beatyfikacyjnym księdza Władysława Bukowińskiego. Modlimy się wspólnie nad jego grobem przy starej katedrze. Kierowca Sasza z ruchu neokatechumenalnego zawozi mnie do Szachtyńska. W dawnym szpitaliku na terenie łagru znajduje się wymowne muzeum. Prawda o łagrach z trudem ujawnia się. Dotychczas otwarto jedynie 3 archiwa na 110 istniejących. Obóz założono w 1931 roku. Obejmował obszar o wymiarach 300 na 200 kilometrów. W Muzeum Politycznych Represji umieszczono zdjęcia pisarzy i artystów. Intelktualna elita Rosji przeszła przez łagry. „Państwo szatana” oparte jest na strachu i przemoc! W Związku Sowieckim wszyscy musieli się bać. Bał się szary człowiek i bał się Stalin. W swoim apartamencie koło Moskwy miał kilka przycisków.

Można było wejść do niego tylko po wezwaniu. Enkawudzista stał na tarasie, a tym czasie do willi otoczonej wysokim ogrodzeniem nie mógł zbliżyć się żaden inny enkawudzista z licznej ochrony. Specjalna ekipa lekarska poszukiwała dla niego eliksiru zatrzymującego proces starzenia się. Na szczęście przegrał walkę z czasem, bo zgi-



Okolice Karagandy. Kaplica misyjna. Proboszcz z parafianką

nałby na jego polecenie jeszcze niejedyn człowiek... Obok muzeum znajduje się gmach komendantury obozu. Stojący na balkonie komendant odbierał „defiladę” więźniów. W tym czasie orkiestra zagłuszała wycia maltretowanych w piwnicach więźniów. „Raj bez Boga” stał się piekłem! Jedziemy na cmentarz dzieci – *Mamoczkino Kladbiszczje*. Dzieci umierały tu masowo. Na chrześcijańskim krzyżu umieszczono łaciński napis: *Sanguis martyrium semen christianorum* (krew męczenników jest nasieniem chrześcijan). Obok niego przymocowano inny napis: *W pamiat o biezwinno pogibszich. Eto nie dałżno pawtoritsa* (Na pamiątkę niewinnie pomordowanych. To nie powinno już się powtórzyć). Dzieci po urodzeniu odbierano kobietom i mordowano. Niejedna z tego powodu wpadła w chorobę psychiczną... Dla stalinowskich oprawców niech słowa Chrystusa mają straszną wymowę: „Baczcie, żebyście nie gardzili żadnym z tych małych; albowiem powiadam wam: Aniolowie ich w niebie wpatrują się zawsze w oblicze Ojca mojego, który jest w niebie” (Mt 18, 10).

Uczestniczę w jubileuszu 10. lecia seminarium duchownego, które powstało w 1998 roku. Jest to jedyna katolicka uczelnia w całym kraju. Uroczystość odbywa się w hotelu „Kosmonawt”, gdyż episkopat pragnie zaprezentować uczelnię wobec władz świeckich. Arcybiskup Lenga mając na myśli kapłanów, którzy opuścili już mury seminarium, przypomina słowa księdza Bukowińskiego, które wypowiedział przed śmiercią do zapłakanych kobiet: „Bóg znajdzie sposób, aby was pocieszyć”. Przedstawiciel władz państwowych mówi o kazachskim modelu dialogu między religiami. Państwo kieruje się tu zasadą tolerancji i neutralności. Obecnie w kraju jest 85 katolickich wspólnot i 91 świątyń. Przypomina fakt, iż prezydent Nazarabajew 3 razy odwiedził Jana Pawła II i otrzymał od niego order Piusa XII. Biskup Schneider omawia seminarium duchowne jako instytucję kształcącą przyszłych kapłanów. W pierwszych wiekach kandydaci przygotowywali się do święceń pod kierunkiem doświadczonego duchownego. Później studiowali w szkołach klasztornych i katedralnych. Łacińskie słowo *Seminarium* pojawiło się dopiero w okresie Soboru Trydenckiego. W 1565 roku w Anglii powstała uczelnia nosząca nazwę „Seminarium”.

3. Ksiądz Władysław Bukowiński. Z Karagandą związany jest „Apostoł Kazachstanu–ksiądz Bukowiński. Czy można wyobrazić sobie duszpasterza, który nie ma swojego kościoła, ani stałych dochodów na swoje potrzeby, który tak jak Chrystus „nie ma gdzie głowy położyć”? Bukowiński spędził 13 lat w łagrach. Rzucił wyzwanie nieludzkiemu systemowi na nieludzkiej ziemi. Co złego zrobił, że tak go ukarano? Sprawował Eucharystię dla wiernych i modlił się z nimi. Dla „państwa szatana” było to wielkie przestępstwo! W czasach rewolucji francuskiej sztychowano z „proboszczów z walizkami”. Takim proboszczem był w XX wieku Bukowiński. Miał dwie walizki: w jednej miał sprzęt liturgiczny, a w drugiej osobiste drobiazgi. W stosunku do swoich prześladowców zawsze uprzejmy–rodził w nich zdumienie. Bukowiński był ustawicznym domokrażcą. Podjeżdżał w ubraniu roboczym ciężarówką do któregoś domu na skraju wioski. Gdyby był elegancko ubrany, to państwo oparte na donosicielach od razu wiedziałyby o jego podróży. Przed wejściem do domu czujnie rozglądał się wokół siebie. Msze święte sprawował w nocy i o świcie. Kazania były krótkie, bo dzieci mdlały z zaduchu. Okna zasłaniano, aby utrudnić pracę szpiclom. Dzieci gospodarki bawiły się wcześniej na zewnątrz domu i rozpoznawały podejrzanego osobnika. Niektórzy spowiadali się po 20 lub 40 latach. Bukowiński nigdy się nie skarżył. Jego podróże miały w sobie coś z misji świętego Pawła: podobne niebezpieczeństwa i ciągle zagrożenie więzieniem. Objechał cały Kazachstan, przedostając się do najmniejszych wiosek, gdzie mieszkała jakaś katolicka rodzina.

Urodził się w Berdyczowie w 1904 roku. W lipcu 1920 roku Bukowińscy przenieśli się do Polski. Nadciągały hordy czerwonych barbarzyńców, o których pisze nasza narodowa pisarka, Zofia Kossak–Szczucka we wstrząsającej powieści pod tytułem *Pożoga*. Studiował prawo i teologię w Krakowie. W czasie święceń w 1931 roku kardynał Sapięcha obiecał mu, iż po kilku latach otrzyma pozwolenie na pracę na kresach. Przeniósł się do Łucka, gdzie prowadził wykłady w seminarium. Kiedy weszli sowieci, odwiedzał ludzi, pocieszał i pomagał innym. Dostrzegano w nim świętego kapłana. W listopadzie 1939 roku biskup Szelażek mianował go proboszczem katedry w Łucku. Wygląd i butne zachowanie sowietów budziły strach. Pewnego dnia sowiecki milicjant dał mu do ręki miotłę. Chciał go upokorzyć, ale Bukowiński tak gorliwie zamiatał, że popsuł mu zabawę. Na imieniny parafianie wykupywali dla solenizanta wszystkie kwiaty, a on ozdabiał nimi ołtarz. Według wielu, był jedyną, jasną stroną tamtych dni. Jego płomienne kazania przyciągały tłumy wiernych. Od lutego 1940 roku wywożono matki z dziećmi do Kazachstanu. Podchodził do wagonów towarowych i rozdawał dzieciom różańce i obrazki. Pocieszał i błogosławił polskich zesłańców. Wkrótce aresztowano go. 23 czerwca 1940 roku enkawudziści wymordowali więźniów. Ranny i nieprzytomny leżał pod stosem zwłok. Przypominał upiora. Jedna z parafianek rozpoznała go jedynie po głosie. Po wejściu Niemców wspierał głodujących jeńców sowieckich. Nie czuł do nich nienawiści. Ratował także dzieci żydowskie. W styczniu 1945 roku sowieci znowu go aresztowali. Ciężko pracował przy wyrębie lasów i kopaniu rowów. W tym piekle zła, niesprawiedliwości, bólu i krzywdy dla wielu był jedyną ostoją. Wysoki, chudy, w lichej odzieży, zawsze pogodny i uśmiech-

nięty. Zawsze otoczony więźniami, odpowiadał na pytania, pytał, tłumaczył, pocieszał i żartował. Jego słowa oświecały umysły wielu i dawały pociechę. Dzięki niemu wielu uwierzyło w lepsze jutro. Kiedy inni po pracy padali ze zmęczenia, on rozpoczynał swoją pracę duszpasterską. Pewnego dnia wartownik uderzył go w twarz, gdy wracał do baraku. Oburzył się, ale po chwili ucieszył się: przecież mógł go zabić. W Dżezkazganie pracował w kopalni. Nogi mu puchły, nosił więc na nogach duże kapcie. Po zwolnieniu z łagru został zesłany do Karagandy. Pracował jako stróż nocny. Jeździł po cmentarzach i pytał: „Są tu jacyś ludzie wierzący?” Tak odnajdywał katolików. Uważał, że do prawdziwego duszpasterstwa potrzebny jest osobisty kontakt, a nie tyle bogate środki materialne! Często zmieniał miejsce noclegu, aby władze nie prześladowały jego opiekunów. Ludzie pokonywali kilkadziesiąt kilometrów, aby spotkać się z nim. Czuło się od niego bijące ciepło i dobroć. Po jego wizycie ludzie długo chodzili uśmiechnięci i zadowoleni. W 1955 roku mógł powrócić do Polski, ale dobrowolnie przyjął sowieckie obywatelstwo. Dobry pasterz nie porzuca swoich owiec! W swoich wyprawach misyjnych docierał na Syberię, do Uzbekistanu i Tadżykistanu. Znowu aresztowano go. Dyskutował ze swoimi prześladowcami i zadawał im pytania, na które nie umieli odpowiedzieć. Przesłuchania trwały godzinami. Śledczy zmieniali się, a on siedział i siedział. Jeden z nich zauważył, że się modli, wrzasnął: „Tu zabrania się modlitwy do Boga”. Bukowiński wyśmiał go w duchu. Ciało można uwięzić, ale nikt nie ma takiej władzy, aby zabronił drugiemu człowiekowi modlitwy. Dusza udręczonych wlatuje do Boga!

Trzy razy odwiedził Polskę zdając relację Prymasowi Wyszyńskiemu o sytuacji w Kazachstanie. W czasie ostatniej wizyty nogi miał spuchnięte. Dwa miesiące leżał w szpitalu w Nowej Hucie. Przyjmował wielu ludzi. W Krynicy na polecenie kardynała Wojtyły spisał *Wspomnienia z Kazachstanu*. Próbowano go zatrzymać, ale odpowiedział: „grób kapłana także apostołuje [...] chory ksiądz, a nawet jego mogiła będą apostołować”. Brat Zygmunt prosił Prymasa, aby zabronił mu powrotu, ale ten mu odpisał: „opuścić ludzi, a więc skazać ich na brak Eucharystii, spowiedzi świętej, chrztu świętego – to rzecz straszna. Nawet mało gorliwy kapłan decyduje się na to z trudem, a co dopiero tak wspaniały człowiek”. 2 grudnia 1974 roku modlił się z parafiankami w szpitalu na różańcu. Zmarł następnego dnia. Tysiące wiernych żegnało „Apostoła Kazachstanu”. Na jego grobie postawiono krzyż z napisem: „Jam jest zmartwychwstań”. Zostawił po sobie dobre wspomnienie i wiele listów. We wrześniu 2001 roku Jan Paweł II pragnął nawiedzić jego grób, ale nie uwzględniono jego prośby. Może władze nie chciały pokazywać światu brudnej i biednej w owym czasie Karagandy? 19 czerwca 2006 roku rozpoczęto jego proces beatyfikacyjny w kaplicy kurii krakowskiej. 13 stycznia 1972 roku Bukowiński zanotował: „Czy nic z nas nie pozostanie? Nie sądzę tak pesymistycznie, bo wszak przez całe życie działaliśmy w pewnym określonym kierunku”.

4. Ałmaty. 3 września 2005 roku. Odjeżdżam pociągiem z Karagandy do Ałmaty. Krótki, męski uścisk dłoni z księdzem Krzysztofem na stacji kolejowej. Ani jednej znajomej twarzy. Spoglądają na mnie ludzie o skośnych oczach. W pociągu policjanci

znowu kontrolują mój paszport. Po pewnym czasie jedziemy wzdłuż długiego jeziora Bałchasz. Po 18 godzinach docieram do Ałmaty. W oddali dostrzegam pana Konstantego Guzowskiego z córką Zosią. Jej babcię zesłano z Ukrainy do Kazachstanu w 1936 roku. Po niewielu godzinach kolejką krzeselkową wyjeżdżamy na wysokość 2250 mnpm. Ze szczytu Czimbułak można podziwiać panoramę potężnych gór Tien-Szan. W katedrze spotykam biskupa Henryka Chowańca. Chodzi we franciszkańskim habicie. Pracują tu franciszkanie. Zastępuję proboszcza Antona ze Słowacji. Codziennie sprawuję Eucharystię, głoszę kazania, odprowadzam nabożeństwa i spowiadam. Cieszę się, że Anton może odwiedzić rodzinę. Dwaj koreańscy franciszkanie – brat Ruggero i brat Diego (Kim Czang Ham) pracują w ambulatorium. Akupunktura pomaga wielu cierpiącym ludziom. Pewnego dnia ich zabiegi przyniosły ulgę żonie wysokiego oficera policji. Ten z wdzięczności pomógł im wyposażyć ambulatorium. Wbijają małe igiełki do palców i tłumaczą, że unerwienie odpowiednich palców rąk powiązane jest z unerwieniem odpowiednich organów ciała. Po skończonej pracy duszpasterskiej wracam nocnym pociągiem do Ałmaty. Modlę się odmawiając liturgię godzin (breviarz). Siedzący na przeciw cywil bacznie mnie obserwuje. W pewnym momencie podaje mi dłoń:

– Jestem Jewgienij, pułkownik wojska kazachskiego. Jadę służbowo do sztabu generalnego w Astanie.

– Ksiądz Henryk Majkrzak z Polski (*Swiaszczennik Giennyk s Polszy*). Jewgienij, następny stopień wojskowy po pułkowniku, to już generał.

– Czytasz Pismo święte?

Kiwam głową, bo nie wiem czy zrozumie różnicę między Biblią a liturgią godzin.

– Henryk, chciałbym z tobą porozmawiać o Bogu i o religii.

– Jesteś wierzący?

– Ochrzczony, ale niewierzący. Możesz mi powiedzieć gdzie znajduje się Bóg i ci wszyscy, którzy zmarli?

W materialistycznym wychowaniu pytanie o miejsce odgrywa ważną rolę, tymczasem świat duchów nie jest związany z miejscem. Dalsza dyskusja wymaga lepszej znajomości rosyjskiego języka teologicznego. Ratuję się żartem.

– Jewgienij, nie bądź podobny do kosmonauty Gagarina, który miał stwierdzić, że w kosmosie nie dostrzegł obecności Boga.

Jewgienij podsuwa mi kanapki, kurczaki i sałatki, które przygotowała troskliwa dłoń jego żony.

– Jedz Henryk.

Za chwilę wspomina coś o szpiegach, którzy jeżdżą po Kazachstanie. Żeby nie myślał, że lekceważę jego obawy, czujnie rozglądam się wokół siebie! Wiem, że sowieccy oficerowie byli wychowywani w duchu manii szpiegowskiej. W dobie niezwykle dokładnych zdjęć satelitarnych na każdym moście umieszczano zakaz fotografowania. Rano Jewgienij wychodzi w pośpiechu. W sztabie czekają już na niego.

5. Oziorne. W czasie drogi zmienia się krajobraz. W Kellerowce kończy się droga asfaltowa. Dalej jedzie się przez step. Kiedy jest błoto na stepie, to niekiedy drugi samochód wybawia kierowcę z opresji. Po przebyciu 30 kilometrów widać na horyzoncie osadę Oziorne (*Oziornoje*). Żyje w niej 800 mieszkańców i 13 osób poświęconych Bogu: 2 kapłanów diecezjalnych, 2 benedyktynów, 4 siostry słuźebniczki i 2 aspirantki oraz 3 siostry karmelitanek. W panoramie osady dominują wieże sanktuarium Królowej Pokoju oraz wieżyczki klasztorów. W sanktuarium obecnie pracuje ksiądz Lucjan Pocałun, a pomaga mu ksiądz Zdzisław Jowik. Mieszkają tu głównie potomkowie Polaków deportowanych z kresów w 1936 roku. Żyjąca jeszcze „ciocia” Hania wspomina tamte tragiczne dni. Kto miał siłę, aby wykopać w zamrzniętym stepie ziemiankę, ten przeżył. Później budowano je z samanu, czyli gliny zmieszanej ze słomą. W ocenie Jana Pawła II wiek XX był wiekiem tragicznym. Był to wiek wyjątkowych zbrodni w dziejach człowieka. Z powodów ideologicznych deportowano dziesiątki milionów osób. Papież pisze o tym w książce *Przekroczyć próg nadziei*. Kiedy Niemcy napadli na Związek Sowiecki w 1941 roku z osady zabrano całą żywność dla wojska na front.



Potomkowie polskich zesłańców

Nastał głód. Mieszkańcy modlili się do Maryi o ocalenie. 25 marca (Uroczystość Zwiastowania NMP) śnieg zaczął tajać i z małego stawu powstało duże jezioro pełne ryb. Mieszkańcy chwyтали ryby dla siebie i na wymianę z innymi kołchozami. Uznali to za cud. Na pamiątkę tego wydarzenia w 1990 roku rozpoczęto budowę sanktuarium. Młodzież z Azji Środkowej co roku w sierpniu pielgrzymuje do tutejszego sanktuarium. Przez kilka kilometrów niosą krzyż. Na pamiątkę cudu na wysokiej kolumnie umieszczono figurę Matki Bożej. W jednej ręce trzyma różaniec, a w drugiej ręce sieć napelnioną rybami. Na pobliskiej górze Oblicza Pocieszenia (*Ahimbietau*) staraniem księdza Tomasza Pety w 1998 roku ustawiono ogromny krzyż ku czci ofiar stalinowskich represji. Wykonali go robotnicy z Nowej Huty. Przywieziony w częściach, został złożony na miejscu. Zdaje się ogarniać swoimi ramionami całą Azję Środkową.

Wieczorem po pielgrzymce młodzieży jedziemy na malownicze wzgórze zwane Wołyńską Sopką. Oprócz arcybiskupa obecny jest nuncjusz Miguel z Hiszpanii, ksiądz–Lucjan i Jarosław oraz ja. Spod krzyża widać step na odległość 40 kilometrów. Nuncjusz twierdzi, że należy spać z głową skierowaną na północ. Trzeba będzie kiedyś sprawdzić czy ma rację. Odwiedzamy benedyktynów ze Szwajcarii. W klasztorze przebywa chudy Matfiej i dobrze zbudowany Josif. Odwiedzamy karmel. Służę nun-

cjuszowi za tłumacza. Przejęta przełożona chce opowiedzieć jak najwięcej. Przerwy-
wam jej:

– Proszę siostry, proszę mówić tylko kilka zdań i przerwać, bo muszę przetłuma-
czyć, to co siostra powiedziała.

Następnego dnia Kościół obchodzi uroczystość Wniebowzięcia NMP. O go-
dzinie 11 rozpoczyna się procesja z figurą Matki Bożej z Lourdes. Prowadzi ją ar-
cybiskup Tomasz i nuncjusz. Eucharystia sprawowana jest pod dachem kazachskiej
jurty. Przewodniczy arcybiskup, a nuncjusz ubrany w szaty klęczy z boku. Kilka
osób przyjechało ze swoim kapłanem aż z dalekiego Tadżykistanu. Przejechali po-
nad 3 tysiące kilometrów! Wielką furorę wśród młodzieży zdobywa Jan Budziaszek.
Kiedyś grał w zespole Skaldów. Spędzał – jak wyznaje publicznie – czas na ucztach
i libacjach. Pewnego dnia usłyszał głos wzywający go do modlitwy. Stał się innym
człowiekiem!

Siostry karmelitanki – Jo-
anna, Elżbieta i Maria Ewa,
cieszą się z mojego przyjaz-
du. Rekolekcje rozpoczynamy
hymnem *Veni Creator*. W czasie
konferencji omawiam kolejne
listy świętego Pawła, bowiem
w Kościele obchodzony jest
„Rok świętego Pawła”. Konfe-
rencje trwają godzinę i przed
każdą konferencją odmawiamy
dziesiątek różańca świętego.
Siostry przybyły tu w 2007 roku
z karmelu w Częstochowie. Są



Siostra misjonarka i wielbłądy na pustkowiu

bardzo chłonne i po każdej konferencji długo dyskutujemy. Dobrowolnie zrezygnowa-
ły z telewizji, radia i prasy. Mieszkańcy Oziornego troszczą się o nie i liczą na modli-
twę karmelitanek. Dwie konferencje głoszę na wzgórzu u stóp wspomnianego krzyża.
Upał. Ubieramy duże chińskie kapelusze. Siostry zadowolone są z mojego pomysłu,
bo przy klasztorze nie mają ogrodu. Po powrocie do Astany mówię arcybiskupowi, że
klasztor kontemplacyjny musi być wyposażony w ogród. Po pewnym czasie siostry
zmieniły miejsce. Obecnie mają ogród.

6. Kustanaj. 25 lipca 2006 roku. Nocnym pociągiem jadę z Warszawy do Smo-
leńska. Tym razem pragnę moją daleką wyprawę do Kazachstanu przerwać na
dwa dni, aby odwiedzić cmentarz pomordowanych oficerów w **Katyniu**. Po ponad
17 godzinach podróży docieram do Smoleńska. Trolejbusem podjeżdżam pod piękny,
neogotycki kościół z czerwonej cegły. Od 1940 roku mieści się w nim archiwum pań-
stwowe. Na rynnach widać rosnące małe drzewka, które wyrosły z nasion niesionych
wiatrem. Pracuje tu 2 franciszkanów. Wyremontowali stary budynek koło kościoła
i w nim urządzili kaplicę dla wiernych. Sąsiednie parafie znajdują się w Witebsku

(120 kilometrów) i Brińska (220 kilometrów). W Archidiecezji Moskiewskiej znajduje się 50 parafii, które należą do 4 dekanatów.

Jeżeli pragniecie poznać historię życia jednego z „szaleńców Bożych”, to jedźcie do Smoleńska. Od 1992 roku w mieście pracuje ojciec Ptolomeusz (Jacek Kuczmik). Kiedy zobaczył świątynię zamienioną na archiwum, to postanowił pilnować placu przy świątyni, aby nie zajęła go żadna firma. Gdyby wynajął mieszkanie w mieście, to nie udałoby mu się obronić tego miejsca. Po dłuższym namyśle zamieszkał w grobowcu na pobliskim cmentarzu. Do górnego pomieszczenia wstawił łóżko, piecyk i krzesło. W dolnym spoczywały prochy zmarłych. Rozmawiamy:

– Ojcie Jacku, kiedy ojciec kładł się na nocny spoczynek, to nie przeszkadzało ojcu to, że zmarli spoczywają poniżej?

– Wieczorem bywałem tak zmęczony, że nie myślałem o tym.

Inni „szaleńcy Boży” prowadzą duszpasterstwo w okresie letnich miesięcy wzdłuż rzek syberyjskich. Statkami, a następnie łodziami docierają do swoich wiernych. Zimą wierni ci pozostają bez opieki duszpasterskiej.

Z ojcem Ptolomeuszem jadę na cmentarz polskich oficerów w **Katyniu**. Tam i w innych miejscach wymordowano ponad 20 tysięcy bezbronnych jeńców wojennych. Coś wyjątkowo okrutnego i zbrodniczego w historii ludzkości! Takiego barbarzyństwa, takiego bestialstwa, takiego zdziczenia świat nigdy nie oglądał! Zrobili to ludzie, którzy nie należeli do żadnej cywilizacji, ludzie, którzy nie kierowali się żadnymi normami współżycia międzyludzkiego. Może zamiast ludźmi należałoby nazwać ich bestiami w ludzkiej skórze. Jest to przestroga dla przyszłych pokoleń: oto do czego prowadzi życie bez Boga! Enkawudzista Wasilij Błochin był jednym ze zbrodniarzy. Był katem Stalina. Do akcji ubierał się w fartuch rzeźnika, na głowę nakładał skórzaną czapkę a na ręce skórzane rękawice. Wyglądał upiornie jak wysłannik piekła! Dwaj pomocnicy ładowali jego niemieckie pistolety typu Walther, które nie rozgrzewały się tak bardzo jak pistolety sowieckie. Strzelał w tył głowy polskim oficerom. Strzelał i strzelał... Własnoręcznie zabił w swoim życiu około 50 tysięcy osób! Może odezwało się w nim jakieś sumienie, bo według zeznań enkawudzisty Tokariewa zaczął pić, a w końcu zastrzelił się.

Hitlerowcy odcinali Polsce głowę mordując polskich profesorów z Krakowa i Lwowa. Stalin czynił podobnie mordując elitę polskiego narodu w Katyniu i innych miejscach ludobójstwa. Wśród oficerów byli profesorowie, lekarze, adwokaci i inżynierowie. Dwaj generałowie brygady – Bronisław Bohaterewicz i Mieczysław Makary Smorawiński mają tu oddzielne groby. Na tablicy umieszczono wymowny napis: „Cierpieniu – prawdę, umarłym – modlitwę, w obliczu Boga wszechmogącego. 1995 Rodacy”. Na tablicy w kolorze rdzy umieszczono nazwiska pomordowanych. W Katyniu zginęło też wiele tysięcy Rosjan. Hitler był okrutny dla innych narodowości, Stalin był okrutny również i dla swoich. Przez ponad 40 lat prawda o mordzie na polskich oficerach była ukrywana. Dzieci nie mogły pisać w życiorysach, że ich ojciec zginął w Katyniu. Znikali i ginęli ludzie, którzy o tym mówili. Jedną z ostatnich ofiar był ksiądz Niedzielak, który wystrojem w kaplicy cmentarnej w Warszawie przypo-

minał wiernym o tej zbrodni. Dopiero prezydent Gorbaczow powiedział Jaruzelskiemu: „NKWD zabiło polskich oficerów”, a prezydent Jelcyn przekazał prezydentowi Wałęsie kopie dokumentów zagłady. Dzwonimy dzwonem i opuszczamy to straszne miejsce zagłady.

W dalszej drodze do Moskwy widać odnowione stacje kolejowe. Pomalowano je w różne odcienie zieleni. Wikariusz generalny–ksiądz prałat Andrzej Steckiewicz przyjmuje mnie w Moskwie bardzo gościnnie. Jadę na dworzec Kazański, aby kupić bilet do Kazachstanu. Okazuje się, że wszystkie bilety na najbliższe dni są już wykupione. Miła blondynka w kasie ubrana jest w białą, elegancką koszulę. Jeszcze raz spojrzała na mnie uważnie i mówi: „Przyjdźcie po południu, będzie bilet”. Podróżuję *plackartą*. Przedziały sypialne nie mają tutaj drzwi i wszyscy oglądają wszystkich, ale za to można spokojnie spać, bo w pewnym momencie jakaś starsza kobieta podniesionym głosem zarządzi nocną ciszę i wszyscy muszą jej posłuchać. Buty i bagaż trzeba sprytnie gdzieś ukryć, a dokumenty i pieniądze trzeba mieć przy sobie. Droższy bilet można kupić na *kupe*. Przedziały tam są zamknięte, kiedy jednak pasażerowie nie mają kultury, to się nie wyśpisz! Przejeżdżamy przez potężną Wołgę, która przypomina jezioro. W Czelabińsku stoi na torach wagon zamieniony na prawosławną kaplicę. Na granicy znowu sympatyczny kazachski policjant wykrzykuje na widok mojego paszportu: „Rzeczpospolita Polska. Dzień dobry!”

W Astanie wita mnie serdecznie arcybiskup Tomasz Peta: „Już myślałem, żeś gdzie przepadł w tych pociągach”. Głoszę rekolekcje dla sióstr w Pietropawłowsku. Żegnam się z redemptorystkami i jadę 10 godzin autobusem do miasta Kustanaj, gdzie będę zastępował proboszcza–saletyna księdza Stanisława. Nawierzchnia drogi jest w złym stanie więc jazda autobusem przypomina podróż statkiem po wzburzonym morzu. Miasto założono w 1879 roku. Na stacji autobusowej czeka na mnie już siostra Lucyna ze Zgromadzenia Sióstr Pasterek. Krótkie, upalne lato, a zimą temperatura osiąga minus 40 stopni. Na początku XX wieku w okolicy Kustanaj mieszkało 6 tysięcy katolików. Mam zaszczyt pracować w mieście, w którym przed laty trudził się ksiądz Aleksander Bień. Spędził on 8 lat w łagrach. W 1996 roku zbudowano muryrowane pomieszczenia plebanii, a na górze złożono drewniany kościół przywieziony w częściach z Niemiec. Gospodyni Walentyna jest sympatyczna. Pijemy kawę:

– Proszę księdza, w naszej parafii powinien pracować kościelny, organistka, stróż, gospodyni i ogrodnik.

– A skąd, Walentyna, parafia weźmie pieniądze na opłacenie tych ludzi, skoro niedzielne składki pokrywają 10 procent wydatków?

– A to już ksiądz jest od tego, aby starać się o pieniądze!

I jak tu nie kochać ludzi? Proboszcz jeździ do Polski, aby na głoszonych przez siebie rekolekcjach ściągać trochę pieniędzy. W tym czasie wierni narzekają, że znowu go nie ma. Niewdzięczna praca! Na Eucharystię w niedzielę przychodzi kilkadziesiąt osób. Jest to drobny ułamek promila 200 tysięcznego miasta.

Pewnego dnia jakiś mężczyzna prosi o pogrzebanie matki. Trzeba przez step przejechać 180 kilometrów. Gospodyni Walentyna jest zatroskana; „Nie pojedzie ksiądz

sam tak daleko w step, bo my nie znamy tych ludzi”. Towarzyszy mi wraz z siostrą Nazarią. W czasie drogi rozmawiam z synem zmarłej:

– To ty w związku z pogrzebem mamy przejedziesz 720 kilometrów, bo później trzeba nas jeszcze odwiedzić.

– Mama zasłużyła na to. Dobrze nas wychowała. W sumie miała 11 dzieci.

Często zwalniamy, bo drogę blokują stada krów lub koni. Pozdrawiam zgromadzonych ludzi słowami: *Sława Isusu Christu!* (Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus). Nikt nie odpowiada. Wiedzą tylko, że gdzieś jest jakiś katolicki kościół! Niektórzy z nich po raz pierwszy widzą katolickiego kapłana. Mężczyźni wynoszą trumnę obitą czerwonym płótnem. Związek Sowiecki rozpadł się, ale nikt nie zastanawia się nad tym, skąd to czerwone płótno. Rodzina płacze. Podjeżdża ciężarówka. Na pakę wnoszą trumnę. Obok niej siada 30 osób z najbliższej rodziny. Na cmentarzu podchodzę do męża zmarłej:

– Ile lat żyliście razem?

– Pięćdziesiąt!

To mi wystarczy. Nie składam kondolencji, lecz ściskam mocno jego dłoń. To ważniejsze niż słowa. Jemy obiad w domu zmarłej i wracamy.

Pewnego dnia na plebanię przychodzi młody pracownik Wydziału do Spraw Religii. Pyta o to, z jakich narodowości pochodzą nasi wierni, z jaką młodzieżą pracują siostry i księża w Barawoje. Głównie interesuje go jednak parafialne pisemko *Kuda idiosz – Quo vadis?*

W duszpasterstwie szczególnie potrzebna jest cnota cierpliwości. Dzwonek. Otwieram drzwi. Stoi młoda, zapłakana dziewczyna:

– Co się stało?

– Dostałam z Niemiec wiadomość, że zmarł mój narzeczony. Czuję jego obecność przy mnie.

– Ci, którzy nas kochali są z nami. Jesteś katoliczką?

– Tak, jestem.

– To pomódl się za zmarłego narzeczonego. Wiesz, że Kościół codziennie modli się za zmarłych.

– Nie znam modlitw za zmarłych.

– To odmów sobie modlitwę „Ojcze nasz” lub „Zdrowaś Maryjo”.

– Nigdy nie słyszałam o takich modlitwach.

– To poczekaj, przyniosę ci modlitewnik z różnymi modlitwami. Za chwilę będziemy w kościele odmawiać różaniec. Zapraszam cię. Pomodlimy się również i za twojego narzeczonego.

Innym razem na plebanię przychodzi Piotr. Od 9 lat żyje w Kolonii w Niemczech. Pół roku temu zaważyło się jego życie. Zmarła żona Walentyna. Przychodzi po pracy do domu, który nie jest już tym samym domem. Córki mają swoje życie. Przyszedł zapalić za nią w kościele świeczkę. Światło, to symbol życia. Innym razem przychodzi Sasza. Studiuje historię i pracuje jako sprzedawca na targu. Jest człowiekiem poszukującym. Otrzymuje kilka książek do przeczytania. W pewnym momencie słyszę jego

pochwałę: *Wy zdiełali zdies charoszuju rabotu* (Zrobiliście tu kawał dobrej roboty). Jest mi bardzo miło. Ksiądz Jean Marc Stoop ze Szwajcarii w wolnych chwilach jeździ po wioskach i szuka katolików niemieckiego pochodzenia. Pewnego dnia staruszka rozpląkała się na jego widok: „Nie widziałam od 50 lat katolickiego księdza!” Pozdrowił ją słowami: *Gelob sein Jesus Christus* (Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus). Zapłakana odpowiedziała: *In Ewigkeit* (Na wieki wieków).

Najbliższe sąsiednie parafie leżą w Lisakowsku (120 kilometrów) i Pietropawłowski (450 kilometrów). Kiedy w czasie mrozów wieją silne „burany” policja wypuszcza poza miasto tylko kolumny samochodów. Wieczorem rozpoczynam rekolekcje dla sióstr Pasterek. Przed moim wyjazdem zmarł narkoman Maksym. Miał zaledwie 25 lat. Jego bogaci rodzice opłacili mu nowoczesną szkołę. Prawosławni nie chcieli go pogrzebać. Zapłakana matka przysłała do mnie. Można odmówić człowiekowi modlitwy? Chrystus modlił się nawet za swoich prześladowców. Maksym ma na czole naklejoną prawosławną taśmę z ikonami. Jego ojciec Wiktor jest ateistą. Współczuję mu bardzo, bo nie znajduje pociechy w wierze. Na cmentarzu podchodzę do brata zmarłego:

– Pamiętaj, abyś nie zmarnował życia jak twój brat Maksym. Ucz się, załóż rodzinę i pomagaj rodzicom na starość.

Odmawiam modlitwy nad grobem. Matka coraz głośniejszoch. Jakaś rozsądna kobieta podchodzi do mnie:

– Trzeba ją odciągnąć od grobu, bo zemdleje lub rozchoruje się.

Ludzie wyczekująco zerkają w moim kierunku. Chwila zastanowienia. Mam do dyspozycji tylko 2-3 sekundy! Przychodzi olśnienie. Podchodzę do matki Maksyma:

– Słuchajcie, możecie z mężem przyjechać na grób syna jutro, pojutrze i kiedy tylko zechcecie, a teraz może pojechalibyśmy na obiad, bo samochody już na nas czekają. Po chwili kiwnęła głową.

Pożegnanie z arcybiskupem Tomaszem. Jedno z najpiękniejszych pożegnań w moim życiu. Słyszę jego głos:

– Co mogę księdzu ofiarować? Nie mam co księdzu dać. Nie wiem jak wyrazić naszą wdzięczność. Ksiądz czuje tę wdzięczność, prawda?

Kiwam głową. Głoszę kazania i spowiadam w karmelu i w kościele parafialnym w Karagandzie. Jedna z karmelitanek opowiada o cierpieniach księdza Zarickiego. W łagrze spuszczano go i wyciągano po kamieniach pokrytych drutem kolczastym. Był cały pokrwawiony. Jakaś kobieta obserwowała tę scenę i przypomniała jej się piąta stacja drogi krzyżowej. Jedna z sióstr była okrutnie torturowana. Wieszano ją na haku. Władze nie chciały zrobić z niej męczennicy. Odesłano ją do klasztoru, ale siostry jej nie przyjęły, bo bały się, że będzie donosić. Umierała jakby po raz drugi.

7. Zielony Gaj, Jasna Polana i Kellerowka. Nocny lot do Kazachstanu. „Airbus 320” leci na wysokości 11 kilometrów. Za oknami panuje temperatura minus 54°C. O godzinie 5.20 ląduje w Astanie. 31 lipca 2008 roku. Księża mieli na lotnisku na mnie czekać, ale nikt nie czeka. Dostrzegam nieznanego kapłana w koloratce. Podwozi mnie do kurii. Arcybiskup śmieje się do mnie z daleka:

- Wiedzieliśmy, że sobie poradzisz!
- Gdybym nie poradził sobie, to nie wybierałbym się do was.

W południe jadę pociągiem z arcybiskupem. On jedzie do Pietropawłowska na wizytację, a ja do Tainszy. Opowiadam ciekawe historyjki i żartuję. W ciągu tych kilku godzin wspólnej podróży staram się nie ciążyć arcybiskupowi swoją obecnością. W Tainszy serdeczne pożegnanie. Czeka już na mnie młody kierowca. Jedziemy przez step. Drogi stepowe krzyżują się ze sobą. Nie ma drogowskazów. Jak on odnajduje właściwy kierunek? W pewnym momencie dostrzegam, że obserwuje roślinność na horyzoncie. Teren jest płaski więc widać ją doskonale. Nocą wchodzimy do restauracji w Zielonym Gaju. Jedna z parafianek obchodzi urodziny. Ksiądz Paweł jest wzruszony: „Jak to dobrze, że ksiądz przyjechał, bo ja nie widziałem już dwa lata mojej chorej mamy”. Ludzie witają się ze mną tak jak gdyby znali mnie już od dawna, więc udaję, że i ja znam ich od dawna. Świetna zabawa! W pewnym momencie ksiądz Paweł wstaje. Przychodzi mu do głowy kiepski żart:

- Ja wyjeżdżam, a na moim miejscu będzie ksiądz Henryk.

Wierni posmutnieli, bo zrozumieli, że opuszcza ich na zawsze. Wstaję:

– *Nie bojties, my tolka szutim!* (Nie bójcie się, żartujemy). Za kilka tygodni ksiądz Paweł wróci do was i wszystko będzie tak jak dawniej.

Znowu uśmiechają się. Paweł nauczył się języka kazachskiego i w urzędach nieźle sobie radzi. Plebania mieści się w starej chacie pokrytej eternitem. Na wschodzie miliony ton szkodliwego eternitu pokrywają jeszcze liczne domostwa. Chata jest parterowa. Kto budował piętro, tego zsyłano do łagru, bo uznawano go za „kułaka”. W chacie są dwie izby, kuchnia i dwa pomieszczenia dla zwierząt. Okna nie otwierają się. Aby przewietrzyć mieszkanie, trzeba szeroko otwierać drzwi. Drzwi między pokojami są bardzo niskie i trzeba nisko się schylać. Woda w łazience kapie. Po godzinie jest już pełne wiadro. Polewam się dużą chochlą. Tak wygląda „prysznic” na stepie. Herbata jest lekko słona, bo taka jest tutaj woda. Po Mszy świętej ludzie modlą się w kościele jeszcze przez godzinę. Kiedy rozpadał się Związek Sowiecki dyrektor kołchozu zapytał ludzi o to, na co ma przeznaczyć zgromadzone pieniądze. Odpowiedzieli, że na kościół, bo sowioci wysadzali kościoły w powietrze. Tak powstał tutejszy kościół. Ksiądz Paweł przed wyjazdem urządza mi małą wycieczkę nad słone jezioro. Odjeżdża. Rano na plebanię wchodzi mężczyzna. Jest to Piotr Dimitriewicz. Rozpoczyna się rozmowa:

- Kim jesteście?
- Ochrona.
- Cooo?
- Jestem stróżem i ochraniam plebanię.

Karmi psy–Dżulię i Puszkina oraz kota–Burunduka. Pije kawę i wraca do swojego domu. Po stepowych kościołach i kaplicach obwozi mnie Stanisław Górski z Daszki–Nikołajewki. Nigdy nie zawiedzie. W swoim japońskim samochodzie założył grube resory i w czasie jazdy przez step zdaje się, że samochód płynie. Poruszamy się po terenie o promieniu 170 kilometrów. Lekko dysząc wchodzę do kolejnej świątyni

ni. Pozdrawiam wiernych słowami: *Sława Bogu, uspieł* (Chwała Bogu, że zdążyłem). Uśmiechają się. O to mi właśnie chodzi! Moje kazania w języku rosyjskim sprawdza kleryk i studentka. Kiedy umiera Kazach, to rodzina rozdaje jego rzeczy, a uczestnicy stypy zabierają ze sobą jedzenie, które zostało po spotkaniu. Prowadzę pogrzeb zmarłej Marii. Pod kościół podjeżdża ciężarówka z trumną na pace. Wnoszą ją do środka i otwierają trumnę. Upał. Młoda kobieta odpędza gałązką muchy od zmarłej matki, a ja sprawuję Eucharystię. W kazaniu mówię o pracy zmarłej w kołchozie i przy wychowywaniu dzieci. W Kellerowce zastępuję księdza Mariusza. I ta parafia posiada kaplice dojazdowe w różnych miejscowościach. W Letowocznoje proszę wiernych, aby ustawili się do pamiątkowego zdjęcia. Narzekają. Wyrzucam im to:

– To ja pokonałem 5 tysięcy kilometrów, aby przybyć do was, a wam trudno jest przejść 50 metrów?

Siostra Rafała zna ludzi w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Niejeden misjonarz mógłby jej pozazdrościć! W Jasnej Polanie na pożegnanie przemawia emerytowana nauczycielka – Olga Francjewna. Nikt i nigdy tak pięknie mi nie dziękował! Słowa pełne mądrości i ciepła. W Kellerowce wieczorem ktoś dzwoni do drzwi. Otwieram. Wala w imieniu gromadki dzieci prosi o wodę. Przynoszę oprócz wody ciastka i cukierki. Wala opiekuje się młodszą siostrą. Niegdyś starsze dzieci w Polsce opiekowały się młodszymi, a matka z boku nadzorowała życie rodzeństwa. Rodziło to między rodzeństwem głębokie więzi na całe życie. Dzisiaj wychowanie jedynaka kosztuje tak wiele trudu, że nie myśli się już o następnym dziecku. Pewnego dnia Wala prosi o zeszyt. Kupuję cały stos zeszytów, ale matka przezornie chowa do szafy większość z nich. Wala prosi o nowy tornister. W sklepie już ich nie ma. Nie jest zmartwiona:

– Oczyszczę mój stary tornister i też będzie dobrze.

Pielęgniarkę Nify odwożę z klerykiem Wadimem na stację autobusową. Mówię jej na pożegnanie:

– Uśmiechaj się Nify często do chorych. To obok tabletek i zabiegów ważne lekarstwo.

W porze obiadowej odwiedza mnie arcybiskup Tomasz z misjonarzem z Tajlandii. Przechwalam się, że obsługuję teren o promieniu 170 kilometrów, na co misjonarz spokojnie odpowiada, że on porusza się po terenie o średnicy 350 kilometrów. Tak więc to, co dla jednego człowieka jest czymś wielkim, dla drugiego jest czymś zaledwie przeciętnym. Kilka dni później odwiedzamy księdza Józefa w Tonkoszurowce. Jedziemy 50 kilometrów przez step, aby dostarczyć mu naprawiony samochód. Przy pożegnaniu mówię do niego:

– Przed tobą mroźna zima. Zaopatr się w ciepłą czapkę, futro, walonki, ziemniaki, węgiel, wódkę i sało (sadło).

Śmieje się. Jadę do Kokczetaw. Miasto malowniczo położone jest na wzgórzach. U jego stóp leży jezioro, a w panoramie miasta dominuje katolicka świątynia.

8. Atyrau. 8 września 2008 roku. O 14.44 odjeżdża pociąg z Ałmaty do Atyrau. W ciągu 49 godzin pociąg przejedzie 2600 kilometrów. Jedziemy przez pustynię Kyzyl-Kum. Opiekun wagonu dwa razy dziennie zmywa podłogę wagonu. Po 27 go-

dzinach podróży przychodzi kryzys. Chciałoby się uciec z blaszanego pudła. Trzeba przewyciężyć kryzys. Na dworcu kolejowym w Atyrau czeka na mnie już biskup Janusz Kaleta. W miejscowej katedrze sprawuję Eucharystię w języku rosyjskim, włoskim i angielskim, bowiem w przemyśle naftowym pracują tu obcokrajowcy. Atyrau liczy 200 tysięcy ludzi. Niedgdyś znajdowała się tutaj kozacka stacja. Około 260 lat temu powstało miasto, które w czasach Związku Sowieckiego nazywano Gurjew.

Niedziela, 2 sierpnia 2009 roku. Mały samolot śmigłowy linii „Scat” odlatuje ze stolicy Azerbejdżanu–Baku. Przelatuje na ukos Morze Kaspijskie zmierzając na północ. Głębokość morza w części północnej wynosi 12 metrów, a w części południowej 1025 metrów. Przez Atyrau przepływa rzeka Ural nad którą położone są bogate rezydencje. Po dwóch godzinach lotu samolot ląduje. Pielęgniarka wchodzi na pokład i specjalnym przyrządem mierzy temperaturę naszych ciał. Boją się epidemii grypy. W oddali dostrzegam biskupa Janusza Kaletę. Następnego dnia odwiedzam urząd miejski (Akimat), a po kilku dniach odbywam rozmowę z oficerem policji politycznej (KNB). Opowiadam mu o moim życiu. Na pytanie o mój stosunek do innowierców odpowiadam, że jestem człowiekiem otwartym na dialog. Pyta o żonę. Wie, że katoliccy kapłani nie żenią się, więc pozwalam sobie na żart:

– Zostałem kapłanem, bo żadna z kobieta mnie nie chciała.

Śmieje się tak głośno, że inni zaglądną do naszego pokoju. Sporo formalności, żeby pracować w Atyrau w okresie lata. Pracuję w Administraturze Apostolskiej Atyrau. Na terenie o długości 1600 kilometrów znajduje się 6 parafii. Odległość między parafiami wynosi 100, 200, 500, a nawet 700 kilometrów. Często wolontariusze wspomagają kapłanów, aby nie czuli się osamotnieni. Robią zakupy, rozmawiają z kapłanem... Biskup rezyduje w Atyrau, a siedmiu kapłanów pracuje w parafiach. Pracują tu także trzy siostry Elżbietanki. Początkowo miejscowi patrzyli z niechęcią na zabudowania administratury. Kiedy jednak wybudowano w niej plac zabaw dla dzieci, atmosfera zmieniła się. W tygodniu sprawuję Eucharystię w języku rosyjskim, w soboty i niedziele w języku angielskim, rosyjskim i włoskim, a w poniedziałki w języku łacińskim. Dziesiątki godzin spędzam w pokoju nad kazaniami w różnych językach. Część naszej pracy jest niewidoczna dla oczu wiernych. Ćwiczę melodie Mszy świętej w różnych językach, aby poprzez śpiew podkreślić uroczysty charakter niedzielnej celebrzy. Hindus przystępując do Komunii Świętej zdejmuje wcześniej buty. W Kazachstanie udziela się jej pod dwiema postaciami.

Plagą tutejszego terenu są komary. Miasto leży nad morzem, ale wybrzeże jest błotniste. Miliardy komarów tną więc niemiłosiernie ludzi. Komar to jedyne zwierzę, które musisz zabić, bo nie zostawi cię w spokoju. Przykryjesz się na noc tylko prześcieradłem z powodu upału, to ukąsi cię przez prześcieradło. Wystawisz tylko nos, to ukąsi cię w nos. Do mieszkania wleci przez dziurkę w siatce lub przez drzwi. Rozpylisz płyn w aerozolu, to później trzeba wywietrzyć i masz w pokoju nowe komary. Najlepiej wietrzyć pokój rano. Najbliższa parafia znajduje się w Kulsarach w odległości 230 kilometrów od Atyrau. Z księdzem Piotrem jedziemy przez pustkowie. Bliżej Kulsar widać stada wielbłądów. Po pracy duszpasterskiej odjeżdżam noc-

nym pociągiem do miasta portowego Aktau. Na stacji kolejowej w Mangyszłak czeka na mnie już ksiądz Aleksander Kalinowski z Białorusi z klerikiem Jewgienijem. Rzut oka na sposób chodzenia Aleksandra i już wiem, że służył w wojsku. Był oficerem lotnictwa armii czerwonej. W bloku mieści się jego mieszkanie i kaplica dla wiernych. Planuje budowę kościoła. Miasto nie ma zasobów słodkiej wody, więc oczyszcza się tutaj wodę morską. Codziennie podgrzewa się dziesiątki ton wody, którą następnie skrapla się w postaci pary w specjalnych zbiornikach. W czasie wieczornej przejażdżki nad morzem mijamy nowoczesne koszary kazachskiej piechoty morskiej i ośrodek szkoleniowy policji politycznej.

Z siostrą elżbietanką Zytą podróżuję samochodem do parafii w Uralsku (Oral). Mamy przed sobą pięćset kilometrów dobrej drogi asfaltowej przez pustkowia. Po drodze nie widać żadnej wioski. Jedynie stada wielbłądów i koni. Chcę, aby siostra trochę odpoczęła od prowadzenia samochodu, więc robię jej zdjęcia na tle wielbłądów. Rodzina w Polsce ucieszy się. Ostrzegam jednak:

– Niech tylko siostra nie podchodzi za blisko, bo wielbłąd może ugryźć lub opluć.

Są to inne zwierzęta niż u nas w ZOO. Tutaj na wolności są panami stepu, a na ludzi patrzą z lekkim lekceważeniem. Całe stado obserwuje nas uważnie, a przywódca stada stoi na pagórku i obserwuje całą okolicę. W Uralsku znajduje się najładniejszy kościół w całej administraturze. Oddano go do użytku kilka lat temu. Miejscowy proboszcz–ksiądz Janusz Potok ze Stróż cieszy się:

– Przyjechało bezdzietne małżeństwo z Hiszpanii. Chcą adoptować chore dziecko, ale z nikim nie mogą się porozumieć. Możesz pomóc?

– Znam biegle język włoski, natomiast hiszpański znam bardzo słabo. Spróbuję im pomóc.

Następnego dnia witam się z Hiszpanami:

– *Buenos dias. Que tal?* (Dzień dobry. Jak się macie?).

– *Muchas grazias. Muy bien* (Dziękujemy. Bardzo dobrze).

Jedziemy do domu dziecka. Lekarka tłumaczy mi po rosyjsku historię chorej dziewczynki. Tłumaczę jej słowa Marcialowi na język włoski, a on próbuje je przetłumaczyć swojej żonie Isabel na język hiszpański. Komunikacja w odwrotnym kierunku odbywa się w podobny sposób. Trzy obce języki na raz! W pewnym momencie czuję pustkę w głowie. Nie powiedziałbym w tej chwili jak się nazywam. Proszę Janusza, aby rozmawiał z lekarką i mówił mi po polsku, to co ona wyjaśnia. Ja dokonuję tłumaczenia na język włoski. Tym razem lepiej to funkcjonuje. Dziewczynka jest chora na serce i upośledzona umysłowo. Hiszpanie są przygnębieni. Reaguję natychmiast. Podchodzę:

– Nie traćcie nadziei, jutro pojedziemy do innego domu dziecka.

Następna dziewczynka ma wadę serca. W Hiszpanii zrobią jej operację. Czuję, że wezmą ją ze sobą. Marcial odchodzi na bok. Podchodzę:

– Dziewczynka ma kazachskie rysy.

Patrzy na mnie z wyrzutem:

– *No importa!* (To nie ma znaczenia).

Płacze. Łzy szczęścia. Jedno z najpiękniejszych pożegnań w moim życiu. Isabel mówi: „Enrique. Niech cię Bóg błogosławi”. Dziewczynka zmieniła ich życie. Za kilka miesięcy z Hiszpanii przysłała mi jej fotografie i kilka wymownych słów: „Nasz dom jest domem księdza i zawsze będzie otwarty dla księdza”. Kolację spożywam z proboszczem i jego gościem – prawosławnym archimandrytą Anastazym, który lubi katolików i ceni śpiew gregoriański. Nocnym pociągiem udaję się do Aktiubińska (Aktobe). Pociąg leniwie przemierza step. Po 15 godzinach na peronie dostrzegam łysego księdza Tadeusza Smereczyńskiego. Macham do niego ręką. Jest zdumiony:

– Skąd mnie ksiądz zna?

– Do podróży przygotowuję się starannie. Oglądałem zdjęcie księdza.

Głoszę kazanie w sąsiedniej parafii w Chromtau. Z ogromnej dziury w ziemi wyjeżdżają tam potężne ciężarówki z rudą chromu. Następnego dnia do Aktiubińska przyjeżdża prezydent Nazarabajew. Kazachowie dumnie przechadzają się w odświętanych strojach. Ksiądz Piotr Jabłoniec odwozi mnie na stację kolejową. Słyszę prośbę: „Proszę przysłać mi księdza książkę *Katalog cnót i wad*”. W Atyrau dostaję na pamiątkę narodowy strój Kazachów – *szurpan*. Odlatuje samolotem do Baku w Azerbejdżanie, a stąd przez Wiedeń do Krakowa.



STALINOWSKI TERROR (funkcjonariusz NKWD)



NKWD (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych) – główny sowiecki organ odpowiedzialny za realizację stalinowskiego terroru. Funkcjonariusze NKWD rozstrzelali polskich oficerów na „niehumanitarnej ziemi”, wywieźli ze wschodnich kresów do łagrów i na zsyłkę ponad milion polskich obywateli. To samo czynili na Litwie i innych podbitych terenach. Byli symbolem pogardy dla ludzkiego życia, a zarazem postrachem dla zwykłych obywateli. Słynęli z okrucieństwa. Gestapo torturowało więźniów, aby poznać prawdę, ci torturowali, aby zmusić więźniów do przyznania się do niepopelnionych czynów. Takiego upodlenia świat nigdy nie oglądał. Nie reprezentowali żadnej cywilizacji, bo łamali uzgodnienia zawarte z poddającymi się polskimi oficerami. Kłamstwo towarzyszyło im jak cień.

Wasilij Michajłowicz **BŁOCHIN** (1895–3.02.1955)
oficer NKWD, zaufany **kat Stalina**
w latach 1926–1953 własnoręcznie **zastrzelił około 50 tysięcy osób**



Był członkiem ochrony Stalina, prawdziwym demonem śmierci, zaufanym katem Stalina, a zarazem najbardziej przerażającym mordercą w dziejach ludzkości. Jest symbolem nieludzkich okrucieństw sowieckiego systemu. W tym „państwie Szatana” bali się wszyscy: od Stalina, aż po szarego człowieka. Wykonywał wyroki na znanych postaciach (Lew Kamieniew, Grigorij Zinowjew, NikołaJ Jeżow i Izaak Babel). W 1940 roku rozstrzeliwał bezbronnych polskich oficerów (ewenement w historii ludzkości) na „nieludzkiej ziemi” (Kalinin/Twer). Strzelał im w tył głowy(potylica) tak, aby kula wyszła ustami. Wtedy było mało krwi. Do egzekucji wkładał skórzany, brązowy fartuch rzeźnika, brązową, skórzaną czapkę i brązowe, skórzane rękawice. Wyglądał upiornie jak wysłannik piekła. Każdą krwawą noc funkcjonariusze NKWD kończyli pijaństwem. Pośmierci Stalina pozbawiono go stopnia generała. Rozpił się, a w końcu zastrzelił się, tak jak uczyniło to wielu stalinowskich oprawców z Katynia i innych miejsc zbrodni. Wyrzuty sumienia?

STALINOWSKI TERROR
NKWD (1940 rok – okres „zbrodni katyńskiej”)



oddziały pograniczne NKWD (szeregowy), lejtnant wojsk wewnętrznych NKWD,
komisarz brygady

STALINOWSKI TERROR
NKWD (1945 rok – okres powstania antysowieckiego w Polsce)



generał NKWD, major, szeregowy

STALINOWSKIE DEPORTACJE POLAKÓW polscy zesłańcy



W latach 1940–1941 w czterech wielkich deportacjach wywieziono na „niehumanitarną ziemię” ponad milion Polaków. Podróżowali koleją w strasznych warunkach. Cierpieli z powodu brudu i głodu. Zmarłych wyrzucano z pociągu i nikt ich nie grzebał. Na miejscu osiedlenia żyli w ziemiankach lub barakach, często w nędzy, głodzie i poniżeniu. Pracowali ponad ludzkie siły. Wielu z nich zmarło w Związku Sowieckim, wielu z nich nigdy nie wróciło do Polski. Na zawsze pozostaną symbolem stalinowskiego terroru i wschodniej pogardy dla ludzkiego życia. Ich twarze wynurzają się z głębin historii. Zdają się prosić o pamięć i modlitwę.

II RZECZYPOSPOLITA (1918–1939) oficerowie – duma narodu polskiego



oficer żandarmerii



oficer Korpusu Ochrony Pogranicza



oficer 1 Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego

Tysiące z nich zamordowano strzałem w potylicę w Katyniu i innych miejscach na „niehumanitarnej ziemi”. Tysiące z nich zginęły w powojennym powstaniu antysowieckim. Znani jako „żołnierze wyklęci”, często nie mają nawet swoich grobów.

KOŚCIÓŁ KATOLICKI W KAZACHSTANIE



Astana

Arcybiskup Tomasz Peta na tle swojej katedry

KOŚCIÓŁ KATOLICKI W KAZACHSTANIE



Zielony Gaj

Ksiądz Paweł na tle wiejskiej chaty, która pełni rolę plebanii na bezkresnych stepach

KULTURA KAZACHSTANU



Astana

Kazach w szurpanie na tle pałacu prezydenckiego

KULTURA KAZACHSTANU



Astana

dwie Kazaszki. Matka i córka na tle figury Matki Bożej

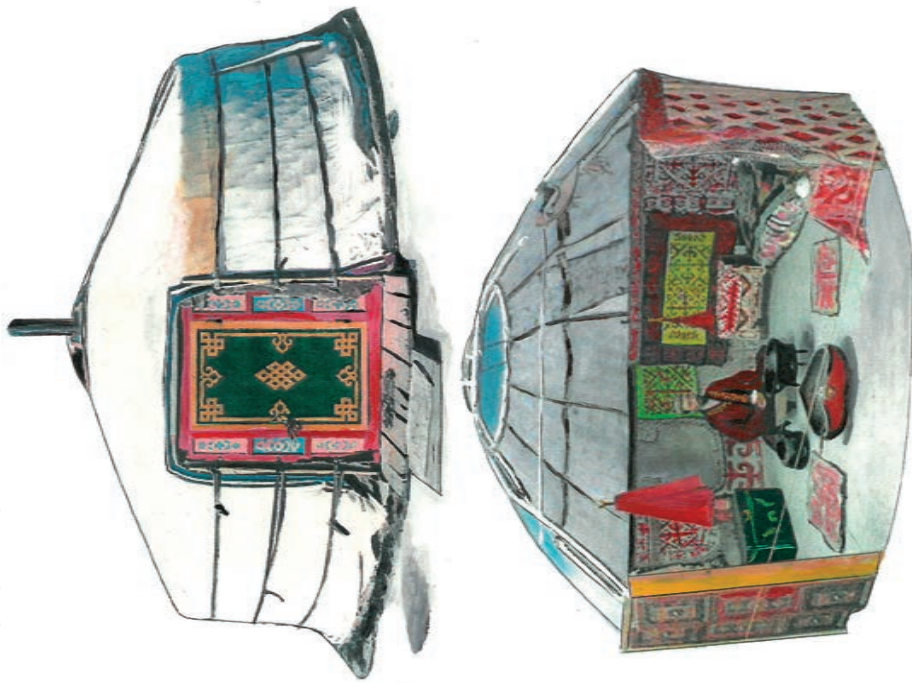


Astana – mała Kazaszka na tle pałacu sportu (dwariec sportu)

KULTURA KAZACHSTANU

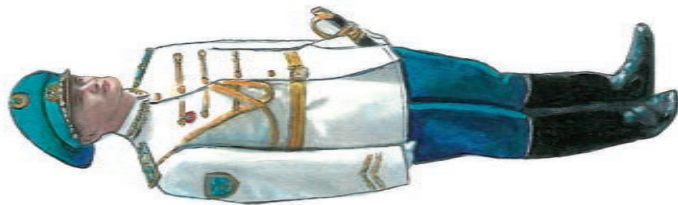
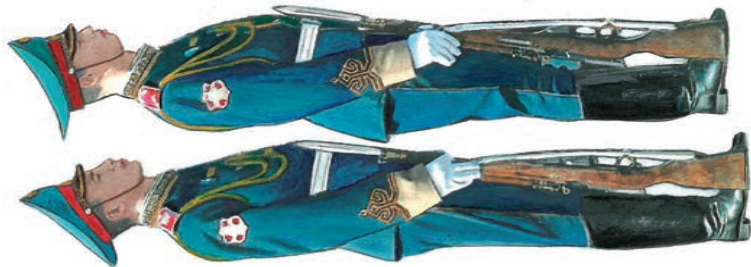


Jurta, kazachski strój ludowy,
siostra zakonna prezentuje narodowy strój Kazachów (**szurpan**)



Jurta (z zewnątrz i wewnątrz)

KAZACHSTAN
Gwardia Narodowa – duma Kazachów



Gwardia Narodowa, to paramilitarna formacja licząca dwa tysiące żołnierzy. Oprócz zadań obronnych pełni także funkcje reprezentacyjne

Poczet sztandarowy

KAZACHSTAN
Gwardia Narodowa – duma Kazachów



KAZACHSTAN
Prezydent Nursułtan Nazarbajew



22 września 2001 roku papież Jan Paweł II wylądował na lotnisku w stolicy Kazachstanu – Astanie. W czasie ceremonii powitalnej papieskie przemówienie wypadło z rąk siedzącego Jana Pawła II. Chwila zakłopotania. Szybko podszedł jednak Prezydent, schylił się, pozbierał kartki i wręczył je papieżowi. W czasie odlotu wyprowadził Jana Pawła II po schodkach aż do drzwi samolotu. Po powrocie do Watykanu papież stwierdził, iż nikt z prezydentów tak go nie uszanował jak prezydent Nazarbajew.

Zatrzymane w kadrze



Maria i Jan Dąbrowscy (ze zbiorów Heleny Krawczyk)



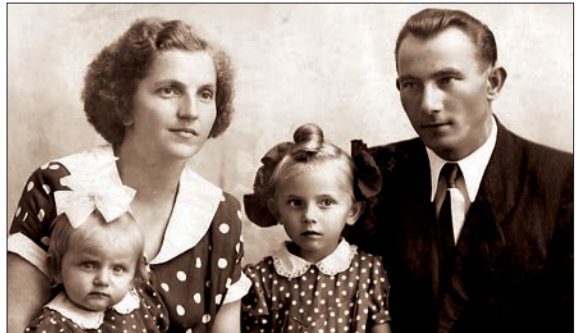
Roman Wójcicki – kierownik poczty (ze zbiorów Aleksandry Żurawskiej)



Od lewej Helena Pierzga, Zofia Węclawek, Karolina Beniowska (ze zbiorów Marii Pierzga)



Stanisław Wilkowicz z uczniami – 1914 rok (ze zbiorów Marii i Piotra Arendarczyków)



Irena z d. Krzywdzińska i Stanisław Janiczakowie z córkami: Grażyną i Małgorzatą – 1956 rok (ze zbiorów Ireny Janiczak)



Zofia Błaszczyk 1938–2006 (ze zbiorów Jana Adamczyka)



Anna Majkrzak z. d. Ząbek (ze zbiorów Stanisława Majkrzaka)



Zofia Kowalczykowa z d. Czarnecka 1901–1971 (ze zbiorów Jadwigi Kowalczyk)



Inż. Piotr Kowalczyk (w środku) z synem Kazimierzem (po lewej) na Wawelu – 1935 rok (ze zbiorów Jadwigi Kowalczyk)



Aniela i Aleksander Krzywdzińscy z dziećmi Janiną i Mieczysławem, z lewej stoi siostra Anieli – Rozalia, 1910 rok (ze zbiorów Ireny Janiczak)



Maria Myjak (ze zbiorów Zofii Myjak)



Antoni Pogwizd 1900–1969 (ze zbiorów Stanisława Majkrzaka)



Maria Magdziarczyk z d. Hilger i Józef Kuziel (ze zbiorów Lucyny Adamczyk)



W środku Helena Pierzga, z prawej Wiktoria Janczura (ze zbiorów Marii Pierzga)



Maria z d. Mrówka i Wojciech Pierzchałowie (ze zbiorów Czesławy Łuszcz)



Helena Gardzielowa z d. Kosik i Michał Piksa (ze zbiorów Bogusławy Czech)



Od lewej: Józef Zaremba, Michał Myjak, Tadeusz Zygadło – 10.VI.1973 rok (ze zbiorów Tadeusza Zygadło)

Piękno naszej ziemi – prosta, urzekająca architektura starych domów
Budynek w Czerńcu przy drodze na Byniową fot. Andrzej Urbaniec





Na zdjęciu odznaka *Za Zasługi Dla Rozwoju Łącka*. Ustanowiona w latach 60 ubiegłego wieku. Kilkanaście, a może i kilkadziesiąt osób zostało nią wyróżnionych w czasach, kiedy rządziła *jedynie słuszna władza*.

Przyznawano ją zapewne osobom z ówczesnego establishmentu, które do Łącka przyjeżdżały z okazji święta kwitnących jabłoni, by popróbować legendarnej śliwowicy, ale także tym, którzy naprawdę starali się by zmieniać Łącko na lepsze.

Odznakę zaprojektował, na prośbę Antoniego Arendarczyka, ówczesnego sekretarza gminy, jak to się wtedy mówiło – w czynie społecznym – prof. Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, Maciej Urbaniec. Grafik i jeden z twórców tzw. polskiej szkoły plakatu.

Ma ona formę oryginalną, rzadko wśród odznak spotykaną, jest – powiedziabym – pozytywna i nie jest napuszona, ani nijaka. Nie ma symboli politycznych, więc powinna być poprawna w każdym ustroju.

Pewnie, dlatego, że powstała w czasach *słusznie minionych*, postanowiono ją wrzucić do lamusa i skazać na zapomnienie. Chyba niezasłużenie.

Anglicy swoim *Orderem Podwiązki*, ustanowionym w XIV w. szczytą się do dziś, nie zmieniając jego formy. Francuska *Legia Honorowa*, ustanowiona przez Napoleona I, od 1802 r. trwa w niezmiennym kształcie, choć władzę po nim przejęli jego zaciekli wrogowie. Co prawda trudno naszą odznakę porównywać z Legią Honorową, ale w ten sposób powstaje *tradycja*, jeden z czynników kulturotwórczych.

U nas chyba nie ma tradycji, by kultywować tradycję!

Odznaka, którą tu przedstawiam ma już ponad 40 lat!

Mam nadzieję, że po tej publikacji stanie się cennym, poszukiwanym przez kolekcjonerów, eksponatem!

Wystawa malarstwa Andrzeja Urbańca w Berlinie

Dnia 31 sierpnia 2012 r. otwarta została w Berlinie wystawa obrazów, członka naszego Towarzystwa, Andrzeja Urbańca. Wystawę zorganizowali państwo: Ewa Sabatowska i Norbert Büttner oraz Karen Bloch –Thiess i Bernhard Thiess, ci ostatni użyli swego lokalu wystawowego Leuchtturm w dzielnicy Neukoelln przy Emser Str 117.

Państwo Thiess prowadzą szeroko pojętą działalność kulturalną organizując wystawy malarstwa, rzeźby, sztuki drukarskiej i t.p. prowadząc koła poetyckie, historyczne, literackie i filozoficzne, oraz dyskusje na wiele interesujących tematów.

Pani Ewa Sabatowska (Bandyk), aktywna uczestniczka klubu Creativ Centrum ma „korzenie” polskie – pochodzi z Łącka i co roku odwiedza swoją małą ojczyznę wraz ze znanym już w Łącku poetą – Norbertem Büttnerem.

Oto kopia folderu, wydanego przez Neuköllner Creativ Center w Berlinie w tłumaczeniu na język polski:

Andrzej Urbaniec – Świecące Beskidy – Wernisaż w piątek 31 sierpnia 2012 o godz 19.

Pokażemy polską specjalność z Beskidów.

Piękno krajobrazu w rytmie pór roku i zmieniającego się dziennego światła pobudzają do twórczego użycia pędzla, ołówka, czy pióra.

Poprzez swoją pracę z akwarelą, artysta rozwinął specjalną technikę nazwaną „odpryskiem”.

Finisaż w piątek 28 września 2012 r.

Poniżej plakat dotyczący tej wystawy i kilka zdjęć z wernisażu

Andrzej Urbaniec
Leuchtende Beskiden



Vernissage: Fr. 31. August 2012 19 Uhr
Es gibt polnische Spezialitäten aus den Beskiden

Die Schönheit der Landschaft im Rhythmus der Jahreszeiten und im wechselnden Tageslicht hat zu künstlerischem Schaffen mit Pinsel, Bleistift und Feder angeregt. Über seine Arbeit mit Wasser- und Ölfarben entwickelte der Künstler eine eigene Technik, die Spittergrafik.

Finissage: Fr. 28. Sept. 19 Uhr

7 Frauen ...
FrauenDruckwerkstattPrenzberg:
Barbara Arnold, Christine Fierke, Barbara Galonska, Christa J. Heinrich, Barbara Hoffmann, Christine Räther
Lyrik: Christine Kahlau
Vernissage am Fr. 5. Oktober um 18 Uhr
Laudator: Sabine Voerster
Musikalische Begleitung: Jacob Wilhelm - Klarinette, Charlotte Scheer - Akkordeon

Die sechs Frauen der seit vielen Jahren aktiven FrauenDruckwerkstattPrenzberg und die Lyrikerin Christine Kahlau haben sich hier zu einer gemeinsamen Ausstellung zusammengelunden.
Die Druckfrauen wählen für ihre Arbeiten Gedichte aus, zu denen sie einen persönlichen Bezug entwickeln könnten. Sie interpretieren diese Lyrik mit ihren grafischen Mitteln, jede auf ihre Weise, und bringen somit ihre ganz eigenen Erfahrungen in das Werk ein. Wir dürfen gespannt sein auf die individuellen lyrischen und grafischen Ausdrucksformen der sieben Frauen.

Sonntagsöffnung mit Künstlergespräch am 21. Oktober von 15-18 Uhr mit der FrauenDruckwerkstatt und der Lyrikerin Ch. Kahlau
Finissage mit Lesung am Fr. 26. Oktober um 17 Uhr
Gedichte: Christine Kahlau, Ruth Grünbaum - Pöze
Musikalische Begleitung: Ruth Grünbaum - Pöze

Lesungen im Rahmen der Woche der Sprache und des Lesens in Berlin

Mo. 3. Sept. um 19 Uhr Haticca Aktyla
Die Kolumnistin im Tagesspiegel schreibt mit leichter und auch spitzer Zunge ihre Notizen voller Gespür das Leben in der Großstadt.

5. Sept. um 19 Uhr Meida Akbas
Wie ich will - Mein Leben zwischen Moschee und Wrock
Meida Akbas liefert einen authentischen Blick auf das Leben einer Migrantenfamilie, die trotz aller Hürden in Deutschland ihre Heimat gefunden hat. Ihre Lebensgeschichte zwischen Moschee und Minirock zeigt, dass Integration funktionieren kann - mit viel Mut, Ausdauer und etwas Glück

Do. 6. Sept. um 19 Uhr
laden wir ein in das Haus der deutsch-arabischen Jugend Kirchhofstr. 19, 12051 Berlin zu einer Lesung mit Hariz Elmetwally
Historisches, Kriminelles und Familiäres aus Neukölln

Fr. 7. Sept. um 19 Uhr Die Muschelschubser
Plattdeutsch im Leuchtturm - wir reden nicht, wir schwächen

Sa. 8. Sept. um 15 Uhr Der literarische Zirkel des Neuköllners Leuchtturms
stellt sein erstes eigenes Buch vor: Die 10 Autoren lesen aus der 1. literarischen Textversammlung

Sa. 8. Sept. um 19 Uhr das Haus der deutsch-arabischen Jugend zu Gast bei uns im Leuchtturm
Fadi Saad und Kartheinz Gaertner mit ihrem Buch
Kampfnze Straße - Jugendliche Gewalttäter jetzt stoppen
Die Gewalt auf Berlin Straßen macht vielen Angst - doch was lässt sich dagegen tun? Der Sozialarbeiter und ehemaliges Gangmitglied Fadi Saad sowie der Polizist Kartheinz Gaertner suchen gemeinsame nach Lösungen.



Andrzej Urbaniec

Leuchtende Beskiden



Vernissage:

Freitag

31. Aug. 2012 19 Uhr

Die Schönheit der Landschaft im Rhythmus der Jahreszeiten und im wechselnden Tageslicht hat zu künstlerischem Schaffen mit Pinsel, Bleistift und Feder angeregt. Über seine Arbeit mit Wasser- und Ölfarben entwickelte der Künstler eine eigene Technik, die Splittergrafik.

Öffnungszeiten: Mi - Fr 14 - 19 Uhr
Sa 1. Sept. 14 - 17 Uhr

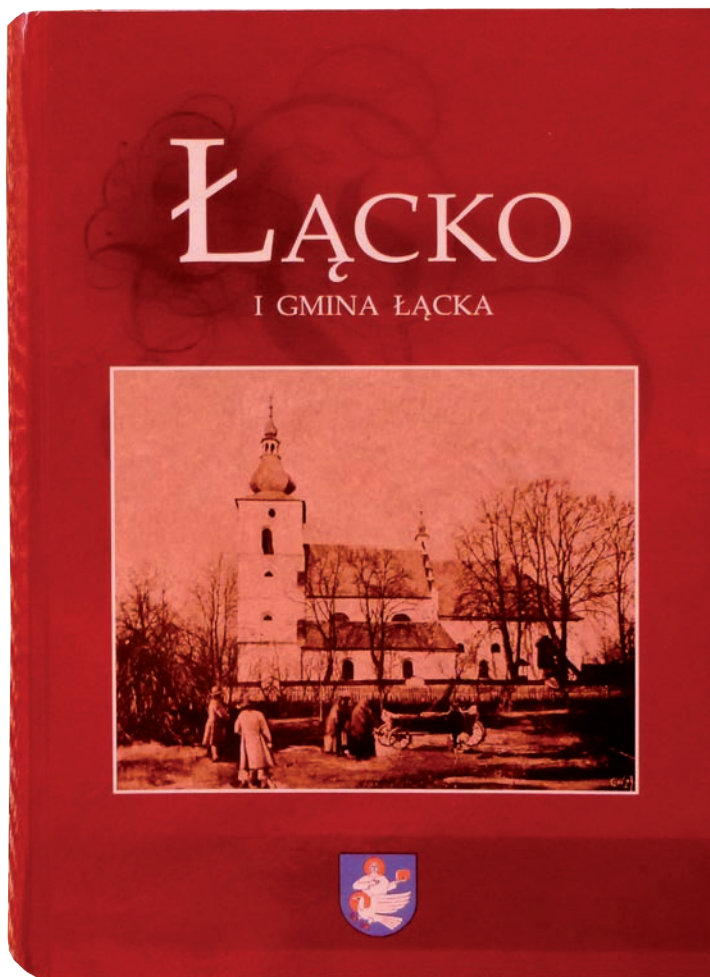
Ausstellungsende mit Finissage
am 28. Sept. 2011 19 Uhr



Na końcu przedstawiamy jedno z dzieł pana Andrzeja inspirowane obrazem Van Gogha, przedstawiające wszystkie niuansy techniki „odprysku”. Być może także cennego jak oryginał!?

Staraniem Urzędu Gminy w Łącku wydano historię Gminy Łącko. Dzieło to powstało dzięki wieloletnim staraniom prof. dr. hab. Juliana Dybca.

Monografię wydano w Oficynie Wydawniczo-Drukarskiej SECESJA w Krakowie 2012, w nakładzie 500 egzemplarzy, cały nakład wydawca przekazał do Urzędu Gminy w Łącku.



Uwaga!

Korekta

W artykule prof. dr. hab. Juliana Dybca „Parafie - Życie religijne” str. 551-563: Jan Bulanda z Łącka nie był profesorem I Gimnazjum w Tarnowie (błędnie podano, za A. Banachem, nauczycielem była zupełnie inna osoba o tym samym nazwisku).

Witraż z bł. Kingą, ufundowany w 1901 roku, przez uczestników zjazdu inteligencji łąckiej, wymienił ks. Józef Put na inny, będący obecnie w kościele parafialnym w Łącku.

Juli

in den Bäumen
leuchten die Lippen

der Mädchen
beim Kirschenpflücken

wenn ich sie sehe
werfen sie

eine Handvoll Rot
das brennt in den Augen

Lipiec

Na drzewach błyszczą
wargi dziewcząt
zrywających wiśnie

gdy na nie patrzę
rzucają pełne garści czerwieni
które pieką w oczy

Weisser August

auf Storchen beinen stakt
Nebel durch die Senken vorm Dorf

bis noch einmal die Sonne
das Himmelfenster klar wischt

tragen die Pflaumen blauen Schimmer
und auf dem Schleifenband der Strasse

nimmt der Bus ihn auf
den Jungen mit ukrainischem Akzent
Monter der Fernsprechleitung die
meine Stimme leitet

summende Ton der
vom gestern singt

Biały sierpień

Jak na bocianich nogach kroczy
mgła opuszczając wieś
kiedy słońce jeszcze raz
przeciera jasne okno nieba

niebieszcą się śliwy swoim blaskiem

na wstędze szosy
autobus bierze ukraińskiego chłopca
montera przewodów
niosących mój głos

bzyczący dźwięk
który o przeszłości śpiewa

Vor Ort

froschgrün bekränzt
Regen die Veranda

Die zerbrochene Scheibe
teilt mit einem Riß

den Himmel in der Ferne
friert der Sommer

Na miejscu zdarzenia

żabią zielenią wieńczy
deszcz werandę

pęknięta szyba
ryśą dzieli
niebo w oddali

marznie lato

Tłumaczył Andrzej Urbaniec

Album Myśli

BOŻE NARODZENIE

W narodzenie Twoje
Z nieba biją blaski
Bo się grzechu cienie
Usuwać z ziemi

Po Adamie, Ewie...
I ich śpetnym grzychu
Hej przychodzi Jezus
„Zły” ucikł w popłochu

Zły, ze nie przeszkodził
Cobyś się narodził
I cobyś ród ludzki
Od piekła wyswobodził

Dzięki wielki Boże
żeś miół zmiłowanie
I żeś nom nie pamietał...
Nie zesłół karanie...

Dzisiok Cie witomy
W serca przyjmujemy
Boś nos umiłowiał
Niebo nam zgotowół

Piyknie Ci śpiywomy
Z Twą świętą rodziną
Pośpij Jezu mały
Nim bedzies spracowany

Australia, Adelajda 2008

OJCZYŻNA SŁOWEM MALOWANA

Tęsknice

Kany się podziały
Piykniućkie smerecki
Ka lasek zielony
Ten tak koło rzecki.
Sadziłam lasecek
Włosnymi rękami
Z ocu moich zginą
Zniknął już na wieki.
Nie bedym jo więcej...
za laskiem tęskniła
Chcym coby się trowka
W nim znowu zieleniła.
Mom nadzieje jesce
Ze kiedy się uprze
Przylecę pod smercek
A siadając pod nim
Poprose wiaterek
Coby mi wysumioł
Syćko o mym lasku
Jako on wyrostoł.
Przy słonecka blasku
Jako go rosily
Łzy z daleka moje
ZA TYM CO STRACONE.

O GÓRACH

Góry nase góry,
Pagórecki nase
Nikt Vos tak nie kocho
Jako my Górole.

I te strome zbocza
i ostre krawędzie
Mgły, niebieskie niebo
I groźne przelece.

Siumne, zimne wody
Górskiego potocka
Wśród skał rozpędzone
pianą bulgocące...

Syćko to je życie
Co je już za nami
bo my łez wyloli
Tęsknicy SIKLAWY.

Teroz jeno w myśli
Burze, nawałnice
Cy o Vos zapomnieć
Czy Vos w sercu chować.

Australia, Adelajda 2004

* Krystyna Kołodziej wraz z mężem, Stanisławem, od kilkudziesięciu lat żyje w Australii. Jak sama pisze w przedmowie do „Ojczyzna słowem malowana”, tomu wierszy wydanych w 2004 roku, ...wszystkie moje myśli biegną ku ku Bogu i Ojczyźnie... Moje wiersze są wyrazem nastrojów, zapisem wrażeń ważnych dla mnie, chociaż ulotnych i dlatego chcę je zatrzymać na papierze...”

Kultura łowiecka – 50 lecie Koła Łowieckiego „Jarząbek” w Łącku

Tradycja to coś, co jest pielęgnowane z pieczołowitością i dbałością o szczegóły. Tradycja jest tym co łączy i wskazuje na wspólne dobro. Tradycja w końcu jest tym, co należy przekazać realnie, namacalnie i werbalnie innym, by żyła nadal i nie stała się martwą literą, pomnikiem czy li tylko wspomnieniem, wypowiedzianym nieraz z tęsknotą, ale tylko po to, by nie zapomnieć na zawsze. Tradycja łowiecka jest tym co łączy pokolenia a realnym tego przykładem jest działalność Koła Łowieckiego „Jarząbek” w Łącku, które w tym roku obchodzi 50 urodziny.



Fot. Kronika Koła Łowieckiego „Jarząbek” w Łącku. Po polowaniu – jesień 1967 r.

Tradycja zachowania, kultury języka, szacunku do zwierzyny ułożonej w pokocie, sygnałów myśliwskich, którymi oddaje się hołd odstrzelonym sztukom. Trzeba wspomnieć, że Koło Łowieckie „Jarząbek” jest też inicjatorem wielu akcji edukacyjnych. Piszący te słowa pamięta, że w latach 80 i 90 XX stulecia, Zarząd Koła, organizował dla Szkoły Podstawowej w Łącku, wyjazdy szkoleniowe w teren, w czasie których myśliwi zapoznawali uczniów z zasadami obchodzenia się z bronią, ze sposobami dokarmiania zwierzyny oraz wpajali szacunek do przyrody wskazując, że jest ona doskonalsza od człowieka, a on jest tylko jej elementem.

Te 50 lat Koła „Jarząbek” w Łącku, to właśnie rocznica tradycji, która trwa. Tradycja zapoczątkowana przez ludzi, którzy po pożodze drugiej wojny chcieli powrócić do przedwojennych zwyczajów i obyczajów myśliwskich, które w Polsce mają tysiącletnią tradycję.

Tradycji zachowania,

kultury języka, szacunku



Fot. K. Duda, Koziarz 1988 r. Członkowie Koła Łowieckiego Jarząbek w Łącku z uczniami Szkoły Podstawowej im. Stanisława Wilkowicza w Łącku

W szkoleniach tych uczestniczyli tacy członkowi koła jak: Jan Faron, Józef Twardowski, Jan Gorczowski, komendant Poręba i in. Niezwykle istotnym faktem z działalności Koła jest uczestniczenie



jego członków w uroczystościach związanych z imprezami gminnymi w tym w szczególności w Święcie Kwitnącej Jabłoni, które uświetniali wspaniałym korowodem.

Tradycje łowieckie w Polsce doczekały się wielu opracowań. Są one ogólnie dostępne i wielokrotnie wznawiane. Zawsze jednak cieszą się jednakowym zainteresowaniem. Opracowania doczekała się również kuchnia myśliwska, teraz bardzo popularna choćby przez jej właściwości zdrowotne.

Fot. Kronika Koła Łowieckiego „Jarząbek” w Łącku – 1987 r., po przemarszu w korowodzie „Święta Kwitnącej Jabłoni”

Dlatego niezwykle ważną sprawą jest prowadzenia kroniki, która jest zapisem dziejów i sposobu bycia w danym czasie. Koło Łowieckie „Jarząbek” w Łącku posiada właśnie taką Kronikę, która jest bardzo szczegółowym zapisem dziejów Koła. Kronika ta jest jednocześnie fotokroniką, gdyż większość jej stron to zdjęcia które obrazują dzieje Koła „Jarząbek”. Na zdjęciach mo-



Fot. Kronika Koła Łowieckiego „Jarząbek” w Łącku – 1994 r.

żemy zobaczyć nie tylko obrazy z polowań, ale także z mszy hubertowskich, Wigilii oraz spotkań towarzyskich. Możemy na chwilę przypomnieć sobie ludzi i chwile, które były wspólnie spędzone w czasie przebywania w kniei. Niezwykle ważne jest to, że



Fot. Kronika Koła Łowieckiego „Jarząbek” w Łącku – 2011 r.

udało się Kronikę tę zachować, oraz wydać w formie książkowej. To daje szansę zapoznania się z kulturą łowiecką, a także jest okazją do wspominania tych co odeszli już „do krainy wiecznych łowów”. Dobrze jest, że teraz, gdy różne środowiska próbują deprecjonować tą odwieczną tradycję, ludzie mogą zapoznać się z kulturą łowiecką, szacunkiem dla przyrody i zwierząt. Być może ci domorośli krytycy nie dostrzegają tuczarni i ubojni, gdzie nie ma mowy o etyce zachowania się w stosunku do zwierząt hodowanych, ze znormalizowanym dawkowaniem jedzenia i czasem życia. Życie zwierząt leśnych, którymi gospodarują myśliwi nie jest planowane. Nawet jednostki słabe, selekcyjne wcale nie muszą być odstrzelony, mają szansę uniknąć strzału. Zwierzęta z ferm, które spożywa niejednokrotnie krytyk polowań – pseudoekolog, takiej szansy nigdy nie mają.

Koło Łowieckie „Jarząbek” w Łącku zdaje się od wielu lat być tą ostoją kultury, etyki i klasy myśliwego. Co oczywiście nie wyklucza jednostkowych, statystycznych potknięć zdarzających się w każdej społeczności. Naszemu Kołu wypada – na następne 50 lat – życzyć dalszej tak sprawnej działalności i koleżeńskiego Darz Bór!

Bartnictwo i pszczelarstwo w Kotlinie Łąckiej i na Pogórzu Łąckim

Początki pobytu człowieka na tym terenie są bardzo odległe w czasie i trudne do precyzyjnego ustalenia. Sięgają zapewne tysiący lat przed naszą erą, czyli długo jeszcze przed narodzeniem Chrystusa. Bliższe nam ślady jego tutejszej działalności pochodzą z przełomu starej i nowej ery i zostały odkryte przez archeologów w Maszkowicach i Zabrzeży, gdzie istniały prastare, jeszcze niesłowiańskie grody. Skoro były tu grody, to musiała też być ludność służebna, a wśród niej także bartnicy dostarczający na możnowładcze stoły ten „boski napój, eliksir życia”, czyli miód. Rozległa, prastara karpacka puszcza kryła w sobie niezliczone roje-gniazda pszczele „opiekowane i eksploatowane” przez ówczesnych bartników. Robili to zapewne podobnie jak bartnicy w innych częściach dzisiejszej Polski i tak jak tam, i tu przenieśli z czasem swoje leśne roje w pobliże swych zabudowań mieszkalno-gospodarczych dając tym samym początek nowemu etapowi na drodze rozwoju polskiego bartnictwa. Grube, zdrowe



Początek XX wieku – ze zbiorów Antoniego Dudy

kłody, pnie wydrążone siekierą z osadzonymi w nich rodzinami pszczelimi (rojami) ustawiano stojąco (stojaki) lub leżąco (leżaki) w pobliżu swego siedliska i określano je w żargonie pszczelarskim mianem „pień” dla określenia pojedynczej rodziny pszczelej, lub „pnie” dla określenia wielu rodzin pszczelich, dziś powiedzielibyśmy na określenie pasieki. Jeszcze teraz nasi koledzy, pszczelarze starszej generacji, nadal używają tej nazwy na określenie wielkości swojej pasieki, np. „mam pięć albo mam trzydzieści pni”, czy też „ostatniej zimy osypało mi się aż sześć pni”. O mnogości bartników w tej okolicy, a także mnogości posiadanych przez nich pni pszczelich zaświadcza dokument z 1280 r. wystawiony przez św. Kingę, w którym uposaża nowopowstały starsądecki klasztor klarysek 28 wsiami wraz z należącymi do nich rzekami, młynami, stawami, lasami i będącymi w nich barciami. Wśród tych wsi 6 rozciągało się na obszarze dzisiejszej gminy Łącko, a były nimi; Maszkowice, Łącko, Zagorzyn, Czerniec, Zarzecze i Wietrznica. O tutejszych bartnikach wiele razy wspominają pochodzące z XVII i XVIII w. „Księgi sądowe klucza łąckiego”. Wtedy to „pnie”, rodziny pszczele nie tylko były producentami miodu i wosku, ale także były przedmiotem obro-

Grube, zdrowe kłody, pnie wydrążone siekierą z osadzonymi w nich rodzinami pszczelimi (rojami) ustawiano stojąco (stojaki) lub leżąco (leżaki) w pobliżu swego siedliska i określano je w żargonie pszczelarskim mianem „pień” dla określenia pojedynczej rodziny pszczelej, lub „pnie” dla określenia wielu rodzin pszczelich, dziś powiedzielibyśmy na określenie pasieki. Jeszcze teraz nasi koledzy, pszczelarze starszej generacji, nadal używają

tu towarowego tak w handlu międzysąsiedzkim, jak i też przekazywane bywały jako posag pannie młodej. W tym też czasie воск pszczeli był dodatkiem do kary, lub stanowił samoistny wymiar kary za przestępstwa pospolite. Dowody tego obyczaju odnajdujemy wśród paragrafów, tzw. „Artykułów dekretowych w rugowym prawie do porządku dobrego i rozsądku postanowionych”, nadanych przez starosądecki konwent klarysek w 1670 r. i obowiązujących we wsiach należących do sióstr klarysek starosądeckiego klasztoru. Paragraf 7. tego „Dekretu” przewiduje karę 50 plag i 3 funty wosku z przeznaczeniem dla miejscowego kościoła parafialnego „dla tych, którzy przed sądem zeznając dopuszczają się kłamstwa”. W paragrafie 12. przewidziano karę 30 plag i 2 funty wosku dla kościoła od tych, „którzy okażą nieposłuszeństwo sołtyso- wi i nie zapłacą terminowo podatków”. Że prawo to było egzekwowane świadczy zapis w „Księdze Sądowej Klucza Łąckiego” z 1744 r., kiedy to przed sądem łąckim toczyła się sprawa przeciwko Wojciechowi Czerwińskiemu z Kamienicy oskarżonemu o „na-



Jan Słowik przy ulu – 1939r. Ze zbiorów Władysława Słowik

ruszenie dobrych obyczajów”. Sąd ukarał go za to karą 60 plag (60 uderzeń kijem), 3 grzywien i 5 funtów wosku dla kościoła parafialnego w Kamienicy. Tak więc zapotrzebowanie na podstawowe wtedy produkty pszczele tak miód jak i воск napędzało zapewne rozwój tej gałęzi działalności mieszkańców wsi i musiało przysparzać znaczne dochody tym, którzy się tą działalnością zajmowali.

Gospodarka pasieczna w kłodach kończy się tu, podobnie tak jak w innych częściach Polski, wraz z nastaniem ula „stolarskiego”, czyli ula wykonanego z desek przez profesjonalnego stolarza. Do budowy uli najczęściej używano desek świerkowych, ale zdarzały się też ule z desek lipowych. Taki ul początkowo wyposażony był w snozy, czyli drewniane beleczki zawieszane w górnej części ula, pod jego powałką, a wiele dziesiątków lat później w ramki, czyli czworoboki wykonane z cien-

kich drewnianych listewek. Równoległe z ulem „stolarskim” pojawiają się ule słomiane o ramach wymiarowo podobnych do uli drewnianych, wykonane z żytniej słomy wprasowanej w drewniane, konstrukcyjne ramy ula w których pszczelarze gospodarowali podobnie jak w ulach drewnianych. Najbardziej rozpowszechnionymi tu ulami były; ul Ciesielskiego zwany „słowiańskim” i ul Dadanta. Nieco mniej popularnym był ul związkowy zwany też „polskim”. „Słowiany” takie, jako zabytkowe już eksponaty, można jeszcze dziś spotkać w pasiekach u niektórych tutejszych pszczelarzy. Ul „słowiański” Ciesielskiego miał ramkę o wymiarach; szer. 227 mm i wys. 480 mm. Ul „związkowy” w latach trzydziestych miał już konstrukcję dwukondygnacyjną,

tj. miał oddzielną komorę gniazdową i posadowioną nad nią nastawkę, czyli miodnię. Ramki, tak gniazdowe, jak i nadstawkowe miały takie same wymiary; tj. szer. 435 mm i wys. 250 mm i można je było swobodnie przestawiać z gniazda do miodni i odwrotnie.

Kotlina Łącka i Pogórze Łąckie rozciąga się częściowo w paśmie Beskidu Wyspowego, a częściowo w paśmie Beskidu Sądeckiego nad zlewem rzek Dunajec i Czarna



Wojciech Majewski przy ulach. Ze Zbiorów Stanisławy Dybiec

Woda. Gmina Łącko w obecnym kształcie terytorialnym, obejmującym ok. 133 km², istnieje od 1973 r. Tworzy ją 16 wsi, są nimi: Brzyna, Czarny Potok, Czarniec, Jazowsko, Kadcza, Kicznia, Łazy Brzyńskie, Łącko, Maszkowice, Obidza, Szczereż, Wola Kosnowa, Wola Piskulina, Zabrzeż, Zagorzyn i Zarzecze. Charakterystycznym elementem tutejszego krajobrazu są sady, które z powodu bardzo intensywnej chemizacji dość skutecznie eliminują pasieki ze swego otoczenia, a to przecież wielka strata tak dla sadownictwa jak i innych występujących tu roślin. Udowodnione jest naukowo, że pszczoła miodna w skali całego kraju przyczynia się do wypracowania ponad 3 mld zł. tylko w samych sadach. Wiadomym jest też powszechnie, że ponad 80% wszystkich roślin, które stanowią menu człowieka plonuje dzięki pszczole miodnej.

Obecnie na obszarze gminy żyje ok. 700 rodzin pszczelich, co daje średnią napszczenia na poziomie ok. 5,2 rodziny pszczelej na 1 km². Średnie napszczenie w woj. małopolskim kształtuje się na poziomie 6,99 rodziny pszczelej na 1 km², a żyje w Małopolsce ponad 80 tysięcy rodzin pszczelich, którymi opiekuje się ponad 5 tysięcy pszczelarzy. Takie napszczenie woj. małopolskiego stawia je obok woj. podkarpackiego i lubelskiego na najwyższym poziomie w kraju. Średnie napszczenie w Polsce wynosi tylko ok. 3,68 rodziny pszczelej na 1 km² a mimo to jest większe niż średnia Unii Europejskiej, gdzie wskaźnik ten wynosi tylko 2,9 rodziny pszczelej na 1 km². Są jednak kraje w Unii Europejskiej,

Woda. Gmina Łącko w obecnym kształcie terytorialnym, obejmującym ok. 133 km², istnieje od 1973 r. Tworzy ją 16 wsi, są nimi: Brzyna, Czarny Potok, Czarniec, Jazowsko, Kadcza, Kicznia, Łazy Brzyńskie, Łącko, Maszkowice, Obidza, Szczereż, Wola Kosnowa, Wola Piskulina, Zabrzeż, Zagorzyn i Zarzecze. Charakterystycznym elementem tutejszego krajobrazu są sady, które z powodu bardzo intensywnej



Wojciech Majewski. Ze Zbiorów Stanisławy Dybiec

które mają nawet dwukrotnie wyższy od Polski wskaźnik napszczenia. Tak jest m.in. w Grecji, Słowenii i Czechach.

Środowisko geograficzno-przyrodnicze Kotliny Łąckiej i Pogórza Łąckiego nie jest szczególnie korzystne dla intensywnej gospodarki pasiecznej. Znajduje się ono bowiem w pierwszym, umiarkowanie ciepłym, piętrze klimatycznym pasma górskiego, położonym na wysokości do 750 m n.p.m., gdzie średnia temperatura kształtuje się w przedziale od +6 do -8°C. Najcieplejszymi miesiącami są lipiec i sierpień z tempera-



Groński Józef

turą ok. 17°C, najchłodniejsze zaś miesiące to styczeń i luty z temperaturą ok. -5°C. Wiosna bywa chłodna i deszczowa, jesień zaś zwykle długa i słoneczna. Ilość opadów bywa dość wysoka, średnio 800 – 900 mm i przypada na czerwiec i lipiec. Pokrywa śnieżna zalega tu przez ok. 120 – 150 dni. Występuje tu zjawisko inwersji temperatury. Szata roślinna została tu silnie przekształcona przez działalność gospodarczą człowieka. Cały ten obszar został mocno wylesiony. W lasach, które przetrwały dominuje buczyna karpacka, jodła, świerk, jawor i brzoza, a wzdłuż potoków szara olsza. Drzewa te w niektóre lata, bo to jest zjawisko bardzo nieregularne i mało przewidywalne, dają nawet znaczne ilości bardzo cenionego i poszukiwanego miodu spadziowego, zwanego też przez niektórych miodem leśnym. Taki właśnie miód spadziowy uzyskiwany przez

pszczelarzy na całym obszarze Sądecczyzny został wpisany w 2008 r. do unijnego rejestru produktów regionalnych, jako „Sądecki miód spadziowy”, podobnie jak „Śliwowa łącka” i „Łąckie jabłka”. Na całym tym obszarze rośnie wiele różnych gatunków krzewów a w poszyciu leśnym ponad 1000 różnych gatunków roślin kwiatowych. Coraz to liczniejsze ugory i nieużytki, oraz naturalne i sztuczne użytki zielone obficie porasta mniszek pospolity zwany tu „majem”, który przy sprzyjającej pogodzie bardzo absorbuje pszczoły i mógłby stanowić cenne źródło tak nektaru, jak i pyłku. Duży stosunkowo obszar monokultury sadowniczej nie zawsze jest korzystny dla tutejszych pszczelarzy. Stosunkowo liczne bywają podtrucia pszczół środkami chemicznymi stosowanymi nieroztropnie przez niektórych sadowników. Zdarzają się więc na tym tle nieporozumienia i wzajemne oskarżenia. Niektórzy sadownicy twierdzą, że „pszczoła w ich sadzie jest szkodnikiem”, a do zapyłania drzew owocowych wykorzystują sprowadzane z zewnątrz „pakiety” pszczoły nie miodnej – murarki łąkowej. Inni zaś, kiedy zwraca im się uwagę, by zaprzestali opryskiwać swój sad środkami chemicznymi w godzinach intensywnej lotów pszczół, odpowiadają z arogancją i lekceważeniem „ja pańskich pszczółek do mojego sadu nie zapraszałem!”. Niektórzy też doradcy sa-



Groński Paweł, zbieranie roju

wojennym na terenie Łącka jakiejś, bliżej nie określonej formy organizacyjnej zrzeszającej tutejszych pszczelarzy. W tamtym czasie środowiskowe Koła Pszczelarzy były rzadkością a niektórzy pszczelarze czując potrzebę zrzeszenia się wpisywali się do powiatowych Kół działających prawie na całym obszarze Małopolski Zachodniej. W tym czasie, czyli w okresie międzywojennym, takie Koła środowiskowe istniały m.in. w Dobrej k/Limanowej powstałe w 1932 r. i w Kamionce Wielkiej powstałe w 1929 r., a w 1933 r. zostało członkiem Małopolskiego Związku Pszczelarzy we Lwowie. Obecnie obydwie te Kola pszczelarzy należą do KZP w Nowym Sączu. Bez względu na to, czy istniało w Łącku Koło Małopolskiego Związku Pszczelarzy we Lwowie, czy też nie, pewne jest to, że tutejsi pszczelarze mieli żywy kontakt nie tylko z utrwalonymi metodami postępowego „pszczelarzenia”, ale i z ówczesnymi nowinkami pszczelarskimi. Wiedzę tą zdobywali pewnie poprzez Powiatowe Koło Pszczelarzy w Nowym Sączu, jak i też poprzez osobiste kontakty z postępowymi pszczelarzami tak z Małopolski Zachodniej, jak i z Małopolski Wschodniej. Prawdopodobnie też niektórzy z nich czytali Bartnika Postępowego wydawanego przez Małopolski Związek Pszczelarzy we Lwowie już od 1889 roku.

W latach niemieckiej okupacji istniejące tu pasieki stanowiły bardzo ważne źródło zaopatrzenia w „naturalne leki z pszczelej apteki”, tak dla stałych mieszkańców jak i dla partyzantów – żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego. Niemiecki okupant także na swój sposób i w szczególnie pojętym dla siebie interesie starał się zachować zastane przez siebie pogłowia pszczół. Podobnie jak w innych regionach Generalnego Gubernatorstwa także i tu ci mieszkańcy wsi, którzy posiadali pszczoły zobowiązani byli w ramach tzw. kontyngentów dostarczyć miód i wosk w ilościach przypisanych im przez urzędników okupacyjnej administracji. W ramach zapłaty otrzymywali pewne ilości cukru buraczanego na uzupełnienie zapasów niezbędnych do przetrwania rodziny pszczelej. Cukier ten był celowo zanieczyszczany, najczęściej trocinami dębowymi, by jego odbiorca nie mógł go wykorzystać do innych celów, np. w gospodarstwie domowym, albo do produkcji

downików proponują pszczelarzom, by „wyprowadzili” swe pasieki poza rejony intensywnej gospodarki sadowniczej i w ten sposób ustrzegli się od ewentualnych strat w pogłowia pszczół w swoich pasiekach.

Z powodu braku dostępu do wiarygodnych źródeł pisanych nie można zweryfikować przekazywanych ustnie, jeszcze w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, informacji o istnieniu w okresie między-

„bimbru”. Okupant też starał się wyróżnić i uhonorować tych pszczelarzy, którzy posiadali duże i wzorowo prowadzone pasieki. Taką formą wyróżnienia były najczęściej swoiste „certyfikaty”, które uwiarygodniały ich posiadacza w „kontaktach” z organami porządkowymi a nawet przed funkcjonariuszami gestapo. Taki dokument „profesjonalisty-pszczelarza” posiadali podobno dwaj tutejsi pszczelarze; jeden Kazimierz Maciejowski z Czarnego Potoka, drugi Wojciech Kwit mieszkaniec Woli Kosnowej. Mimo pozornych oznak troski okupanta niemieckiego o pszczołę i pszczelarza lata okupacji wyraźnie zahamowały a nawet cofnęły w rozwoju tutejsze pszczelarstwo. Wiele lat jeszcze po wojnie musiało upłynąć nim pogłowie pszczół a tym samym i liczba pasiek powróciły do przedwojennego stanu posiadania. Dla pszcze-



Koło Pszczelarzy, 2008 r.

larza praktyka oczywistym jest, by założyć nową pasiekę, lub powiększyć dotychczas posiadaną, nie wystarczy mieć wolne, nowe ule, nowe rodziny pszczele, ale przede wszystkim trzeba dysponować dostatecznym zapasem pokarmu – paszy na czas zimowli. Paszą tą wtedy był głównie cukier, którego niedobór na rynku powodował jego reglamentację. Potrzebna wtedy w tej działalności rolniczej zdecydowana

pomoc państwa okazała się niewystarczająca. Nowa władza ideologicznie przeciwna i wroga rolnictwu indywidualnemu, tak wielkoobszarowemu-ziemiańskiemu, jak i drobnemu-chłopskiemu, nie sprzyjała też rozwojowi zorganizowanego ruchu pszczelarskiego, który już od 1945 r. zaczął odradzać się pod przewodnictwem Centralnego Związku Pszczelarskiego. Z początkiem lat 50-tych centralne władze polityczne w kraju wywierały wielką presję na władze terenowe, by te przyspieszały proces kolektywizacji rolnictwa, a tym samym likwidowały rolnictwo indywidualne, czyli chłopskie. Ci sami decydenci starali się też m.in. zainteresować pszczelarstwem Dyrekcję Lasów Państwowych. By to realizować stworzono „Spółdzielnię Las”, która m. in. miała zajmować się „uspołecznionym” pszczelarstwem i w swych pasiekach specjalizować się w „wielkotowarowej” produkcji miodu. Powstawały też plany tworzenia „klasycznych” spółdzielni produkcyjnych o profilu wyłącznie pszczelarskim. Taką spółdzielnię produkcyjną hodowlano-sadowniczo-pszczelarską miano utworzyć w 1952 r. we wsi Zbludza w gminie Kamienica, sąsiadującej z Wolą Piskuliną, po uprzednim wysiedleniu z niej większej części tamtejszej ludności. Nowe warunki a z nimi nowe nadzieje dla pszczelarstwa pojawiają się po 1956 roku. Znowu, tak jak przed wojną, już pod koniec lat pięćdziesiątych w każdej wsi dzisiejszej gminy Łącko hodowane były pszczoły w niewielkich przydomowych pasiekach. Różna była ich wielkość, czyli liczebność

pni w tych pasiekach. Najczęściej bywało od kilku, rzadziej do kilkunastu pni. To też wtedy produkcja miodu była niewielka, i starczyła głównie na własne potrzeby pszczelarza, rzadziej na zbyt na lokalnym rynku. Dużą rolę w tym czasie w rozwoju tutejszego pszczelarstwa odegrali miejscowi stolarze, często także hodowcy pszczół, którzy na



Jan Mikołajczyk, Prezes do 1984 r.

zamówienie za przystępną opłatę wykonywali nowoczesne jak na tamte czasy ule. Najbardziej uznanymi współczesnymi „bartodziejami” byli m.in. Wincenty Majerski i Antoni Podobiński z Brzyny oraz Antoni Franczyk – posiadacz ok. 100-pniowej pasieki na granicy wsi Zabrzeż i Kamienica. Niektórzy i to bardzo nieliczni pszczelarze w tym regionie mieli już wtedy tak metalowe, jak i cementowe matryce do wyrobu pszczelej węzy. Taką matrycę cementową posiadał jeden z najstarszych wtedy i wiekiem, i doświadczeniem pszczelarskim mieszkanców Brzyny Tomasz Sajdak, który za niewielką zapłatę wykonywał węzę dla okolicznych pszczelarzy. Przy wyrobie węzy taką cementową matrycą używał krowiego mleka rozcieńczonego wodą. Prawdopodobnie na początku lat 60-tych niektórzy pszczelarze z tego terenu współpracowali już z Powiatowym Związkiem

Pszczelarzy w Nowym Sączu, ale z powodu braku archiwaliów tak PZP w Nowym Sączu, jak i PZSOiP w Nowym Sączu nie można ustalić ich nazwisk. Można przypuszczać, że byli nimi ci, niektórzy pszczelarze, których nazwiska tu przypomnimy.

Tak więc we wsi Brzyna pszczoły hodował m.in. Wojciech Kołodziej, Wincenty Majerski, Antoni Podobiński, Tomasz Sajdak, Franciszek Surma, Antoni Tokarz, Stanisław Tokarz, Jan Śláz.

We wsi Czarny Potok pszczelarstwem zajmowali się Kazimierz Maciejowski, Józef Maciejowski, Stanisław Koszut, Józef Wójciak, Józef Tomczyk, Stanisław Faron.

We wsi Czerniec prócz klasycznego rolnictwa hodowlą pszczół zajmowali się m.in. Stanisław Cebula, Franciszek Franczyk, Stanisław Myjak, Walenty Piksa, Stanisław Sejud, Stanisław Sopata, Stanisław Klag, Franciszek Kasprzak.

We wsi Jazowsko pszczoły posiadali m.in. Józef Hajduk, Franciszek Hebda, Ludwik Klimek, Józef Majerski, Bolesław Stanisław, Stanisław Szczepaniak, Jan Warzecha, Stanisław Wojnarowski.

We wsi Kadcza pszczelarstwem trudnił się m.in. Ludwik Gawlik, Mikołaj Niemiec, Jan Madziar, Marian Basta, Jan Piszczek.

We wsi Kicznia pszczelarstwem zajmowali się Jan Myjak, Tomasz Dąbrowski, Stanisław Gromala, Michał Rychlec.

We wsi Łącko pszczoły hodowali m. in. Leon Maurer, Tadeusz Moryto, Władysław Wadowski, Jan Najduch, Piotr Mikołajczyk, Józef Pasoń, Józef Faron, Stanisław Łękawski.



Zbór miodu z ula

W sołectwie Łazy Brzyńskie pszczoły hodował m.in. Wincenty Madziar, Antoni Bieryt, Tadeusz Kołodziej, Władysław Madziar, Piotr Pierzchała.

We wsi Maszkowice pszczelarstwem zajmował się; Piotr Skut, Władysław Sypień, Tomasz Poparda.

We wsi Obidza pszczołami zajmował się m. in. Antoni Majerski, Ludwik Majerski, Eugeniusz Wyrostek, Władysław Rzepiel, Walenty Lizoń, Władysław

Babik, Józef Groński, Jan Kołodziej, Piotr Sajdak, Jan Warzecha, Jan Sajdak.

We wsi Szczereź pszczelarstwem trudnili się; Jan Baziak, Józef Fryzowicz.

We wsi Wola Kosnowa pszczoły posiadał Jan Janeczek, Stanisław Krajewski, Wojciech Kwit, Jan Tomaszek, Franciszek Dziejzina, Henryk Dziejzina.

We wsi Wola Piskulina pszczelarstwem zajmował się m.in. Wincenty Kwit, ? Mirek. We wsi Zabrzeź pszczoły hodowali; Wincenty Cebula, Franciszek Cebula, Kazimierz Gromala, Jan Kwit.

We wsi Zagorzyn pszczoły posiadali m.in. Stanisław Król, Stanisław Myjak, Wincenty Jarek, Jan Duda,

We wsi Zarzeczce pszczelarstwem zajmowali się; Stanisław Tokarz, Józef Maurer, Jan Gromala, Jan Kucharski, Wojciech Wiśniowski, Stanisław Klag.

Znaczną część tych pszczelarzy zjednoczył w 1970 r. w środowiskowe Koło Pszczelarzy w Łącku Jan Mikołajczyk. Zrzeszeni w tym nowym Kole pszczelarze wybrali go swoim Prezesem. Decyzja ta już niedługo okazała się bardzo trafna, bo Prezes nie tylko był wielkim miłośnikiem pszczół, ale i wielkim społecznikiem, propagatorem i obrońcą pszczelarstwa. Jan Mikołajczyk urodził się 21.02.1911r. w Kamieni-



Józef Linder ze swoimi ulami

cy koło Łącka. Ukończył Liceum im. Seweryna Goszczyńskiego w Nowym Targu, a później przez dwa lata studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim na Wydziale Rolnictwa. We wrześniu 1939 r. brał udział w wojnie obronnej na stanowisku zastępcy

dowódcy kompanii. Dostał się do niewoli, ale w drodze do obozu udało mu się uciec. Powrócił w rodzinne strony do swej parę miesięcy wcześniej poślubionej żony. Podczas okupacji niemieckiej związał się z Batalionami Chłopskimi działającymi w rejonie Łącka. Po wojnie aż do emerytury w 1976 r. pracował na stanowisku Naczelnika Poczty Polskiej w Łącku. Zmarł w Łącku w wieku 87 lat 08.10.1998 r. Jego przygoda z pszczołami była zupełnie przypadkowa. Pewnego majowego dnia 1960 r. w jego ogrodzie na jednym z drzew owocowych zawiązał się bardzo bogaty pszczeli rój. Żaden ze znanych mu okolicznych pszczelarzy nie przyznawał się do niego, więc pożyczyl sobie



W pasiece

ul od Tadeusza Moryty, pszczelarza a zarazem łąckiego organisty. Życzliwy, doświadczony pszczelarz udzielił mu kilku podstawowych wskazówek jak postępować w ogóle z pszczołami, a w szczególności rojem, nową pszczelą rodziną. W następnych latach powiększał swój stan posiadania rozmnażając swego „jedynaka” i zakupując kolejne ule z pszczołami. Swoją skromną na razie wiedzę pszczelarską poszerzał lekturą

prenumerowanego specjalistycznego czasopisma „Pszczelarz”. W 1972 r. ukończył specjalistyczny kurs pszczelarski i jako pierwszy na terenie Łącka otrzymał Dyplom Mistrza Pszczelarskiego. Był także uprawnionym znawcą chorób pszczelich. Łąckim Kołem Pszczelarzy kierował przez 14 lat, do 1984 roku.

Po nim, z jego rekomendacji, kierowanie łąckim Kołem pszczelarze powierzyli młodemu wiekiem, jak i doświadczeniem pszczelarskim, Władysławowi Plechcie, który bardzo szybko się uczył i wnet stał się posiadaczem ponad stu pniowej pasieki, jednej z największych w gminie Łącko, a także w Karpackim Związku Pszczelarskim w Nowym Sączu. Na początku jego prezesury do Koła należeli prawie wszyscy tutejsi pszczelarze, bo obok licznych praktycznych i teoretycznych szkoleń była też realizowana dość istotna dla pszczelarzy pomoc państwa m. in. tańsze leki dla pszczół, tańszy cukier na zimowe podkarmianie pszczół, pierwszeństwo w zbycie miodu w punktach skupu Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej, itp.

Najbardziej żywiołowy rozkwit Koło przeżywało w początkach lat osiemdziesiątych. Wiązało się to m.in. z ułatwieniami w zaopatrzeniu w leki dla pszczół, jak i, jak twierdzą niektórzy, z niedoborem cukru na rynku i ogólnymi kłopotami w jego zdobyciu tak na potrzeby bytowe gospodarstw domowych, jaki i na podkarmianie pszczół. Nie było jednak wtedy w kołach żadnych „cukrowych” nadużyć, chociaż niektórzy, pseudo – eksperci pszczelarstwa, niewtajemniczeni w problematykę pszczelarską, z „uporem maniaka” nadal głoszą plotki o wielkich nadużyciach. Każ-

dy członek Koła deklarujący stan swojej pasieki był świadomy nieuchronnej kontroli przez przedstawicieli Zarządu Koła jego stanu posiadania i dlatego podawał zawsze stan faktyczny swojej pasieki. Jest prawdą, że bardzo liczni wówczas kilku pniowi pszczelarze nie mogąc kupić cukru na wolny rynku zapisali się do Koła, bo w ten sposób otrzymali obligatoryjny przydział cukru na zimowe podkarmianie swych rodzin pszczelich, a nie na zaspokojenie potrzeb konsumpcyjnych swojej rodziny. Na koniec 1981r. łąckie Koło Pszczelarzy osiągnęło swoje apogeum i zrzeszało już ponad 250 pszczelarzy (118 z rejonu Łącka i 135 z rejonu Jazowska). Taką ilość członków trudno było zebrać w jednym miejscu, głównie z powodu trudności z wynajęciem tak dużej sali konferencyjnej. Duży problemem było też magazynowanie i rozprawa-dzanie „przydziałowego cukru” na zimowe podkarmianie pszczół. W tej sytuacji Zarząd Koła postanowił o jego podziale na dwie części; na Koło Pszczelarzy w Jazowsku do którego będą należeli pszczelarze z Jazowska, Kadczy, Łązów Brzyńskich, Brzyny i Obidzy i Koło Pszczelarzy w Łącku do którego będą należeli nadal pszczelarze z rejonu Łącka i Czarnego Potoka.

Przez kolejne lata liczba członków łąckiego Koła nigdy nie była stała i wciąż się zmieniała. I tak w 1987 r. Koło liczyło 118 członków – pszczelarzy, którzy posiadali 1086 pni, czyli rodzin pszczelich. Na zimowe podkarmianie pszczół łąckie Koło otrzymało w tamtym roku przydział cukru w wysokości 15210 kg, czyli po 14 kg na jedną rodzinę pszczelą na jeden sezon pasieczny. Najliczniejszą grupę pszczelarzy stanowili wtedy mieszkańcy Łącka – 26 i mieli 154 pnie, za nimi mieszkańcy Maszkowic – 17 pszczelarzy i 117 pni, po nich Czarny Potok – 15 pszczelarzy i 204 pnie, dalej Kicznia – 12 pszczelarzy i 121 uli, Zabrzeż – 11 pszczelarzy i 79 uli, Czerniec – 10 pszczelarzy i 83 ule, Wola Kosnowa – 10 pszczelarzy i 117 uli, Zagorzyn – 9 pszczelarzy i 106 uli, Zarzeczce – 3 pszczelarzy i 11 uli, Wola Piskulina – 3 pszczelarzy i 11 uli, Szczereż – 7 pszczelarzy i 42 pnie. Zdecydowanie przeważały pasieki kilku pniowe, do 10 pni. Największą, bo 120 pniową pasiekę prowadził Kazimierz Maciejewski z Czarnego Potoka. Mniej liczebne mieli: Wojciech Kwit z Woli Kosnowej 60 pni, Franciszek Cebula z Zabrzeży 40 pni, Stanisław Król z Zagorzyna 34 pnie. Stanisław Myjak z Kiczni 30 pni. W 1989 r. Koło liczyło już tylko 57 członków, którzy gospodarowali w 603 ulach. W 1993 r. do Koła należało 25 pszczelarzy, którzy posiadali 296 rodzin pszczelich. W 1995 r. Koło znowu powiększyło swój stan liczebny do 43 członków, którzy posiadali 559 pni. Trzy lata później, w 1998 r. liczba członków zmniejszyła się aż do 20 osób i 333 uli. W 2001r. znowu wzrosła liczba pszczelarzy zrzeszonych w łąckim Kole do 23 i powiększył się stan ich posiadania do 538 rodzin pszczelich. Nie oznacza to wcale, że w tym czasie na terenie działania łąckiego Koła było tylko tych 23 pszczelarzy. Pozostali pszczelarze uznali, że posiadając po kilka rodzin pszczelich nie muszą już należeć do Koła, które w tym czasie nie dawało im już żadnych wymiernych korzyści materialnych, a jedynie mogło wzbogacić ich wiedzę teoretyczną m.in. jak walczyć z chorobami pszczelimi, a to ich już niewiele interesowało. Z czasem nie stosując nowoczesnych metod pracy w pasiece stracili pszczoły, ale zanim to się stało niektóre zaniedbane ule stanowiły potencjalne źródło rozpowszechniania się wielu pasożytów

i groźnych chorób pszczelich. W tym roku też bardzo wyraźnie wzrosła liczba rodzin pszczelich u pszczelarzy zrzeszonych w KZP w Nowym Sączu z 12440 pni w 1998 r. do 18658 pni. Oznacza to, że w innych gminach, w ich środowiskowych kołach, pogłowie pszczół zwiększyło się nawet o ponad 40%. W pięć lat później, w 2006 r. do łącznego Koła należało 39 pszczelarzy, którzy posiadali 853 pnie. Był to najwyższy wykazany wskaźnik napszczenia gminy od ponad piętnastu minionych lat.

Z początkiem 2005 r. Walne Zebranie członków Koła Pszczelarzy w Łącku wybrało nowy Zarząd. Nowym Prezesem Koła został Stanisław Myjak, V-ce Prezesem



Stanisław Myjak, Prezes od 2005 r.

Władysław Pierzga, Sekretarzem Krzysztof Pyrdoł, a Skarbnikiem Stefan Pogwizd. W roku następnym do łącznego Koła dołączyli niektórzy pszczelarze z Koła w Jazowsku, które wtedy zawiesiło swoją organizacyjną działalność. W 2009 r. Walne Zebranie członków Koła ponownie powierzyło kierowanie Kołem dotychczasowemu Zarządowi. W tym też roku w jesieni Zarząd KZP w Nowym Sączu postanowił przeprowadzić zbiórkę miodu w poszczególnych środowiskowych Kołach i przeznaczyć ten miód jako dar dla uczestników Spotkania Młodych w Lednicy k/ Poznania. Do akcji tej walnie przystąpiło także łączkie Koło Pszczelarzy. Ostatecznie jednak Zarząd KZP zmienił decyzję i zarządził zbiórkę pieniędzy w Kołach za które to fundusze później zakupiono miód w firmie Sąddecki Bartnik – J. Kasztelewicza, która wła-

snym transportem i z własnym logo przekazała go organizatorowi Spotkań Młodych – Ojcu Janowi Górze. W roku 2011, składkę członkowską opłaciło tylko 33 pszczelarzy, którzy wykazali posiadanie 653 rodzin pszczelich. Składka członkowska już od wielu lat jest niezmienna i wynosi 30 złotych, zaś opłata od pnia, czyli rodziny pszczelej 1,5 złotego. Część tych zebranych środków pieniężnych odprowadzana jest do KZP w Nowym Sączu, reszta pozostaje w Kole na działalność statutową.

Członkami Koła w 2012 roku są: Władysława Borzęcka zam. w Przysietnicy, Michał Cebula zam. w Czerńcu, Bronisław Kiklica zam. w Obidzy, Jan Duda zam. w Łącku, Janusz Duda zam. w Woli Kosnowej, Stanisław Krajewski zam. w Woli Kosnowej, Paweł Maciejowski zam. w Czarnym Potoku, Jan Myjak zam. w Łącku, Jan Górka zam. w Łącku, Antoni Myjak zam. w Zabrzeży, Władysław Pierzga zam. w Zabrzeży, Wojciech Piksa zam. w Czerńcu, Stanisław Rusnarczyk zam. w Ochotnicy Dolnej-Młynne, Józef Pyrdoł zam. w Maszkowicach, Józef Majerski zam. w Obidzy, Wiesław Kudelka zam. w Naszacowicach, Józef Groński zam. w Obidzy, Józef Kunicki zam. w Czerńcu, Łukasz Poparda zam. w Maszkowicach, Jan Nowak zam. w Maszkowi-



W. Plechta z żoną Elżbietą

fan Gromala zam. w Zarzeczcu. 14 pszczelarzy spośród nich posiada pasieki liczące od 20 do 80 pni. Najliczniejsze pasieki posiadają; Władysław Plechta – 80 pni, Michał Cebula – 70 pni, Jan Jędraczką – 60 pni, Władysław Pierzga 53 pnie, Władysława Borzęcka 40 pni, Józef Kunicki 35 pni, Paweł Maciejowski 30 pni. Ci pszczelarze posiadają prawie połowę wszystkich rodzin pszczelich w gminie Łącko.

Koło pszczelarzy w Jazowsku

Środowiskowe Koło pszczelarzy w Jazowsku powstało w maju 1982 r. po podziale Koła pszczelarzy w Łącku. Pierwszy Zarząd Koła wybrano podczas Walnego Zebrania w dniu 26 lutego 1983 r. Prezesem został Fryderyk Bugański, Sekretarzem Stanisław Paluch, a Skarbnikiem Koła został Józef Majerski. Koło obejmowało swym działaniem obszar czterech wsi: Jazowska, Kadczy, Obidzy i Brzyny, a liczyło wówczas 135 członków – pszczelarzy, którzy pszczelarzyli w 765 pniach. Członkowie Koła, hodowcy pszczół, to przede wszystkim rolnicy, rzadziej przedstawiciele innych zawodów. Prowadzili swoje, najczęściej kilkupniowe pasieki, metodami dość mało wydajnymi, tradycyjnymi. Najbardziej nowoczesne i wyróżniające się pasieki prowadzili: Jan Madziar z Kadczy, który posiadał 32 rodziny pszczele i Wincenty Stanisław z Obidzy, który pszczelarzył w 22 ulach. Już od początku swego samodzielnego działania Zarząd Koła położył szczególny nacisk na podniesienie efektywności gospodarki pasiecznej. Przystąpiono do systematycznej



Władysław Plechta, Prezes 1984-2005

kontroli zdrowotności pasiek i eliminowania wykrytych siedlisk chorób pszczelich. Systematycznie też prowadzono wśród członków szkolenia tak praktyczne, jak i teoretyczne. W tym celu też Zarząd zakupił dla każdej wsi nowe topiarki elektryczne do wosku i przeszkolił ich operatorów w zakresie BHP. Zarząd propagował i organizował również wycieczki edukacyjne m.in. do Kamiannej, na Sądeckie Dni Pszczelarza, a nawet na IV Ogólnopolskie Dni Pszczelarza w Kielcach. W maju 1982 r. 43 pszczelarzy – członków Koła w Jazowsku wzięło udział w pracy społecznej przy budowie Domu Pszczelarza w Kamiannej. W roku następnym Zarząd Koła podarował 10 litrów miodu dla dzieci z Państwowego Domu Dziecka w Nowym Sączu. W 1985 r. Koło pszczelarzy w Jazowsku powiększyło się do 138 członków, którzy posiadali łącznie 797 rodzin pszczelich. W lutym 1986 r. 23 najstarszych członków Koła zostało u honorowanych Brązową Odznaką PZP, a 15 innych pszczelarzy Dyplomami Uznania. W tym roku do Koła dołączyła też wieś Łazy Brzyńskie. Na koniec tego roku Koło liczyło 90 członków, którzy posiadali 512 pni pszczelich. Najwięcej pszczelarzy było w Obidzy – 33, którzy posiadali 190 rodzin pszczelich. Kolejne miejsca zajmowały: Jazowsko 22 pszczelarzy i 78 rodzin pszczelich, Brzyna 13 pszczelarzy i 62 rodziny pszczele, Kadcza 12 pszczelarzy i 93 rodziny pszczele, oraz Łazy Brzyńskie 10 pszczelarzy i 89 rodzin pszczelich. W tym roku poza Kołem pozostawało ok. 32 pszczelarzy, którzy posiadali ok. 146 pni. Najwięcej pszczelarzy niezrzeszonych było we wsi Obidza, bo ok. 13 z 70 pniami. Rok 1986 był przełomowym rokiem w całej ponad dwudziestoletniej historii Koła w Jazowsku. Po tym roku Koło masowo opuścili jego liczni dotychczas członkowie. W 1988 r. w Kole pozostało już tylko 32 członków ze 135 rodzinami pszczelimi. Stało się tak z dwóch powodów. Pierwszy powód wiązał się bezpośrednio z kapryśną pogodą, która pociągnęła za sobą niespotykany od dawna atak chorób bakteryjnych i wirusowych u pszczół, jak i też o wiele groźniejszej dla pszczół warrozy, prawie we wszystkich tzw. „inwentarskich pasiekach”, złożonych najczęściej z kilku przydomowych pni. Wymarcie pszczół było równoznaczne z rezygnacją z przynależności do Koła pszczelarzy. Drugi powód, to zniesienie w 1986 r. reglamentacji cukru i ustanie tym samym kłopotów w zaopatrzeniu się pszczelarza w cukier na zimowe podkarmianie pszczół.

W 1989 r. członkowie Koła na Walnym Zebraniu wybrali nowy Zarząd Koła w skład którego weszli; Prezes – Fryderyk Bugański, V-ce Prezes – Władysław Rzepiel, Sekretarz – Wincenty Tokarz, Skarbnik – Józef Majerski. Pod koniec tego roku do Koła należało 35 pszczelarzy, którzy posiadali 223 rodziny pszczele. Po jedenastu kolejnych latach w 2000 r. Koło liczyło 33 członków, którzy posiadali 426 pni pszczelich. Podobnie jak w minionych latach pszczelarze poprzez Koło zaopatrywali się w lekarstwa dla pszczół m.in. „paski” przeciw warrozie, jak i cukier na zimowe podkarmianie pszczół w wysokości 14 kg na rodzinę pszczałę; we wspomnianym roku Zarząd Koła rozprowadził 700 szt. „pasków” przeciw warrozie i 6350 kg cukru. W lutym 2001 r. Walne Zebranie sprawozdawczo-wyborcze powierzyło kierowanie Kołem Prezesowi Janowi Madziarowi. Sekretarzem wybrano Wincentego Tokarza, a Skarbnikiem Bolesława Stanisza.

Taki wybór powtórzono też w 2005 r. Wtedy Koło liczyło 33 członków, którzy posiadali 453 pnie pszczele. Nowo-wybrany Zarząd Koła zwrócił się po raz pierwszy do Wójta i Rady Gminy w Łącku z prośbą o dofinansowanie zakupu lekarstw do zwalczania chorób pszczelich. Tej prośby wtedy nie uwzględniono, podobnie też w następnych latach, chociaż Rada Gminy wspomagała wtedy łąckie Koło kwotą 1000 zł. rocznie. W grudniu 2005r. deklarację przynależności do Koła złożyło już tylko 23 pszczelarzy, którzy deklarowali posiadanie 294 pni pszczelich. Z początkiem wiosny 2006 r. przynależność do Koła deklarowali tylko 12 pszczelarzy. Byli wśród nich Wincenty Tokarz, Benedykt Tokarczyk, Zdzisław Klag, Stanisław Stanis, Tomasz Gromala, Józef Kołodziej, Jan Madziar, Józef Majerski, Bronisław Klimek, Stanisław Rams, Bronisław Kiklica, Jan Majerski. Malejące wciąż zainteresowanie przynależnością do Koła, jak i ubywanie jego członków sprawiły, że Zarząd Koła postanowił zawiesić jego działanie na czas bliżej nieokreślony. W tej to sytuacji większość z przynależnych jeszcze do Koła członków postanowiła przystąpić do środowiskowego Koła Pszczelarzy w Łącku. Tak to Koło Pszczelarzy w Jazowsku zawiesiło swoją działalność na czas bliżej nie określony.

Celem działania każdego środowiskowego Koła Pszczelarzy była i jest nadal wszechstronna pomoc udzielana członkom koła tak w zakresie pracy z pszczołami, jak i czuwanie nad prawidłowym rozwojem gospodarki pasiecznej, reprezentowanie interesów pszczelarzy, tak na forum gminy, powiatu jak i Karpackiego Związku Pszczelarzy w Nowym Sączu. Koło umożliwia dziś swoim członkom (bo to jest jedyna możliwość) korzystanie ze środków Krajowego Programu Wsparcia Pszczelarstwa. Z tych środków za pośrednictwem Karpackiego Związku Pszczelarzy w Nowym Sączu (pszczelarze nie mają bezpośredniej, imiennej dotacji ani z krajowych środków budżetowych, ani unijnych) pszczelarze zakupują, dopłacając ze swej strony pewną część pieniędzy, tak lekarstwa dla pszczół, jak i tzw. pakiety, czyli rodziny pszczele z czerwiącymi matkami zalecanych przez doradców linii, lub ras, czy też różnorodny sprzęt niezbędny w nowoczesnej gospodarce pasiecznej. Koło dba również o bezpieczeństwo i higienę pracy tak pasiece jak i wokół niej i temu to ubezpiecza grupowo od odpowiedzialności cywilnej (OC) wszystkich skupionych w kole pszczelarzy. Koło organizuje też kilka razy w roku specjalistyczne szkolenia i spotkania towarzyskie, których celem jest wymiana poglądów i doświadczeń zdobytych podczas bieżącego sezonu pasiecznego. Niektórzy członkowie Koła biorą też chętnie udział w jesienno-zimowych spotkaniach „Klubu Dyskusyjnego” organizowanych już od wielu lat przez KZP w Nowym Sączu. Ważnym uzupełnieniem edukacyjnym dla pszczelarzy są też corocznie organizowane przez KZP w Nowym Sączu szkolenia dla przedstawicieli poszczególnych Kół, organizowane w ostatnich latach w ośrodku wypoczynkowym „Stasinda” w Bukowinie Tatrzańskiej. Wykładowcami na tych szkoleniach bywają uznani powszechnie przez pszczelarzy krajowych a także i zagranicznych teoretycy i praktycy pszczelarstwa polskiego. Dzielili się tam w ostatnich latach, swoją wiedzą i umiejętnościami pracy w nowoczesnej pasiece, m.in. prof. dr hab. Władysław Huszcza, dr Wiesław Londzin, dr Krystyna Podhorodecka, dr Piotr Semkiw, dr Dariusz

Teper, dr Dariusz Gerula, dr Teresa Szczęsna i inni. Uczestnicy tych szkoleń dzielą się później swymi doświadczeniami i wiedzą tam zdobytą nie tylko z członkami Koła, ale też z pszczelarzami niezrzeszonymi, co jest szczególnie ważne w kompleksowej walce z chorobami pszczelimi. Niektórzy członkowie Koła brali udział w szkoleniach wyjazdowych organizowanych przez KZP w Nowym Sączu do wzorcowych pasiek krajowych jak i zagranicznych m.in. odwiedzili Słowację, Czechy, Węgry, Austrię i Ukrainę. Pod wpływem tak zdobywanej wiedzy zmienia się systematycznie, choć powoli, tak ogólnie pojmowana zdrowotność pasiek, jak i „baza produkcyjna”. Stare, często już zużyte miodarki, jak i inny sprzęt niezbędny do obsługi pasieki zastępowany jest nowym, nowoczesnym ze stali nierdzewnej, nabywanym już w wielu przypadkach w oparciu o środki pomocowe z Unii Europejskiej. Podobnie jest z ulami. Stare, często też zużyte ule zastępowane są nowymi, wyprodukowanymi nie tylko z drewna, ale i ze styropianu lub poliuretanu. Najbardziej popularnymi ulami w tutejszych pasiekach są stojaki typu wielkopolskiego. Dostyc dużo jest pasiek z ulami typu warszawskiego i typu Dadanta. Coraz więcej też pojawia się uli typu Langstrotha, Ostrowskiej a nawet typu Apipol. Wydajność miodowa tutejszych pasiek jest niewielka i kształtuje się w zależności od roku na poziomie od kilku do kilkunastu kilogramów z pnia. Większe ilości miodu towarowego zdarzają się tylko w latach kiedy wystąpi obficie spadź. Każdy z członków Koła prowadzi indywidualnie promocję posiadanych produktów pszczelich i dołącza się w ten sposób do trwającej już od kilku lat ogólnokrajowej akcji pszczelarzy pod hasłem „kupuj miód prosto z pasieki”. Akcja ta ma na celu zwiększyć spożycie miodu i ukrócić spekulacyjne praktyki handlarzy miodem. Większość tutejszych pszczelarzy nadal stosuje cukier jako główny pokarm dla pszczół na uzupełnienie zimowych zapasów rodziny pszczelej. Mimo trwającej już od lat nachalnej reklamy niewielu pszczelarzy daje się namówić na zakup syropów cukrowych inwertowanych, czy też syropów skrobiowych zwanych czasami izoglukozą. Hamulcem w stosowaniu tej „paszy” jest niewątpliwie jej cena, znacznie wyższa od ceny cukru.

Przed kilku laty udało się Zarządowi Koła pozyskać przychylność Rady Gminy, która wspiera finansowo tutejszych pszczelarzy, najpierw kwotą 1000 złotych na Koło, a później po połączeniu się z Kołem w Jazowsku, kwotą 2000 zł. Środki te początkowo pszczelarze postanowili przeznaczać na zakup węży lub dofinansowanie zakupu leków dla swoich rodzin pszczelich, a później na zakup drzewek miododajnych, głównie klonów i lip, powiększając na przyszłość bazę pożytkową dla pszczół. Od kilku już lat jeden z członków Koła Piotr Cebula z Czerńca na czas obchodów Dnia Kwitnącej Jabłoni w maju i Owocobrania we wrześniu organizuje stoisko pszczelarckie na którym prezentuje w specjalnie w tym celu oszklonym uliku, rodzinę pszczałę na ramkach pracy z oznakowaną matką-królową, robotnicami i trutniami. Na tym stoisku konsumenci mogą zaopatrywać się w różne produkty pszczele i degustować proponowany do sprzedaży miód.

„Leki z ula, czyli leki z pszczelej apteki”

Głównym produktem rodziny pszczelej jest miód. Rozróżniamy kilka odmian miodu.

Miód akacjowy – pozyskiwany bywa w okresie kwitnienia robinii akacjowej popularnie zwanej akacją lub grochodrzewem. W stanie płynnym bywa często bezbarwny lub jasnokremowy. Ma smak i zapach bardzo delikatny, subtelny, czasem lekko mdły harmonizujący z kwiatami akacji. Przez bardzo długi okres czasu pozostaje w stanie płynnym, a gdy ulegnie krystalizacji może mieć barwę od białej do kremowo-żółtawej. Zalecany jest wszystkim chorym z lekkimi postaciami cukrzycy (nieinsulinowymi), chorobami wrzodowymi żołądka i dwunastnicy, schorzeniami nerek i układu moczowego, stanami zapalnymi górnych dróg oddechowych. Ma właściwości uspakajające i ogólnie wzmacniające, można go stosować także w chorobach skóry.

Miód wrzosowy – pochodzi z kwiatów wrzosu zwyczajnego. W stanie płynnym miewa konsystencję galaretowatą a kolor czerwono-brunatny. Dość szybko się krystalizuje, a po skryształowaniu jego barwa może być żółtopomarańczowa lub brunatna. Ma bardzo silny aromat przypominający zapach kwiatów wrzosu, smak zaś przyjemny, mało słodki, lekko gorzkawy i cierpki. Zalecany jest przy schorzeniach nerek, dróg moczowych i gruczołu krokowego, przy kamicy nerkowej, schorzeniach błony śluzowej jamy ustnej i gardła, przewlekłym zapaleniu migdałków podniebiennych.

Miód mniszkowy – pochodzi z kwiatu mniszka lekarskiego. Ma barwę jasnożółtą, zapach kwiatu mniszka lekarskiego a smak słodkomdły. Zawiera w sobie bardzo dużo różnych składników m.in. witaminę B2, proteiny, żelazo, potas, mangan, fosfor. Bardzo szybko się krystalizuje, najczęściej już po trzech tygodniach po odwirowaniu. Zalecany jest w chorobach wątroby i dróg żółciowych, chorobach reumatycznych, niedokrwistości, schorzeniach żołądka, w stanach wyczerpania psychicznego.

Miód lipowy – pochodzi z nektaru kwiatów lipy. W stanie płynnym miewa zwykle kolor od barwy zielonkawo-żółtej do jasno-bursztynowej. Po skryształowaniu przyjmuje postać drobnoziarnistą, niekiedy krupowatą, zaś jego kolor zmienia się na białą żółty lub złocistożółty. Smak ma wyraziście słodki, dość pikantny, nawet ostry, czasami lekko gorzki. Wyróżnia się silnym aromatem przypominającym woń kwiatów lipy. Powszechnie uznawany jest za najlepszy środek na przeziębienia, wykazuje działanie napotne, przeciwgorączkowe, przeciw skurczowe, uspakajające, wykrztuśne, słabo moczopędne, oraz obniżające ciśnienie krwi. Stosowany bywa w przypadku anginy, w schorzeniach reumatycznych oraz nerwicach. Jest zaliczany do miodów o wysokiej aktywności antybiotycznej. Najczęściej stosuje się go rozpuszczając 2–3 łyżeczki w szklance ciepłej, przegotowanej wody z dodatkiem 1 łyżeczki octu jabłkowego i pije codziennie przed snem.

Miód rzepakowy – pochodzi z nektaru kwiatów rzepaku. W stanie płynnym bywa bezbarwny lub w kolorze słomkowym, a po skryształowaniu może być białą, lub szarobrazowy. Zapach ma słabo wyczuwalny lub zbliżony do zapachu kwiatów rzepaku. Smak zaś średnio słodki, mdły, a nawet lekko gorzki. Zalecany bywa w przypadku rozpoznanej miażdżycy, chorobach wątroby i dróg żółciowych i stanach

zapalnych górnego odcinka dróg oddechowych. Tego rodzaju miodu nie produkują pszczoły w pasiekach usytuowanych w Kotlinie Łąckiej i na Pogórzu Łąckim, gdyż nie ma tu dużych upraw – plantacji rzepaku.

Miód gryczany – pochodzi z nektaru drobnych, białych lub różowych kwiatów gryki, która kwitnie w lipcu i sierpniu. W stanie płynnym ma barwę jasnobrunatną z lekko czerwonym odcieniem. Po skryształowaniu bywa ciemnobrunatny lub brązowy. Smak ma dość ostry, słodki, lekko piekący, zaś zapach bardzo silny przypominający zapach kwiatów gryki. Kryształizuje się bardzo wolno, przyjmując postać gruboziarnistą i niejednorodną. Posiada wiele cennych witamin m. in. C, B1, B2, PP, jak też znaczne ilości mikropierwiastków m.in. I, P, Cu, Mg, Fe. Zalecany bywa w chorobach serca i układu krążenia na podłożu miażdżycowym, jako lek chroniący i wątrobę, wskazany osobom chorym na cukrzycę insulino niezależną, w chorobach układu oddechowego i w leczeniu niedokrwistości. Tego miodu nie wytwarzają pszczoły w pasiekach usytuowanych na terenie gminy Łącko, gdyż nie ma tu wielkoobszarowych upraw gryki.

Miód wielokwiatowy – pochodzi z nektaru zbieranego przez pszczoły z różnych roślin tak uprawianych rolniczo jak i dzikich, łąkowych i leśnych. Ma bardzo szeroką gamę barw od jasnokremowej po herbacianą. Po skryształowaniu zmienia nieco zabarwienia na jasnoszare lub jasnobrązowe. Jego zapach jest silny, podobny do zapachu wosku, a smak słodki, bardzo różny w zależności od pochodzenia nektaru. Wczesnowiosenny miód wielokwiatowy posiada bardzo dużo cukrów prostych – glukozy i fruktozy a także krzemu. Zalecany jest szczególnie przy schorzeniach alergicznych, a także przy schorzeniach układu krwionośnego. Najczęściej stosuje się go rozpuszczając 2 łyżeczki w ciepłej, przegotowanej wodzie z dodatkiem soku wyciśniętego z 1 grejpfruta lub z ½ cytryny.

Miód ze spadzi z drzew liściastych – szczególnie takich jak: topola, brzoza, klon, lipa, dąb, osika, wierzba i buk ma barwę od zielono herbacianej po jasnobrązową. Po skryształowaniu staje się nieco ciemniejszy. Jego smak bywa łagodny, czasem cierpkawy z żywicznym posmakiem, zapach zaś słaby, lekko korzenny. Działa moczopędnie, przeciwzapalnie i dezynfekująco, i dlatego jest pożądanym w leczeniu układu moczowego i choroby stawów, a także w chorobach dróg żółciowych, wątroby jelit. Pozytywnie działa też przy leczeniu chorób układu oddechowego. Można go stosować w następujący sposób: 1 łyżeczkę melisy wsypać do szklanki, zalać wrzątkiem i parzyć pod przykryciem przez 10 minut. Potem po przecedzeniu i przestudzeniu dodać 2–3 łyżeczki miodu, rozpuścić go i pić przed snem.

Miód ze spadzi z drzew iglastych – szczególnie świerka, jodły i modrzewia ma barwę ciemną od szarozielonkawej poprzez brązową i ciemnoszarą do prawie czarnej smolistej. Jego zapach jest słaby, lekko korzenny, zależnie od obecności w nim substancji aromatycznych właściwych danemu gatunkowi drzewa z którego pszczoły tą spadź przynoszą. Smak jego bywa dość łagodny, żywiczny, w zasadzie mało słodki. Kryształizuje się dość późno w przybierając grudkowatą postać. Posiada w swym składzie najczęściej witaminę K, B, i PP, oraz olejki eteryczne, żywicę, kwas askorbi-

nowy, skrobię, garbniki i goryczki. Wykazuje działanie przeciwzapalne, antyseptyczne i wykrztuśne. Charakteryzuje się bardzo wysoką aktywnością antybiotyczną. Zalecany jest przy schorzeniach dróg oddechowych oraz w stanach zmniejszonej odporności organizmu. Można go stosować podobnie jak miód ze spadzi liściastej. Wkrótce po przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej, bo już od 1 lutego 2008 roku taki miód spadziowy pozyskiwany na terenie Sądecczyzny został wpisany do „Europejskiego Rejestru Produktów Regionalnych i Tradycyjnych” pod nazwą „Sąddecki miód spadziowy”, podobnie zresztą jak „Śliwowica łącka”, czy „Jabłka łąckie”, które są wpisane do Rejestru Chronionych Oznaczeń Geograficznych.

Pylek kwiatowy – jest bardzo cenną i wartościową odżywką. Zawiera m. in. witaminy; A, B, B1, B12, C, E, P, PP, kwas pantotenowy i foliowy, a także białka, węglowodany, tłuszcze i sole mineralne. Ma działanie antibakteryjne, regenerujące i wspomagające ogólną odporność organizmu, obniża poziom cukru we krwi, ogranicza procesy postępu miażdżycy i podnosi ogólny poziom koncentracji umysłowej. Stosuje się go w chorobach narządu wzroku, chorobach alergicznych, w schorzeniach górnego odcinka dróg oddechowych, w schorzeniach przewodu pokarmowego i chorobach wątroby a także w stanach wyczerpania psychicznego.

Mleczko pszczele – jest „produktem pasiecznym” szczególnie poszukiwanym ze względu na jego wyjątkowe właściwości odżywcze i biotyczne. W mleczku pszczelim stwierdzono ponad dwadzieścia makro i mikroelementów m. in. miedź, magnez, potas, fosfor, żelazo, siarkę, mangan, nikiel, kobalt, krzem, chlor, bizmut, arsen. Ponadto mleczko pszczele zawiera 24 aminokwasy, enzymy, inhibiny i hormony (m.in. wzrostowy). Reguluje przemianę materii i podwyższa odporność organizmu na zakażenia. Stosuje się je przy braku łaknienia i niedożywieniu. Jest pomocne przy leczeniu anemii powstałej na wskutek niedoboru żelaza. Obniża poziom cholesterolu, chroni tkankę wątroby i zapobiega powstawaniu marskości wątroby. Zapobiega zapaleniu stawów kręgosłupa i skutecznie przeciwdziała artretyzmowi. U chorych w podeszłym wieku mleczko pszczele poprawia apetyt, zwiększa przyrost wagi, polepsza pamięć i wzrok.

Propolis – bywa nazywany przez pszczelarzy kitem pszczelim, a przez niektórych uczonych i lekarzy mianem antybiotyku XXI wieku. Propolis, to mieszanina wielu substancji żywicznych wydzielanych przez pączki drzew. Pączki te pokryte są balsamem chroniącym je przed bakteriami, roztocami, grzybami, owadami itp., a przyniesione do ula i odpowiednio spreparowane przez pszczoły pełnią tą samą funkcję chroniącą rodzinę pszczelą przed chorobami. W propolisie wyodrębniono już około 300 różnorodnych związków chemicznych m.in.; flawonoidy, kwasy aromatyczne, Estery, alkohole, aldehydy, kumaryny, terpeny, sterole, kwasy tłuszczowe, mikroelementy itd. Propolis ma zdolności niszczenia i blokowania bakterii, grzybów chorobotwórczych, wirusów i pierwotniaków. Właściwości farmakologiczne propolisu umożliwiają miejscowe znieczulenie, regulację ciśnienia, regulację wydzielania żółci, odtruwania wątroby, leczenie wrzodów i ran. Te jego właściwości sprawiają, że stosowany też bywa przy leczeniu dróg moczowych, gruczołu krokowego, paradontozy, a nawet przy leczeniu chorób skóry i uśmierzaniu bólów zębów.

Jad pszczeli – produkowany jest przez pszczoły robotnice i matki pszczoły. Służy im do obrony i walki ze swymi wrogami. Jad pszczeli w swym składzie zbliżony jest do jadu żmii. W jadzie pszczelim odkryto dotychczas m.in. peptydy: melitynę, adolapinę, neurotoksynę, apaminę i MCD oraz enzymy; fosfolipazę A2, hialuronidazę i kwasną fosfatazę. Aktywność peptydu MCD jest 1000 razy większa od aktywności hydrokortyzonu. Jadem pszczelim leczy się reumatyzm, artretyzm, gościec, zapalenie korzonków nerwowych, egzemę, paradontozę, pyłkownicę, alergię, reumatoidalne zapalenie mięśnia sercowego, chorobę Buergera, zapalenie pęcherza moczowego i inne choroby. Ze względu na silne i szybkie działanie jadu pszczelego leczenie nim musi być prowadzone pod kontrolą lekarza.

Wosk pszczeli – jest jednym z najczystszych produktów naturalnych w przyrodzie. Stanowi on mieszaninę ok. 15 związków chemicznych, głównie estrów, węglowodorów, alkoholi i wolnych kwasów. W wosku są też związki mineralne, barwniki, substancje aromatyczne i nieco kitu pszczelego, czyli propolisu. Wosk ma obecnie zastosowanie w ok. 50 gałęziach przemysłu m. in. w przemyśle farmaceutycznym i kosmetycznym. Zalecany jest przy leczeniu kataru siennego, niektórych chorobach skóry, wrzodów, skaleczeń, ran, reumatyzmu i artretyzmu.

Szanse i zagrożenia amatorskiego pszczelarstwa

Szansą dla pszczelarstwa tak w najbliższej nam okolicy, jak i w całym kraju będą na pewno te działania, które mają na celu:

- zainteresować w większym niż dotychczas stopniu młodzież tą ginącą powoli profesją, jednym z najstarszych zawodów na świecie,
- ukazywać, że dzisiejszy pszczelarz nie może być tylko hobbystą, ale musi być producentem zdrowej i poszukiwanej żywności,
- podejmowanie skutecznych, a nie pozorowanych działań, w celu wyłonienia jednej, silnej ogólnokrajowej reprezentacji pszczelarzy. Powinien nią być istniejący już prawie od stu lat, chociaż z niedługą przerwą, Polski Związek Pszczelarzy,
- zwiększyć w Polsce bazę pożytkową dla pszczół przez inicjowanie uprawy ziół dla przemysłu farmaceutycznego, a przez to zwiększyć, urozmaicić i rozciągnąć w czasie stosunkowo krótki u nas okres wegetacji roślin,
- ustanowić ustawową rekompensatę za zapylenie przez pszczoły wszelakich upraw rolnych na poziomie 25 Euro dla każdej rodziny pszczoły, jak to jest w wielu krajach Unii Europejskiej,
- zorganizować profesjonalny skup produktów pszczelich i to za przyzwoitą cenę, adekwatną do wartości produktu pszczelego, by skończyć z istniejącym paradoksem polegającym na tym, że producent płodów rolnych otrzymuje góra 20% wartości ceny zbytu, resztę przejmuje pośrednik – dystrybutor i handel.

Wielkim zagrożeniem dla małych, hobbystycznych pasiek, a tym samym dla równomiernego rozmieszczenia populacji pszczoły w Polsce są pomysły wielu odnowicieli i modernizatorów polskiego pszczelarstwa. Proponują oni bowiem klasycz-

ny amerykański sposób eksploatacji pszczoły miodnej. W Polsce miałyby on polegać na tzw. dwuletnim chowie rodzin pszczelich. W ten sposób pszczelarze podzieliliby się na producentów miodu i innych produktów pszczelich i producentów rodzin pszczelich, które po zimowli u nich byłyby odsprzedawane pszczelarzom zawodowym producentom produktów pszczelich. Pszczoły „wypracowane” po jednym pszczelim sezonie miałyby być po zakończeniu pożytku usypiane i zbywane dla potrzeb przemysłu m.in. farmaceutycznego. W ten sposób pszczelarz „producent” produktów pszczelich, głównie jednak miodu, nie musiałby zimować pszczół a mógłby je zakupić dopiero wiosną od pszczelarza „producenta” odkładów. Czy ta idea fascynująca już od lat niektórych „kombinatorów” zdomowi się w Polsce, czy też „umrze” śmiercią naturalną jak „umarły” ziolo-miody pokaże czas. Zagrożeniem dla tutejszych pasiek jest też zwykła zawiść i głupota ludzka połączone z prymitywizmem intelektualnym, który bez jakichkolwiek zahamowań niszczy to tak cenne życie, czy to chemią, czy też wywracaniem uli, często w całej pasiece. Nie rzadkie są też kradzieże uli z będącymi w nich rodzinami pszczelimi i zmagazynowanym w nich miodem, które później albo w trakcie transportu, albo na nowym pasieczysku pozbawione fachowej opieki giną.

Od początków XXI wieku coraz głośniej o sobie daje znać, już na całym świecie, informacja o masowym ginięciu pszczół (pszczoły po opuszczeniu ula nie wracają do niego). Zjawisko to nazwane zostało skrótem CCD od angielskich słów Colony Collapse Disorder wprowadziło w wielkie zakłopotanie tak cały świat nauki jak i „wyspecjalizowanych” obrońców przyrody. Wymarcie pszczoły miodnej może okazać się wielkim zagrożeniem dla przyszłości całej populacji ludzkiej. Pszczoły bowiem zapyłają ok. 80% wszystkich gatunków roślin uprawnych na naszym kontynencie, a rośliny te stanowią podstawę nie tylko ludzkiego menu. Rozpoczęto intensywne szukanie winnych. Oskarżano chemizację rolnictwa – nadmierne stosowanie herbicydów, pestycydów i insektycydów i „coś tam jeszcze, jeszcze”, a nawet telefonię komórkową. Okazało się wnet, że nieszczęściem dla pszczoły miodnej jest fakt istnienia nie jednej, ale wielu przyczyny tego stanu rzeczy. Wielorakie więc trudności spiętrzone na drodze do uwolnienia pszczoły przed groźącym jej niebezpieczeństwem wymagają zaangażowania całego światowego potencjału naukowego i całej „armii ludzi dobrej woli”. Dziś można przyjąć z całą pewnością, że generalną przyczyną tego stanu jest nieustanne skażenie środowiska naturalnego tak pszczoły jak i człowieka, coraz to nowymi „wynalazkami” takimi jak choćby GMO (Genetically Modified Organism), czyli organizmy genetycznie modyfikowane, które dla wielu uczonych jest 100% przyczyną masowego wymierania pszczół, a nie podejrzewany o to cukier stosowany na uzupełniania zimowych zapasów pszczół, który wtedy, gdy to zjawisko się nasilało, był jeszcze produkowany z tradycyjnych, a nie modyfikowanych genetycznie nasion buraków cukrowych.

Władysław Pierzga
– właściciel ok. 50-cio pniowej pasieki

Kiedy wśród radosnego gwaru i ferii zapachów zasiadamy do świątecznego stołu, zazwyczaj nie zastanawiamy się dłużej nad potrawami, które na nim znajdujemy. Rok w rok w każdym domu pojawia się podobny zestaw dań, a wybory gospodyń w ten szczególny dzień wydają się być oczywiste. Tymczasem świąteczne, zwłaszcza wigilijne, potrawy, to element szczególnego dialogu tradycji ze współczesnością i warto poświęcić chwilę uwagi na refleksję nad tym fragmentem naszego kulturowego dziedzictwa.

Osobną i nierozstrzygniętą kwestią pozostaje pochodzenie bożonarodzeniowych potraw – w różnych regionach Polski, pod wpływem odmiennych kultur, panują nieco odmienne zwyczaje. Wraz z migracjami oraz pod wpływem aktualnych trendów świąteczny jadłospis w naszych domach ulega niekiedy zmianom, choć najczęściej są to jedynie wariacje na dobrze znane kulinarne tematy.

Na Boże Narodzenie, jakie znamy dzisiaj, z nieodłączną choinką i kolędami, spoglądamy raczej przez pryzmat radosnej, magicznej atmosfery, kreowanej z pietyzmem przez środki masowego przekazu – Święta są dla nas przede wszystkim momentem oderwania od codziennej rutyny. Tymczasem jeszcze w początkach XX wieku, kiedy praca na roli była dominującym sposobem utrzymania, o wiele większą wagę przywiązywano do cyklicznie powtarzających się zajęć, a uroczyste rytuały związane z obchodzeniem Świąt, miały na celu zapewnienie pomyślności w pracach gospodarskich; do rytuałów tych należało także przygotowanie określonych potraw z odpowiednich składników w tym szczególnym czasie. Na terenach górskich, w tym również w Łącku i jego okolicach, tymi składnikami były dary roli i lasu – ziemniaki, zboża w formie mąki czy kasz, kapusta, groch, grzyby, wędzone śliwy oraz suszone gruszki i jabłka.

Praca w rytmie zmieniających się pór roku w okresie zimowym zamierała – późną jesienią gromadzono w spiżarniach ostatnie zapasy, kiszone kapustę, suszono grzyby. Wraz z nadejściem Adwentu rozpoczynały się przygotowania: porządki, wycinanie i wyklejanie ozdób, pierwsze wypieki, zwłaszcza świątecznych pierników i pierniczków wymagających po upieczeniu dłuższego leżakowania.

Ostatni tydzień przed nadejściem Wigilii to czas gorączkowej krzątania – tradycyjne wigilijne potrawy wymagają bowiem kilkudniowego zachodu. Mak i suszone grzyby trzeba namoczyć dzień lub dwa wcześniej i zmielić, karpia sprawić, przygotować wywar na postny barszcz, kwaszoną kapustę z grochem i rozmaite pierogi bądź kluski, potrawy z kaszy (choćby krupy z wędzonymi śliwami), wreszcie aromatyczny kompot z suszonych owoców i świąteczne ciasta: kołaczki, drożdżowe buchty, makowce. Wszystkie potrawy wigilijne musiały być jak najbardziej postne, tłuszczu zwierzęcego nie używano nawet do okraszenia potraw; zaś ich przepisana liczba trudna jest do ustalenia – parzysta czy nieparzysta, równa dwunastu miesiącom, czy po

prostu jak największa, aby gospodarstwo cieszyło się jak największą obfitością plonów w nadchodzącym roku.

Gdy na niebie pojawia się pierwsza gwiazda, tak jak przez całe wieki czynili nasi przodkowie, po całym dniu ścisłego postu, w uroczystym nastroju zasiadamy przy nakrytym białym obrusem stole, na którym stawiamy zapalone świece i jedno puste nakrycie, zasiadamy by podzielić się opłatkiem, życzeniami, ale przede wszystkim wspólnym posiłkiem. Niegdyś kolacja ta była swoistym zaklinaniem urodzaju i pomysłności, towarzyszyły jej specjalne modlitwy oraz liczne nakazy i zakazy, specjalnym opłatkiem i niektórymi potrawami dzielono się również ze zwierzętami gospodarskimi.

W Boże Narodzenie, zwane też dawniej *godami* bądź *godnymi świętami*, na stół trafiało mięsivo, zazwyczaj wieprzowina bądź drób, kulinarnym punktem kulminacyjnym dnia był uroczysty, obfity obiad. Drugi dzień Świąt, dzień świętego Szczepana upływał na odwiedzinach u rodziny i w sąsiedztwie, a przy drobnych poczęstunkach, najczęściej wypiekanych w domu łakociach, rozpoczynały się wędrówki kolędników i karnawałowa zabawa.

(W opracowaniu tekstu korzystałam z opracowania Barbary Ogrodowskiej: *Polskie obrzędy i zwyczaje doroczne*, Warszawa 2009)



Z trasy XII międzyszkolnego zlotu turystyczno-krajoznawczego „Młodzież z Chrystusem w III tysiącleciu”

„Dokoła ludzkich trudów i ludzkiej pracy ślady,
zbożem szumiące pola i te kwitnące sady...”

„List” Stanisław Klimek z Wietrznic (1906–1985)

Jedna z zasad obcowania z górami według Armando Moore brzmi... „nauczyć się gór, to nauczyć się chodzić, a co więcej, nauczyć się żyć...”

Natomiast w regulaminie szkolnego zlotu turystyczno-krajoznawczego czytamy... „popularyzacja najpiękniejszych terenów turystyczno krajoznawczych i ich historii Beskidu Sądeckiego i Wyspowego”.

Uczniowie szkół podstawowych i gimnazjów w naszej łąckiej gminy przeszli szlaki turystyczne Beskidu Sądeckiego jak i Wyspowego a wędrujemy już po raz dwunasty od 2000 r. XII Zlot MZTK gościł w miejscowości Zagorzyn a to już Beskid Wyspowy. Krótko o położeniu geograficznym Beskidu Wyspowego, który jest niezwykle charakterystyczny, niepowtarzalny w skali naszych gór części Karpat fliszowych. Graniczy on na zachodzie z Beskidem Średnim, na południu z Gorcami, na wschodzie z Beskidem Sądeckim, Kotliną Sądecką i Pogórzem Ciężkowickim, a na północy z Pogórzem Wielickim. Wschodnią granicą Beskidu Wyspowego biegnie od Zabrzeży wzdłuż Doliny Dunajca, do Naszacowic, a dalej przez Podegrodzie, Świniarsko i Chełmiec do Marcinkowic, odtąd z biegiem Dunajca wzdłuż jeziora Rożnowskiego i Czchowskiego do Czchowa, a następnie odcinkiem szosy Nowy Sącz-Kraków do Jurkowa.

...od przeszłości do terażniejszości...

Większości grup zlotowych miejsce startu wybrała rynek Łącki, skąd idziemy drogą w kierunku zachodnim. Na rozgałęzieniu dróg (jedna w kierunku Kiczni) drugą kierujemy się w stronę wsi o nazwie Zagorzyn (390m n.p.m). Idziemy koło przysiółka Tarnawa. Jak wieść niesie stał tu niegdyś folwark należący do probostwa w Łącku. Z tego folwarku w roku 1620 chłopci z okolicy, pod dowództwem Grzegorza Kępy z Józkiem I Jankiem Chlipawczykiem z Ochotnicy, Błażkiem Janczurem i Maciejem Rusnakiem z Kamienicy urządzali napady na dwory Arian, Wielogłowskiego z Wolicy i pani Gabońskiej w Łukowicy, oraz Wierzbietów i Podowskich w Przyszowej. Za przysiółkiem Tarnawa rozpoczyna się Zagorzyn. Według dawnych przekazów historycznych domy tu obszerne stoją rzędem po jednej i drugiej stronie rzeki. Mieszkanie lubią obszerne i wygodne, to też budują domy duże i wysokie. Sień wchodowa dzieli dom prawie na dwie równe części, w jednej izba czeladna, obok alkierza ma sypialnie lub na przyjęcie gościa przeznaczony – w izbie czeladnej kuchnia z kotłem na łańcuchu wiszącym, stół i ławy do siedzenia. Często w tej izbie, jeżeli nie ma komina, stoi bydło. W drugiej połowie izba duża, gościnna, w niej łóżko ze stosem poduszek ułożonych jedna na drugiej, coraz mniejsze ku górze.

Spizarnia osobno, w niej skrzynie na zboże i na ubrania kobiece. Domy kryją dachówką lub blachą. Dom z drzewa świerkowego lub jodłowego na podmurowaniu kamiennym. Stajnie przeważnie z kamienia spojonego gliną, rzadziej maltą. Podwórze obszerne.

Zawiasy, haki, zamki żelazne, klamki u drzwi wchodowych mosiężne. Przed domem, pod ścianą frontową, ława długa do siedzenia dla domowników po pracy lub pogwarki świątecznej. W izbie gościnnej stołki trzciniowe, stół malowany, ceratą kryty, szafy na ubranie, szafa wmurowana w ścianę na naczynia stołowe, jak szklanki, spodki, talerze i piękniejsze miski, na ścianie zegar, obrazy, widoki i fotografie w ramach poprawne. Tak żyli mieszkańcy Zagorzyna na przełomie XIX i XX wieku.

... między Byniową, Gródkiem a Skalicą (623 m.n.p.m)...

Idziemy dalej drogą wzdłuż potoku Czarna Woda, mijamy przysiółek Browary – pola orne i łąki rozbiegają się, to na grzbiet kiczański, to ku wysokiej Beniowej. Po okazałym budynku starej szkoły nie ma śladu a był to budynek w części murowany i drewniany z którego wyszło wielu zdolnych ludzi. Stąd pochodzą ś.p. bracia doktorowie Schmidtowie, jeden prezydent miasta Krakowa, drugi fizyk w Myślenicach, radca szkolny Walenty Myjakowski, Piotr Myjakowski radca skarbu, Wincenty Myjak – poseł na sejm krajowy galicyjski, dzielny gospodarz i tęgi rzecznik spraw ludowych a ze współczesnych gen. bryg. dr. Stanisław Czepielik (1943–2011).

W świetle kronik szkolnych pierwsze działania związane z organizacją szkoły na terenie wsi Zagorzyn miały miejsce około roku 1836. Przez ponad 20 lat różnie toczyły się losy szkoły w Zagorzynie, w roku 1857 budynek szkoły wyremontowano i zatrudniono w niej pierwszego nauczyciela rodem z pod Przemysła Adama Półkoźnic-Czerneka. Tym sposobem szkoła w Zagorzynie była drugą po Łąckiej najstarszą szkołą w parafii.

Nie sposób zapomnieć o tych którzy, kierowali zagorzyńską szkołą: kierowników i dyrektorów. Przytoczę tu kilka nazwisk od zakończenia II wojny światowej:

Leon Halicki (1945–48)

Kazimierz Sypień (1948–58) później kierownik SP. w Maszkowicach

Józef Jakubowski (1958–65) później kierownik SP. w Barcicach

Stanisław Arendarczyk (1965–78)

Stanisław Turek (1978–80) później dyrektor gminny szkół podstawowych w Łącku

Janina Turek (1980–92)

Barbara Legutko (1992 – do chwili obecnej)

Obecny nowoczesny szkolny budynek wraz z salą gimnastyczną funkcjonuje jako Zespół Szkolno-Gimnazjalny od 1 września 1998 roku, obwodem obejmuje wsie, Zagorzyn, Wola Kosnowa i Wola Piskulina.

...trochę historii...

Zagorzyn należał do starszadeckiego klasztoru, w połowie XV wieku wieś miała 6 łanów kmieczych, z których płacono czynsz rozmaity, dawano jednego koguta, dwa sery i dwadzieścia jaj z łanu.

Odrabiano „powabę”, dawano „osep”, – po miarce jęczmienia i dwie miarki owsa, oraz 4 grosze oprawnego. Wszystkie role płaciły dzierżawę wartości 5 grzywień klasztorowi.

Po kasacie majątku w 1785 roku przybyli osadnicy niemieccy (katolicy z Bawarii). Według źródeł historycznych czytamy ...”ostatni potomek Niemców chodzi boso i mieszka w kurnej chacie; tyle zarobili Niemcy na asymilacji do naszej, chłopskiej kultury”...

...meta zlotu...

11 października 2011 roku zespół Szkolno-Przedszkolny im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Kadczy był organizatorem XII Międzyszkolnego Zlotu Turystyczno-Krajoznawczego. W zlocie wzięło udział 9 drużyn 10 osobowych wraz z opiekunami z następujących szkół: SP w Jazowsku, SP w Łącku, SP w Zagorzynie, SP w Maszkowicach, SP w Szczerzeżu i SP w Kadczy, Gimnazjum w Jazowsku, Gimnazjum w Łącku i Gimnazjum w Zagorzynie. Dzięki uprzejmości proboszcza księdza Grzegorza Skorupy spotkanie rozpoczęliśmy nabożeństwem różańcowym w kościele parafialnym na N.M.P w Woli Piskulinie, tam też wysłuchaliśmy okolicznościowego kazania wygłoszonego przez naszego duchowego opiekuna ks. Zygmunta Ogórka. Kolejne godziny spędziliśmy już na sali gimnastycznej w Zespole Szkolno-Gimnazjalnym w Zagorzynie, gdzie miały miejsce liczne konkursy. Oprócz zawodów sportowych uczniowie mogli wykazać się w prezentacjach artystycznych, śpiewaniu piosenek religijnych i turystycznych oraz przedstawieniu skeczów turystycznych.

Serdeczne podziękowania składamy Gospodarzowi – Dyrektor ZSG w Zagorzynie pani Barbarze Legutko za udostępnienie Sali gimnastycznej i pomoc w organizacji konkurencji sportowych oraz wszystkich tym, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do sprawnego przebiegu Zlotu.

Nie zapominamy o osobach, które od początku istnienia imprezy zlotowej są orędownikami i propagatorami tego turystycznego przedsięwzięcia według słów motto tych spotkań ...”Przez poznanie do umiłowania, mój region, mój mały świat” a to szanownego dyrektora ZSP w Kadczy, Pana Stasia Szwarkowskiego i pań nauczycielek tej szkoły; pani Aleksander Cebula i pani Krystyna Dziedzic. Honorowymi gośćmi XI zlotu byli: przewodniczący Rady Gminy pan Zdzisław Warzecha, sekretarz gminy Łącko pan Stanisław Piksa oraz były wójt gminy Łącko pan Franciszek Młynarczyk.

Do zobaczenia na XIII Zlocie – GÓRA ZYNDRAMA w Maszkowicach

A dla tych, którzy lubią wędrować po górach kilka zdań dotyczących przykazań turysty z „Z przewodnika po Beskidach” Tom I wydanie IV z 1948 roku.

...Prawdziwie kulturalny człowiek zawsze i wszędzie będzie strzegł pewnych norm zachowania się odpowiadających stanowi swego umysłu, a więc i w górach, w obcowaniu z przyrodą góry są świątynią przyrody, jej najwspanialszym wytworem, a więc tak samo, jak dziełem rąk i umysłu ludzkiego, należy się im podziw, ochrona i poszanowanie.

Zgiełkowa i hałaśliwa turystyka, połączona z wyrządzaniem szkód w lasach po halach, w schroniskach, spłoszeniem zwierzyny, niszczeniem roślin nie tylko przynosi

ujmę kulturalnemu człowiekowi ale wyrządza szkodę rozwojowi ruchu turystycznego. Prawdziwy turysta będzie się w górach zachowywał tak, jak nabożny człowiek w kościele: swobodę po którą się w góry idzie potrafi połączyć z powagą i przestrzeganiem wszystkich przykazań turysty i będzie stał na straży pierwotnego charakteru i nieskałanej piękności gór... „Ciągną one nas bowiem ku sobie cechami przyrody pierwotnej i wolnej, a nam baczyć należy, by cech tych nie traciły” (J. Pawlikowski).

Prawdziwy turysta powinien ściśle przestrzegać reguł, które nazwiemy „przykazaniami turysty”:

- Unikać wyprawiania krzyków, niepotrzebnych nawoływań, strzelaniny, gdyż przez to płoszy zwierzyne i zakłóca uroczystą ciszę.
- Nie chodzić drogami zakazanymi, ale używać tylko tych, które są do użytku turystów dozwolone.
- Nie rzucać niedopałków cygar i papierosów ani też płonących zapalek na podłoże leśne, zwłaszcza w czasie posuchy, lecz zgasić je i zdeptać, gdyż w przeciwnym razie można wzniecić pożar lasów.
- Nie wznieszać ognisk w lasach lecz tylko na gołych polanach i kamieniskach i nie odchodzić nie ugasiwszy ognia.
- Nie zrywać bez koniecznej potrzeby roślin i kwiatów, zwłaszcza z korzeniami i to rzadszych gatunków, gdyż to grozi ich wygubieniem; nie łącać drzewek i nie chodzić po kulturach leśnych, nie obłamywać gałęzi limb i kosówek.
- Przez pola, hale, łąki iść tylko wydeptanymi ścieżkami, a nie stąpać po trawie lub zasiewach bo uprawa roli w górach niezmiernych wymaga mazołów.
- Wobec ludu napotykanego zachować się uprzejmie nigdy nie z drwinami i szyderstwem.
- Drog, miejsc spoczynku, szczytów nie zanieczyszczać papierami, pudełkami, rozbitymi flaszками itd., gdyż w ten sposób w miejscach najpiękniejszych powstają się śmietniki.
- Przybywając do schronisk nocną porą lub wstając wczesnym rankiem, zachować się cicho, by nie zakłócić odpoczynku innym, chronić urządzenia turystyczne znaki i drogowskazy.
- Jeśli wychodzi się w góry z ograniczonym czasem, ułożyć poprzednio plan wycieczki, obliczyć czas i kosztu pierwsze i drugie zawsze z pewną nadwyżką; do powrotu obierać drogę inną niż do wyjścia.
- Na jedną dobę nie wyznaczać zbyt długiego marszu, przeciętnie od 8 do 12 godzin z odpoczynkami; chodzić umiarkowanie i nie męczyć się do upadłego; lepiej widzieć mniej a dokładnie, brać ze sobą tylko nieodzowne bagaże, żywność nie w nadmiarze.
- Być członkiem PTTK lub innych organizacji turystycznych.

Do opracowania użyto materiałów „Z rodzinnych Stron Mikołaja Zyndrama Wodza z pod Grunwaldu” – wydawnictwo Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej „Beskid Wyspowy (część wschodnia)” Andrzej Matuszczyk „Z przewodnika po Beskidach” Tom I wydanie IV z 1948 r.

***Prace wykopaliskowe na „Górze Zyndrama” w Maszkowicach
– wywiad z kierownikiem ekipy archeologicznej
Instytutu Archeologii UJ w Krakowie – dr M.S. Przybyłą***

Już 3. sezon trwają prace wykopaliskowe na Górze Zyndrama w Maszkowicach. Proszę przypomnieć, co dotychczas udało się ustalić?

Badania, które podjęliśmy w 2010 roku przewidziane były początkowo jako jednorazowa próba weryfikacji prac wykopaliskowych prowadzonych na Górze Zyndrama w latach 1959–1975. Szybko okazało się jednak, że wyniki naszych wykopalisk pozwalają na całkowite przewartościowanie poglądów na temat tego stanowiska archeologicznego. Dotychczas udało się nam wykazać, że mamy tutaj do czynienia z osiedlem użytkowanym w sposób ciągły przez ponad półtorej tysiąca lat – pomiędzy XVII i II stuleciem przed naszą erą – w okresie nazywanym epoką brązu i wczesną epoką żelaza. Przez dużą część tego czasu osada w Maszkowicach posiadała sztuczne umocnienia i pełniła – jak się wydaje – istotną rolę jako centralny ośrodek regionu. Dzięki szacunkowym ocenom możliwości produkcyjnych otoczenia osady oraz wynikiem studiów nad szczątkami zwierząt i roślin odkrytymi w trakcie wykopalisk jesteśmy obecnie też w stanie powiedzieć dość sporo o takich kwestiach jak potencjalna liczba mieszkańców prehistorycznej Góry Zyndrama, czy praktykowana przez nich forma gospodarki.

Co potwierdzają, a co nowego wniosły tegoroczne prace archeologiczne?

Najistotniejszym wynikiem tegorocznych badań jest potwierdzenie hipotezy, która pojawiła się jeszcze wiosną tego roku, podczas dokładnego studiowania wyników wcześniejszych wykopalisk, zarówno tych dawnych, jak i tych prowadzonych w latach 2010–2011. Dotychczas wydawało nam się, że najważniejsze prace ziemne, w tym wznoszenie konstrukcji obronnych, prowadzone były na stanowisku na początku późnej epoki brązu – gdzieś około 1200 roku przed naszą erą. Była to i tak propozycja nowa, gdyż wcześniej sądzono, że widoczny do dziś wał otaczający grodzisko w Maszkowicach pochodzi „dopiero” z około roku 200 przed naszą erą. Obecnie, dzięki uzyskanym datom radiowęglowym (wykonanych metodą bazującą na pomiarze stopnia rozpadu promieniotwórczego izotopu węgla 14 w wykopanym materiale organicznym), a zwłaszcza dzięki dokładnemu rozpoznaniu stratygrafii osiedla – czyli kolejności tworzących go warstw – możemy natomiast z całą pewnością powiedzieć, że pierwsze konstrukcje obronne powstały tutaj już około roku 1650 przed naszą erą! Stanowił je niski kamienny mur, którego jeden odcinek odsłoniliśmy rok temu, a drugi w tym sezonie. Mur otaczał osadę od strony wschodniej i najprawdopodobniej również północnej. Tuż przy nim, na opartym o mur nasypie z gliny, znajdowały się prostokątne w rzucie domy. Znaczną część jednego z takich budynków, wraz z towarzyszącym mu dużym piecem, odkryliśmy podczas lipcowych badań. Tegoroczne prace potwierdzają wyjątkowy, nie tylko w skali archeologii polskiej – charakter sta-

nowiska. Jest to jedno z nielicznych w Karpatach Zachodnich prehistorycznych osiedli z zachowaną sekwencją wielu nakładających się na siebie poziomów osadniczych, przekraczającą miejscami 2 metry grubości! Świadczy to o dużej intensywności i długoletniości zasiedlenia tego miejsca. Osada na Górze Zyndrama jest jednocześnie jednym z zaledwie kilku w Europie Środkowej przykładów tak wcześnie datowanej obronnej architektury kamiennej. Kilka bardzo podobnych stanowisk – pochodzących z tego samego czasu – znanych jest ze Słowacji, centralnej Rumunii, pogranicza Włoch i Szwajcarii oraz z Bośni. Wszystkie one reprezentują najstarszy horyzont występowania fortyfikacji kamiennych w Europie, który można umieszczać w XVII i XVI wieku przed naszą erą.

Czy będą prowadzone dalsze prace archeologiczne w przyszłym roku?

Ze względu na plany naukowe, moje i innych osób zaangażowanych w badania, w przyszłym roku nie zamierzamy prowadzenia badań wykopaliskowych. Prawie na pewno powrócimy jednak w sezonie 2014 – do skończenia pozostała nam część tegorocznej odkrywki, planujemy też rozpoczęcie badań na północno-wschodnim krańcu grodziska, gdzie według badań geofizycznych można oczekiwać pojawienia się kolejnych konstrukcji kamiennych, jeszcze bardziej rozbudowanych niż dotychczas.

Czy przewiduje Pan – jako kierownik ekipy archeologicznej – spotkanie informacyjne ze środowiskiem szkolnym i mieszkańcami Maszkowic?

Mam nadzieję, że uda zorganizować się tego rodzaju spotkanie. Zamierzamy również przygotować tablicę informacyjną, która mogłoby znaleźć stałe miejsce na terenie grodziska. Dotychczas wstrzymywaliśmy się z jej skończeniem, ponieważ kolejne odkrycia zmuszały nas do stałej aktualizacji poglądów.

Jakie nowe publikacje ukazały się na temat wykopalisk prowadzonych w Maszkowicach?

Wciąż w przygotowaniu do druku znajduje się obszerny artykuł dotyczący geograficznego kontekstu stanowiska oraz potencjalnych przyczyn powstania jego fortyfikacji. Obecnie zakończyliśmy również pisanie kolejnego dłuższego tekstu, poświęconego najstarszym fazom zasiedlenia osady na Górze Zyndrama. Opracowanie to bazuje w dużej mierze na wynikach tegorocznych prac i powinno – mam taką nadzieję – ukazać się do połowy przyszłego roku. Jedna z koleżanek zaangażowanych w projekt opublikowała popularnonaukową informację o badaniach w marcowym numerze miesięcznika „Archeologia Żywa”. Wyniki nowych prac wykopaliskowych były także prezentowane na kilku konferencjach naukowych w kraju i zagranicą.

Prace wykopaliskowe w Maszkowicach trwały cały lipiec, jak układała się współpraca ze szkołą i środowiskiem?

Jak zwykle bardzo dobrze! W niewielu miejscach praca archeologów spotyka się z tak dużym zainteresowaniem lokalnej społeczności. Być może wpływ ma na to przywiązanie mieszkańców Maszkowic do legendy Góry Zyndrama, oraz tradycja dawnych badań z lat 60-tych i 70-tych, ale niezależnie od przyczyn takie zainteresowanie bardzo cieszy i sprawia, że nasza praca nabiera dodatkowego sensu. Dziękuję za rozmowę.

20 czerwca 2012 r. młodzież Gimnazjum w Łącku spotkała się z prof. Bolesławem Faronem, który przyjechał do szkoły na zaproszenie pani Anety Gaborek i pani Beaty Jurkowskiej.

Profesor Bolesław Faron pochodzi z Czarnego Potoku, jest znanym historykiem literatury polskiej, krytykiem, publicystą. Spośród wielu funkcji, które pełnił lub pełni nadal można wymienić takie, jak: prorektor i rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie, Minister Oświaty i Wychowania, redaktor naczelny „Ruchu Literackiego”, członek Klubu Twórców i Działaczy Kultury „Kuźnica” oraz Związku Literatów Polskich, radca Ambasady Polskiej w Wiedniu i dyrektor tamtejszego Instytutu Polskiego, założyciel i dyrektor naukowy Wydawnictwa Edukacyjnego, dyrektor Instytutu Filologii Polskiej AP, członek Komitetu Nauki o Literaturze PAN, redaktor naukowy serii „Biblioteka Polonistyki” w Wydawnictwach Szkolnych i Pedagogicznych, członek Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza i Stowarzyszenia Twórczego „POLART”, członek Senatu Akademickiego WSP w Krakowie. Odznaczony Nagrodą Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki I, II, III stopnia. Prof. Faron jest autorem wielu publikacji książkowych (m.in.: „Korzenie”, „Powrót do korzeni”, „Powrót do korzeni Nowy”, „Władysław Orkan”, „Okruchy: szkice o literaturze i kulturze XX wieku”), publikacji w edycjach zbiorowych, opracowań książek innych autorów, artykułów, referatów, itp.

Po uroczystym powitaniu przez panią dyrektor Zespołu Szkolno-Gimnazjalnego w Łącku panią Barbarę Stolarską profesor przedstawił młodzieży swój „Powrót do korzeni” podkreślając ogromną rolę twórczości Władysława Orkana, który jakby z za grobu kierował jego losami. Tuż po wojnie, jako uczeń IV klasy miał okazję spotkać się z sadeckim poetą i gawędziarzem Tadeuszem Giewontem-Szczecinią, który recytował m.in. „Przygrywkę” Władysława Orkana, opowiadał o kobiecie noszącej jedzenie synom z Gorców do Krakowa. Potem dowiedział się, że chodziło o matkę Władysława Orkana, którego losy zrobiły na nim ogromne wrażenie.

Nauka w szkole średniej I Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Długosza w Nowym Sączu pogłębiła jego wiedzę o twórczości pisarza (analizował tam „Komorników”). W nagrodę za pracę społeczną i postępy w nauce otrzymał po maturze „Wybór pism” Władysława Orkana, który zabrał ze sobą, jako jedyną książkę na studia polonistyczne do Krakowa. Szukając materiałów do pracy magisterskiej („Elementy naturalizmu w twórczości Władysława Orkana”) poznał osobowość pisarza, jego problemy, atmosferę duchową, jego początkową wiarę w to, że nędza jest przyczyną wszelkiego zła na wsi oraz rozczarowanie i szukanie wyjaśnień w teorii o „nierówności dusz ludzkich”. Fascynacja poprowadziła go szlakiem bohaterów Orkana: Niedźwiedź, Poręba Wielka, Koninki, Konina, Turbacz, szlak Franka Rakoczego na

odpust do Ludźmierza. Wszystkie wędrówki odbywał z „Wyborem Pisma” Orkana w plecaku.

Jako wychowawca w Internacie Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Nowej Hucie został zaproszony na rozmowę z prof. Stanisławem Pigoń (znawcą dorobku Orkana) za pośrednictwem Izabeli Kleszczowej, którą poznał poszukując materiałów o pisarzu. Pigoń zasugerował mu naukę języków obcych oraz dopracowanie i opublikowanie pracy magisterskiej. Dzięki niemu otrzymał etat asystenta w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie.

Widać dobitnie, jak twórczość Orkana wpływała na losy profesora, dlatego też ciężko mu jest dzisiaj pogodzić się z tym, że młode pokolenie nie zna jej wcale.

Profesor Bolesław Faron wspominał również okupacyjne zimy i to, że dorośli chłopcy ze wsi polecieli mu sprawdzić czy mężczyźni odpoczywający pod dębem mają na czapkach orzełki czy gwiazdki, aby ustalić czy są to polscy, czy radzieccy partyzanci. Podeszedł do jednego z owych mężczyzn, zobaczył gwiazdkę i opanowany strachem zaczął uciekać. Złapano go szybko, lecz na zarzuty o szpiegostwo wytłumaczył, iż niósł tylko jedzenie pracującemu ojcu (które faktycznie miał przy sobie), a uciekał bo się przestraszył. Wypuszczony na wolność zameldował łącznikowi Batalionów Chłopskich o radzieckich partyzantach.

Wspominał szkołę, klasy łączone, dyscyplinę utrzymaną przez nauczycieli i jedną z sytuacji, kiedy to podczas dużej przerwy wyszli na wieżę kościelną, a zafascynowani atmosferą, starymi dzwonami, belkami, ptasimi gniazdami i starymi przedmiotami spóźnili się na lekcje. W konsekwencji wezwano rodziców do szkoły, a chłopcom obniżono stopnie z zachowania.

W czasie okupacji należało również zachować ostrożność w zabawach. Podczas jednej z nich chłopcy przebrali się za partyzantów BCh i AK i wzięwszy znaleziony w schowku pistolet wraz z amunicją ruszyli dumni do centrum wsi. Na szczęście zatrzymał ich organista Kazimierz Baran, który zabrał ich do siebie, rozbroił, a broń ukrył, ponieważ w tym czasie przed kościołem zatrzymał się patrol niemieckich żołnierzy. Zabawa mogła zakończyć się tragedią.

W 1950 r. Bolesław Faron zdał egzamin wstępny do II LO im. Bolesława Chrobrego w Nowym Sączu (po reorganizacji szkół średnich znalazł się w I LO im. Jana Długosza). Do Nowego Sącza jechał starym rowerem, nocując po drodze u kolegi w Starym Sączu. Wspominał, iż najczęściej kłopotów sprawiło mu dyktando pełne słów, których nie znał (np. klomb). Motywacją do podjęcia późniejszych studiów polonistycznych było to, że mówiąc gwarą wyniesioną z domu został wyśmiany przed klasą przez polonistkę i postanowił nauczyć się tak dobrze języka polskiego, aby móc uczyć innych.

Wspominając gimnazjalnych polonistów stwierdził, że polecali im zapisywać w zeszytach to, co przewidywał program nauczania, ale opowiadali im to, czego nie było w programie, a co jeszcze oni dowiedzieli się na studiach.

Wśród wspomnień nie zabrakło i tego o Marii Kownackiej, pisarce dla dzieci i młodzieży, autorce „Plastusiowego pamiętnika” czy sztuki „O bidzie i złotych jabłkach”. Poleciła mu, aby napisał o Stanisławie Wilkowiczu, nauczycielu, którego imię

nosi szkoła w Łącku. Stanisław Wilkowicz obligował uczniów do zbierania pestek po owocach, z których hodował piękne sadzonki będące niejednokrotnie nagrodą za dobre wyniki w nauce.

Kończąc spotkanie z młodzieżą prof. Faron podkreślił, że najważniejsza jest „mała ojczyzna” – to miejsce urodzenia lub zamieszkania, rodzice, sąsiedzi, koledzy, tradycje i przyjaźnie, które potem zazwyczaj okazują się najtrwalsze. Uczulał, aby nie zapominać tych korzeni, z których się wyrasta.

W podzięce za wspaniałe spotkanie prof. Bolesław Faron otrzymał kwiaty od gimnazjalistów oraz kosz jabłek łąckich od Gminnej Biblioteki Publicznej w Łącku.

W spotkaniu uczestniczyła również pani Jadwiga Jastrzębska, sekretarz redakcji Almanachu Łąckiego.

Od lewej Jadwiga Jastrzębska – prezes TMZŁ, prof. Bolesław Faron, Barbara Stolarska – dyr. Zespołu Szkolno-Gimnazjalnego w Łącku



Prof. Bolesław Faron opowiada o swoich korzeniach



Spotkanie z gimnazjalistami z Łącka



Prof. Bolesław Faron czyta fragmenty „Powrót do korzeni”



Prof. Bolesław Faron z uczniami Gimnazjum w Łącku

W Miasteczku Galicyjskim, w Nowym Sączu, 6 lipca 2012 roku, odbyło się III Forum Prasy Sądeckiej. Forum zostało przygotowane przez redakcję „Almanachu Muszyny” – Stowarzyszenie Przyjaciół Almanachu Muszyny, Almanach Sądecki – „Civitas Christiana” oddział w Nowym Sączu i Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu. Patronat honorowy objęli: Jan Golonka, Starosta Nowosądecki i Ryszard Nowak, Prezydent Nowego Sącza. Patronat Naukowy sprawował Instytut Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego.

III Forum Prasy Sądeckiej dedykowane zostało tematowi: Prasa lokalna i archiwa – partnerzy czy konkurencji?

Wśród zaproszonych gości: Jan Golonka, Starosta Nowosądecki; Bożena Jawor, w-ce Prezydent Nowego Sącza; Adam Mazur, radny powiatowy; Maria Sasin, dyrektor Biblioteki Powiatowej w Starym Sączu; Barbara Piwnik, dyrektor Biblioteki Publicznej w Nowym Sączu; Sylwester Rękas, dyrektor Archiwum Państwowego w Krakowie oddział w Nowym Sączu; Agnieszka Filipek, pracownik oddziału Archiwum Państwowego w Nowym Sączu; Alojzy Cabała, były dyrektor Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu; Leszek Zakrzewski, prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego oddział w Nowym Sączu; ks. dr. Jan Piotrowski.

Na spotkanie przybyli przedstawiciele prasy sądeckiej, bibliotek i muzeów.

Obrady otworzył Robert Ślusarek, dyrektor Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu, słowo wstępne w nawiązaniu do tematu forum wygłosił Stanisław Pażucha, Prezes Oddziału Małopolskiego „Civitas Christiana”. Obrady III Forum Prasy Sądeckiej prowadził Ryszard Kruk z redakcji „Almanachu Muszyny”.

Wykłady inauguracyjne wygłosili: dr. Hanna Krajewska, dyrektor Archiwum Polskiej Akademii Nauk w Warszawie i przewodnicząca Sekcji Instytucji Naukowych i Kulturalnych w Stowarzyszeniu Archivistów Polskich, oraz prof. dr. Hab. Tadeusz Trajdos, z Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk.

Dr Hanna Krajewska swój wykład „Archiwa a świat zewnętrzny” poświęciła tematowi tworzenia i przechowywania zasobów archiwalnych na przestrzeni wieków, oraz wyjaśniała jak z nich korzystać.

Prof. Tadeusz Trajdos swój wykład „Sztuka korzystania z zasobów archiwalnych”, zaczął od podania podstawowych określeń porządkujących zbiór archiwalny. Z wykładu dowiedzieliśmy się co to jest zasób archiwalny, zespół archiwalny, kolekcja, kancelaria, inwentarz archiwalny, skorowidz, indeks. Te informacje są bardzo pomocne przy poszukiwaniu materiałów archiwalnych i korzystaniu z nich.

III. Forum Prasy Sądeckiej towarzyszyła wystawa zorganizowana przez Oddział w Nowym Sączu Archiwum Państwowego w Krakowie, oraz materiały promocyjne i wydawnictwa specjalistyczne.

Po przerwie na kawę, odbyły się dyskusje w dwóch grupach tematycznych z udziałem redakcji prasy lokalnej, archiwistów, bibliotekarzy i muzealników z Sudecczyny.

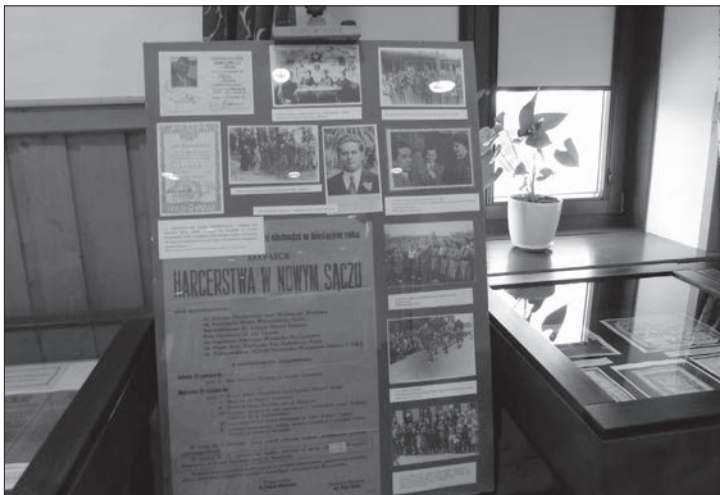
I grupa dyskutowała nad tematem „Jak docierać do źródeł”. Dyskusję moderował dr. Ryszard Filas z Instytutu Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej UJ oraz Jerzy Bogacz, redaktor naczelny „Almanachu Ziemi Limanowskiej”.

II grupa dyskutowała nad tematem „Współpraca prasy z archiwami w praktyce”. Dyskusję moderował Andrzej Wielocha, redaktor naczelny Almanachu Karpackiego Płaj i z-ca redaktora naczelnego Almanachu Łąckiego, Jadwiga Jastrzębska. Dyskusja była niezwykle ożywiona i spełniła oczekiwania zarówno przedstawicieli prasy, bibliotekarzy, muzealników i archiwistów. Wyjaśniono sobie wiele spraw, które z różnych powodów, często uprzedzeń, powolnej pracy archiwistów i ich stosunku do korzystających z archiwum, obrosły mitami, że archiwa są niechętne do współpracy. To była niezwykle cenna pod każdym względem dyskusja, obalająca narosłe latami mity. Jak słowa sprawdzają się w działaniu, to dopiero najbliższy czas pokaże.

Po przerwie na obiad, na który podano „michę sądeckich pierogów” w Karczmie, nastąpiła uroczystość wręczenia V dorocznej nagrody im. Szczęsnego Morawskiego, za najlepszą książkę dotyczącą Sudecczyny. Laudację, życiorys i osiągnięcia laureata przedstawił ks. Jan Piotrowski. Nagrodę tę otrzymał ks. Jan Kudelka za książkę „Kościoł na Sudecczynie w godzinie próby 1939–1945”. Starosta Nowosądecki, Jan Golonka, odznaczył laureata „Srebrnym Jabłkiem Sądeckim”.

Wykład końcowy wygłosił ks. dr. hab. Michał Drożdż, profesor Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie. Wykład nosił tytuł „Etyka w korzystaniu ze źródeł”. Prawda i prawdomówność, weryfikacja źródeł, by nie szkodzić osobie ludzkiej – wykład dotyczył etycznych zachowań wszystkich mediów.

Postanowiono, że IV Forum Prasy Sądeckiej w 2013 roku, będzie nosiło tytuł „Rola prasy lokalnej w ochronie dziedzictwa kulturowego na tle Konwencji Karpackiej”. Na tym zakończono III Forum Prasy Sądeckiej.



Wystawa zorganizowana przez Oddział Archiwum Państwowe w Nowym Sączu



Laureat V dorocznej nagrody im. Szczęsnego Morawskiego ks. Jan Kudelka



Od lewej: Ryszard Kruk, Jan Golonka, laureat Jan Kudelka, Leszek Zakrzewski



Wykład końcowy ks. dr. hab. Michała Drożdża



Jadwiga Jastrzębska

Walne sprawozdawczo wyborcze zgromadzenie członków Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej

W sobotę, 12 maja 2012 roku odbyło się walne sprawozdawczo wyborcze zgromadzenie członków Towarzystwa. Zgromadzenie i jego uchwały są ważne, jeżeli bierze w nim udział przynajmniej połowa + 1, członków Towarzystwa. Ponieważ nie było wymaganej liczby członków, zgromadzenie zostało zwołane w drugim terminie, na co pozwala Statut Towarzystwa. Obrady, na wniosek prezesa Towarzystwa, poprowadził Józef Myjak, protokołował Andrzej Urbaniec. Po przyjęciu przez aklamację porządku obrad, sprawozdanie z działalności Zarządu za 2011 rok, przedstawiła Jadwiga Jastrzębska, prezes Towarzystwa. Sprawozdania złożyły także Komisja Rewizyjna i Sąd Koleżeński. Po złożeniu sprawozdań przystąpiono do wyboru władz statutowych.

Na kolejną 4-letnią kadencję wybrano Zarząd, Komisję Rewizyjną i Sąd Koleżeński.

Zarząd Towarzystwa

Jadwiga Jastrzębska	prezes zarządu
Rozalia Duda	vice prezes zarządu
Józef Myjak	vice prezes zarządu
Rozalia Kulasik	skarbnik
Lucyna Adamczyk	sekretarz
Władysław Dybiec	członek zarządu
Mateusz Długosz	członek zarządu

Komisja Rewizyjna

Zygmunt Wadowski	przewodniczący komisji
Ewa Długosz	członek komisji
Rozalia Trela	członek komisji

Sąd Koleżeński

Barbara Szczodrowska	przewodnicząca komisji
Kazimierz Garbacz	członek komisji
Jan Dziejzina	członek komisji

Uchwalono także, by sprawozdanie z działalności TMZŁ za 2011 rok zamieścić w 17 numerze Almanachu Łąckiego.

Sprawozdanie Zarządu z działalności TMZŁ za 2011 rok

Zgodnie ze Statutem Towarzystwa, Zarząd przedstawia sprawozdanie za 2011 rok na Walnym Zgromadzeniu Członków, które odbywa się podczas Święta Kwitnącej Jabłoni.

Dokładne sprawozdanie finansowe za 2011 rok, przedstawi przewodniczący Komisji Rewizyjnej p. Zygmunt Wadowski. Bilans oraz rachunek zysków i strat za 2011 rok przygotowany został przez skarbnika Towarzystwa, p. Rozalię Kulasik.

W roku 2011 Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej prowadziło działalność zgodnie ze Statutem i celami wyznaczonymi przez Walne Zgromadzenie Członków w roku 2010, organizując: akcje charytatywne, konkursy, koncerty, a także prowadziło działalność wydawniczą, promocyjną informacyjną oraz dokumentację fotograficzną Ziemi Łąckiej i jej mieszkańców.

Spotkania Zarządu odbywały się zgodnie ze statutem Towarzystwa raz na kwartał.

Komisja Rewizyjna sprawdziła finanse Towarzystwa w styczniu i lipcu 2011 roku.

Członkowie Towarzystwa spotykali się, na comiesięcznych spotkaniach, omawiając bieżące wydarzenia.

W styczniu 2011 roku odbyło się także spotkanie opłatkowe, udział wzięli członkowie i sympatycy Towarzystwa.

W 2011r. Towarzystwo przeprowadziło akcje charytatywne, które miały na celu pomoc najbardziej potrzebującym uczniom gminy Łącko, były to kiermasze, konkursy i koncerty.

„Gorące serca zwalczą mróz” to akcja charytatywna, która pomaga i wspiera biednych uczniów w naszej gminie. Za zebrane podczas kiermaszy pieniądze Towarzystwo zakupiło 8 wycieczek edukacyjno wychowawczych dla uczniów szkół podstawowych w Czarnym Potoku, Szczereżu, Maszkowicach, Zarzeczcu i Zabrzeży. O tym, że akcja jest potrzebna i spełnia swoją rolę świadczą podziękowania przekazane przez poszczególne szkoły.

W 2011 roku nie zgłoszono potrzeb na kurtki i buty zimowe, szkoły zgłaszają natomiast potrzebę wsparcia biednych uczniów, poprzez zakupienie przez Towarzystwo, wycieczek edukacyjno wychowawczych, organizowanych przez szkoły. Z własnych środków Towarzystwa (darowizny i składki) kupowane są nagrody w konkursach organizowanych przez szkoły z terenu naszej gminy jak np. Gminny Konkurs Recytatorski w Czarnym Potoku, Gminny Konkurs Ortograficzny w Szczereżu, Gminny Konkurs Matematyczny w Zarzeczcu, Gminny Konkurs Plastyczny w Zabrzeży.

Od kilku lat wspieramy także Świętojańskie Dni Młodych, organizowane przez Duszpasterstwo Młodzieży i Wielką Orkiestrę Świętecznej Pomocy, tak też było w 2011 roku, na które przekazaliśmy nasze wydawnictwa.

W Dniu Papieskim, 16 października 2011 roku, odbył się X koncert charytatywny „Miłosierdzie”. W koncercie wystąpili Kamil Madoń, organy i Renata Borucka, skrzypce. W programie muzyka m. in. Dietricha Buxtehude, Heinricha Scheidemanna, Johanna Sebastiana Bacha i Antonio Vivaldiego. Tradycyjnie także od 10 lat, wy-

stąpili uczniowie Gimnazjum w Łącku, tym razem czytane były najważniejsze daty z życia błogosławionego Jana Pawła II. Po koncercie ks. prałat Józef Trzópek wręczył stypendium Ewie Banach z Zespołu Szkół im. św. Kingi w Łącku.

Podczas koncertu zebrano 522.00zł, które, tradycyjnie, przekazane zostaną na stypendium dla ucznia Zespołu Szkół im. św. Kingi w Łącku. Stypendium wręczone zostanie podczas XI koncertu charytatywnego „Miłosierdzie” w październiku 2012 roku.

Przez ostatnie kilka lat, wspierana jest przez członków TMZŁ Katarzyna Kudłacz z Zarzeczka, były przymusowy robotnik w III Rzeszy, przygotowywana jest paczka żywnościowa przed Świętami Bożego Narodzenia i Wielkanocy.

23 lutego 2011 roku przeprowadzono XI konkurs pn „Łącko- moja mała ojczyzna”2011. Konkurs odbył się w Zespole Szkół im. Św. Kingi w Łącku. Z powodu choroby dwóch finalistów, w konkursie wzięło udział 10 uczniów. Pierwsze miejsce zdobyła Dominika Bieryt z ZSG w Jazowsku, drugie Tomasz Osowski z LO w Łącku, trzecie Kamil Łacny z ZSG w Zagorzynie. Test przygotowany przez TMZŁ, składający się z 50 pytań opiniował prof. Julian Dybiec. Nagrody główne otrzymało 5 finalistów, pozostali otrzymali nagrody pocieszenia. Przyznano także nagrodę dla najmłodszego uczestnika konkursu, otrzymał ją Miłosz Łacny.

Nagrody ufundowali: ZGK w Łącku, TMZŁ, Antoni Baran, Jan Dziejna, Kazimiera Faron – Majkrzak, Ryszard Jastrzębski, Andrzej Zbozień.

Nagrody ufundował także wójt Gminy Łącko, Janusz Kłag. Nagrody laureatom i uczestnikom konkursu wręczyli wójt Janusz Kłag i prezes TMZŁ, Jadwiga Jastrzębska. Wszyscy uczestnicy konkursu zostali bardzo serdecznie przyjęci przez panią dyrektorkę Lucynę Prostko, nauczycieli i uczniów Zespołu Szkół im. św. Kingi w Łącku.

Przy Towarzystwie działa także kółko literackie i historyczne, takie było zapotrzebowanie młodzieży, która chce mądrze i pożytecznie spędzać wolny czas. Prace uczestników kółka literackiego publikowane są w „Almanachu Łąckim”, Mateusz Długosz, który jest najmłodszym członkiem Towarzystwa, w ramach kółka historycznego przygotowuje tematyczne wystawy fotograficzne oraz porządkuje zbiory fotograficzne. W 2011 roku obradom Walnego Zgromadzenia Członków towarzyszyła wystawa fotograficzna malarstwa, pochodzącego z Czarnego Potoka, Władysława Bartka Talarczyka.

W 2011 roku ukazały się dwa kolejne numery, 14 i 15 „Almanachu Łąckiego” w nakładzie 750 sztuk, każdy numer. Zmieniła się nieco szata graficzna okładki, a także objętość, Almanach ma teraz 230 stron. Członkom Towarzystwa mieszkającym poza naszą gminą, jak również za granicą „Almanach Łącki” wysyłamy pocztą. Około 250 egzemplarzy przekazujemy różnym bibliotekom, uczelniom z terenu Sądecczyzny, autorom artykułów, darczyńcom.

Pieniądze na wydanie Almanachu pochodzą od prywatnych darczyńców, dotacji Starostwa Powiatowego w Nowym Sączu, Urzędu Gminy w Łącku, oraz środków własnych Towarzystwa.

Towarzystwo wydaje od marca 2005 roku BIULETYN INFORMACYJNY. Biuletyn wydawany jest co miesiąc i zawiera informacje i propozycje dotyczące działań

ności Towarzystwa w danym miesiącu, wydawany i redagowany jest przez Zarząd w prostej, komunikatywnej formie, małym formacie i nakładzie 200-250 sztuk (kserokopiarką).

Od października 2007 roku Towarzystwo posiada witrynę internetową na portalu elacko.pl, teraz nasi członkowie z Australii, Stanów Zjednoczonych czy Kanady mają świeże wiadomości i informacje o działalności Towarzystwa. Na naszą skrzynkę e-mail, przychodzą listy z całej Polski, i z zagranicy, zainteresowanie dotyczy nie tylko naszej działalności wydawniczej, ale bardzo często tą drogą przychodzą zapytania od ludzi poszukujących swoich korzeni na Ziemi Łąckiej. Staramy się wszystkim odpowiadać i przekazywać jak najwięcej informacji, które zostały przez ostatnie lata zebrane przy okazji wydawania Almanachu Łąckiego.

Członkowie Zarządu biorą udział w szkoleniach organizowanych dla stowarzyszeń pozarządowych, tylko tych bezpłatnych i organizowanych w Nowym Sączu, przez Starostwo Powiatowe w Nowym Sączu, Powiatowe Centrum Organizacji Pozarządowych, i MISTiA, w roku 2011 uczestniczyli w 9 takich szkoleniach, dotyczyły one problemów pozyskiwania środków na różne projekty i aplikacje, szkolenia w zakresie finansów i prowadzenia działalności charytatywnej oraz dostosowania prawa do wytycznych Unii Europejskiej.

Towarzystwo brało również udział w 2011 roku w spotkaniach dotyczących Strategii Rozwoju Regionalnego oraz szkoleń prowadzonych przez Małopolski Ośrodek Wsparcia Organizacji Pozarządowych. Prezes Zarządu TMZŁ, brała udział w komisji konkursowej rozpatrującej oferty organizacji pozarządowych, w Starostwie Powiatowym w Nowym Sączu.

Podczas II Forum Prasy Sądeckiej, które odbyło się w Miasteczku Galicyjskim w Nowym Sączu, prezes TMZŁ, Jadwiga Jastrzębska prowadziła, wspólnie z p. Sylwią Gacek, dyrektorem Biblioteki w Muszynie, panel pt. Wspólne inicjatywy kulturalne i oświatowe bibliotek, muzeów oraz prasy lokalnej na rzecz wspierania małych ojczyzn na Sądecczyźnie w drugiej dekadzie XXI wieku. W panelu wzięło udział wielu przedstawicieli prasy lokalnej i bibliotek

Przedstawiciele Towarzystwa obecni byli także na promocji kolejnego, XXXIX tomu Rocznika Sądeckiego i wzięli udział w spotkaniu Klubu Przyjaciół Ziemi Sądeckiej, na którym wręczono tytuł Ambasadora Ziemi Sądeckiej min. prof. Stanisławowi Moryto, rektorowi Uniwersytetu Muzycznego im. Fryderyka Chopina w Warszawie, a pochodzącemu z Łącka.

Jan Stępień, z Radia Kraków, odwiedził Towarzystwo w 2011 roku dwa razy, zostały nagrane 2 audycje poświęcone działalności i dokonaniom Towarzystwa. Zostały wyemitowane w ramach cyklicznej audycji „Pejzaż Regionalny”.

Od 7 lat Towarzystwo bierze aktywny udział w konferencjach organizowanych przez Instytut Europa Karpat – materiały z konferencji są dostępne w siedzibie Towarzystwa.

Na bieżąco TMZŁ cały czas prowadzi dokumentację historyczną, fotograficzną i pozyskuje zbiory (eksponaty) do przyszłego Muzeum Regionalnego. TMZŁ zebrało

już wiele ciekawych eksponatów, dokumentów, fotografii, które są opisywane i opracowywane, by mogły w przyszłości zasilić zbiory Muzeum Regionalnego w Łącku i być wykorzystane do wydania kolejnych albumów. Chcemy ocalić od zapomnienia i zniszczenia to co pozostało po naszych przodkach, ocalić nasz folklor, kulturę, sztukę, dorobek materialny i duchowy przeszłych pokoleń. Wszyscy członkowie TMZŁ pracują dla dobra wspólnego, całej społeczności naszej gminy, bez wynagrodzenia, poświęcając swój czas, mając jedynie satysfakcję z dobrze wykonanej pracy i przydatności tych działań dla zachowania tradycji, tożsamości kulturowej i narodowej, integracji mieszkańców wokół spraw dla nich ważnych.

Towarzystwo pomaga w wyszukiwaniu materiałów i udostępnia swoje zbiory wszystkim, którzy tego potrzebują do swojej pracy i różnych projektów, zarówno organizacjom, maturzystom, studentom, doktorantom jak i uczniom szkół podstawowych i gimnazjów, cieszy nas zaufanie jakim jesteśmy obdarzani i pozytywne oceny naszej działalności również w tym zakresie. Świadczy o tym zeszyt z wpisami, które pozostawiają nasi goście oraz specjalne podziękowania, jak chociażby z Muzeum Historii Żydów Polskich, Biblioteki Powiatowej w Starym Sączu czy Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu.

Towarzystwo bierze udział w uroczystych obchodach Świąt Narodowych, przypomina o świętach i uroczystym świętowaniu świąt jak i wydarzeń z historii najnowszej Polski, np. 15sierpnia- Bitwy Warszawskiej, 1 września -wybuchu II wojny światowej czy też jej zakończenia, 1 sierpnia- wybuchu Powstania Warszawskiego, składając kwiaty i zapalając znicze pod pomnikiem Józefa Piłsudskiego w Łącku, na łąckim cmentarzu, pilnując jednocześnie, by wywieszać w tych dniach flagi narodowe, mobilizując swoich członków do aktywności w tej materii.

Staliśmy się nieformalnym strażnikiem obchodów świąt narodowych, przypominamy i monitujemy, by na czas wywieszano flagi i nie zapominano o oddaniu czci bohaterom.

Dobrze rozwija się współpraca z organizacjami pozarządowymi z terenu naszej gminy min. ze Stowarzyszeniem Dolina Dunajca, oraz ze Szkołami Podstawowymi, Gimnazjami, Zespołem Szkół im. Św. Kingi, Kościołem oraz instytucjami i organami samorządu terytorialnego nie tylko z terenu gminy Łącka, Starostwa Sądeckiego, ale i całej Małopolski. Szczególnie dobrze układa się współpraca z Urzędem Gminy w Łącku, Gminnym Ośrodkiem Pomocy Społecznej i Zakładem Gospodarki Komunalnej w Łącku.

Dobrze układa się także współpraca z przedsiębiorcami, sympatykami Towarzystwa i mieszkańcami naszej gminy.

Od 2004 roku wspierają nas także w wydawaniu Almanachu Łąckiego prywatni darczyńcy, co nie jest bez znaczenia, gdyż dotacje pozyskiwane z dotacji Urzędu Gminy i Starostwa Powiatowego w Nowym Sączu, pokrywają w 60% środki potrzebne na wydanie 2 numerów Almanachu, w roku kalendarzowym. Jak „Almanach Łącki” jest potrzebny niech świadczy fakt, że otrzymujemy listy od ludzi z całej Polski, nie zawsze związanych rodzinnie z Ziemią Łącką, nie ma już numerów 1, 2, 3, 4, 5, 10 i ciągle są pytania o ich wznowienie.

W 2011 roku przed Świętami Wielkanocnymi i Bożym Narodzeniem przekazaliśmy paczki z żywnością i pościelą p. Katarzynie Kudłacz z Zarzecza, którą od kilku lat się opiekujemy.

Msza Święta za zmarłych członków Towarzystwa, tradycyjnie jest odprawiana 2 listopada o godzinie 9.00 każdego roku, w Kościele Parafialnym w Łącku, tak też było w 2011 roku.

W 2011 roku zmarła Zofia Barbara Ciapała, członkini Towarzystwa.

Do Towarzystwa wpisało się też kilku nowych członków: prof. Stanisław Majewski z Krakowa i Andrzej Kaleta z Wrocławia.

Honorowymi członkami Towarzystwa są: Zofia Faron i Franciszek Kurzeja.

Członkowie Towarzystwa rozsiani są nie tylko po całej Polsce: Szczecin, Wrocław, Kraków, Krapkowie, Warszawa, Myślenice, Gliwice, Krosno ale i po świecie: Australia, USA, Kanada, Niemcy, Austria.

W maju 2011 roku odwiedził Łącko po przeszło siedemdziesięciu latach Józef Horowitz/ ur. w 1918/, jeden z niewielu żyjących łąckich żydów, i jedyny z tej rodziny, którzy przeżyli czasy okupacji hitlerowskiej. Józef Horowitz jest członkiem Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej od 1987 roku.

Na WZC w 2011 nie podjęto żadnych uchwał, zaproponowano, by w kolejnych numerach Almanachu Łąckiego zamieścić materiały dotyczące historii służby zdrowia i zastanowić się nad albumem dokumentującym drewnianą architekturę Łącka i okolic.

Obecnie do Towarzystwa należy 84 członków.

Składka członkowska wynosi 15 zł rocznie, opłata za legitymację członkowską 5 zł.

Honorowi członkowie zwolnieni są z tych opłat.

Jadwiga Jastrzębska – prezes zarządu TMZŁ.

Łącko 04.01.2012



Jadwiga Jastrzębska

Jubileusz 25 lecia Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej

Jubileuszowe obchody 25 lecia powstania i działalności Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej rozpoczęła msza święta, w intencji wszystkich byłych i obecnych członków Towarzystwa. Mszę odprawił ks. prałat Józef Trzópek, koncelebrował ks. Henryk Majkrzak. Po mszy zaproszeni goście i członkowie Towarzystwa, udali się na jubileuszowe spotkanie w restauracji „Oberza” w Łącku. Życzenia wszystkim zaproszonym gościom i członkom Towarzystwa, złożyła Jadwiga Jastrzębska, prezes zarządu TMZŁ. W spotkaniu uczestniczyło ponad 60 osób, nie zabrakło przedstawicieli samorządu gminy i starostwa nowosądeckiego, zaprzyjaźnionych stowarzyszeń, przyjaciół i sympatyków, licznie przybyli członkowie TMZŁ. Starosta Nowosądecki, Jan Golonka, przyznał Towarzystwu „Złote Jabłko Sądeckie”, które wręczył prezes Jadwidze Jastrzębskiej, dyrektor Wydziału Kultury i Sportu, Starostwa powiatowego w Nowym Sączu, Zbigniew Czepelak. Życzenia i gratulacje złożył także Jan Dziejina, vice przewodniczący Rady Powiatu Starostwa Nowosądeckiego. Wójt gminy Łącko, Janusz Klag, wręczył listy gratulacyjne 25 członkom Towarzystwa, w tym żyjącym członkom założycielom, którzy przybyli na jubileusz, a także kwiaty i list gratulacyjny, na ręce prezes Jadwigi Jastrzębskiej. Gratulacje i piękny prezent, obraz z pocztówką z lat 60 XX wieku, przedstawiającą remizę OSP i ulicę Nadbrzeżną, otrzymało Towarzystwo od zaprzyjaźnionego Almanachu Muszyny. Prezent wręczyli Bożena Mściwujewska Kruk i Ryszard Kruk.

Prezes Związku Podhalan oddział Łącko, Tomasz Ćwikowski, przekazał list gratulacyjny spisany na skórze z godłem Związku Podhalan. Andrzej Długosz, prezes Towarzystwa Przyjaciół Starego Sącza i dyrektor Muzeum w Starym Sączu, wręczył na ręce Jadwigi Jastrzębskiej zbiór wydawnictw.

Nie zabrakło gratulacji i życzeń od strażaków z OSP w Łącku.

Podczas wspólnego obiadu rozmawiano o minionych 25 latach, co udało się zrobić i co jeszcze trzeba, by zapisane w statucie cele osiągnąć. Cele na najbliższe 4 lata wytyczyło Walne Sprawozdawczo Wyborcze Zgromadzenie Członków Towarzystwa, które odbyło się 12 maja 2012 roku. Wspomnieniom nie było końca, spotkali się bowiem na Jubileuszu członkowie, którzy z różnych powodów, nie widzieli się kilka, czy nawet kilkanaście lat. Odżyły dawne przyjaźnie i znajomości, które postanowiono utrzymywać i pielęgnować. Każdy z uczestników jubileuszowego spotkania otrzymał pamiątkowy znaczek. Przygotowano też wydawnictwa Towarzystwa, w tym albumy fotograficzne i aktualnie dostępne zeszyty Almanachu Łąckiego, wszystkie się rozeszły i cieszyły się dużym zainteresowaniem. Jubileuszowi towarzyszyła wystawa fotograficzna obrazująca, w dosyć dużym skrócie, działalność i osiągnięcia Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej, w ciągu ostatnich 25 lat.

Ze smutkiem wspominano osoby, które odeszły...



*Dar od zaprzyjaźnionego
Almanachu Muszyny – Bo-
żeny Mściwujewskiej-Kruk
i Andrzeja Kruka. Widok
Łącka, lata 60 XX w., ul.
Nadbrzeżna, remiza OSP*



*Uczestnicy jubileuszowego
spotkania przed kościołem
w Łącku*



*Jubileuszowy tort przygo-
towany przez cukiernię
„u Gromali” w Łącku*



Dyrektor Wydziału Kultury Starostwa Powiatowego w Nowym Sączu Zbigniew Czepelak wręcz „Złote Jabłko Sądeckie” Jadwidze Jastrzębskiej – prezesowi TMZŁ



List gratulacyjny od wójta Gminy Łącko Janusz Kłaga

Spotkanie Klubu Przyjaciół Ziemi Sądeckiej

Z okazji 720 Imienin Miasta Nowego Sącza, w dniu 7 lipca 2012 roku w Sali im. Romana Sichrawy w MCK „Sokół”, odbyło się spotkanie Klubu Przyjaciół Ziemi Sądeckiej. Przed spotkaniem wszyscy członkowie KPZS i zaroszeni goście otrzymali wybitą z tej okazji, monetę – 7 sączów. Spotkanie rozpoczął Hejnał w wykonaniu muzyków z Reprezentacyjnej Orkiestry Straży Granicznej, z Nowego Sącza. Spotkanie prowadzili Leszek Mazan i Mieczysław Czuma. Na spotkanie przyjechali przyjaciele Ziemi Sądeckiej z Polski i Świata. Zaproszenie na spotkanie przyjął prezydent Krakowa prof. Jacek Majchrowski.

Niezwykle ciekawie zabrzmiał dwugłos w sprawie wartości intelektualnych translokowanych z Nowego Sącza do Krakowa na przestrzeni wieków. Debata pomiędzy dr. Józefem Oleksym, a prof. Jackiem Majchrowskim zdecydowanie lepiej wypadła dla Nowego Sącza. Okazało się, że królewskie miasto Nowy Sącz dostarczyło na przestrzeni wieków królewskiemu miastu Krakowowi wielu uczonych, profesorów, rycerzy, intelektualistów, nauczycieli, świętych, budowniczych, bez których Kraków byłby „uboższy”. Inteligentny dyskurs prowadzony ze swadą, dał wszystkim zebranim, niezwykle intelektualny spektakl, jak można i należy prowadzić dyskurs, nawet, jeżeli nie zgadzamy się ze wszystkimi tezami konkurenta. Po wysłuchaniu wykładu dr. Rafała Matyji pt. „Idee dla Nowego Sącza. Doświadczenia i wiedza obecnych elit i szanse rozwoju miasta”, okazało się, że wiele jest do zrobienia w najbliższym czasie, bo perspektywy na najbliższe 20-30 lat są dla Nowego Sącza niepomysłne. Dr. Rafał Matyja, adiunkt w Zakładzie Instytucji i Systemów Politycznych, w Wyższej Szkole Biznesu-NLU w Nowym Sączu, wziął pod lupę cztery dziedziny: elity – coraz starsze, komunikację – brak takowej z resztą kraju, w tym z centrum województwa Krakowem, stolicą Polski oraz państwami ościennymi, mały udział kobiet w życiu publicznym, rozwój strefy ekonomicznej i naukowej. Nowy Sącz jest miastem akademickim i to jest jego plus i szansa na rozwój, chociaż wiele zależy od możliwości znalezienia pracy w samym mieście i regionie, co nie jest łatwe ze względu na brak przemysłu i duże bezrobocie. Czasy, gdy na absolwentów WSB-NLU czekały miejsca pracy, już minęły. Prognozy dla Nowego Sącza na najbliższe lata, wg dr. Rafała Matyji, są marne, może bierze się to też i stąd, że Nowy Sącz jest miastem średniej wielkości, ma około 85 tys. mieszkańców, i nie może aspirować do miana lidera regionu, a zatem liczyć na większe środki finansowe na infrastrukturę. Stracił na znaczeniu Nowy Sącz przestając być miastem wojewódzkim, a Sądecczyzna, województwem.

Po tym wykładzie odbyła się promocja książki Jerzego Leśniaka „101 Sądeczan”. Autor skomentował zamieszczenie 101 sylwetek w tej książce, odpowiadając na pytanie „dlaczego te sylwetki?” – odpowiedział, że to autonomiczny, subiektywny wybór jaki przynależy autorowi. Autor wręczył kilku osobom, ważnym dla Sądecczyzny i dla

niego osobiście, egzemplarz książki. Jozef Oleksy, przewodniczący Klubu Przyjaciół Ziemi Sądeckiej poinformował zebranych o wynikach wyborów władz klubu. Po części oficjalnej, wszyscy udali się na poczęstunek przygotowany przez Firmę Gastronomiczną „Raj” z Gołkowic.

Wszyscy obecni na spotkaniu, zostali zaproszeni na godzinę 21, na Rynek, by obejrzeć widowisko oratoryjne *Sigilla civitatis Nova Sandecensis-historie, legendy i cuda historycznego i cudownego Nowego Sącza*, w reż. Romana Kołakowskiego. Na zakończenie odbył się pokaz ogni sztucznych.



Prof. Bolesław Faron



Moneta wybita z okazji 720-lecia lokacji Nowego Sącza





Leszek Mazan i Jadwiga Jastrzębska



Leszek Mazan i Maria Golanka



Józef Oleksy



Jacek Majchrowski

Promocja tomu XL Rocznika Sądeckiego

W Ratuszu, w Sali im. Stanisława Małachowskiego, 6 lipca 2012 roku, odbyła się promocja jubileuszowego, XL tomu Rocznika Sądeckiego. Numer ten poświęcony został prof. Janowi Słowikowskiemu, który urodził się w Nowym Sączu 19 września 1915 roku. Prof. Jan Słowikowski, wybitny sądeczanin, lekarz, bohater II wojny światowej, odegrał główną rolę w uwolnieniu Jana Karskiego, emisariusza Polskiego Państwa Podziemnego, z Nowosądeckiego Szpitala, w lipcu 1940 roku. W akcji uwolnienia Jana Karskiego, oprócz prof. Jana Słowikowskiego udział wzięli i pomagali: Zofia Rysiówna, Zbigniew i Stefan Ryś/ bracia Zofii, późniejszej wielkiej artystki scen polskich/, Władysław Gradoń, Karol Głód, Józef Jennet, Józef Jeżyk, Józef Laskowik/ojciec Zenona Laskowika, satyryka i aktora kabaretowego/, Stanisław Kudlik, Franciszek Musiał, Danuta Sławik, Jan Morawski, Józefa Rogowska, Tadeusz Szafran, Franciszek Żak, Teodor Słowikowski/ brat prof. Jana Słowikowskiego/, Feliks Wideł. Niestety, gestapo poznało kulisy całej akcji i inicjatorzy zostali zdemaskowani. W ręce gestapo wpadli i zostali zamęczeni Teodor Słowikowski, Władysław Gardoń, Karol Głód, Józef Jennet, Józef Jeżyk, Tadeusz Szafran, Feliks Wideł. Na rozkaz Heinricha Hamanna, w Biegonicach, rozstrzelano 32 osoby pośrednio i bezpośrednio związane z akcją ucieczki Jana Karskiego.

Profesor Jan Słowikowski zmarł 13 grudnia 2010 roku we Wrocławiu. Promocyjne, pierwsze egzemplarze XL tomu Rocznika Sądeckiego zostały wręczone córkom prof. Jana Słowikowskiego.

Podczas uroczystości promującej nowy tom, Ryszard Nowak, prezydent Miasta Nowego Sącza, wręczył Tarcze Herbowe „Zasłużony dla Miasta Nowego Sącza, ośmiu profesorom, długoletnim członkom kolegium redakcyjnego. Wyróżnienie to otrzymali m.in. prof. Feliks Kiryk, prof. Julian Dybiec, prof. Bolesław Faron, prof. Tadeusz Aleksander, prof. Józef Hampel. Przy tej okazji prof. Feliks Kiryk wspominał o twórcy Rocznia Sądeckiego, dr. Tadeuszu Mączyńskim, profesorze gimnazjalnym, który w 1939 roku wydał I tom. II tom Rocznika Sądeckiego, wydany w 1949 roku, skonfiskowało UB, zachowały się nieliczne egzemplarze i możliwe było zrobienie reprintu tego numeru. W 2005 roku, z inicjatywy Komitetu Redakcyjnego Almanachu Muszyny, wydatnym wsparciu Urzędu Miasta Nowego Sącza i Dziennika Polskiego (oddział nowosądecki), ze środków Almanachu Muszyny i UM Nowego Sącza, wydano, w nakładzie 250 numerowanych egzemplarzy, reprint II tomu Rocznika Sadeckiego. Systematycznie zaczął się Rocznik Sądecki ukazywać po październiku 1956 roku. Po wojnie reaktywację i kontynuację zawdzięcza Rocznik Sądecki prof. Kazimierzowi Golachowskiemu, a w następnych latach Henrykowi Stamirowskiemu, Marianowi Nowakowi i Kazimierzowi Zajęcowi. Egzemplarze promocyjne XL numeru otrzymali także prof. Andrzej Mączyński, syn dr. Tadeusza Mączyńskiego i Wojciech Golachow-

ski, syn prof. Kazimierza Gołachowskiego. Prof. Feliks Kiryk przewodniczy kolegium redakcyjnemu Rocznika Sądeckiego, nieprzerwanie, od wydania XX tomu, tj. od 1992 roku. Od tego też roku systematycznie, ukazują się tomy Rocznika Sadeckiego. Jest to możliwe dzięki finansowemu wsparciu miasta Nowego Sącza. Współwydawcą jest nadal Polskie Towarzystwo Historyczne, Oddział w Nowym Sączu.

W ramach serii Biblioteki Rocznika Sadeckiego wydano książkę Leszka Migrały „Ulica Jagiellońska od końca XIX wieku do 1945 roku”.

Promocję jubileuszowego numeru zakończył recital Marioli Szczypuły i Tomasza Wolaka.



Wręczenie egzemplarzy promocyjnych XL Rocznika Sądeckiego



Wręczenie Tarczy Herbowych „Zasłużony dla Miasta Nowego Sącza”

Sprawozdanie z konferencji Sądeckczyzna w literaturze polskiej, historiografii i mediach

W dniach 18-19 czerwca br. w Miasteczku Galicyjskim w Nowym Sączu miała miejsce ogólnopolska interdyscyplinarna konferencja naukowa, której tematem przewodnim była Sądeckczyzna w literaturze polskiej, historiografii i mediach. Konferencja została zorganizowana z okazji 720. rocznicy lokacji Miasta Nowego Sącza, pod patronatem Prezydenta Miasta oraz Małopolskiej Wyższej Szkoły im. Józefa Dietla w Krakowie.

W ciągu dwóch dni, w sali ratusza w Miasteczku, pod czujnym okiem spoglądającego z portretu Franciszka Józefa, naukowcy z różnych regionów Polski, z różnych ośrodków akademickich, Sądeczanie z pochodzenia bądź zamiłowania, dyskutowali na temat naszego regionu – jego historii, walorach turystycznych oraz miejscu w literaturze polskiej i regionalnej.

Po przemówieniach części oficjalnej, kiedy to zebranych powitali reprezentujący organizatorów prof. Bolesław Faron, pani Bożena Jawor oraz prof. Henryk Lach, rozpoczęła się część konferencji poświęcona historii Sądeckczyzny, w której pośród omawianych tematów znalazły się związki Jana Długosza z Sądeckczyzną, nieznaną szerzej kronika parafialna Jazowska czy publikacje prasowe Szczesnego Morawskiego, poświęcone Sądeckczyźnie, a w szczególności jej mieszkańcom.

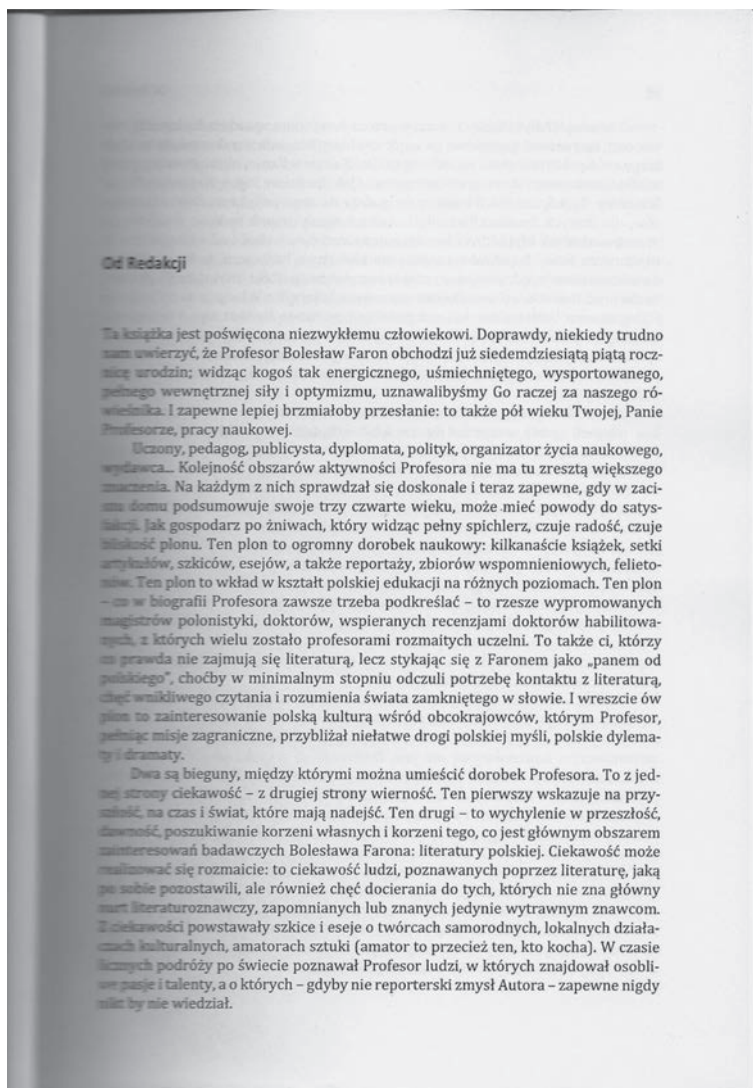
Po przerwie oraz drugiego dnia konferencji dominowały tematy związane z literaturą – omawiano związaną z Ziemią Sądecką twórczość m.in. Jana Wiktora, Zofii Nałkowskiej, Marii Kownackiej, Eugeniusza Pawłowskiego, Adama Ziemianina, Jerzego Harasymowicza, Władysławy Lubasiowej; dyskusja dotyczyła także tematów takich jak: motyw sądeckiej Arkadii, twórczość lokalnych autorów i poetów ludowych, grupa poetycka „Tylicz” oraz „poetyckie ogrody” rozkwitające w Limanowej.

Z przedstawionych prac wyróżnił się wielowymiarowy obraz naszego regionu, na którego niekwestionowane bogactwo składają się środowisko naturalne, zabytki kultury oraz przynależący do różnych kultur, religii i środowisk mieszkańcy, tak na przestrzeni wieków jak i współcześnie.

Referatów słuchali licznie zgromadzeni goście – wśród nich zarówno starsi jak i młodszy Sądeczanie, zwłaszcza licznie reprezentowani słuchacze Uniwersytetu Trzeciego Wieku oraz uczniowie I LO.

Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie, z okazji jubileuszu prof. dr. hab. Bolesława Faron, wydał książkę, w której opisane są koleje życia, edukacji i pracy Pana Profesora. Zachęcając czytelników do sięgnięcia po tę publikację zamieszczamy, za zgodą redakcji Wydawnictwa Edukacyjnego, notę redakcyjną, która otwiera tę publikację.

Redakcja Almanachu Łąckiego z okazji jubileuszu 75 urodzin, składa Panu Profesorowi serdeczne życzenia wszelkiej pomyślności.



Krzysztof Duda, *Łącko i okolice na starej pocztówce*, Wydawnictwo Episteme, Kraków 2012, ss. 79 + 5 nlb.

Historia karty pocztowej sięga już prawie półtora wieku, a mimo to wynalazek odległej, jak by się mogło wydawać, epoki, ciągle wyciska swe znamię na wszystkich pokoleniach. Pocztówka posiada bowiem w sobie coś niezwykłego – chwilę, kadr, uchwycony aparatem fotograficznym, który pozwala szerokim rzeszom odbiorców poznawać piękno świata i ludzi, których często już nie ma.

Owa magia pocztówek i ciągle zwiększająca się ich ilość w obiegu, zrodziła jeszcze w końcu XIX w. nowe, nie znane dotąd zjawisko ich kolekcjonerstwa, które objęło również swoim zasięgiem ziemię polskie. Tradycja rozpoczęta w okresie rozbiorów kultywowana jest do dnia dzisiejszego i posiada wielu naśladowców. Wśród nich znajduje się mieszkaniec Łącka, a zarazem pracownik naukowy Akademii Ignatianum w Krakowie, mgr Krzysztof Duda, który od kilkunastu już lat z pietyzmem gromadzi przedmioty związane z lokalną, łącką historią i kulturą. W bieżącym 2012 r. postanowił on opublikować w formie albumu kompletny zbiór przedwojennych kart pocztowych przedstawiających Łącko, które pochodzą z własnej kolekcji oraz Pana Marka Sosenki z Krakowa. Cały projekt sfinansowała Gmina Łącko, a wydało księżkę krakowskie Wydawnictwo Episteme.

Szata graficzna i merytoryczny układ albumu zostały przez Autora bardzo dokładnie przemyślane. Czytelnika już na samym początku przyciąga twarda i wielobarwna okładka, która przedstawia zestaw miniatur kart pocztowych zamieszczonych wewnątrz, niejako zachęcając do sięgnięcia do środka. Tam, na 79 stronach, Krzysztof Duda zamieścił 37 reprodukcji, które można śmiało podzielić na dwie grupy. W pierwszej znalazły się widoki pojedynczych obiektów, szeregu całych zabudowań i ulic oraz szerszych perspektyw ujmujących Łącko na tle pięknych krajobrazów. Ze zbiorem tym w ścisłym związku pozostają pocztówki przedstawiające miejscowy folklor góralski, przede wszystkim kapelę Michała Piksy. Całości dopełniają pojedyncze widoki z okolic Jazowska i Kamienicy.

Przy przeglądaniu albumu na uwagę zasługuje również zastosowany układ treści, bowiem reprodukcje znajdują się wyłącznie na nieparzystych stronach. Strony parzyste zaś zawierają cytaty z ogólnie znanych w literaturze dzieł wielkich pisarzy i podróżników, opisujących między innymi piękno Ziemi Łąckiej. Można więc przeczytać tutaj słowa Wincentego Pola, Mieczysława Orłowicza, Seweryna Goszczyńskiego, Bogusza Zygmunta Stęczyńskiego i kilku innych. Co ważne i ciekawe, dobór fragmentów nie jest przypadkowy, gdyż Autor świadomie starał się dopasować je do zamieszczonych obok reprodukcji, aby pod względem tematycznym stanowiły jedną



całość. Niewątpliwie taki zabieg wymagał od Krzysztofa Dudy wielkiego nakładu czasu, cierpliwości i umiejętności, by dokonać takiej kompilacji.

Gdyby zadać szerszemu ogółowi społeczeństwa ogólne pytanie na temat konieczności publikacji kolejnego albumu krajoznawczego Sądeczczyzny, można by zapewne było usłyszeć słowa wątpliwości. Słowa te jednak w żaden sposób nie można odnieść do książki Pana Krzysztofa Dudy, który wykazał się tutaj dużą starannością, wskazującą również na wielkie zaangażowanie w dzieło. Dzieło to poza tym uzupełnia lukę w historii i kulturze regionu, dając szansę młodemu pokoleniu na lepsze poznanie ziemi swoich przodków, dlatego warto ją zaproponować także młodzieży szkolnej.

Książka ta zmusza do refleksji i zastanawianiem się nad przemijaniem, a jednocześnie sprawia dużo przyjemności, przez co staje się publikacją godną polecenia.

Dr Grzegorz Chajko
Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie

Kraków i Galicja wobec przemian cywilizacyjnych (1866 – 1914). Studia i szkice, red. K. Fiołek, M. Stala, Kraków 2011

Prasa sądecka od zarania do dziś (1981 – 2011), red. B. Faron, A. Ogonowska, Kraków 2012.



W ostatnim czasie ukazały się dwa zbiory materiałów konferencyjnych, które mieszkańcom i miłośnikom naszego regionu wypada szczególnie polecić.

Pierwsza książka – *Kraków i Galicja wobec przemian cywilizacyjnych* – przedstawia zarys dziejów Krakowa i Galicji końca XIX i początku XX wieku, czasu w którym Kraków cieszył się względnymi przywilejami pod rządami monarchii austro-węgierskiej, i ze średniowiecznego wręcz grodu przeobrażał się w nowoczesne miasto. Autorzy referatów wiele miejsca poświęcają rozbudowie Krakowa i przekształceniom przestrzeni w obrębie jego historycznego centrum oraz jego ówczesnych peryferii, które z biegiem lat przeistoczyły się w centrum. Zmiany w tkance miejskiej są jednakże elementem szerszej dyskusji, obejmującej historię, poglądy polityczne, życie literackie i kulturalne u schyłku XIX wieku, dyskusji, z której miasto wyłania się jako „swoisty palimpsest” w którym ślady przeszłości i to co nowe układają się warstwowo. (s. 347).

W otwierającym zbiór artykuły Norman Davies określa Galicję mianem „zaginiętego królestwa” – okazuje się jednak, że omawiana książka stanowi swoiste wyzwanie wobec słów historyka ze wspomnianego artykułu: *Nie da się zaprzeczyć, że w sumie obecne starania o zachowanie pamięci pozostawiają wiele do życzenia. Bogate, wielowarstwowe dziedzictwo Galicji pozostaje ukryte w cieniu. Królestwo – takie, jakie było naprawdę – jest wciąż w najlepszym wypadku na wpół zapomniane, albo na wpół zapamiętane.* (s. 13) – wśród zaprezentowanych prac znajdziemy bowiem liczne perełki i ciekawostki dotyczące znanych mniej lub bardziej postaci i faktów, składających się na interesujący obraz Galicji i jej stolicy. Nie sposób przywołać w recenzji wszystkie ciekawe prace, przytoczmy dla przykładu kilka: *Galicyska „perła zdrojowisk”* Magdaleny Sadlik na temat Krynicy-Zdroju, *Portret stańczyka w prasie satyrycznej* Tadeusza Budrewicza, czy wreszcie *Galicja na drodze do wielkiej przemiany* Juliana Dybca o postępie alfabetyzacji w Galicji.

We wspomnianym już artykule wstępnym Norman Davies podaje przykład idealnego galicyjskiego miejsca – jest nim według niego sądecki skansen wraz z miasteczkiem galicyjskim, doskonale ukazujące *różnorodną rzeczywistość dawnej Galicji* (s. 13) – w prezentowanym zbiorze także odnajdziemy analogiczną, a tak charakterystyczną dla tego historycznego regionu, różnorodność tematów i wątków.

Drugi zbiór, poświęcony dziejom prasy sądeckiej, jest owocem konferencji naukowej, która miała miejsce w Nowym Sączu 16-17 czerwca 2011 w 120. rocznicę ukazania się pierwszego sądeckiego czasopisma.

W zebranych artykułach zarysowane zostały dzieje prasy sądeckiej począwszy od rozpoczęcia wydawania „Szkolnictwa Ludowego” w 1891 r., poprzez omówienie dawnych czasopism i prasy konspiracyjnej, aż po obecnie wychodzące tytuły, łącznie z ukazującymi się w regionie lokalnymi periodykami („Almanach Muszyny”, „Almanach Sądecki”, „Almanach Łącki”) oraz elektroniczną wersją „Sądeczanina”.

Jak trafnie stwierdza w swoim artykule otwierającym zbiór Jerzy Jarowiecki: *„Publikacja poświęcona tradycji i współczesności prasy nowosądeckiej wpisuje się w szeroki nurt zainteresowań prasą i dziennikarstwem lokalnym, obecnie dynamicznie rozwijających się nie tylko w naszym kraju. Dzieje się tak, że prasa regionalna, prasa lokalna jest szczególnie rodzaju dokumentem swoich czasów. Była i jest nie tylko wyrazicielką opinii wąskiego grona wydawców czy dziennikarzy skupionych wokół redakcji, ale przede wszystkim lokalnej społeczności, czytelników, wobec których pełni swoistą funkcję integracyjną.”* (s. 9). Prace badaczy z różnych ośrodków naukowych potwierdzają tę tezę – wyłania się z nich ciekawy obraz sądeckiego prasowego rynku wydawniczego z czołowym pismem naukowym, ukazującym się od 1939 r., „Rocznikiem Sądeckim”, czy wydawanym w latach 1980-1990 tygodnikiem „Dunajec”. Czytelnikom „Almanachu Łąckiego” wypada w tym miejscu szczególnie polecić opracowanie Agnieszki Ogonowskiej „Kultura. Historia. Tekst. Analiza zawartości «Almanachu Łąckiego»” poświęcone w całości analizie tegoż czasopisma, ze szczególnie cennymi uwagami krytycznymi.

Pozostaje mi gorąco zachęcić Państwa do lektury tych, jakże cennych dla miłośników i badaczy historii i kultury naszego regionu, pozycji.

GENERALGOVERNEMENT

3-klasse öffentliche polnische Volksschule Nr. 54
 klasowa polska publiczna szkoła powszechna

in w Lagomy Kreis Neuhammer
 powiat

Nr. 21/44 Schuljahr 1943/44
 Rok szkolny

SCHULZEUGNIS ŚWIADECTWO SZKOLNE

Michał Alpaedy Nowa

geboren den 1. April 1934 in Lagomy
 urodzony dnia w

Kreis Neuhammer Konfession römisch-kath.
 powiat wyznania

besuchte die Klasse und erhielt für das Halbjahr des Schuljahres 1943/44
 uczęszczał do klasy i otrzymał za półrocze roku szkolnego

nächstehendes Zeugnis:
 następujące świadectwo:

Betragen <u>sehr gut</u>	sprawowanie <u>bardzo dobry</u>
Religion <u>sehr gut</u>	religia <u>bardzo dobry</u>
Polnische Sprache <u>sehr gut</u>	język polski <u>bardzo dobry</u>
Sprache	język
Naturkunde <u>sehr gut</u>	nauka o przyrodzie <u>bardzo dobry</u>
Rechnen u. Raumlehre <u>sehr gut</u>	arytmetyka z geometrią <u>bardzo dobry</u>
Zeichnen <u>sehr gut</u>	rysunki <u>bardzo dobry</u>
Werkunterricht <u>sehr gut</u>	zajęcia praktyczne <u>bardzo dobry</u>
Gesang <u>sehr gut</u>	śpiew <u>bardzo dobry</u>
Leibübungen <u>sehr gut</u>	ćwiczenia cieleśne <u>bardzo dobry</u>
Weibliche Handarbeiten	roboty kobiece

Versäumte Stunden 31 davon unentschuldigdt —
 Opuszczonych godzin 31 nieusprawiedliwionych —
Wszystkie dni szkoły regularnie

Auf Grund dieses Zeugnisses wird der Schüler- die Schülerin in die — Klasse — versetzt.
 Na podstawie powyższego świadectwa uczeń-uczennica — przechodzi do — klasy.

Lagomy den 3 April 1944
 Klasenlehrer — opiekun klasy — Schulleiter — kierownik szkoły —

Urteile: sehr gut, gut, genügend, nicht genügend.
 Skala ocen: bardzo dobry, dobry, dostateczny, niedostateczny.

Staatsdruckerei Warschau — Nr. 3382/41.

Sign. V. 1.

Świadectwo szkolne z 1944 r.



Konto P.K.O. Kraków 406.831
Rachunek Bieżący
w Powst. Banku Kredyt. S. A.
w Krakowie

FABRYKA WÓDEK I LIKIERÓW

Arkadia

KRAKÓW, UL. RZEŹNICZA 3 - TELEFON 138-13

Wszystkie wysyłki uskuteczniamy
na wyłączne ryzyko Sz. Odbiorców
i nie odpowiadamy za żadne man-
ko powstałe podczas transportu.

Kraków, dnia 23 marca 1939

RACHUNEK 738/III/62

W.P.. Aniela Piksa

Łącko

ad Nowy-Sącz

Za łask. udzielone nam p. zastępcę zlecenie dziękujemy uprzejmie i przedkładamy niniejszy rachunek na zamówione towary, które wysłałiśmy na lch rachunek i ryzyko pod adresem
W.P. kolejną

Polecając się dalszym łask. wzgl., kreślimy się

z poważaniem
„ARKADIA”
FABRYKA WÓDEK I LIKIERÓW

Sig. Nr.	Skrzy- nie	Ilość	RODZAJ	0/0	Cena		Kwota	
					Zł.	gr.	Zł.	gr.
A 811	1	2/1	Bonekampf ✓	40	7.70	15.40		
		10/1	Wiśniowej ✓	"	7.10	71.-		
		10/1	Wiśniaku ✓	"	7.10	71.-		
		2/1	Benedyktyny ✓	"	7.30	14.60		
		1/1	Karpatowej ✓	"	7.10	7.10		
		5/2	Rumu ✓	35	2.30	11.50		
		10/4	" ✓	"	1.20	12.-		
		2/1 ✓	Jarzębiaku	40	11.40	22.80		
		5/2	"	"	5.90	29.50		
							254.90	
4% scalonego podatku							10.20	
							265.10	
Rachunek płatny gotówką do dni 60-ciu netto ksa bez potrąceń.							234.40	
							30.68	
							265.08	

W razie nie umówienia warunków płatności, rachunek jest płatny gotówką do 30 dni.
Po upływie terminu płatności zaliczamy odsetki bankowe od kwoty dłużnej.

Reklamacje mogą być uwzględnione w ciągu 8 dni od daty faktury wzgl. odebrania towaru.
Towar sprzedajemy loco nasza fabryka Kraków.

Wszelkie wpłaty uskutecznić należy bezpośrednio pod naszym adresem. Innych wpłat uznawać nie będziemy.



Ożywienie w gminnych inwestycjach

Na terenie Gminy Łącko trwają prace przy realizacji kilkunastu inwestycji, które mają poprawić jakość życia mieszkańców, przyczynić się do wzrostu ruchu turystycznego, a także tworzyć warunki do ciekawego i kreatywnego spędzenia czasu wolnego przez dzieci i młodzież.

Dzięki przychylności radnych oraz konsultacji z mieszkańcami dobrze wykorzystujemy dany nam czas, robimy plany na przyszłość. Mimo kłopotów finansowych staramy się racjonalnie wykorzystywać środki jakimi dysponujemy oraz każdego dnia mnożyć budżet dla rozwoju naszej społeczności. Staramy się pozyskiwać środki finansowe z każdych możliwych źródeł – wyjaśnia Wójt Gminy.

Wiele wysiłku włożono dotychczas w poprawę i rozwój infrastruktury drogowej. Projekty z nią związane przyczyniają się do poprawy standardu sieci drogowej w gminie i dostępności komunikacyjnej. Z roku na rok pozyskujemy większe środki z programu na usuwanie skutków powodzi, osuwisk i innych klęsk żywiołowych. Dzięki środkom z rządowego programu na odtworzenie budynków lub lokali mieszkalnych zniszczonych w wyniku klęsk żywiołowych (osuwisk) możliwa była pomoc Pani Biel z Jazowska, Państwu Tokarz z Woli Kosnowej oraz Państwu Bieryt z Obidzy.

Przygotowywane są dokumenty na budowę chodnika w Zabrzeży-Wietrznicach i w Zabrzeży w stronę Kamienicy, do końca wsi. W tym roku powstaną również projekty oświetlenia ulicznego dla Łącka – Wolaki, Maszkowic i Jazowska – Gruszów. W październiku złożyliśmy wniosek o dofinansowanie budowy budynku wielofunkcyjnego z pomieszczeniami straży pożarnej w Jazowsku. Trwają prace projektowe kolejnych inwestycji. Priorytetowo traktowana jest gospodarka wodno-ściekowa, w ramach której przygotowywana jest dokumentacja na budowę oczyszczalni ścieków w Łącku i budowę kanalizacji w Zabrzeży-Wietrznicach.

W zakresie infrastruktury edukacyjno-oświatowej wybudowano podjazd dla osób niepełnosprawnych przy Szkole Podstawowej w Szczereżu, poprawiono ogrodzenie przy Zespole Szkolno – Gimnazjalnym w Zagorzynie, pomalowano dach Zespołu Szkolno-Gimnazjalnego w Łącku, a w trakcie jest remont jego starej części. W tym miesiącu zakończone zostanie przygotowywanie dokumentacji związanej z rozbudową Zespołu Szkolno-Gimnazjalnego w Łącku i budową Szkoły Muzycznej I i II stopnia. Na ten cel otrzymaliśmy dofinansowanie z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Od września z wyremontowanej i wyposażonej świetlicy mogą korzystać dzieci i młodzież z Obidzy.

Dzięki środkom pozyskanym przez gminę możliwa była realizacja projektów rekreacyjno-sportowych budowa kompleksu boisk sportowych wraz z szatniami i zapleczem socjalnym w ramach programu „Moje Boisko-Orlik” w Łącku, modernizacja boiska sportowego w Jazowsku wraz z budową budynku socjalnego oraz trzech placów zabaw w ramach programu „Radosna szkoła”. Nowoczesne, kolorowe, a co najważniejsze speł-

niające wszelkie standardy bezpieczeństwa place zabaw wybudowane zostały na terenach przy-szkolnych w Łącku, Zagorzynie i Obidzy.

Dążąc do rozwoju funkcji turystycznych naszej gminy zagospodarowano teren rekreacyjny nad Dunajcem w Łącku oraz kontynuowane jest oznakowanie przysiółków w poszczególnych miejscowościach. Zakończono remont kapliczki przydrożnej w Zabrzeży, a projekt restauracji kapliczki w Kiczni jest w trakcie oceny wniosków o dofinansowanie. Uzyskane dofinansowanie z budżetu Wojewody Małopolskiego umożliwiło remont mogiły zbiorowej żołnierzy Armii Krajowej poległych w czasie II Wojny Światowej znajdującej się w Łącku na cmentarzu parafialnym.

Nasza gmina to nasza mała ojczyzna, o którą powinniśmy dbać, aby żyło nam się w niej jak najlepiej – przekonuje Janusz Kłag Wójt Gminy Łącko. – Dziękuję wszystkim za dotychczasową współpracę – Radzie Gminy, Mieszkańcom i tym, którzy wspierają mnie w codziennej pracy. Staramy się rozwijać we wszystkich kierunkach. Nieustannie pozyskujemy środki zewnętrzne na realizację inwestycji. Wierzę, że nasza praca i zaangażowanie, ma swoje odzwierciedlenie w wizerunku Gminy Łącko.

Zakres realizowanych przez gminę zadań został doceniony na ogólnopolskiej arenie. Łącko znalazło się na podium wśród najlepszej 20-stki gmin wiejskich w kraju. Otrzymanie tytułu „Inwestor na Medal” jest dużym wyróżnieniem i jednocześnie doskonałą promocją Łącka – mówi Janusz Kłag Wójt Gminy Łącko.



Dom dla p. Bierytów z Obidzy



Droga pod Łysą w Kiczni



Odnowiony pomnik żołnierzy AK na cmentarzu parafialnym w Łącku



Kaplica w Zabrzeży po renowacji, 2012 r.



Orlik w Łącku



Plac zabaw przy Zespole Szkolno-Gimnazjalnym w Łącku. Wójt Gminy Łącko Janusz Kłag i dyrektor Zespołu Barbara Stolarska

- 11.05.2012 Oddanie do użytku „Orlika” w Łącku
- 12.05.2012 Otwarcie hali widowiskowej w Łącku
- 13.05.2012 Amfiteatr w Łącku – Święto Kwitnącej Jabłoni
- 15.05.2012 Wójt gminy Łącko, Janusz Klag, wręczył klucze do nowego domu Krystynie i Kazimierzowi Bierytom. Dom w którym mieszkali z czwórką dzieci w Obidzy, został zniszczony przez osuwisko. Nowy dom wybudowany został w bezpiecznym miejscu w Jazowsku, z funduszy na usuwanie zniszczeń, spowodowanych klęskami żywiołowymi.
- 17.05.2012 X Gminny Konkurs Matematyczny, nagrody TMZŁ (słodczyce).
- 31.05.2012 W Domu Gotyckim w Nowym Sączu, odbył się wernisaż pokonkursowej wystawy i wręczenie nagród w Międzynarodowym Konkursie Plastycznym dla Dzieci i Młodzieży „Moja przygoda w muzeum”. Laureatem tego konkursu plastycznego został 8 letni Jakub Wąchała z Kiczni.
- 01.06.2012 Gminny Dzień Dziecka odbył się w Łącku, w hali widowiskowo-sportowej. Upominki wręczał wójt gminy Łącko Janusz Klag.
- 18–19.06.2012 Ogólnopolska Konferencja Naukowa z okazji 720-rocznicy lokacji Miasta Nowego Sącza, odbyła się w Miasteczku Galicyjskim w Nowym Sączu.
- 20.06.2012 Spotkanie autorskie prof. Bolesławem Faronem z młodzieżą Gimnazjum w Łącku, tematem spotkania „korzenie” i mała ojczyzna, na podstawie książki profesora, „Powrót do korzeni. Nowy”.
- 22–24.06.2012 X Świętojańskie Dni Młodych w Łącku.
- 06.07.2012 Promocja XL tomu Rocznika Sądeckiego w Ratuszu, w Nowym Sączu. Tom ten poświęcony został prof. Janowi Słowikowskiemu.
- 06.07.2012 III Forum Prasy Sądeckiej. Przyznano V doroczną nagrodę im. Szczęsnego Morawskiego. Nagrodę otrzymał ks. Jan Kudelka, za książkę pt. „Kościół na Sądecczyźnie w godzinie próby 1939–1945”.
- 07.07.2012 Spotkanie Klubu Przyjaciół Ziemi Sądeckiej z okazji Imienin Miasta Nowego Sącza, w MCK „Sokół”, rozpoczął Hejnał, wykonany przez muzyków z Orkiestry Reprezentacyjnej Straży Granicznej. Spotkanie poprowadzili Leszek Mazan i Mieczysław Czuma. W programie m.in. klubowa debata Sądeczan, wystąpienie Prezesa KPZS dr. Józefa Oleksego, promocja książki Jerzego Leśniaka „101 Sądeczan”.
- 11–15.07.2012 Na Rynku w Łącku, odbyła się impreza kulturalna pn. Plener Artystyczny „Tworzywo”, pod patronatem wójta gminy Łącko Janusza Kłaga. W plenerze wzięli udział artyści z terenu gminy Łącko: rzeź-

- biarze, malarze, hafciarki. Plener zakończyła wystawa poplenerowa na łąckim Rynku. Wystąpiły także zespoły regionalne i kapele z terenu gminy.
- 31.07.2012 Odbyła się sesja Rady Gminy, na której uchwalono zmiany w uchwale budżetowej na 2012 rok, przedłużono na kolejne 3 lata dzierżawę działek gminnych.
- 01.08.2012 W godzinę W, rozległy się syreny w całym powiecie nowosądeckim, a pod pomnikiem Józefa Piłsudskiego w Łącku, przedstawiciele władz samorządowych, Stanisław Piksa, sekretarz gminy Łącko i Zdzisław Warzecha, przewodniczący Rady Gminy Łącko, członkowie Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej z prezesem Jadwigą Jastrzębską oraz mieszkańcy złożyli kwiaty i zapalili znicze. Na zakończenie wszyscy uczestnicy odśpiewali hymn Batalionu „Zośka” – „Pałacyk Michła, Żytnia, Wola”.
- 15.08.2012 Mszą za Ojczyznę rozpoczęły się uroczystości 92 rocznicy „Bitwy Warszawskiej”. Kwiaty i znicze złożyli pod pomnikiem Marszałka Piłsudskiego członkowie Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej.
- 15.08.2012 W wieku 64 lat zmarła Maria Gromala, właścicielka cukierni „u Gromali”, która jako firma rodzinna, działa nieprzerwanie od 1969 roku.
- 20.08.2012 Wójt gminy Łącko, Janusz Kłag, odwiedził w domu Marcina Owsiankę, ciężko poparzonego, w czerwcu, chłopca. Wręczył mu upominki: komplet podręczników do klasy V, wraz z plecakiem, oraz kosz słodczy.
- 19.08.2012 W V Pielgrzymce Sądeckiej, do Ołtarza Papieskiego w Starym Sączu, wziął udział Janusz Kłag, wójt gminy Łącko, oraz strażacy z OSP wraz ze sztandarami.
- 23.08.2012 Komisja konserwatorska dokonała wizji lokalnej, ponad stuletniej kapliczki w Zabrzeży. Kapliczka będzie odrestaurowana i odzyska wygląd, zgodny z najstarszymi, zachowanymi do dnia dzisiejszego fotografiami. Fotografie kapliczki z około 1900 i 1910 roku dostarczyło Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej.
- 25.08.2012 Odbyły się uroczystości Jubileuszu 25 lecia powstania Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej. Uroczystości jubileuszowe rozpoczęła msza św. w kościele parafialnym w Łącku. Następnie zaproszeni goście i członkowie Towarzystwa, w restauracji „Oberża” w Łącku, lampką szampana rozpoczęli spotkanie, obejrzeni okolicznościową wystawę fotograficzną. Wszyscy uczestnicy otrzymali okolicznościowy znaczek. Dostępne były także wydawnictwa Towarzystwa. Jubileuszowe spotkanie zakończył wspólny obiad. W spotkaniu udział wzięli: Zbigniew Czepelak, dyrektor Wydziału Kultury Starostwa

Powiatowego, Jan Dziedzina, z-ca przewodniczącego Rady Powiatu, Janusz Klag, wójt gminy Łącko, Tomasz Ćwikowski, Stanisław Wolański i Aleksander Grela ze Związku Podhalan o/ Łącko, Tomasz Pasiud z OSP w Łącku, Andrzej Długosz, prezes Towarzystwa Przyjaciół Starego Sącza i dyrektor Muzeum w Starym Sączu, Bożena Mściwujewska-Kruk i Ryszard Kruk z Almanachu Muszyńskiego. Towarzystwo otrzymało nagrodę starosty nowosądeckiego, "Złote Jabłko Sadeckie".

- 01.09.2012 W parafii pod wezwaniem św. Stanisława Biskupa i Męczennika, w Zabrzeży, odbyła się uroczystość 30lecia ustanowienia parafii, 30lecia probostwa i 40lecia posługi kapłańskiej przez ks. prałata Józefa Kasińskiego. Uroczystej mszy świętej, która odbyła się o godzinie 17, w kościele parafialnym w Zabrzeży, przewodniczył ks. biskup ordynariusz Andrzej Jeż.
- 01.09.2012 Konkurs na kierownika hali widowiskowo-sportowej w Łącku, wygrał Artur Czarnecki z Nowego Sącza, który jest także radnym miasta Nowego Sącza.
- 1–2.09.2012 Święto Owocobrania na Rynku w Łącku. 1września zostały złożone kwiaty pod tablicą upamiętniającą poległych partyzantów w czasie II wojny światowej, przez przedstawicieli samorządu gminnego, stowarzyszeń i mieszkańców gminy.
- 09.09.2012 Członkowie Młodzieżowej Drużyny Pożarniczej z Łącka, reprezentowali gminę Łącko na „Festiwalu Biegowym” Forum Ekonomicznego w Krynicy.
- 23–25.09.2012 W Wietrznicach, na torze kajakowym, odbyły się 68 Indywidualne Mistrzostwa Polski seniorów i juniorów w Zjeździe i Sprincie Kajakowym.
- 11.10.2012 Janusz Klag, wójt gminy Łącko i Tadeusz Zaremba, zastępca wójta, wzięli udział w Gali Finałowej Konkursu INWESTOR NA MEDAL, organizatorem był Polski Klub Infrastruktury Sportowej. XIII edycja konkursu odbyła się na Stadionie Narodowym w Warszawie. Gmina Łącko została wyróżniona za zaangażowanie w prawidłowy przebieg procesów inwestycyjnych, pozyskiwanie funduszy ze środków Unii Europejskiej, oraz za działalność na rzecz rozwoju infrastruktury. Wyróżnienie z rąk Roberta Korzeniowskiego, odebrał Janusz Klag.
- 14.10.2012 Obchody XII Dnia Papieskiego w Łącku rozpoczęła msza święta w intencji błogosławionego Jana Pawła II i rodziny. Z krótkim koncertem wystąpiła Orkiestra Dęta im. Tadeusza Moryto, rozdano także nagrody w gminnym konkursie plastycznym zorganizowanym przez GOK w Łącku. Po mszy i koncercie, prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej, Jadwiga Jastrzębska, wręczyła dwa, jednorazowe sty-

pendia dla uczniów Gimnazjum w Łącku: Dominiki Tokarz i Piotra Dudka, które ufundowało TMZŁ.

- 02.11.2012 Msza święta w intencji zmarłych członków Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej, została odprawiona w kościele Parafialnym w Łącku.
- 11.11.2012 Narodowy Dzień Niepodległości w Łącku. W tym roku gminne uroczystości odbyły się w Kościele Parafialnym. Obchody rozpoczęła msza święta w intencji Ojczyzny, w części artystycznej, z koncertem pieśni patriotycznych wystąpiła Orkiestra Dęta im. Tadeusza Moryto w Łącku. Następnie delegacje samorządu i stowarzyszenia złożyły wiązanki kwiatów pod pomnikiem Józefa Piłsudskiego w Łącku.
- 30.11.2012 Wydanie 17 numeru Almanachu Łąckiego.



Łącko 20.07.2012 r

Pan
Wojciech Szatkowski
Muzeum Tatrzańskie
im. Tytusa Chałubińskiego
w Zakopanem

LIST PROTESTACYJNY

My, niżej podpisani, stanowczo protestujemy przeciwko zamieszczeniu w książce przez Pana napisanej „Goralenvolk. Historia zdrady”, fotografii pocztówki z lat 30 XX wieku, przedstawiającej Górali Łąckich, na której jest m. in. Maria Chwalibóg z Łącka i Stanisław Sopata z Czerńca. Fotografia ta otwiera rozdział „Niemiecka teoria o germańskim pochodzeniu górali” i przedstawione na niej osoby mają być przykładem germańskiego pochodzenia górali. Autora nie tłumaczy fakt, że znalazł tę fotografię w zbiorach archiwalnych GG, ponieważ nie dochował staranności weryfikowania źródeł, wytworzonych przez hitlerowskiego okupanta, tym bardziej, że dotyczyły tak drażliwego tematu.

W czasie, gdy Pana dziadek, Henryk Szatkowski, główny ideolog i współtwórca Goralenvolk, zakładał tę organizację na terenie Podhala, a Wacław Krzeptowski składał hołd na Wawelu, Hansowi Frankowi Generalnemu Gubernatorowi, Maria Chwalibóg wraz z matką, Józefą z Uhmów Chwalibogową, uciekły przed Niemcami z Łącka do Lwowa, gdyż Maria, według żyjących jeszcze świadków, nie wyobrażała sobie „spotkania” z Niemcami.

Po 17 września 1939 roku zostały przez Sowieców wywiezione na Sybir, gdzie Józefa Chwalibogowa zmarła z głodu i wycieńczenia. Maria Chwalibóg przeżyła dzięki przedostaniu się do Armii Andersa, z którą przeszła szlak bojowy, i po wojnie, nie mogąc pogodzić się z faktem utraty wolności przez Polskę, zmiany ustroju na socjalistyczny, oraz utworzenia Polski Ludowej, zamieszkała w Anglii, gdzie zmarła w 1992 roku, i tam jest pochowana.

Ziemia Łącka nigdy nie należała do Goralenvolk, nie znane są też fakty, by ktokolwiek z mieszkańców zgłosił akces do tej organizacji.

Nie znane są nam motywy autora, zamieszczenia tej właśnie fotografii, w książce, opisującej historię kolaboracji i zdrady podhalańskich górali, jakiegokolwiek by nie były, nie usprawiedliwiają tego kłamliwego i skandalicznego faktu.

Kategorycznie i stanowczo domagamy się sprostowania tego faktu w mediach, w których Pan Wojciech Szatkowski udzielał wywiadów i ukazywały się recenzje książki „Goralenvolk. Historia zdrady”, oraz w kolejnych nakładach tej książki.

mgr inż. Janusz Klag, wójt Gminy Łącko
mgr Zdzisław Warzecha, Przewodniczący Rady Gminy Łącko
Jadwiga Jastrzębska, prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej
mgr Tomasz Ćwikowski, prezes Związku Podhalan o/ Łącko
Zespół Regionalny „Górale Łąccy” im. Marii Chwalibóg w Łącku
Orkiestra Dęta im. Tadeusza Moryto w Łącku
Zespół Regionalny „Małe Łącko” przy Zespole Szkolno-Gimnazjalnym w Łącku

Do wiadomości;

- 1.a/a
- 2.Tygodnik Podhalański
- 3.Gazeta Wyborcza
- 4.Polityka
- 5.Sądeczanin
- 6.Gazeta Krakowska
- 7.Dziennik Polski



Przeprosiny w stosunku do rodziny Pani Chwalibóg i mieszkańców Łącka

W czerwcu bieżącego roku ukazała się staraniem wydawnictwa „Kanon” moja książka „Goralenvolk. Historia zdrady”. „Goralenvolk”. To słowo boli wszystkich górali od wielu lat, jakie upłynęły od zakończenia II wojny światowej. Ta książka jest próbą pokazania prawdy o tym, z jak różnych powodów grupa górali podhalańskich związała się z okupantem na blisko sześć lat wojny. Zdobyłem się na odwagę, by zmierzyć się nie tylko z historią własnej rodziny, ale i historią Podhala w czasie okupacji. Pokazałem motywacje i kalkulacje tych, którzy postawili na Niemców i kolaborację. Książka ta oparta jest na materiałach źródłowych, licznych archiwaliach z Muzeum Tatrzańskiego i relacjach ludzi, którzy wtedy żyli na Podhalu oraz na dokumentach z archiwów Instytutu Pamięci Narodowej. Prace nad książką trwały ponad 5 lat.

Jeden z ważnych rozdziałów książki dotyczy propagandowego wykorzystania przez okupanta wizerunku górali podhalańskich i niemieckiej teorii o rzekomo germańskim pochodzeniu górali. Propaganda hitlerowska w perfidny sposób wykorzystywała wszelkie wizerunki górali, jako domniemanych potomków germańskich Gotów, w celu rozbicia jedności narodu polskiego. Rozpowszechniano, między innymi za pomocą pocztówek, wizerunki różnych grup górali, zwłaszcza w paradnych strojach, a w góralskich spinkach dopatrywano się rzekomego podobieństwa do spinek gockich. Dostrzegano również podobieństwa w sylwetkach górali do typu nordyckiego – jasne włosy, czy niebieskie oczy. Notabene pocztówki pod względem artystycznym są piękne, wydane w kolorze, co na ówczesne czasy było rzadko spotykane. Do jakże wielkiej perfidii posunęli się naziści, którzy z jednej strony upowszechniali w niecnym zamiarach wizerunki górali, z drugiej jednak strony stosowali wobec nich różne formy represji. Jako przykład podam zdjęcie zamieszczone w mojej książce „Goralenvolk Historia zdrady”, na stronach 86-87. W przedstawionej grupie górali w pięknych strojach ludowych, w centrum widoczna jest Maria Chwalibóg. – założycielka zespołu regionalnego „Górale Łąccy”, zasłużona nauczycielka szkoły w Łącku, z powodu prowadzonej działalności zmuszona do ucieczki przed Niemcami. Pokrętnie są drogi historii. Niemniej właśnie dzięki takim publikacjom oraz reakcjom świadków tamtych okrutnych wydarzeń, ujawniają się dotychczas skrywane bądź zapomniane fakty. Zdjęcie nie zostało zamieszczone jednak dlatego, by pokazać, że mieszkańcy Łącka mieli jakikolwiek związek z „Goralenvolkiem”, bo wszak nie mieli, było jedną z wielu kart pocztowych znajdujących się w zbiorach wydawcy książki, na której niemiecka propaganda użyła wizerunku górali. Dlatego je wykorzystaliśmy.

Ponieważ rozumiem, że społeczność Ziemi Łąckiej, rodzina Pani Chwalibóg są oburzeni zaistniałą sytuacją i publikacją fotografii, chciałem wszystkich zainteresowanych przeprosić. Stosowne wyjaśnienie dotyczące tej fotografii, zaistniałej sytuacji, znajdzie się w drugim wydaniu mojej książki. Przeprosiny wobec mieszkańców Łącka zamieściłem w artykułach, które ukazały się w zakopiańskim wydaniu „Gazety Krakowskiej”, „Tygodnika Podhalańskiego” oraz na stronie www.podhale24.pl a także podczas audycji radiowej w Radio „Kraków”.

Z poważaniem. Wojciech Szatkowski
Autor książki „Goralenvolk. Historia zdrady”

Urząd Wojewódzki Krakowski
Inspektorat Pożarniczy

Kraków, dnia 30. stycznia 1947 r.

L.Poż. III-3/160/47

Do

Obywatela M y j a k a Władysława
Komendanta Ochotniczej Straży Pożarnej

Zagorzyn
pow. N. Sącz

Niniejszym mianuję Obywatela s i e r ż a n t e m
p o ż a r n i c t w a - z dniem 1. stycznia 1947 r.

Z okazji tej zasylam Obywatelowi najlepsze życzenia
wytrwałego pełnienia dobrowolnie przyjętych obowiązków społecznych
i walnego przyczynienie się do rozwoju pożarnictwa ojszyetego.-



Inspektorat Pożarnictwa

[Signature]
p.o. p.o.

POWIATOWA SZKOŁA POŻARNICZA
POWIATU NOWOSĄDECKIEGO
W STARYM SĄCZU

ZASWIADCZENIE

Nr. 45.

Zaswiadczam, że M y j a k Władysław ze Straży Pożarnej

w Zagorzynie urodz. 27.VI.1921 w Zagorzynie

ukończył kurs pożarniczy dla podoficerów Och.Str.Poż.

w Powiatowej Szkole Pożarniczej powiatu nowosądeckiego w czasie

od 8.6. do 11.6.43 do 14.6. do 17.6.43

z wynikiem dobrym

i na tej podstawie jest uprawniony do noszenia odznak starszeństwa

w stopniu kaprala

Komendant Szkoły

Stary Sącz, dnia 17.VI. 1943

Kilka uwag do „Życia literackiego Łącka” Barbary Faron

Z uwagą przeczytałem ciekawą pracę pani Barbary Faron, zamieszczoną w nr. 16 Almanachu Łąckiego p.t. *Życie literackie Łącka*. Zainteresowałem się recenzją książki Antoniego Kurzei *Z rodzinnych stron Mikołaja Zyndrama wodza z pod¹ Grunwaldu*, bo taki jest właściwy tytuł, a nie ... *Zyndrama z Maszkowic!* – to pierwsza uwaga. Druga będzie już trochę poważniejsza. Na stronie 112 – 8 wiersz od dołu napisano: *Część pierwsza przedstawia historię zakonu krzyżackiego, sięgając okresu wypraw krzyżowych(...) po plastyczny opis bitwy pod Grunwaldem, którego nie powstydziliby się i Sienkiewicz.*

Znam dobrze to dziełko, pierwszy raz przeczytałem je mając 18 lat, a następnie przeniósłem je na nośnik cyfrowy w roku 2007, przyczyniając się do jego ponownego wydania. Jestem jego *fanem* od dawna – jakże więc mogłem nie zauważyć tego opisu bitwy autorstwa Antoniego Kurzei! Czytam więc ponownie i... przyznaję rację autorce! Sienkiewicz nie powstydziliby się autorstwa tego opisu, bo to właśnie on był tym autorem!

Antoni Kurzeja wyraźnie pisze na str. 7 swego dziełka (4 wiersz od dołu): *Wtedy to przyszło do wiekopomnego boju, który tak świetnie opisał wielki nasz pisarz Sienkiewicz w swojej powieści „Krzyżacy” – Otóż opis tej bitwy przytoczymy w wyjątkach z dzieła tego wielkiego pisarza.* I dalej następuje ten opis!

Trzecia uwaga dotyczy recenzji zawartej w akapicie zaczynającym się od słów: *Większość poglądów autora (...)* na stronie 113, do końca tego akapitu. Kilka sformułowań, (jak np. „zacnych postaci”) i przemyśleń, jest bardzo podobnych do treści zawartych w słowie wstępnym do aktualnego wydania książki, (którego nb. byłem w większej części autorem). Wypadałoby powołać się na źródło, z którego autorka korzystała.

Na koniec *przyczepię się* do informacji zawartej na str. 118 o poezji niemieckiego poety Norberta Büttnera. Przy omawianiu poezji obcojęzycznych, przyjęte jest podawanie nazwiska tłumacza (i ewentualnie ocena tłumaczenia, jeżeli zna się język oryginału).

Mam nadzieję, że parę tych uwag, napisanych bez złośliwości, nie spowoduje długotrwałej polemiki na łamach Almanachu, bo nie o to przecież chodzi.

Andrzej Urbaniec

¹ pisownia oryginalna

1. Od redakcji	str. 3
2. Krzysztof Chwalibóg – Historia rodziny łąckich Chwalibogów – część VII	str. 4
3. Jan Rostocki – Pesteczki z „psiorek”	str. 21
4. Józef Myjak – Spod Gorców w świat centusiów i makaroniarzy	str. 38
5. Tomasz Kowalik – Maria Kownacka w przyrodzie i krajobrazie	str. 78
6. Biogramy	str. 89
Andrzej Urbaniec – Łącki lekarz – Franciszek Dudek	str. 89
Stanisław Wojnarowski – Sądecki ogrodnik	str. 91
7. Magdalena Puławska – U Cadyka III	str. 95
8. ks. Henryk Majkrzak – Kazachstan. Kościół katolicki, społeczeństwo i zwyczaje	str. 98
9. Zatrzymane w kadrze	str. 143
10. Piękno naszej ziemi	str. 147
11. Andrzej Urbaniec – Z domowego archiwum	str. 148
12. Wydarzenie kulturalne – Wystawa malarstwa Andrzeja Urbańca w Berlinie	str. 149
13. „Łącko i Gmina Łącka”	str. 152
14. Norbert Büttner – Wiersze	str. 153
15. Krystyna Kołodziej – Wiersze	str. 155
16. Krzysztof Duda – Kultura łowiecka – 50lecie Koła Łowieckiego „Jarząbek” w Łącku	str. 158
17. Władysław Pierzga – Bartnictwo i pszczelarstwo w Kotlinie Łąckiej...	str. 161
18. Ewelina Faron – Łącki stół na Boże Narodzenie	str. 181
19. Antoni Krzeszowski – Z trasy XII międzyszkolnego zlotu turystyczno-krajoznawczego	str. 183
20. Teresa Matusiewicz Łazarz – Prace wykopaliskowe na „Górze Zyndrama” w Maszkowicach...	str. 187
21. Katarzyna Gromala – Najważniejsza jest mała ojczyzna	str. 189
22. Jadwiga Jastrzębska – III Forum Prasy Sądeckiej	str. 193
23. Jadwiga Jastrzębska – Walne sprawozdawczo wyborcze zgromadzenie członków Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej	str. 196
24. Jadwiga Jastrzębska – Jubileusz 25 lecia Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej	str. 202
25. Maria Golanka – Spotkanie Klubu Przyjaciół Ziemi Sądeckiej	str. 205
26. Jadwiga Jastrzębska – Promocja XL tomu Rocznika Sądeckiego	str. 208
27. Ewelina Faron – Sprawozdanie z konferencji Sądeczczyzna w literaturze polskiej, historiografii i mediach	str. 210
28. Redakcja Almanachu Łąckiego – 75-lecie urodzin prof. Bolesława Faron	str. 211
29. Grzegorz Chajko – recenzja	str. 212
30. Ewelina Faron – recenzja	str. 214
31. Archiwalia	str. 216
32. Ożywienie w gminnych inwestycjach	str. 218
33. Kalendarium	str. 222
34. Listy, polemiki, sprostowania	str. 226
35. Spis treści	str. 232